

Horror, thriller i powieść detektywistyczna w wersji kostiumowej  
z fabułą osadzoną w realiach osiemnastowiecznej Anglii.

# GRAHAM MASTERTON



## Sabat Czarownic

ALBATROS

GRAHAM  
MASTERTON

Sabat  
Czarownic

Z angielskiego przełożyła  
ANNA ESDEN-TEMPSKA

ALBATROS

DŁUGO WYCZEKIWANA KONTYNUACJA  
*SZKARŁATNEJ WDOWY!*

DETEKTYW KATIE MAGUIRE W WERSJI KOSTIUMOWEJ.

**Mówią, że dziewczęta były wiedźmami. Ale Beatrice Scarlet, inteligentna racjonalistka, jest pewna, że były tylko niewinnymi ofiarami...**

Londyn, rok 1758. Beatrice Scarlet, córka aptekarza, jest przełożoną w przytułku dla upadłych kobiet imienia Świętej Marii Magdaleny. Praca sprawia jej przyjemność, ma poczucie misji, ale też nawiązuje silną więź z podopiecznymi.

Przytułek wspiera bogaty kupiec, handlarz tytoniem, który oferuje dziewczętom stabilną pracę, by pomóc w ich moralnej i społecznej rehabilitacji. Lecz gdy siedem młodych kobiet wysłanych do jego fabryki przepada bez wieści, ich przełożona wie już, że dzieje się coś niedobrego. Rzekomy dobroczyńca utrzymuje, że podopieczne Beatrice były wiedźmami, oddanymi szatanowi i jego demonicznemu występkom. Ale ona jest przekonana, że chodzi tu o coś znacznie bardziej mrocznego niż wiedźmie czary...

## GRAHAM MASTERTON

Urodził się w 1946 r. w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w „Mayfair” i brytyjskim wydaniu „Penthouse’a”. Autor horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów – w tym 11 kryminałów z Katie Maguire – oraz poradników seksuologicznych. Zdobył Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i był nominowany do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 r. horrorem *Manitou* (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 100 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad 2 miliony kupili polscy czytelnicy. O popularności Grahama Mastertona w Polsce może świadczyć choćby to, że w 2021 roku w sierpniu stanął we Wrocławiu przed Art Hotelem jego krasnal – Mastertonek.

[grahammasterton.co.uk](http://grahammasterton.co.uk)

[grahammasterton.pl](http://grahammasterton.pl)

***Tego autora***

*Sagi historyczne*

WŁADCY PRZESTWORZY  
IMPERIUM  
DYNASTIA

**Rook**

ROOK  
KŁY I PAZURY  
STRACH  
DEMON ZIMNA  
SYRENA  
CIEMNIA  
ZŁODZIEJ DUSZ  
OGRÓD ZŁA

**Manitou**

MANITOU  
ZEMSTA MANITOU  
DUCH ZAGŁADY  
KREW MANITOU  
ARMAGEDON  
INFEKCJA

**Wojownicy Nocy**

ŚMIERTELNE SNY  
POWRÓT WOJOWNIKÓW NOCY  
DZIEWIĄTY KOSZMAR

*Inne tytuły*

STUDNIE PIEKIEŁ  
ANIOŁ JESSIKI  
STRAŻNICY PIEKŁA

DEMONY NORMANDII  
ŚWIĘTY TERROR  
SZARY DIABEŁ  
ZWIERCIADŁO PIEKIEŁ  
ZJAWA  
BEZSENNI  
CZARNY ANIOŁ  
STRACH MA WIELE TWARZY  
SFINKS  
WYZNAWCY PŁOMIENIA  
WENDIGO  
OKRUCHY STRACHU  
CIAŁO I KREW  
DRAPIEŻCY  
WALHALLA  
PIĄTA CZAROWNICA  
MUZYKA Z ZAŚWIATÓW  
BŁYSKAWICA  
DUCH OGNI  
ZAKŁĘCI  
ŚPIĄCZKA  
SUSZA  
SZKARŁATNA WDOWA  
DOM STU SZEPTÓW

**Katie Maguire**

BIAŁE KOŚCI (książka wcześniej ukazała się pt. KATIE MAGUIRE)

UPADŁE ANIOŁY  
CZERWONE ŚWIATŁO HAŃBY  
UZNANI ZA ZMARŁYCH  
SIOSTRY KRWI  
POGRZEBANI  
MARTWI ZA ŻYCIA  
TAŃCZĄCE MARTWE DZIEWCZYNKI  
ŚWIST UMARŁYCH  
ŻEBRZĄC O ŚMIERĆ

DO OSTATNIEJ KROPLI KRWI

Tytuł oryginału:  
THE COVEN

Copyright © Graham Masterton 2017

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2022

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Estuary English

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock.com

ISBN 978-83-6751-208-4



**ALBATROS**

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

tel:691962519

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)



## Spis treści:

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

*Dla Marcina Dymalskiego ze Stowarzyszenia Aglomeracja  
Wrocławska, Roberta Kuczery, dyrektora Zakładu Karnego  
w Wołowie, i Iwony Bawolskiej. Z wdzięcznością za pomoc  
w realizacji ogólnopolskiego konkursu „W więzieniu  
pisane”.*

## Rozdział 1

Kiedy Beatrice wyniosła na podwórko kosz mokrego prania, żeby je rozwiesić, zobaczyła, że konik na biegunach Noaha leży przewrócony obok chlewika, ale chłopiec zniknął. Jeszcze dziesięć minut temu widziała go, jak się buja, wymachując czapeczką i nawołując swoje wymaginowane wojska, by ruszały za nim w bój. Ale teraz go nie było.

Odstawiła kosz i poszła podnieść konika. Zrobił go Noahowi na piąte urodziny William Tandridge i polakierował na biało, domalowując wielkie oczy i wyszczerzone zęby, jakby konik rżał. Stolarz nie chciał za to pieniędzy. Beatrice podejrzewała, że próbował zaskarbić sobie jej względy. W końcu była wdową, a on wdowcem. Jego żona zmarła na tyfus trzy zimy temu, podobnie jak trzy inne mężatki w miasteczku i pięcioro dzieci.

– Noah! – zawołała Beatrice. – Noah, gdzie jesteś? Niedługo kolacja!

Uniosła nieco rąbek ciemnobrązowej sukni, żeby zejść po porośniętym trawami zboczu na brzeg rzeki. Było jasne wietrzne popołudnie, po niebie płynęły białe chmury. Zawołała Noaha jeszcze raz, ale słyszała tylko szelest kołyszących się drzew osiki oraz poświstywanie i świergot wireonków.

– Noah! – krzyknęła znowu, teraz już naprawdę zaniepokojona.

Jak mógł tak nagle zniknąć? Może bawi się w chowanego, żeby się z nią droczyć, ale wątpiła w to, bo od śmierci Francisa stał się poważniejszy i troszczył się o nią, choć był jeszcze taki mały. Oczywiście przekomarzał się ze swoją siostrą, Florence, lecz dla Beatrice był niemal jak miniatuurka męża.

Zbiegła ze wzgórza, potykając się ze dwa lub trzy razy. Rzeka była wąska, zarośnięta i płytką – tak płytką, że ledwie sięgała Noahowi do kolan, kiedy w niej brodził – ale Beatrice zakazała mu się w niej bawić, jeśli jej

nie było w pobliżu. Modliła się w duchu, by nie okazało się, że jej nie posłuchał i przyszedł tu puszczać stateczki albo próbować łapać ryby.

Dwadzieścia metrów od brzegu zauważyła na ziemi usztywnioną, wypchaną końskim włosiem czapczkę syna i aż ścisnęło ją w piersi ze strachu. Uwielbiał tę czapkę i nigdy nie ruszał się bez niej. Chciał w niej nawet spać. Podniosła ją i zrozpaczona rozglądała się dokoła.

– Noah, gdzie jesteś? Noah! Mam nadzieję, że nie robisz sobie głupich żartów, młody człowieku, bo to nie jest zabawne! Noah!

Nadal nie było odpowiedzi. Beatrice podbiegła na sam brzeg rzeki i przeszła nim aż do osikowego zagajnika. Omiotła wzrokiem pomarszczoną wodę, by upewnić się, że nie leży w niej Noah, że się nie utopił. Jednak dostrzegła tylko kilka ryb między wodorostami, nic więcej.

Wreszcie przystanęła, wciąż raz po raz nawołując syna.

Dobry Boże, proszę, nie pozwól, by stało mu się coś złego. Nie zniosłabym takiej straty. Tak bardzo przypomina ojca, wyglądem i tym, jak mówi, i jest właściwie wszystkim, co mi po moim ukochanym Francisie pozostało.

Wspięła się z powrotem na wzgórze prowadzące do probostwa. Żeby sprawdzić, czy Noah nie bawi się z nią w chowanego, przeszła wzdłuż tyczek na grządkach fasoli i między jabłoniami i gruszami w sadzie z boku domu. Zajrzała do pomalowanej na zielono komórki z narzędziami ogrodowymi, a nawet do chlewu, gdzie stały trzy chrumkające świnie, i nachyliła się, żeby zobaczyć, czy Noah się tam nie ukrył.

Oczywiście było bardzo mało prawdopodobne, by się przed nią chował. Podobnie jak to, że upuścił swoją ukochaną czapkę i zostawił ją w trawie.

Kiedy weszła do domu, usłyszała płacz Florence.

– Idę, Florrie! – zawołała i pobiegła przez kuchnię i dalej, po wąskich schodkach na górę.

Florence stała w swoim łóżeczku z żelaznymi prętami. Policzki miała zaróżowione, a blond loczki wilgotne po śnie. Beatrice wzięła ją na ręce, przytuliła i otarła jej łzy czubkami palców.

– No już, już, Florrie, nie płacz. Możesz dostać trochę mleczka, jak chce ci się pić. A potem ubierzemy się i pójdziemy poszukać twojego braciszka. Nie wiem, gdzie zniknął. Miejmy tylko nadzieję, że nic mu się nie stało.

Florence skrzywiła się żałośnie.

– Gdzie No-no?

– Nie wiem, kochanie. Ale znajdziemy go, zanim się ściemni.

Rozpięła Florence białą koszulkę i ściągnęła ją, po czym delikatnie położyła dziewczynkę na złożonym kocu na stole w kącie pokoju, by zmienić jej przemoczoną pieluszkę. W głowie miała zamęt. Myślała, co mogło się stać z Noahem, i tak pospiesznie przewijała córkę, że ukłuła się do krwi agrafką w palec i musiała go possać. Modliła się, żeby to nie był zły znak.

• • •

Zastanawiała się, co ma robić. Duży zegar stojący w korytarzu wybił właśnie czwartą. Zostały jeszcze ponad trzy godziny do zmroku. Ale jak długo zdoła sama szukać synka, niosąc na ręku córeczkę?

Do niedawna mieszkał z nią kuzyn, Jeremy, lecz dwa tygodnie temu wyjechał do Portsmouth, by podjąć pracę w przedsiębiorstwie spedycyjnym. Zawiadomienie go potrwa co najmniej jeden dzień. Żeby znaleźć kogoś, kto pomógłby jej szukać Noaha, musi zaprząć do dwukółki ich konia, Bramble'a, i pojechać do Sutton albo też wybrać się tam na piechotę. To zajmie jej dobre dwadzieścia minut. Jakkolwiek postąpi, straci godzinę, a co będzie, jeśli w tym czasie do domu przyjdzie Noah,

wystraszony, może ranny, wymagający natychmiastowej pomocy, i nikogo nie zastanie?

Ubrała Florence w jasnobrązową bawełnianą sukienkę, zawiązała jej fartuszek i czepeczek. Spróbuje jeszcze zawołać Noaha, ale wiedziała, że jeśli to nic nie da, musi jechać do miasteczka i spytać generała Holyoke'a, czy mógłby zwołać grupę poszukiwawczą. Dzieciom łatwo było zabłąkać się w lasach wokół Sutton. Zeszłej jesieni zaginął mały Tommy Greene i tylko szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że trzy dni później natknął się na niego jakiś polujący na króliki traper. Chłopiec był ponad sześć kilometrów od domu, wygłodzony, odwodniony, potargany, z suchymi liśćmi i gałązkami w kręconych włosach.

Zaniosła Florence do kuchni i posadziła ją w wysokim krzeselku. Nalała jej do kubka mleka i dała kruche ciasteczko, a sama wybiegła, by jeszcze raz zawołać Noaha.

Wiatr przybierał na sile, chmury gęstniały, zbierało się na deszcz.

– Noah! – krzyczała. – Noah, gdzie jesteś? Noah!

Wreszcie wróciła do kuchni. Florence popatrzyła na nią zmartwiona.

– Gdzie No-no?

– Nie wiem, Florrie. Chciałabym, żeby już był w domu.

Wzięła ze stołu czapkę syna. Może powinna wypuścić z budy czarnego labradora, Serapha, dać mu ją powąchać i kazać szukać chłopca. Nie wiedziała jednak, ile by to trwało, a musiałyby nieść Florence.

Nadal biła się z myślami, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Pojedyncze, nieśmiałe, po którym zaraz nastąpiło kolejne, nieco głośniejsze.

– Mama, to No-no! – powiedziała Florence z buzią pełną ciasteczka.

– Nie sądzę, kochanie – odparła Beatrice. – Ale czekaj, zobaczę.

Otworzyła drzwi. W progu stała Emma Harris, w długiej szarej pelerynie z kapturem założonym na głowę, przez co wyglądała jak widmo. Była żoną Williama Harrisa, hodowcy koni, który miał największą stadninę w hrabstwie Rockingham.

– Pani Harris! – powitała ją Beatrice. – Przykro mi, to chyba najbardziej nieodpowiednia pora na odwiedzinę! Mój synek Noah zaginął. Muszę go szukać!

Emma Harris zsunęła kaptur. Była młoda, miała nie więcej jak dwadzieścia trzy lata i odznaczała się nieprzeciętną urodą – jasne, związane wstążką loki, uróżowane policzki, ogromne błękitne oczy. Jej mąż, zwalisty gderliwy siwy mężczyzna, liczył sobie pięćdziesiąt cztery lata, tak że Emmę Harris często brano za jego córkę.

– O... przyszedłam prosić o pomoc, wdowo Scarlet. Ale jeśli to pani potrzebuje jej ode mnie, zrobię, co w mojej mocy.

– Czy to coś pilnego? – spytała Beatrice.

– Właściwie tak, ale nie tak bardzo jak sprawa pani synka.

– Czyli to nie jest sprawa życia i śmierci?

– Może być, jeśli William się dowie. Ale mój problem musi poczekać, aż znajdzie pani syna.

Beatrice zobaczyła, że Emma Harris przyjechała kalesszą i że w tym eleganckim powozie siedzi jakiś młody człowiek i czeka na nią. Gdy się obrócił, poznała, że to John Meadows, syn rusznikarza z Sutton, Waltera Meadowsa.

– Pojechalibyście z Johnem szybko do miasteczka zawiadomić generała Holyoke'a? – spytała. – Wyjaśnijcie mu, proszę, że Noah zniknął. Gdyby zwołał grupę poszukiwawczą, byłabym mu dozgonnie wdzięczna.

– Oczywiście. Pojedziemy natychmiast – zapewniła Emma Harris.



Beatrice patrzyła, jak kobieta biegnie do powozu, wsiada i mówi coś do Johna Meadowsa. On skinął głową i uniósł bat, dając Beatrice znać, że sprowadzą pomoc.

Kiedy wóz potoczył się alejką między dębami, Beatrice przycisnęła dłoń do ust. Do oczu napłynęły jej łzy. Niebo jeszcze bardziej pociemniało. Spadły pierwsze krople deszczu. Czowała, że nadchodzi koniec świata.

## Rozdział 2

W niespełna godzinę pojawili się ludzie. W sumie ze dwudziestu. Niektórzy konno, większość w powozach. Przywieźli latarnie, bo teraz już bardzo szybko zapadał zmrok.

Beatrice czekała na nich, ubrana w długą czarną pelerynę. Kilka razy wybiegała z domu, by nawoływać Noaha, ale padał deszcz, a ponieważ Florence dopiero co wyszła z zaziębienia, Beatrice nie chciała ryzykować, że córeczka dostanie zapalenia płuc, i zostawiała ją w domu.

Generał Holyoke wysiadł z powozu i zdecydowanym krokiem podszedł do ganku. Był niskim tęgim mężczyzną o szorstkich siwych bokobrodach. Na lewym oku nosił czarną przepaskę. Miał na sobie brązowy sztormiak z olejowanego płótna, przez co wyglądał jak maszerujący namiot. Sprawował urząd sędziowski w miasteczku od ponad siedmiu lat i choć słynął z surowych wyroków, które wydawał za kradzieże i napady, był również znany z dobroci, jaką okazywał każdemu w potrzebie.

– Wdowo Scarlet! – zawołał swoim tubalnym głosem, jakby zwracał się do ławy przysięgłych. – Pani Harris powiedziała mi, że zaginął twój Noah!

Beatrice skinęła głową.

– Bawił się na podwórku jeszcze godzinę temu. Pobiełam aż nad rzekę i znalazłam jego czapkę, ale poza tym nie ma po nim śladu.

Generał Holyoke położył jej dłoń na ramieniu, po czym obejrzał się na mężczyzn, którzy z nim przyjechali.

– Rozdzielcie się, chłopaki! Sprawdźcie teren w kierunku rzeki i las! Wołajcie po imieniu chłopaczka! – Znów spojrzał na Beatrice. – Wejdźmy, droga pani. Nie ma powodu stać tu na deszczu. Nie chcielibyśmy, żeby się nam pani w dodatku rozchorowała.

Beatrice przez chwilę nie ruszała się z ganku. Patrzyła, jak mężczyźni okrążają plebanię. Oczywiście znała ich wszystkich. Jeden czy drugi dotknęli kapeluszy, żeby ją pozdrowić. Ale inni najwyraźniej woleli jej nie zaczepiać. Widząc jej rozpacz, szybko odwracali wzrok.

Zaprowadziła generała Holyoke'a do kuchni, gdzie Florence nadal siedziała w wysokim krzeselku. Trzymając dużą drewnianą łyżkę, udawała, że karmi swoją lalkę Minnie.

– Przywitaj się z panem generałem – zwróciła się do niej matka.

Florence gapiła się na czarną przepaskę na oku generała, ale nie odezwała się słowem.

– Florrie...

– Nie szkodzi, wdowo Scarlet – wtrącił dobrodusznie generał. – Swoim wyglądem pewnie wystraszyłem to biedne dziecko. Zresztą mam pani coś bardzo ważnego do powiedzenia.

– Tak, słucham.

Przez okna w kuchni Beatrice widziała, jak mężczyźni schodzą nad rzekę i ruszają w kierunku zagajnika.

– Nie ma co owijać w bawełnę, będę z panią szczery – oświadczył generał Holyoke. – Wczoraj po południu otrzymałem wiadomość, że w okolicy włóczy się banda Indian z plemienia Ossipi. Spalili dwa domy w Epsom, ukradli konie, broń i inne rzeczy.

– Co?! Myślałam, że Ossipich dawno już tu nie ma!

Beatrice z lękiem czekała, co powie dalej generał.

– Owszem, przenieśli się do Nowej Francji i o ile mi wiadomo, to tylko mała grupa – oznajmił. – Nie wiem, czy atakują nas z zemsty za to, że zajmujemy ich dawne terytorium, czy też może Francuzi przysłali ich tutaj, by siali zamęt. Ale poza kradzieżami i dewastowaniem gospodarstw porwali trzy kobiety i kilkoro dzieci.

– O dobry Boże – jęknęła Beatrice.

Zdarzały się takie historie, ale od ponad trzech lat panował spokój. Niektórzy z porwanych zdołali uciec i wrócić do Sutton. Opowiadali potworne rzeczy o tym, jak pędzono ich prawie trzysta kilometrów do Kanady, bez jedzenia i picia. Większość uprowadzonych nie miała innego wyjścia, jak przywyknąć do życia wśród Indian i zostać z nimi.

– Oczywiście, pani Noah mógł się po prostu zabłąkać – zaznaczył generał Holyoke. – Módlmy się, żeby odnalazł się cały i zdrowy, i to szybko. Ale moim obowiązkiem jest poinformować panią o prawdopodobieństwie, że uprowadzili go Indianie.

Po policzkach Beatrice płynęły teraz łzy. Musiała otrzeć je rąbkiem fartucha. Florence patrzyła zdumiona, zwłaszcza kiedy generał objął matkę i mocno przytulił ją do siebie.

– No już, już, moja droga – wyszeptał szorstko do jej ucha.

Pachniał tytoniem, skwaśniałym piwem i zaimpregnowaną olejem peleryną, ale w tej chwili Beatrice bardzo potrzebowała jego pociechy. Wiedziała, że nie wspomniałby jej o Indianach, gdyby prawdopodobieństwo, że to oni porwali Noaha, nie było naprawdę duże. Nie należał do ludzi, którzy straszyliby matkę bez potrzeby. Musiał przygotować ją na najgorsze.

Florence wyraźnie poczuła, że dzieje się coś złego, bo nagle zaczęła płakać. Beatrice wzięła ją na ręce i starała się uspokoić, kołysząc ją w ramionach.

– Wygląda na to, że już aż tak nie pada – odezwał się generał. – Pójdę zobaczyć, jak tam postępy.

• • •

Poszukiwania Noaha prowadzono jeszcze długo po zmierzchu, kiedy chmary brązowych nietoperzy zgromadziły się, jak co noc, wokół dachu plebanii. Beatrice ze splecionymi dłońmi siedziała przy stole w kuchni. Jej cierpienie było tym większe, że jedyne, co mogła zrobić, to uspokajać Florence i czekać na wiadomości.

Wkrótce po tym, jak zegar wybił dziesiątą, zobaczyła w ciemnościach na zewnątrz kołyszące się latarnie i usłyszała męskie głosy. Rozległo się pukanie do drzwi kuchni i znów pojawił się generał Holyoke. Towarzyszyli mu David Purbright, właściciel sklepu spożywczego, i Ebenezer Banks, który budował powozy. Wszyscy wydawali się wyczerpani, a ich długie buty były przemoczone i pokryte błotem.

– Przykro mi, wdowo Scarlet – powiedział generał Holyoke. – Przeczesał każdy centymetr stąd do głównej drogi na zachód i na północ, aż do farmy Wilmotów. Las i okolice jeziora Abenaki. Nigdzie ani śladu Noaha.

– Nie ma sensu dalej szukać, nie tej nocy – wtrącił David Purbright. – Ale wrócimy o świcie i weźmiemy ze sobą kilka psów. Nigel Porter ma dwa doskonałe posokowce i jeśli one nie wytropią chłopca...

Już miał dodać: „to znaczy, że przepadł na zawsze”, ale powstrzymał się i tylko spojrzał ze współczuciem na Beatrice, lekko wzruszając ramionami.

– Chce pani pojechać z nami do miasteczka i zanoć u nas? – spytał generał Holyoke.

– Dziękuję za propozycję, ale nie – odparła. – Bo co by było, gdyby Noah jednak wrócił w nocy do domu i nikogo nie zastał?

– W takim razie radzę pani porządnie zamknąć drzwi i okna. Sądzę, że Indianie już się ulotnili ze swoim łupem, ale jacyś mogą się tu jeszcze kręcić. Ma pani muszkiet? Proch strzelniczy, naboje?

– Tak – potwierdziła.

Kiedy tylko sprowadzili się na plebanie w Sutton, Francis kupił strzelbę i nauczył Beatrice, jak się nią posługiwać. Ćwiczyła i ćwiczyła, aż opanowała ładowanie do lufy prochu i pocisku, a przygotowanie broni do użycia zajmowało jej niespełna piętnaście sekund. Umiała też celnie strzelać. Pewnego październikowego ranka trafiła kuropatwę z trzydziestu metrów. Zjedli ją na kolację z zupą ze słodkich ziemniaków.

Mężczyźni odjechali. Kiedy stukot kół i kopyt ucichł w oddali, poszła na górę, żeby poczekać, aż Florence zaśnie. Zwykle kładła się do łóżka wkrótce po córeczce, bo teraz, kiedy była sama, nie miała zbyt wiele do roboty w kuchni. I w ten sposób oszczędzało się też świece. Ale tego wieczoru wiedziała, że nie zdoła zasnąć, więc wróciła na dół, do salonu, by napisać coś w swoim pamiętniku i trochę poczytać książkę – *Pamela, czyli cnota nagrodzona* – powieść, którą przywiozła jej z Anglii przyjaciółka, Sally Monckton.

Jednak siedząc samotnie, w migotliwym blasku świecy, zdołała napisać tylko: „Boże, błagam, chroń Noaha, niech wróci do mnie cały i zdrowy”. Popatrzyła na oprawną w skórę książkę, ale nie mogła nawet pomyśleć, że miałyby czytać dalej o cnotliwej Pameli i o tym, jak zręcznie unikała zakusów rozpustnika, który chciał ją uwieść.

Kiedy zamordowano Francisa, jej rozpacz była niemal nie do zniesienia, ale myśl, że mogłaby stracić Noaha, bolała ją jeszcze bardziej. Francis przynajmniej miał okazję trochę pożyć, pokochał ją, poślubił i przybył do Nowej Anglii, by krzewić tu chrześcijaństwo. I od początku zdawał sobie sprawę, co może mu tutaj grozić. Noah miał zaledwie pięć lat. Do tej pory tylko się bawił i śpiewał piosenki, nie wiedząc, co to zło.

Przesiedziała tak całą noc. Po dwóch, trzech godzinach głowa jej opadła i Beatrice zapadła w sen, ale szybko się ocknęła, gdy znów zerwał się wiatr i załomotał kuchennymi drzwiami, jakby ktoś próbował je wyłamać i dostać

się do środka. Wytężyła słuch. Miała wrażenie, że z lasu dobiegają ją jakieś płacze i gwizdy, ale to były tylko lelki i inne nocne ptaki. Tuż przed świtem zaczęło grzmieć i lunęło jak z cebra – i Beatrice słyszała już tylko szum spływającej rynnami wody.

Podeszła do kuchennego okna i wyjrzała na podwórko. Stał tam jeszcze jej kosz z upraną bielizną, która mokła coraz bardziej. Konik na biegunach Noaha leżał przewrócony na bok. Strugi deszczu nadciągały znad rzeki niczym kondukt żałobny duchów.

Zamknęła oczy i odmówiła kolejną modlitwę za Noaha, ale już dopuszczała do siebie myśl, że może go nigdy więcej nie zobaczyć, a nawet nie dowiedzieć się, co się z nim stało.

## Rozdział 3

Nieco później tego ranka generał Holyoke znów sprowadził pod plebanię grupę poszukiwawczą. Przyjechali z psami Nigela Portera. Ale chociaż wąchały czapkę Noaha, nie potrafiły wywęszyć żadnych śladów przed domem. Biegały w kółko, szturchały nosem konika, a w końcu wracały zdyszane, z wywieszonymi jęzorami.

– Przykro mi ogromnie, ale utwierdzam się w przekonaniu, że chłopca porwano – powiedział generał Holyoke. – Gdyby poszedł pieszo, zostawiłby ślad, który psy zdołałyby podjąć, nawet po takim deszczu. A jeśli ktoś go złapał i niósł na rękach, to oczywiście śladu nie będzie.

– Nie słyszał pan o kimś, kto prowadzi interesy z tymi Indianami? – spytała Beatrice. – Jakiś traper albo kupiec? Ktoś z wojska? Zna pan jakiegoś oficera, który mógłby wysłać pościg? Może udałoby się dogonić Indian, zanim wywiozą Noaha do Kanady?

– Nie wiem o żadnych traperach ani handlarzach, którzy mieliby z nimi kontakty. Niestety. Na pewno zdaje sobie pani sprawę, że wszystkie plemiona Abenaki są nam zdecydowanie wrogie. Znam oficera z Pierwszego Batalionu, pułkownika Andrew Petty’ego, ale jego ludzie mają aż nadto roboty z trzymaniem w ryzach tych przeklętych perfidnych Francuzów, a zresztą wątpię, żebym zdołał się z nim w ogóle skontaktować.

Przez dłuższą chwilę milczeli.

– Rozszerzymy nasze poszukiwania, wdowo Scarlet, ale Niestety, trzeba zakładać, że stało się najgorsze i pani Noaha uprowadzono. Módlmy się tylko, by porywacze dobrze go traktowali.

W drzwiach kuchni pojawiła się Florence. Niosła swoją lalkę, Minnie. Beatrice nie lubiła Minnie od chwili, kiedy ich była służąca, Mary, sprawiła



dziewczynce taki prezent, bo lalka miała dziko wytrzeszczone oczy. Sprawiała wrażenie, jakby dopiero co uciekła z domu wariatów.

– Gdzie No-no? – spytała dziewczynka, marszcząc brwi. – Chcę się bawić.

• • •

Minęły trzy dni. Wielu członków ekipy poszukiwawczej zapuszczało się dalej, próbując znaleźć kogoś, kto widziałby Indian z małym białym chłopcem. Dwóch farmerów i pewien poganiacz bydlą twierdzili, że dostrzegli niewielką grupę Ossipich zmierzającą na północ doliną rzeki Merrimack. Indian mogło być kilkunastu, może dwudziestu. Ale znajdowali się zbyt daleko, żeby zobaczyć, czy mają ze sobą Noaha albo jakichś innych białych jeńców.

Beatrice napisała do Jeremy'ego, że Noah zaginął. Dała list pocztylionowi jadącemu do Portsmouth. Generał Holyoke z kolei wysłał informację do pułkownika Petty'ego z prośbą, aby jego ludzie mieli oko na Indian, którzy mogą prowadzić ze sobą porwane białe kobiety i dzieci. Zdawał sobie sprawę, że to mało prawdopodobne, by coś zauważyli. Indianie przemieszczali się tylko pod osłoną nocy, bardzo szybko i najbardziej niedostępnymi drogami.

W południe trzeciego dnia Beatrice siedziała w kuchni i jadła z Florence zupę z groszku z szynką, gdy usłyszała nadjeżdżający powóz, a potem pukanie do drzwi.

To była znów Emma Harris. Dzień był wietrzny, ale słoneczny, i pani Harris miała na sobie jasnoniebieską pelerynę i pasujący do niej kapturek. Tak jak poprzednio, po drugiej stronie drogi w kaleszy czekał John Meadows.

– Słyszałam, że pani synek wciąż się nie odnalazł – powiedziała. – Wyobrażam sobie, jak bardzo się pani martwi.

– Proszę wejść – zaprosiła ją Beatrice. – A John nie ma ochoty wysiąść? Serdecznie zapraszam.

– Woli, żebym porozmawiała z panią sama, wdowo Scarlet. I tak czuje się wystarczająco winny.

Beatrice poprowadziła Emmę Harris do kuchni. Florence próbowała karmić gęstą zupą i siebie, i lalkę. Obie miały całe buzie wysmarowane na zielono.

– Florrie, jak ty wyglądasz! – Beatrice otarła jej twarz wilgotną szmatką z gazy, po czym zwróciła się do Emmy Harris: – Proszę usiąść. Mogę coś zaproponować? Może herbaty, a może ma pani ochotę na miseczkę zupy? Jest jej mnóstwo, a jak się pani domyśla, sama nie mam wielkiego apetytu.

– Nadal nic nie wiadomo o pani synku?

Beatrice pokręciła głową.

– Nie. – Wolała nie myśleć, jaki wystraszony, głodny i zmęczony musi być Noah. – Ale w czym mogłabym pomóc?

– Potwornie wstyd mi o tym mówić... – Emma Harris spuściła wzrok, okręcając na palcach wstążeczki swojej wyszywanej torebki. – Od pierwszego lipca John Meadows i ja... jesteśmy kochankami.

– Rozumiem. Jak przypuszczam, chodzi o to, że legliście razem?

– Tak – przyznała Emma Harris cicho.

Beatrice ledwie ją usłyszała, zwłaszcza że Florence, kołysząc w ramionach Minnie, śpiewała jej na całe gardło: *Lulaj mi, lulaj, na drzewku.*

– Ciszej, Florrie, i śpiewaj coś innego, proszę.

Ta kołysanka nawiązywała do indiańskiego zwyczaju wieszania kołyski z kory brzozy na gałęzi drzewa, żeby wiatr ukołysał dziecko do snu. Beatrice nie mogła znieść myśli, że mały Noah musi starać się zasnąć pod gołym niebem, na zimnym wietrze, otoczony przez wrogich Indian. Zawsze bał się ciemności.

– Nie jest pani brzemienna? – spytała.

– Nie. Ale John w zeszłym miesiącu pojechał w interesach do Bostonu, a kiedy wrócił, miał rankę i sączyło się z niej coś żółtawego. Nie zwróciliśmy na to większej uwagi, jednak wkrótce i ja poczułam, że coś jest nie tak.

– Są też jakieś inne objawy? Widzę, że ma pani zaczerwienione oczy.

– Tak. Łapią mnie od czasu do czasu silne bóle brzucha. Miejsca intymne są opuchnięte. Piecze mnie przy każdym siusianiu. Czasami plamiłam prześcieradło po tym, jak obcowaliśmy ze sobą. W ogóle trochę krwawiłam, choć to jeszcze nie czas na te dni.

– Emmo – powiedziała Beatrice. Nie znała dobrze tej młodej kobiety, stwierdziła jednak, że to absurd zwracać się do niej oficjalnie, kiedy omawiały tak intymny problem. – Czy masz też upławy?

– Tak. I to jest najbardziej przykre. Żółtawe, jak u Johna.

– Zastanawiałaś się nad wizytą u doktora Merrydew?

– Jak mogłabym do niego pójść? Doktor Merrydew będzie chciał koniecznie wiedzieć, skąd u mnie ta przypadłość, a to jeden z najbliższych przyjaciół Williama. Dwa razy w tygodniu grają w kwadryla.

– Czy odkąd zaczęły się te dolegliwości, miałaś zbliżenia intymne z Williamem? Zdajesz sobie sprawę, że możesz go zarazić, a wtedy on na pewno odkryje, co było między tobą a Johnem?

– Williama od ponad dwóch lat nie interesuje już intymna strona naszego małżeństwa. Śpimy w osobnych pokojach, a on wymaga ode mnie

tylko prowadzenia domu i ksiąg rachunkowych. Chciał mieć dzieci. Zwłaszcza syna. Kiedy odkryliśmy, że nie mogę stać się brzemienna, stracił jedyny powód do kontaktów fizycznych. Teraz nawet nie obejmie mnie ani nie pocałuje. Czy można winić mnie za to, że szukałam pociechy u Johna?

– Wprawdzie jestem wdową po pastorze, Emmo, ale nie mam żadnego prawa osądzać moralności innych. Muszę jednak zapytać, czy John wyjawiał ci, jak złapał tę chorobę?

Emma poczerwieniała. Zaczęła jeszcze mocniej skubać wstążeczki przy torebce, jakby trzeba je było rozplątać.

– Przyznał, że kiedy był w Bostonie, bardzo za mną tęsknił. Pewnego wieczoru myślał o tym, jak się kochamy, i to go tak pobudziło, że nie wytrzymał. Jeden z kolegów skierował go do domu prowadzonego przez kobietę, która nazywa się Hannah Dilley, gdzie mężczyźni mogą obcować z kobietami za pieniądze. Mówił, że zaraz potem czuł wyrzuty sumienia, ale jego żal to było zbyt mało, by oczyścić go z tego, czym zaraziła go tamta ladacznica.

– Dobrze, że do mnie przyszedłeś – powiedziała Beatrice. – Nie mam pojęcia, ile doktor Merrydew wie o chorobach przenoszonych drogą płciową, ale słyszałam, że nadal przepisuje azotan srebra na taką dolegliwość jak wasza, choć może to trwale uszkodzić skórę i pogorszyć ogólny stan zdrowia, a nawet spowodować śmierć. Mój świętej pamięci ojciec był aptekarzem w Londynie. Nauczył mnie wszystkiego, co wiem o chorobach i ich leczeniu, i oczywiście często przepisywał lekarstwa na tę przypadłość. Jestem niemal pewna, że cierpisz na rzeżączkę, Emmo, powszechnie zwaną tryprem.

– Tak podejrzewałam – szepnęła Emma, nie podnosząc wzroku. – Modliłam się i modliłam, żeby to samo jakoś minęło, ale z dnia na dzień jest tylko coraz gorzej. Potrafi nas pani wyleczyć?

Beatrice podeszła do kredensu po drugiej stronie kuchni. W środku miała przeróżne proszki i specyfiki, które sama przygotowywała, by leczyć tych, co woleli przyjść do niej, niż udać się do doktora Merrydew – bo albo wstydzili się swoich dolegliwości, jak Emma Harris, albo wiedzieli, że to Beatrice zna najnowsze i najbardziej skuteczne sposoby leczenia. Teraz wyjęła z kredensu dużą butelkę z brązowego szkła zatkaną korkiem i postawiła ją na kuchennym stole.

– Podobnie jak doktor Merrydew, na rzeźączkę większość lekarzy przepisałaby jakiś metal, arsen, antymon albo bizmut. Pewien lekarz, którego znaleźliśmy w Londynie, zalecał, żeby kobieta usiadła na sedesie pokojowym i okadzała intymne części ciała cynobrem, rtęcią i siarką, które umieszczano na rozgrzanym metalowym talerzu pod nią. A na to lekarstwo – Beatrice wskazała butelkę – trafiłam, kiedy spotkałam w Portsmouth lekarza okrętowego. Właśnie wrócił z Brazylii. Odkrył je, gdy leczył tam jakichś miejscowych. To balsam z drzewa zwanego copaiba, którym tubylcy leczą owrzodzenia i zapalenia skórne, a także łagodzą nim kaszel. Używają go też od uroku, ale nie sądzę, żebyś potrzebowała tego działania, chyba że William odkryje twój związek z Johnem. Tamten lekarz próbował zastosować balsam u żeglarzy, którzy złapali rzeźączkę od dziwek w różnych portach. Przekonał się, że jest najbardziej skuteczny, nie zostawia trwałych śladów na skórze i nie ma działań niepożądanych, tak jak azotan srebra.

– Wdowo Scarlet, nie wiem, jak mam dziękować – powiedziała Emma ze łzami w oczach. – Ile jestem pani winna?

– Chętnie dałabym ci to za darmo – odparła Beatrice. – Jednak, niestety, od kościoła otrzymuję bardzo skromną wdowią rentę i muszę dorabiać sporządzaniem i sprzedawaniem leków. Ćwierć dolara to będzie aż nadto.

Emma wyjęła z torebki monetę i położyła obok butelki. A potem wstała i objęła Beatrice.

– Dziękuję – szepnęła jej do ucha. – Niech panią Bóg błogosławi.

Florence zaczęła śpiewać: *Róże dokoluśka, róże pali wróżka! Na popiół, na popiół, a my wszyscy bęc!*

## Rozdział 4

Dwa dni później z Portsmouth przyjechał Jeremy. Kiedy wysiadł z powozu, Beatrice zauważyła, że przytył i przyszygł krócej swoje wijące się brązowe włosy. Był blady i wyczerpany. Uniósł trójgraniasty kapelusz, otrzepał zakurzony płaszcz i ze smutnym uśmiechem wyciągnął do niej rękę.

Beatrice uściskała go, tuląc policzek do jego piersi. Poczowała ogromną ulgę, że przybył ją pocieszyć i że ma teraz kogoś, z kim może dzielić swój ból. Odkąd zniknął Noah, była w stanie zasnąć tylko wtedy, kiedy ze zmęczenia mieszało jej się już w głowie, a jadła niewiele poza odrobiną kukurydzianki i chleba z dyni.

– Jak się masz, Jeremy? – spytała.

– Szczerze mówiąc, jestem wykończony. Przy dziewiętnastym kamieniu milowym od powozu odpadło koło i czekaliśmy trzy godziny, aż to naprawią. Ale musiałem przyjechać, moja droga. To zbyt straszne, co stało się z małym Noahem. Na pewno jesteś zdruzgotana.

Weszli do środka. Jeremy zdjął płaszcz i kapelusz, a Beatrice zawołała Florence, która bawiła się z Seraphem na podwórku za domem, rzucając mu drewnianą łyżkę, żeby ją przynosił.

– Moja śliczna Florrie! Nie było mnie tylko miesiąc, a ty tak urosłaś!

– No-no nie ma – powiedziała Florrie. – Mama płakała i ja też.

– Tak, wiem. Ale nie martw się. Znajdziemy go i znów będzie z wami. Obiecuję.

Kiedy Florence z powrotem wybiegła na podwórko, Beatrice spojrzała na kuzyna.

– Nie powinienesz robić jej zbytnej nadziei, Jeremy. Mnie też nie. Generał Holyoke wysłał ludzi na poszukiwania. Zmierzają na północ, aż do Białej Góry. Dał też znać pewnemu pułkownikowi, że Noah mógł zostać porwany przez Indian, i prosił, żeby jego ludzie rozglądali się za nim. Ale jeśli Bóg ochronił Noaha, jeśli on żyje, wątpię, bym jeszcze kiedykolwiek mogła wziąć go w ramiona.

Zaczęła płakać, głęboko i boleśnie, aż trudno jej było oddychać. Jeremy przytulił ją mocno i pocałował w czoło.

– Beo, Beatrice. Gdybym wierzył, że mogę go odnaleźć, sam pojechałbym go szukać.

– Wiem, wiem, Jeremy. Zawsze tak się nami opiekowałeś. Ale naprawdę się boję, że nie ma żadnej nadziei. Chwilami myślę, że łatwiej już byłoby to znieść, gdyby zachorował i umarł. Teraz nigdy nie będę wiedziała, czy on żyje, czy nie. Ani na jakiego wyrósł człowieka, jeśli nadal żyje.

• • •

Kilka następnych godzin spędzili w kuchni. Beatrice zamiesiła ciasto z mąki pszennej, papki kukurydzianej i melasy na dwa duże bochny chleba, a potem przygotowała potrawkę z kury z cebulą, marchwią i selerem. Jeremy siedział przy stole z kubkiem cydru i starał się odwrócić jej myśli od Noaha, opowiadając, co wyprawiają z kolegami po dniu pracy w biurze.

– Na pewno brak ci Mary – rzucił.

– Nadal wpada czasami, żeby mi pomóc – odparła Beatrice. – Ale oczywiście nie stać mnie teraz na służącą. Zresztą zostałyśmy tylko we dwie, ja i Florrie, więc nie ma tyle prania i gotowania co dawniej. Francisowi zawsze zależało na tym, żeby codziennie mieć czyste pończochy, i uwielbiał zupę rybną.



Jeremy wstał, żeby dołożyć trochę drewna do żelaznego pieca Franklina.

– Bardzo tęskniłem za tobą w Portsmouth, Beo – powiedział, kiedy znów usiadł. – Niewątpliwie lubię tę pracę, jednak stale myślę o tobie.

– Mnie też cię brakuje, Jeremy. Mam wielu przyjaciół w Sutton, jednak czuję się tu samotna, szczególnie wieczorami. Florrie jest kochana, ale miło byłoby czasem porozmawiać o czymś poważniejszym niż lalki i pieski czy o tym, kiedy znów upieczemy ciasteczka cytrynowe.

Jeremy odstawił kubek.

– Prawie się uśmiechnęłaś.

– Będę musiała znów nauczyć się uśmiechać. Od chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że Noah zaginął, jedyne, co czuję, to przerażenie.

– Wiesz, dlaczego przyjechałem tu za tobą z Anglii, prawda?

– Jeremy, mówiliśmy już o tym. Mam świadomość, jak bardzo jesteś do mnie przywiązany. Ja też darzę cię najcieplejszymi uczuciami. Jednak przywiązanie i sympatia to coś zupełnie innego niż miłość. Poza tym nie otrząsnęłam się jeszcze po stracie Francisa, jeśli w ogóle kiedyś mi się to uda. Mam nadzieję, że nigdy sam tego nie doświadczysz, ale nie przestajemy kogoś kochać tylko dlatego, że umarł.

– Minęły już prawie trzy lata, Beo. Czy to wykluczone, żebyś pokochała mnie choć w połowie tak mocno, jak kochałaś Francisa?

– Byłeś cudowny, Jeremy, uratowałeś mi życie, za co zawsze będę ci wdzięczna. Ale jesteśmy kuzynami. Nie potrafię myśleć o tobie jak o kochanku czy mężu.

– Mam teraz dobrze płatną pracę, Beo, i nawet gdyby miało trochę potrwać, zanim zobaczysz we mnie męża, mógłbym pomagać ci finansowo i wspierać cię na duchu w czasie twej żałoby. – Urwał, po czym nabrał głęboko powietrza i dodał: – Kocham cię, Beo. Kocham cię całym sobą.

Jeśli muszę poczekać dłużej, będzie mnie to bolało, ale wytrzymam. Gdybym tylko mógł liczyć, że pewnego dnia zechcesz oddać mi swoją rękę...

Beatrice przestała zagniatać ciasto. Zamknęła oczy. Miała wrażenie, że spada do czarnej studni bez dna, coraz głębiej i głębiej, bez końca. Jeremy nigdy nie krył, że ona mu się podoba, od kiedy po śmierci jej rodziców przygarnęła ją w Birmingham jego matka, kuzynka Sarah.

Jako młodzieniec lubił popić i się zabawić, ale z czasem wyrósł na pracowitego i odpowiedzialnego mężczyznę. Noah i Florence go uwielbiali. Był dość przystojny, choć miał małe oczy i Beatrice zawsze uważała, że nadaje mu to wygląd spryciarza. Jego usta były wyjątkowo pełne i czerwone jak na mężczyznę. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby mogła się z nim całować tak jak z Francisem.

Pomyślała, że to bardzo nie w porządku z jego strony prosić, by za niego wyszła, kiedy ona jest w rozpacz po zaginięciu synka. Jeremy na pewno zdawał sobie z tego sprawę, jednak uznał, że oto nadarza mu się najlepsza okazja. Beatrice bardzo potrzebny był ktoś, kto by się nią zaopiekował, szczególnie że jej oszczędności już prawie się wyczerpały i nie widziała dla siebie przyszłości w Sutton. To, co zarabiała na sprzedaży maści i leków, ledwie pokrywało koszty składników. A jak długo jeszcze kościół będzie wypłacał jej wdowią rentę?

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Jeremy wpatruje się w nią, unosząc brwi, jakby czekał na odpowiedź. Był młody i na pewno niebrzydki, i kochał ją. Zresztą czy znała kogokolwiek innego, kto nadawałby się na jej męża? Wszyscy mężczyźni w miasteczku byli żonaci, poza szewcem Henrym Nobbsem, łysym i niemal zawsze wstawionym, który miał pięćdziesiąt pięć lat.

Bardzo niewiele par małżeńskich, z jakimi się zetknęła, zdawało się kochać tak namiętnie jak ona z Francisem, a jednak ci ludzie mieszkali razem, pracowali, robili wrażenie zadowolonych. Czemu nie miałyby zaryzykować takiego związku z Jeremym?

– Doceniam twoją propozycję – odezwała się wreszcie. – Nie mogę jednak dać ci odpowiedzi, w każdym razie nie dzisiaj i pewnie jeszcze nie przez wiele tygodni. Za bardzo martwię się o Noaha. Tylko o nim jestem teraz w stanie myśleć.

Jeremy spuścił wzrok na kubek z cydrem. Zmarszczył brwi, jakby to stamtąd nadeszła odpowiedź, nie od Beatrice.

– Rozumiem, Beo – rzucił, nie patrząc na nią. – I przepraszam, jeśli cię uraziłem. Myślałem, że w tych trudnych chwilach będzie ci lżej, gdy się dowiesz, że jesteś kochana i że zrobiłbym wszystko, by cię chronić.

– Nie przepraszaj, Jeremy, nie trzeba. Wolę, że jesteś ze mną szczery, nie tłamsisz w sobie tego, co czujesz. Kiedy indziej na pewno by mi to pochlebilo.

– Ale jak sądzisz, co mogłabyś mi odpowiedzieć w jakimś innym czasie?

Beatrice skończyła zagniatać ciasto i przełożyła je do fajansowej misy, żeby urosło.

– Nie wiem, Jeremy. Jeśli jest coś, czego nauczyłam się o czasie, to że nie zważa on na nasze marzenia, na to, czego pragniemy. Niesie nas z prądem, bezbronnych, jak gałązki na wezbranej rzece.

• • •

Zanim położyła się spać, zajrzała do Florence. W świetle świecy zobaczyła, że córeczka śpi mocno, ale jej usta się poruszają, jakby we śnie mówiła do kogoś. Beatrice nachyliła się nad łóżeczkiem i pocałowała małą.

Poszła do swojej sypialni i rozebrała się. Słyszała skrzypienie łóżka Jeremy'ego w pokoju obok i stuknięcie zamykanej szafy. Kiedy miała już na sobie długą białą koszulę nocną, zdmuchnęła świecę i wyjrzała przez okno. Była jasna, wietrzna noc. Świeciły gwiazdy. Miliony gwiazd. Oczy zaszyły jej łzami, bo pomyślała, że gdzieś tam musi być Noah, który patrzy na te same gwiazdy, lecz na pewno jest już wiele kilometrów stąd.

W końcu się położyła. Nadal sypiała po lewej stronie, jak wtedy, gdy Francis kładł się obok niej. Zupełnie jakby wciąż miał tu swoje miejsce – teraz zimne i puste niczym zimowy krajobraz, a jednak było jego, bo wolał prawą stronę.

Senność ogarnęła ją dopiero po godzinie. W kuchennym kredensie miała wiele buteleczek swojej nalewki nasennej – zawierającej opium, piżmo, gałkę muszkatołową i brandy – ale zawsze, kiedy pomogła sobie czymś takim, na drugi dzień chodziła nieprzytomna, a poza tym wiedziała, że jeśli będzie popijać to zbyt często, może się uzależnić.

Zza chmur wyjrzał niepełny księżyc, tak jasny, że zrobiło się prawie jak w dzień. Pomodliła się szeptem za Noaha, po czym zamknęła oczy i posłała mu swoją miłość przez jakiegokolwiek ducha, który mógł jej słuchać.

Obróciła się twarzą do okna, gdy nagle dobiegło ją ciche skrzypnięcie otwieranych drzwi jej sypialni. Zamarła w bezruchu. Po dłuższej chwili usłyszała oddech. Obejrzała się i zobaczyła w progu Jeremy'ego. Stał tam w koszuli do kolan.

– Jeremy! – szepnęła. – Co się stało?

– Pomyślałem, że może potrzebujesz pociechy – powiedział chrypliwie.

– Muszę się tylko wyspać, to wszystko – odparła, ale on bez słowa podszedł do niej, podniósł nakrycie i położył się obok. – Jeremy! Nie! Idź sobie, proszę!

Próbowała usiąść, jednak Jeremy objął ją i przytrzymał za ramię. W jego oddechu wyczuła brandy.

– W porządku, Beo. Nie skrzywdzę cię ani nie wykorzystam, słowo. Chcę cię tylko przytulić i zapewnić, że nie musisz się już niczego obawiać.

Beatrice szarpała się, usiłując go odepchnąć, jednak był o wiele silniejszy od niej i mocno przyciskał ją do materaca. Próbowała go kopnąć, ale koszula krępowała jej ruchy.

– Jeremy, tak nie wolno! Jeśli mnie nie puścisz i nie wyjdiesz zaraz z tego łóżka, będę musiała przegnać cię ze swojego domu na zawsze!

– Dlaczego? Wiesz, że mnie potrzebujesz! Wiesz, jak bardzo cię kocham!

Złapał ją za lewy nadgarstek i przyciągnął jej dłoń do swojego krocza. Przez bawełnianą koszulę wyczuła penisa, tak twardego jak świeca przy jej łóżku. Jeremy starał się zmusić ją, żeby go chwyciła, ale zdołała wyrwać rękę. Przybliżył się do niej, próbując ją pocałować.

Prawą ręką Beatrice sięgnęła pod poduszkę i namacała kolbę naładowanego pistoletu, który zawsze tam trzymała na wypadek nocnej napaści na dom. Odpychając Jeremy'ego lewą dłonią, kciukiem prawej odciągnęła cyngiel.

– Jeremy, zabieraj się stąd, no już! – wysapała, jakby odganiała nieznośnego psa, ale on był z każdą chwilą bardziej podniecony.

– Bea! Nigdy nie tknąłem żadnej innej kobiety! Zachowałem siebie dla ciebie! Proszę, Bea! Jeśli mi nie pozwolisz, to chyba eksploduję!

Beatrice pociągnęła za spust i pistolet wystrzelił z potwornym hukiem. Poduszka została rozerwana i w całym pokoju uniosła się chmura pierza, mieniącego się bielą w blasku księżyca. Kula utkwiała w przeciwległej ścianie korytarza.

Jeremy poderwał się, przyciskając dłoń do lewego ucha. Stracił równowagę i zleciał z łóżka, padając na wytarty chodniczek i waląc mocno głową o stół nocny. Leżał tak, zdumiony, i gapił się na wirujące gęsie pierze, które powoli na niego opadało.

Beatrice wyskoczyła z łóżka po drugiej stronie, podbiegła do Jeremy'ego i stanęła nad nim, wciąż trzymając pistolet.

– Myślałem, że mnie zabiłaś! – wychrypiał.

– Masz szczęście, że tego nie zrobiłam. Przysięgałeś, że się mną zaopiekujesz i mnie nie wykorzystasz.

– Mów głośniej. Ogłuchłem.

Beatrice uklękła przy nim.

– Wiesz, jaka jestem zrozpaczona, jak się martwię o Noaha! – wrzasnęła. – Obiecałeś się o mnie zatroszczyć!

– Chciałem cię po prostu przytulić. Przysięgam. Myślałem, że będzie ci lżej.

– Przykro mi, Jeremy. Dałeś mi twarde dowody, że chciałeś czegoś więcej, niż tylko mnie objąć. Powinnam raz jeszcze załadować pistolet i rozprawić się z tobą jak należy.

Jeremy wydał usta i zaczął zawodzić jak ryczący żałośnie osioł.

– Błagam, wybacz mi, Beo! Tak bardzo cię pragnę, od tak dawna! Nie mogłem się powstrzymać!

Beatrice wstała.

– Wracaj do swojego łóżka, Jeremy. Rano dam ci śniadanie, a potem masz się stąd zabierać. Jedź do Portsmouth, do swojego biura. Mam nadzieję, że ci się tam powiedzie i pewnego dnia znajdziesz sobie żonę. Ale nie dowiem się tego, bo nie życzę sobie nigdy więcej oglądać cię na oczy.

Jeremy złapał brzeg łóżka, żeby dźwignąć się na nogi. Strzepnął pierze z rękawów i popatrzył na Beatrice z miną pokonanego, ale nic nie powiedział. Znał ją na tyle długo, by wiedzieć, że ona nie żartuje.

Powlókł się do wyjścia i wszedł do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Beatrice zajrzała do Florence i nie była zaskoczona, że dziewczynka ma oczy szeroko otwarte. Ale nie płakała.

– Było jakieś bum! – powiedziała.

– Tak, kochanie, ale to tylko Pan Bóg przesunął sobie fotel. Chciał usiąść tak, żeby cię lepiej widzieć, mieć pewność, że jesteś bezpieczna.

– Słyszałam, jak krzyczałaś, mamusiu. Gniewasz się na wujka Jeremy’ego?

– Nie. Ale czasem ludzie udają, że nie słyszą, bo nie chcą słyszeć, i trzeba mówić bardzo głośno, żeby dotarło do nich to, co mówimy.

– Czy No-no rano wróci? – spytała Florence.

– Nie wiem, Florrie. Możemy się tylko o to modlić.

– Dasz mi buzi?

Beatrice nachyliła się nad łóżeczkiem.

– Tak, kochanie. Dziś, jutro i zawsze.

Wróciła do swojej sypialni i zamknęła drzwi. Pierze już opadło, ale postanowiła uprzątnąć je rano. Będzie musiała też zmienić prześcieradło, bo przy wystrzale pobrudziło się prochem, a poszewka poduszki była cała w strzępach.

Zmęczona, położyła się i zamknęła oczy. Pomimo tego, co się stało, a może właśnie dlatego, zasnęła niemal natychmiast i spała twardo aż do szóstej, gdy pokój wypełniło światło brzasku.

## Rozdział 5

Umyła się i ubrała, po czym wyszła na korytarz i zobaczyła, że drzwi pokoju Jeremy'ego są otwarte. Nie potrudził się, by zasłać łóżko. Pewnie domyślał się, że Beatrice i tak zaraz ściągnie prześcieradła i je wypierze, choćby po to, żeby usunąć z nich jego zapach. Znikła jego duża skórzana torba podróżna. W szafie, której nie przytknął, nie było żadnych jego rzeczy, leżały tam tylko jakiś zgnieciony brązowy papier i długa łyżka do butów.

Kiedy zeszła na dół, uświadomiła sobie, że opuścił dom bez śniadania i nawet się nie pożegnał. Nie słyszała powozu, więc Jeremy musiał pójść pieszo do Sutton, by znaleźć kogoś, kto go odwiezie do Portsmouth. Nie zostawił żadnego listu.

Stała na ganku, zapatrzona w drogę między dębami szumiącymi w blasku słońca, i poczuła bezgraniczny smutek. Jej jedyną rodziną była teraz Florence, a nawet nie mogła być pewna, czy to córka Francisa. Po jego śmierci napadł ją i brutalnie zgwałcił pewien łajdak, Jonathan Shooks, i gdyby Jeremy nie zainterweniował, Shooks pewnie by ją zabił. A teraz straciła również Jeremy'ego.

Podniosła wzrok na wielkie białe chmury płynące po niebie i nie mogła powstrzymać myśli: Boże, czy ty tam naprawdę jesteś, a jeśli tak, to czemu chowasz się za tymi chmurami?

Wróciła do środka, by ubrać Florence i dać jej miseczkę owsianki na śniadanie. Zdecydowała, że tego ranka zaprzęgnie dwukólkę i pojedzie do miasteczka po jakieś zapasy. Tak sumiennie prowadziła swój dziennik, że zabrakło jej atramentu. Potrzebowała też więcej wełny.



Właśnie wygarniała popiół z pieca, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Florence spojrzała na nią z nadzieją, ale ona wątpiła, żeby ktoś przynosił wiadomości o Noahu. Poszła otworzyć. Okazało się, że to pastor Miles Bennett z sąsiedniej parafii Canterbury, który od śmierci Francisa zastępował go w Sutton.

Był to życzliwy człowiek, wysoki, chudy jak szkielet, z opadającymi na czoło siwymi kosmykami włosów, co wyglądało, jakby przysiadł mu na głowie zmęczony gołąb. Miał blisko osadzone oczy i duży nos o skomplikowanym kształcie, ale na jego wargach zawsze gościł dobrotliwy uśmiech.

– Dzień dobry, wdowo Scarlet – odezwał się. – Miałem nadzieję odwiedzić panią wcześniej, kiedy tylko dowiedziałem się o pani synku, Noahu. Niestety, zatrzymały mnie ważne sprawy w kościele i choroba mojej biednej żony.

– Jak ona się czuje? – spytała Beatrice.

– Ze smutkiem przyznam, że bardzo niedobrze. Od kilku tygodni cierpi na krztusiec. Żadne leki nie pomagają. Co najwyżej przynoszą chwilową ulgę.

– Trzeba było przyjść do mnie wcześniej – powiedziała Beatrice. – Mam miksturę, którą dwa razy zaleciłam chorującym na krztusiec dzieciom w miasteczku i skutek w obu przypadkach był bardzo dobry. To mieszanka wody źródlanej i syropu z białych róż z odrobiną cykuty.

– Cykuty? Przecież to trujące.

– W tak małym stężeniu nie. Trzeba też rozważyć, jakie jest ryzyko zatrucia w stosunku do ryzyka śmierci na krztusiec.

– No, jeśli pani to rekomenduje, na pewno wziąłbym trochę, żeby złagodzić mękę żony. Kiedy łapie ją atak, mam wrażenie, że w końcu wykaszle z siebie duszę.

Pastor poszedł za Beatrice do kuchni. Florence wstała, żeby przed nim dygnąć, na co on uśmiechnął się jeszcze szerzej. Dziewczynka klęczała w kącie, suwając foremką do pieczenia niby łódką, w której płynęła Minnie. Beatrice nie pozwalała już bawić się jej samej na zewnątrz. Choć była raczej pewna, że Indianie Ossipi dawno się ulotnili, bała się, że któryś z nich może wrócić i porwać też jej córkę.

Podeszła do kredensu i wyjęła ciemnozieloną buteleczkę.

– Proszę – powiedziała. – Jedna łyżeczka trzy razy dziennie i dwie przed snem. To będzie pół dolara, przykro mi.

Pastor wyciągnął skórzany portfel i zapłacił.

– Jednak nie przyszedłem tu opowiadać pani o chorobie żony, choć jestem z całego serca wdzięczny za lekarstwo.

– Proszę mówić. Czy mogę zaproponować pastorowi herbatę?

– Dziękuję, nic mi nie trzeba. Muszę tylko poinformować panią, że do parafii skierowano już nowego proboszcza, który pojawi się tu z żoną w przyszłym tygodniu. Pochodzą z Lincoln w Anglii. W tej chwili są już w Bostonie, czekają na resztę swoich rzeczy.

– To oznacza, że musimy się z Florence wynieść?

– Niestety. Pastor Mills z żoną mają trójkę dzieci. Potrzebują miejsca. Zajmą całą plebanię.

– Rozumiem. A co z nami? Czy kościół będzie nadal wypłacał mi wdowią rentę?

Pastor Bennett sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął list. Rozłożył go i podniósł wyżej.

– Pastor Mills przywiózł ze sobą to zaproszenie od pastora Edwarda Parsonsa, zarządzającego parafią Windmill Hill w Londynie. Pyta, czy zechciałaby pani rozważyć możliwość powrotu do Anglii, by pomagać

w schronisku Świętej Marii Magdaleny dla Zbłąkanych Kobiet. Wie o pani umiejętnościach aptekarskich i sądzi, że może być to bardzo przydatne.

– Mój syn Noah jest tutaj. Jak mogłabym opuścić New Hampshire i wrócić do Anglii, póki się nie odnalazł? To by oznaczało, że go porzuciłam.

– Jak najbardziej rozumiem, wdowo Scarlet – odrzekł pastor. – Ale jeśli naprawdę uprowadzili go Indianie, jak pani podejrzewa, to szanse na odzyskanie go są niemal zerowe. Nawet jeśli przyjąć, że przeżył tę gehennę, choć oczywiście modlimy się, by wyszedł z tego cały i zdrowy.

– Zdaje sobie pastor sprawę, do czego mnie nakłania? – spytała. – Mógłby pastor równie dobrze kazać mi, bym ucięła sobie prawą dłoń i wrzuciła ją do ognia. Noah jest mój, krew z krwi, kość z kości, a co więcej, to krew z krwi mojego ukochanego Francisa. Jest wszystkim, co mi po nim pozostało.

Pastor popatrzył w kąt kuchni, gdzie bawiła się Florence. Przewróciła foremkę, więc Minnie wypadła i teraz dziewczynka cieniutkim głosikiem wołała, że tonie. Beatrice dostrzegła jego spojrzenie i choć nic nie powiedział, potrafiła odgadnąć, co myśli. „Czy Florence nie jest też krew z krwi Francisa?”

– Jeśli wolno, zostawię panią teraz. Proszę sobie to wszystko spokojnie przemyśleć. – Pastor położył list na stole. – Koszty pani podróży do Anglii pokryje oczywiście kościół, a pani z córką zamieszkałaby bez żadnych opłat w placówce Świętej Marii Magdaleny. Poza tym dostawałaby pani dziewięć gwinei rocznie za pomaganie w opiece nad tymi dziewczętami. – Zawahał się, widząc łzy w oczach Beatrice. – Wdowo Scarlet, zapewniam panią... Pastor Mills będzie poinstruowany, by wypatrywać Noaha, gdyby jakimś cudem chłopiec wrócił na plebanię. Uczuli też mieszkańców Sutton,

aby się rozglądali, może ktoś trafi na jego ślad. Poza tym niewiele już da się zrobić.

– Wiem – przyznała z goryczą Beatrice. – Ale to boli, trudno mi pogodzić się z tym, że go straciłam. Stale słyszę, jak śpiewa. Mam to w głowie. Czuję go w swoich ramionach.

– Jednak cóż jeszcze mogłaby tu pani zdziałać? Jeśli tylko Noah się odnajdzie, zostanie wysłany do pani najbliższym statkiem płynącym do Anglii. Teraz chodzi o pani dobro, musimy zadbać o przyszłość pani i pani córki.

Beatrice podniosła list i zaraz znowu go odłożyła.

– Dziękuję... i niech Bóg pastora błogosławi.

Pastor nakrył ręką jej dłoń.

– Niech Bóg i panią błogosławi i ma w opiece. I oby przyniósł pani pociechę w czasach smutku.

Kiedy pastor wyszedł, Beatrice otworzyła list i przeczytała go z uwagą. Gdyby nie miała pod opieką Florence, mogłaby rozważyć pozostanie w Sutton i znalezienie sobie pracy, nawet jako pokojówka albo w piekarni Johna Levinsona. Ale w obecnej sytuacji potrzebowałyby niani dla Florence, a nie byłoby ją na nią stać, choćby wzięła jakąś dziewczynę z miasteczka.

Poza tym Beatrice wychowała się w Londynie. Miała tam nadal wielu przyjaciół. W porównaniu z New Hampshire było to miejsce zatłoczone i brudne, ale przynajmniej dobrze jej znane.

Poszła do saloniku i spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem. Szkło było trochę nierówne, więc jej uśmiech zawsze wydawał się jakby tajemniczy. Ale zaskoczyło ją, że pomimo niemal trzydziestu lat wygląda tak młodo w prostej czarnej sukience, ze swoimi wielkimi

niebieskimi oczami, ciemnymi lokami i idealnym owalem twarzy, niczym Madonna z renesansowego obrazu.

Mam za sobą całe życie, pomyślała, ale mam też całe życie przed sobą. I wtedy postanowiła, że musi znaleźć sposób, by zapanować nad bólem po stracie Noaha. Pojedzie do Anglii.

## Rozdział 6

Zaraz po południu, kiedy kupiła w miasteczku już wszystko, co było jej potrzebne, pojechała wozem na północno-wschodni kraniec terenów zielonych. Uwiązała konia przed domem wdowy Belknap.

W tej części Sutton mieszkali najbiedniejsi, rzemieślnicy, małorolni i najmujący się do dorywczych prac ludzie. Ich domy się rozpadały, ściśnięte jeden obok drugiego, a trawa przed nimi była zryta kołami i pełna końskich odchodów. Jednak dom Clary Belknap stał nieco w głębi i miał trójkątne podwórko z mnóstwem kwitnących ziół – krwawnika pospolitego, wieczornika damskiego, przymiotna.

To był osobliwy dom – pięciobok, o dziwnych proporcjach, niczym złudzenie optyczne. Miał kuchnię w dobudówce, a na tyłach obórkę, przez co wszystko wyglądało jeszcze bardziej nietypowo. Niegdyś był jasnożółty, ale ostatnio Clara pomalowała go na turkusowo.

Beatrice wzięła Florence na ręce i ruszyła ścieżką między kwiatami, jednak nim doszła do ganku, drzwi frontowe się otworzyły i stanęła w nich Clara. Była chudą kobietą około czterdziestki i choć jej twarz świeciła bladością jak księżyc w środku lata, była na swój sposób piękna, niezwykła z tymi swoimi zielonymi kocimi oczami i wąskimi ustami o uniesionych kącikach. Jak zwykle miała na sobie czarny kapturek i czarną suknię. Beatrice nie zdążyła poznać jej męża – zmarł, jeszcze zanim ona przyjechała do Sutton – ale Clara nadal nosiła po nim żałobę, mimo upływu lat.

„Gerald stale jest we mnie – powiedziała kiedyś do Beatrice. – Dopiero gdy odejdzie, będę mogła zrzucić ten wdowi strój i znów nosić coś weselszego, choć taki dzień może nigdy nie nastąpić. On się mnie trzyma.

Szeptze mi do ucha. Boi się mnie opuścić i odpłynąć do świata duchów samotnie”.

Beatrice nie ośmieliła się wtedy zapytać, czy może dałoby się jakoś odprawić tego ducha Geralda. Znała egzorcystę w Salem, pastora Sparksa, który przyjaźnił się z kaznodzieją Johnem Wesleyem.

– Beatrice! – zawołała Clara. – Co cię sprowadza w moje progi? Choć nie mówię, że jesteś niemile widziana.

– Zastanawiałam się, czy byłabyś tak dobra mi powróżyć – odrzekła Beatrice.

– Oczywiście, słyszałam o Noahu i serce mi krwawi, bardzo ci współczuję. Chcesz, żebym sprawdziła, co się z nim dzieje?

– To też, ale chciałabym się również dowiedzieć, co czeka Florence i mnie. Dostałam informację, że w przyszłym tygodniu przyjeżdża do Sutton nowy pastor. Musimy opuścić plebanię.

– Wejdz – powiedziała Clara i poprowadziła Beatrice z Florence do swojego saloniku.

Pokój był tak zagracony, że przypominał sklep z meblami. Było tu pięć krzeseł Windsor, obita brokatem sofa i stoliki pełne świec, figurek i ramek ze zdjęciami krewnych. Niemal na każdym skrawku ściany wisiały ciemne obrazy olejne z postaciami aniołów oraz ryciny przedstawiające mnichów, duchy i dziwaczne stwory. Florence już tu kiedyś była, ale niektóre obrazki nadal ją przerażały, tak że trzymała się blisko spódnicy matki.

W pokoju unosił się także silny zapach kadzidła, goździków i stęchłego tytoniowego dymu. Beatrice nie wydawało się to nieprzyjemne, ale wchodząc do tego wnętrza, zawsze miała wrażenie, że wkracza do innej krainy – w ciemny, klaustrofobiczny świat tajemnic i magii. Gdyby nie widziała za oknem zieleni w promieniach słońca, czułaby się tak, jakby została porwana gdzieś daleko na zaczarowanym statku.

– Mogę zaproponować ci herbatę? – spytała Clara. – Mam też trochę cydru, jeśli wolisz, a dla Florence sok jabłkowy.

– Szklaneczka cydru dobrze mi zrobi, dziękuję – powiedziała Beatrice.

Clara poszła do kuchni.

– Nie sądziłam, że naprawdę wierzysz w moje wróżby, Beatrice! – zawołała. – Czy Bóg nie wskazuje ci ścieżki, którą powinnaś podążać?

– O tak, ale nie daje mi mapy wskazującej, dokąd ta ścieżka zaprowadzi mnie jutro i w następnych dniach.

Clara wróciła z dzbankiem cydru, dwiema szklankami, kubkiem soku jabłkowego i talerzem okrągłych małych ciasteczek z galaretką jagodową w środku. Florence od razu odkleiła się od matki i usiadła, już uśmiechnięta.

– Na strach przed diabłem nie ma to jak ciasteczka – powiedziała Clara. Nalała cydru. – Mam nadzieję, że nie zapomniałaś przynieść szczęśliwej kostki?

Beatrice sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej widełkową kość mostka kurczaka, którego ostatnio gotowała. Clara wyciągnęła dłoń i obie zaczepiły o nią małe palce.

– Raz, dwa, trzy... co nam się wyśni? – wyrecytowała Clara i rozłamały mostek.

Więszy kawałek został w dłoni Beatrice. Pokręciła głową zaskoczona.

– Za każdym razem, kiedy to robimy, wygrywam – zauważyła.

Clara postukała się palcem w bok nosa.

– Nas, czarownice, uczą tego od dziecka. O wiele trudniej jest przegrać, niż wygrać. Ostatnio używałam szklanej kuli, żeby ci wróżyć, prawda? Ale w zeszłym tygodniu kuzynka przysłała mi z Londynu nowe karty do wróżb. Twierdzi, że bardzo precyzyjnie przepowiadają, co się stanie w najbliższych miesiącach.



Wysunęła szufladę pod niskim stolikiem, przy którym siedzieli, i wyjęła tekturowe pudełeczko. Karty wyglądały zwyczajnie, jak do gry – trefl, karo, kier, pik, króle, damy, walety... Ale na dole każdej karty była też wydrukowana czterowersowa rymowanka.

– To nowe dzieło Johna Lenthalla z Fleet Street – wyjaśniła Clara, tasując karty. – Stworzył wiele typów kart, ale te są pierwsze, które mogą przepowiadać przyszłość. Jest ich tylko czterdzieści osiem, nie pięćdziesiąt dwie jak w normalnej talii. Jako twój magik jestem zobowiązana przez wyrocznię delficką, by pomnożyć dwanaście znaków zodiaku przez cztery pory roku, nie więcej, co oznacza, że trzeba było wyłączyć cztery asy.

Rozłożyła czterdzieści osiem kart frontem do dołu, w sześciu rzędach po osiem. Florence przestała udawać, że karmi Minnie ciasteczkami, i patrzyła zafascynowana.

– A teraz, Beatrice, połóż prawą dłoń na lewej piersi i powtórz: *Honi soit qui mal y pense*. Potem wybierz kartę. Jeśli nie chcesz wiedzieć, co oznacza, odłóż ją na stół i weź inną, ale tej drugiej już nie wolno ci pominąć. Możesz w sumie wybrać cztery. Po jednej na każdą porę roku.

– Powiedzą, kiedy No-no wróci? – spytała Florence.

– Możliwe – odparła łagodnie Clara. – Miejmy nadzieję. Ale przede wszystkim powiedzą, czego może spodziewać się twoja mama.

– *Honi soit qui mal y pense* – wyrecytowała Beatrice i podniosła kartę.

Była to siódemka kier, a wierszyk brzmiał: „Siódmkę zdobyłeś, któregoś pragnął, bo nie kochałeś na darmo. Teraz spotka cię nagroda złota, lecz dla panien to na odwrót, nie dziwota”.

Beatrice przeczytała, zawahała się chwilę, po czym odłożyła kartę na stół, nie mówiąc Clarze, co było tam napisane. Wybrała inną, a była to trójka trefl. Przeczytała wierszyk: „Ty, który trójkę tę masz w ręce,

ladacznice wyklęte wspierać będziesz. Kobiety, które ją mają, ich działaniom się przeciwstawiają”.

Podawała kartę Clarze.

– Co to znaczy? Nie rozumiem.

– To znaczy, że spotkasz kobiety lekkiego prowadzenia, staniesz w ich obronie i nie pozwolisz mężczyznom, by je wykorzystywali.

– Zaproponowano mi, żebym pracowała w Londynie w schronisku dla zbłąkanych dziewcząt – oznajmiła Beatrice. – Skąd karty to wiedziały?

Clara wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Mówiłam ci... Są bardzo precyzyjne. Sama sobie nimi wróżę i jak na razie wszystko się sprawdza. Wyciągnęłam króla kier, co przepowiada kobiecie, że upodoba ją sobie jakiś bardzo stosowny mężczyzna, i tak właśnie się stało. Dwa tygodnie temu poznałam nowego nauczyciela, który w przyszłym miesiącu przyjedzie tu uczyć dzieci w szkole, i od razu bardzo się polubiliśmy.

– I nic mi nie wspomniałaś? A co z Geraldem?

– Na pewno kiedy tylko uświadomi sobie, że jestem szczęśliwa, jego duch mnie opuści. Przecież bardzo mnie kochał. Jednak nie wiem, jak szybko to nastąpi. Wyciągnęłam też dziesiątkę karo, co oznacza, że wkrótce wyjdę za mąż, ale „nie wiadomo kiedy”.

Beatrice wybrała kolejną kartę. Piątkę karo. „Ten, kto wyciągnie pięć, zazna szczęścia tam, gdzie jest, ale jeśli piątka trafi się kobiecie, lepiej niech szuka szczęścia gdzie indziej na świecie”.

Potem w dłoni Beatrice znalazła się królowa pik, a karta powiedziała: „Królowa pik bogactwo wróży, zarówno mężczyznom, jak i kobietom wszystko się ułoży. Dostaną to, czego pragnęli, i spełni się to, o czym marzyli”.

– Nie zależy mi na bogactwie – oświadczyła Beatrice. – Jedyne, czego pragnę, to odzyskać Noaha i go przytulić.

– Jeśli tego chcesz, tak będzie – zapewniła ją Clara.

– Ale to tylko karty. Jak mam temu wierzyć?

– To o wiele więcej niż zwykłe karty, Beatrice. Są jak drogowskazy: mówią ci, którędy możesz pójść. I są też jak lustro: ukazują ci cechy, których sama często nie dostrzegasz. To, że jesteś silna, że jesteś atrakcyjna i że możesz zdobyć wszystko, czego pragniesz, podejmując ryzyko i idąc za wskazówkami, jakie ci dają.

Beatrice wyciągnęła ostatnią kartę. Dwójkę karo. „Skoro masz numer dwa, ślub ze szczerą osobą ci się uda, ale jeśliś białogłową, nie daj się zwieść lubieżników podstępnyemu słowom”.

Clara rzuciła okiem na kartę.

– No... traktuj to jak ostrzeżenie. Pamiętasz Jonathana Shooksa.

Beatrice spojrzała na Florence, która teraz wstała i chodziła po saloniku, pokazując Minnie niektóre dziwaczne stwory na rycinach.

– Jak mogłabym kiedykolwiek o nim zapomnieć?

• • •

Po wróżbach z kart Beatrice i Clara wyszły na podwórko za domem i przechadzały się w słońcu, a Florence skakała i podrzucała w powietrze Minnie, udając, że lalka jest aniołkiem.

Clara zapaliła glinianą fajeczkę i pykała z niej w zadumie, kiedy tak krążyły między jabłoniemi.

– Wiem, że się boisz, Beatrice – powiedziała. – I rozumiem też, jak bardzo cierpisz, nie tylko z powodu Noaha, ale też Francisa. Tego rodzaju smutek to choroba, z której już nigdy się tak do końca nie podnosimy. Jednak karty wskazały, że masz pojechać za granicę. I że pewnego dnia

odnajdziesz szczęście. Nie mówię, że nie będzie mi Ciebie brakowało. Będę bardzo za Tobą tęsknić.

Wetknęła fajeczkę w gałązki najbliższego drzewa, objęła i przytuliła Beatrice, po czym pocałowała ją w usta. Dziwnie było być całowaną przez kobietę, której oddech pachniał jak męski, ale Beatrice wiedziała, że będzie tęsknić za Clarą tak samo jak Clara za nią. Dotknęła więc lekko jej bladego jak księżyc policzka i też ją pocałowała, i długo patrzyły sobie w oczy. Obie uświadamiały sobie boleśnie, że pewnie nigdy już się nie zobaczą, chyba że w niebie.

## Rozdział 7

Beatrice zapomniała już, jak śmierdzą londyńskie ulice, i była przekonana, że od jej wyjazdu stąd zrobiło się jeszcze gorzej. Odetchnęła z ulgą, kiedy wreszcie powóz wyjechał z wąskich uliczek centrum, gdzie wygodki przelewały się od nieczystości, i dotarł do Windmill Hill przy Moorfields, jednej z ostatnich oaz zieleni pozostałych w Shoreditch.

Był chłodny, rześki poranek. Wiał północno-wschodni wiatr. Jednak w nocy padało i na błotnistej drodze u celu ich podróży mokre końskie łajno zalegało po kostki.

– Jak tu cuchnie! – Florence skrzywiła się, kiedy woźnica zszedł ją na ziemię.

– O, poczekaj, aż będzie lato, młoda damo! – Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając brązowawe szczerbate zęby. – Wtedy to dopiero ty i ta twoja laleczka będziecie musiały zatykać noski!

Beatrice powoli wysiadła, unosząc spódnice, żeby nie pobrudzić ich gnojem. Zapłaciła woźnicy sześć szylingów i dwa pensy górką. A potem ostrożnie ruszyła w kierunku zabudowań, co krok przeskakując, jakby grała w klasy.

Zanim wyjechali do Ameryki, Francis przywiózł ją tu kiedyś, żeby poznała niektórych pastorów. Był to zespół pięciu dużych budynków z różowej cegły, stojących na północ od szpitala dla obłąkanych Bethlem. Początkowo miała się tutaj mieścić odlewnia mosiężnych armat, lecz jak wyjaśnił jej Francis, czterdzieści lat temu potworna eksplozja rozgrzanego do białości metalu i pary zabiła nie tylko siedemnaście najbliższych znajdujących się osób, ale i właściciela fabryki. Ze względów

bezpieczeństwa produkcję broni przeniesiono do Woolwich, a zrujnowane zakłady przejął Kościół protestancki.

Beatrice zauważyła, że ośrodek został rozbudowany od czasu, gdy była tu ostatnio. Położono też nową dachówkę. Kiedy podeszła do pomalowanych na brązowo drzwi, z bocznego podwórka dobiegł ją śpiew dzieci.

Zapukała. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Stała w nich uśmiechnięta młoda dziewczyna o czysto wymytej twarzy, w długim białym fartuchu.

– Jestem Beatrice Scarlet – przedstawiła się Beatrice. – Pastor Parsons oczekuje mojego przybycia, jak sędzę.

Pastor Parsons musiał ją usłyszeć, bo pojawił się w mrocznym korytarzu za dziewczyną.

– Wdowa Scarlet! – zagrzemiał, poparskując jak koń. – Dotarła pani do nas bezpiecznie przez ocean, dzięki Bogu! Witamy w Windmill Hill! Serdecznie witamy!

– To moja córka, Florence. – Beatrice położyła dłoń na ramieniu Florrie i popchnęła ją lekko, żeby dygnęła.

Pastor Parsons miał krótko przystrzyżone rudawe włosy i rude brwi. Zdawał się bardzo cieszyć, że ją widzi, ale Beatrice wkrótce się przekonała, że zwykle sprawiał takie wrażenie, od rana do nocy, jakby cały świat i każda minuta na nim były jedną wielką miłą niespodzianką. Miał potężny brzuch, więc pięć czy sześć guzików kamizelki pozostawało odpiętych i Beatrice wątpiła, by kiedykolwiek zdołał dopiąć swój czarny frak.

Uśmiechnięta młoda dziewczyna wyszła na zewnątrz i wskazała woźnicy, by zaniósł dwa kufry do bocznego wejścia. Tymczasem pastor Parsons wpuścił Beatrice z Florence do środka i zaprowadził je do dużego, wyłożonego mahoniem salonu, z ciemnobrązowymi kotarami w oknach.

Było to surowe wnętrze – stały tu tylko proste krzesła ze szczebelkowymi oparciami. Jedyne wiszące na ścianie obrazy przedstawiały Chrystusa uzdrawiającego chorego przy sadzawce Betesda. Ale w kominku trzaskał ogień, a obok spał cętkowany kot, co zachwyciło Florence.

– Siadajcie, proszę – powiedział pastor. – Na pewno jesteście wyczerpane po tak długiej podróży. Ile dni płynęłyście?

– Dwadzieścia siedem, bo przy południowym wybrzeżu Irlandii trafiliśmy na bardzo złą pogodę. Jednej nocy bałam się już, że statek zatonie.

– Sam nie jestem zbyt dobrym żeglarzem. – Pastor uśmiechnął się. – O swojej jedynej podróży do kolonii mogę powiedzieć tylko, że choroba morska pomogła mi zrzucić trochę wagi! Ale, niestety, większość szybko odzyskałem dzięki Kit-Catom.

Miał na myśli popularne paszteciki z baraniną, które można było kupić w piekarni Christophera Catta na Shire Lane, a które uwielbiał również ojciec Beatrice.

Pewnie był to efekt zmęczenia, ale Beatrice nagle odniosła wrażenie, jakby nigdy nie wyjeżdżała z Londynu, jakby życie w New Hampshire tylko jej się przyśniło. Gdyby nie to, że przy kominku klęczała Florence, głaszcząc kota, i gdyby Beatrice nie miała na szyi srebrnego wisiorka z malutkim portretem Noaha w środku, prezentu od Francisa na jej ostatnie urodziny, niemal mogłaby uwierzyć, że tych minionych trzech i pół roku nigdy nie było.

Pastor Parsons wyjął z kieszonki kamizelki zegarek i otworzył wieczko.

– Mój Boże, już prawie pierwsza! Za chwilę będzie tu pani Smollett. Prowadzi schronisko Świętej Marii Magdaleny już od ponad osiemnastu miesięcy i odkąd przejęła stery, mamy wspaniałe wyniki. Załatwiła dobrze płatną pracę wielu skruszonym prostytutkom, a także młodym kobietom,

porzuconym lub będącym bez środków do życia albo takim, które ze względu na złe prowadzenie się zostały wykluczone ze swoich rodzin.

– Kiedy tu przyjechałyśmy, słyszałam śpiew dzieci – powiedziała Beatrice.

– Tak! Bardzo rozszerzyliśmy działalność ośrodka przez te półtora roku... no, rozrósł się, prawie tak jak ja. W każdym razie jest tu teraz szkoła dla mniej więcej sześćdziesięciu małych obdartusów. Mamy dwóch nauczycieli. I aptekarza, by zapewniać leki ubogim, a także chirurga, który przyjeżdża do nas dwa razy w tygodniu ze szpitala Świętego Bartłomieja i dokonuje drobnych zabiegów, jak przecinanie czyraków czy amputacja zainfekowanych gangreną palców. Myślimy również o wybudowaniu i prowadzeniu przytułku dla ubogich.

– Wykonuje pan wspaniałą pracę, panie pastorze – skomentowała Beatrice.

Jej głos zdradzał znużenie. Jedyne, o czym teraz marzyła, to przebrać się, wykapać i położyć do łóżka na resztę dnia, choć wiedziała, że może się przespać, tylko jeśli znajdzie kogoś, kto popilnowałby Florence. Dziewczynka wcale nie robiła wrażenia zmęczonej. Ale przecież spała przez cały czas, aż do chwili, gdy podpłynęła lichtuga, by zabrać je rzeką do Deptford, gdzie wysiadły na ląd.

Wysoki zegar stojący w holu wybił pierwszą i niemal natychmiast drzwi się otworzyły i do środka wparowała kobieta wyglądająca niczym figurynka z barometru.

Była blada jak upiór, poza wymalowanymi na policzkach rumieńczykami, a na głowie miała perukę z rudych loków – z których dwa pukle zwisały swobodnie po bokach twarzy – i szaroniebieski kapturek, w identycznym kolorze jak jej suknia. Ubiór prosty, ale spódnica była tak



mocno uniesiona na panierze, że aż ocierała się o framugę drzwi, kiedy kobieta wchodziła do środka.

Miała pewnie ze trzydzieści pięć lat, jak oceniła Beatrice, choć trudno było dokładnie określić wiek z powodu bladości jej twarzy, która przypominała maskę. Ten efekt został zapewne osiągnięty przez nałożenie grubej warstwy pasty ołowiowej, a dwa rumieńczyki musiały być wymalowane cynobrem. Jej usta były lekko wydęte, pomalowane jedynie blad różowym woskiem i karminem. Najwyraźniej nie chciała wyglądać jak aktorka czy prostytutka.

Beatrice zdawała sobie sprawę, że ona sama, dużo pracując w ogródku warzywnym na plebanii, ma twarz niemodnie opaloną, niczym prosta wieśniaczka. Ale wiedziała też, że jeśli do organizmu zbyt długo wnika przez skórę ołów, może to być zabójcze, i że wiele modnych młodych kobiet zmarło przez stałe stosowanie takiego makijażu. A cynober był nawet bardziej toksyczny. Robiło się go z siarczku rtęci.

Jednak nie zamierzała nic mówić. Taka panowała moda i kobiety, ślepo za nią podążając, upiększały w ten sposób swoje twarze, a kim ona, Beatrice, była, żeby je pouczać, czego powinny się wystrzegać? Niektóre nawet bieliły sobie dekolt i malowały na nim błękitne żyłki, aby wydawać się jeszcze bardziej anemiczne, niż były w rzeczywistości. Beatrice domyślała się, że ta kobieta ma na policzkach brzydkie ślady po ospie, co musi jakoś maskować, i nie chciała jej zawstydząć.

Jak to mawiał jej ojciec, mieszając leki w dobudówce na tyle sklepu: „Najbardziej zjadliwa trucizna to próżność, Beatrice. Większość z nas wolałaby umrzeć, niż wyglądać szpetnie”.

Pastor Parsons wstał i wyciągnął do kobiety na powitanie rękę.

– Ido! Wyglądasz niczym z obrazka, jak zwykle! Pozwól, to jest Beatrice Scarlet, która będzie pomagać ci w schronisku Świętej Marii

Magdaleny. I oczywiście poznaj też tę malutką pannę Scarlet. Beatrice, to Ida Smollett, dzięki której nasze osiągnięcia w działaniu dla dobra zbłąkanych młodych kobiet przerosły wszelkie oczekiwania. Wierzę, że staniecie się najlepszymi przyjaciółkami i towarzyszkami.

Ida skinęła głową i wydeła usteczka w uśmiech. Wbrew temu, jak wyglądała, mówiła swobodnie i serdecznie, jakby nawykła zwracać się do szerszego audytorium.

– Bardzo mi miło, Beatrice, jeśli mogę pozwolić sobie na taką poufałość. W naszym domu jest tyle pracy, że to niemal przekracza ludzkie możliwości. A zbliża się zima i naprawdę bardzo potrzebna mi będzie pomoc.

– Chwileczkę, zaraz poproszę, żebyśmy dostali herbatę – powiedział pastor i wyszedł z salonu, pozostawiając Beatrice i Idę siedzące obok siebie na drewnianych prostych krzesłach.

– Ile młodych kobiet macie w tej chwili pod opieką? – spytała Beatrice.

Z tak bliskiej odległości wyczuwała perfumy Idy, wodę toaletową z piżmem i bursztynem, ale i cynamon, który stosowano powszechnie do zniwelowania przykrego zapachu z ust. Wśród innych działań niepożądanych – jak ziemista cera – biały ołów powodował gnicie dziąseł i atakował szkliwo zębów.

– Obecnie trzydzieści sześć – odparła Ida. – To głównie dziewczyny, które straciły kontakt z rodzinami z tego czy innego powodu. Albo ich rodzice byli zbyt ubodzy, by pozwolić sobie na żywienie ich i ubieranie, albo byli zbyt chorzy, by troszczyć się o kogokolwiek poza sobą, albo pili, a w wielu przypadkach już nie żyją. Nie wiem, czy takie wieści docierały do was do kolonii, ale zeszłej zimy mieliśmy w Londynie zabójczą plagę suchot. Umarły setki ludzi. Na cmentarz Quaker zwożono tyle ciał w trumnach, że stały też w pobliskiej cegielni. Niektóre z naszych

dziewczyn zdołały przetrwać, kradnąc albo żebrząc, ale większość utrzymywała się z prostytucji. Nawet dwunasto-, trzynastolatki. Pewnie sama takie widywałaś kręcące się co wieczór pod teatrami, po przedstawieniu, usiłując przyciągnąć uwagę jakiegoś rozpustnika, który ma pięć szylingów w kieszeni.

– I jak wyrywacie je z takiego życia? – spytała Beatrice.

– Udzielamy im schronienia, karmimy je, uczymy podstaw arytmetyki oraz czytania i pisania. Staramy się wpoić im też zasady moralne, dajemy lekcje katechizmu. Wreszcie, dzięki pomocy wielu szczodrych przedsiębiorców i właścicieli fabryk, którzy należą do naszego kościoła, znajdujemy im zatrudnienie, by mogły zarabiać na życie.

– To musi być ogromnie satysfakcjonująca praca – zauważyła Beatrice. – Będę się czuła zaszczycona, mogąc ci pomagać.

– Nie ukrywam, że to niełatwe – zaznaczyła Ida. – Niektóre z tych dziewcząt to prawdziwe dzikuski, kiedy do nas trafiają. Nawykły do picia ginu i palenia, a na ich codzienny język szatan by się skrzywił. Odkąd pamiętają, mężczyźni je wykorzystywali, nawet ojcowie i bracia, więc nie mają żadnego pojęcia o cnotcie czy przyzwoitości. Czasami ich własne matki, żeby jakoś związać koniec z końcem, sprzedawały ich dziewictwo temu, kto dał najwięcej.

– Na pewno są wdzięczne, że je ratujesz.

Ida wzruszyła ramionami.

– Z czasem wiele z nich to docenia. Ale niektóre uważają nas za wścibskie bigotki i nie mogą się doczekać, aż wrócą na ulicę. Uwielbiają pochlebstwa lubieżników i ich pieniądze. Kochają orgie i alkohol. Nie nawykły do żadnej dyscypliny i stosownego zachowania. Nie potrafią zrozumieć, że nie tylko niszczą sobie życie na ziemi, ale też przekreślają swoje szanse na pójście do nieba.

– To jak sobie z nimi radzisz?

Ida wyciągnęła rękę i położyła szponiastą dłoń na kolanie Beatrice. Miała na palcach trzy złote pierścionki: jeden z turkusem, jeden z granatem i jeden z ametystem. Z bliska Beatrice poczuła jej cuchnący – pomimo cynamonu – oddech. Nie było to jednak nic wyjątkowego. Wielu jej serdecznych przyjaciół w Sutton miało psujące się zęby i niektórych im brakowało, a generał Holyoke nosił drewnianą sztuczną szczękę, którą od czasu do czasu wyjmował i przecierał fularem.

– I na tym polegałaby twoja rola, moja droga Beatrice – powiedziała Ida. – Jesteś ode mnie młodsza i liczę na to, że uda ci się nawiązać kontakt z tymi najtrudniejszymi dziewczętami, przekonać je, że skromność i abstynencja popłacają. Jestem pewna, że zdołasz tego dokonać!

Wpatrując się w twarz Beatrice, ścisnęła jej kolano – tak mocno, jakby chwycił je w szpony jastrzęb. Beatrice spojrzała jej w oczy i zobaczyła, że są podpuchnięte, a powieki mocno zaognione. Przypomniała sobie wszystkich tych cierpiących ludzi, którzy przychodzili do jej ojca, nękani skutkami zatrucia rtęcią, i zorientowała się, że Ida prawdopodobnie ma przed sobą ze trzy lata życia, a może i mniej.

Wrócił pastor Parsons, a zaraz potem dziewczyna o wymytej twarzy przyniosła tacę z herbatą oraz szklankę mleka dla Florence. Gdy Beatrice i Ida rozmawiały dalej z pastorem o schronisku Świętej Marii Magdaleny, mała Florence zanurzała palce w mleku, żeby kot mógł je z nich zlizywać.

Beatrice popatrzyła na córeczkę, uśmiechnęła się smutno i pomyślała: tak, jeśli zdołam zapewnić choć jednej z tych nieszczęsnych dziewcząt godne, pełne miłości życie, takie, jakim będzie się cieszyć Florence, to warto. Postaram się.

## Rozdział 8

Kiedy wypili herbatę, pastor Parsons oprowadził Beatrice po ośrodku, żeby mogła obejrzeć aptekę i szkołę.

Apteka była długim ponurym pomieszczeniem z małym okienkiem wysoko na ścianie. Na półkach jedne przy drugich stały zielone, brązowe i białe butelki, a także mahoniowe pudełka z proszkami i fiołki pigułek. W odległym końcu, za dębową ladą, jakiś młody łysiejący mężczyzna w okularach na wielkim nosie mieszał lepką maź w porcelanowej miseczce.

– Godfrey! – zagrział pastor Parsons. – Pozwól, że przedstawię ci wdowę Scarlet, która przyjechała pomagać pani Smollett w schronisku Świętej Marii Magdaleny. Beatrice, to Godfrey Minchin, nasz aptekarz rezydent, który z radością zapewni ci wszelkie potrzebne leki i maści.

Godfrey skinął głową i otarł nos mankietem.

– Witamy w ośrodku, wdowo Scarlet. Jest pani córką świętej pamięci nieodżałowanego Clementa Bannistera, prawda? Podczas studiów trafiłem na liczne jego zapisy dotyczące ospy, bardzo przydatne. W tym wskazówki, jak przygotować korozyjny sublimat.

Przez korozyjny sublimat miał na myśli chlorek rtęci. Od wielu lat rtec stosowano powszechnie do leczenia chorób wenerycznych, ale skutki uboczne były niemal równie szkodliwe jak sama choroba, więc ojciec Beatrice zmniejszył stężenie rtęci, łącząc ją z chlorem.

– Mój ojciec był świetnym aptekarzem, bardzo twórczym – powiedziała Beatrice. – Co pan tu miesza, jeśli wolno spytać?

– Krople żołądkowe, wdowo Scarlet, czyli według właściwej nazwy, *hiera picra*. Przygotowuję je dla pana Jewkesa, naszego stróża, który

ostatnio cierpi na przeróżne dolegliwości, a szczególnie dokuczają mu kolka i zaparcia.

– No tak... aloes i kora korzybiela białego. I miód?

– Imponująca wiedza, wdowo Scarlet.

– W dzieciństwie spędzałam wiele czasu w laboratorium ojca, panie Minchin. Pamiętam, jak wynalazł nowy środek na ospę, kalomel i korozyjny sublimat. Podgrzewał sublimat i mało brakowało, a posłałby nas oboje do lepszego świata. Po wybuchu miałam cały fartuch w strzępach i musieliśmy wstawić nową szybę w oknie.

– Cóż, nadal jest to najlepsze leczenie na syfilis – wtrącił pastor Parsons. – Jak to się mówi... jedna noc z Wenus, a reszta życia z Merkurym, czyli rtęcią.

Potem przeszli przez wyłożone cegłami podwórko do szkoły. Klasa miała wysoki sufit, była przestronna i jasna. Z dużych okien roztaczał się widok na lipy i trawniki Moorfields. Około pięćdziesięcioro dzieci w różnym wieku siedziało przy długich stolikach, ustawionych w sześciu rzędach jeden za drugim. Każdy uczeń miał tabliczkę i kawałki kredy. Dzieci mozolnie przepisywały słowa z wielkiej tablicy umieszczonej na podpórcie w rogu klasy: duch, puch, ruch, dwóch, zuch.

Gdy pastor wprowadził Beatrice, nauczyciel stał akurat przy tablicy, tyłem do drzwi. Widziała, że jest wysoki, szczupły, prosto się trzyma. Wijące się ciemnobrązowe włosy opadały mu na szyję. Miał na sobie wyjedzony przez mole rudawy surdut z grubym zielonym kołnierzem, który też wyglądał, jakby napoczęły go mole.

– James! – zawołał pastor Parsons i nauczyciel się odwrócił.

Beatrice sama nie była pewna, czego spodziewała się po nauczycielu małych obdartusów – chyba myślała, że będzie to blady pryszczaty okularnik jak Godfrey, aptekarz. Jednak ten młody człowiek był wyjątkowo

przystojny. W pewien sposób przypominał jej Francisa, ale właściwie prezentował się nawet lepiej: miał mocno zarysowaną szczękę, krótki prosty nos, wielkie, przykuwające uwagę niebieskie oczy.

Rzucił trzymaną kredę na stół, otrzepał ręce i podszedł do Beatrice z wyrazem twarzy, który wydał się jej szelmowski.

– Kogóż to mi dziś pastor przyprowadza? – zapytał. – Kimkolwiek pani jest, bardzo mi miło panią poznać. – Przycisnął dłoń do zielonej kamizelki na piersi i skłonił się nisko.

Beatrice mimo woli lekko się zarumieniła.

– To jeden z naszych dwóch nauczycieli. Pan James Treadgold – zwrócił się pastor Parsons do Beatrice. – James, pozwól, że przedstawię ci Beatrice Scarlet, wdowę po świętej pamięci pastora Francisie Scarlecie, która właśnie dziś rano wróciła z Ameryki.

– Słyszałem o smutnym przypadku pani męża – powiedział James. – Minęło już trochę czasu od jego odejścia, ale zechce pani przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia. – Cały czas wpatrywał się w jej oczy, jakby odczytywał z nich jej sekretne myśli.

– Bardzo pan miły – odparła.

Nie wspomniała, że straciła również Noaha. Od kiedy wyruszyła do Anglii, starała się nie myśleć ani o Francisie, ani o synku, bo zawsze ścisnęła ją wtedy w gardle i nie mogła opanować łez. Odkryła, że najlepiej radzi sobie z bólem, kiedy skupia się na opiece nad Florence i na tym, by zapewnić im obu jakąś przyszłość.

– James jest najmłodszym synem sir Waltera Treadgolda, który w początkach naszej działalności był jednym z najbardziej szczodrych darczyńców – powiedział pastor Parsons. – Niestety, interesy sir Waltera bardzo ucierpiały podczas wojny z Hiszpanią. Jednak i on, i jego rodzina

wciąż należą do tych, którzy udzielają nam największego wsparcia. Czego nie mogą dać nam w złości, dają, służąc swoją pomocą.

– Uczę dzieci pisania i gramatyki, a mój kolega, Timothy French, przychodzi tu na zmianę ze mną i uczy je rachunków – wyjaśnił James.

– Jeśli te dzieci mają kiedykolwiek pokonać zły los, to ich najpotężniejszą bronią będą słowa i liczby – wtrącił pastor Parsons. – A ich zbroją będzie oczywiście dogłębna znajomość Pisma Świętego.

James nadal wpatrywał się w Beatrice tak intensywnie, że zaczynało się jej lekko kręcić w głowie. Pomyślała, że jest bardzo atrakcyjny, ale zastanawiała się, czy nie spuszcza z niej oczu, bo ona także mu się podoba, czy też po prostu chce okazać jej współczucie.

Jeden ze starszych chłopców siedzących w tyle klasy podniósł rękę.

– Pisze się „krowa” czy „krofa”, proszę pana?

James, nie odrywając wzroku od Beatrice, uniósł dłoń na znak, że odpowie uczniowi za chwilę.

– Musi być pani ogromnie zmęczona, wdowo Scarlet – zauważył. – Jednak może kiedy pani odpocznie, moglibyśmy się spotkać i opowiedziałyby mi pani o swoich doświadczeniach w Ameryce. Od dawna myślę, aby się tam wybrać, i bardzo by mnie interesowało, co pani sądzi o tym kraju.

– Oczywiście – odrzekła Beatrice. – Jednak muszę pana ostrzec, że nie wszystkie moje doświadczenia były pozytywne, a czasami nawet działy się rzeczy przerażające. To nadal dość dziki kraj, pełen wielu zaskakujących niebezpieczeństw, również ze strony niektórych osadników.

– Już nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć więcej! – rzucił James. – Zaproszę panią do Trzech Żurawi w Vintry, jeśli jeszcze tam pani nie była. Podają tam doskonałe pieczone siewki i świetne wino.

Beatrice uśmiechnęła się.



– Przypomniał mi pan, że jestem nie tylko zmęczona, ale i głodna. Lepiej już zabiorę córeczkę i pójdziemy z panią Smollett do schroniska Świętej Marii Magdaleny. Miło mi było pana poznać.

James znów się skłonił.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani Scarlet. Proszę dobrze wypocząć.

• • •

Pastor Parsons zaprowadził Beatrice z powrotem do salonu, gdzie czekały na nich Ida Smollett i Florence. Ida uczyła Florence śpiewać *Most londyński wali się* i klaskała z nią w dłonie.

– Jeśli nie jesteś zbyt zmęczona, mogłybyśmy pójść do Maidenhead Court piechotą – zaproponowała Ida. – To tylko piętnaście minut spacerem.

– Kiedy tylko nasz służący, Henry, wróci z zakupów w Cheapside, każę mu podwieźć taczka pani kufry – wtrącił pastor Parsons.

– Mamy jeszcze więcej bagaży, które zostaną tu dostarczone po rozładowaniu statku – powiedziała Beatrice. – Może byłby tak dobry i również je przewiózł?

Pastor położył dłoń na jej ramieniu.

– Wiem, przez co przeszedłeś, Beatrice, i rozumiem, że nadal cierpisz, a być może nigdy nie pokonasz tego bólu. Oby Bóg dał ci pociechę i pomógł odnaleźć spokój ducha. Oby nagroził cię za twoją wiarę i za to, co zniósłeś w pokorze. Jednak nie rozpaczaj tak gorzko po swoim Francisie. Wcześniej dostąpił Królestwa Niebieskiego i powinnaś życzyć mu szczęścia.

Beatrice nie była w stanie odpowiedzieć. Ze łzami w oczach skinęła tylko głową.

• • •

Poszły pełną kolein City Road, mijając po drodze cmentarz Bunhill. Zobaczyły w oddali jakiś wóz z prostą trumną, choć wokół nie było żadnych żałobników. Jedynymi ludźmi w polu widzenia było dwóch grabarzy. Jeden niedbale kopał grób, drugi, wsparty na łopacie, palił fajkę.

Potem przecięły Bunhill Row i weszły w aleję Blue Anchor. Po obu jej stronach stały rozpadające się stare drewniane domy i warsztaty, które przetrwały Wielki Pożar. Górne piętra przechylały się do środka, niemal stykając się ze sobą i tworząc osłonięty od wiatru ponury wąwóz. Śmierdziało nieczystościami. Panowała upiorna cisza.

Już prawie doszły do końca alei, gdy Beatrice usłyszała za sobą szybkie kroki. Obejrzała się i zobaczyła, że biegnie za nimi jakichś trzech obwiesi. Jeden miał na głowie trójgraniasty kapelusz, drugi niechlujną perukę, a trzeci był ogolony prawie na łyso. Ten ostatni trzymał w ręku nóż, niemal tak długi jak miecz, a ten w kapeluszu wymachiwał maczugą.

– Hej, drogie damy! – krzyknął mężczyzna w kapeluszu. – Proszę poświęcić nam chwilę!

Beatrice mocniej ścisnęła rączkę Florence.

– Biegniemy, Florrie – szepnęła.

Ida też się obróciła i tak jak Beatrice uniosła brzeg spódnicy, by rzucić się do ucieczki.

Za późno. Alejka, podobnie jak główna droga, była pełna błota. Beatrice but utkwiał w mazi, zachwiała się. Mężczyzna z ogoloną głową skoczył do przodu i zablokował im wyjście na Whitecross Street, wymachując nożem i lubieżnie oblizując dziąsła dokoła jedyne białego zęba.

– Nie zrobimy wam krzywdy, cukiereczki – odezwał się ten w kapeluszu. Miał na sobie brudny czerwony surdut przetarty na ramionach, a na burożółtych spodniach za kolana widniały ciemne plamy od moczu. – Chodzi nam tylko o jakąś szparkę i odrobinę bara-bara.

– Idźcie w diabły! – wrzasnęła Ida. – Na nic nie liczcie! Precz stąd, nim zawołam konstabla!

Mężczyzna z ogoloną głową podszedł do niej i przystawił jej czubek noża do policzka.

– Nie chciałybyś, żeby mój kumpel cię drasnął, co, pani odważna? – rzucił mężczyzna w kapeluszu. – Chodź, nie stawiaj się. Tam jest brama, gdzie możemy pofiglować przy schodach i nikt nas nie zobaczy. Możecie dać tej małej lekcję, jak ulżyć mężczyźnie!

Beatrice dostrzegła swoją szansę. Zmobilizowała wszystkie siły i popchnęła ogolonego w ramię tak mocno, że stracił równowagę i zatoczył się na chropowaty mur, a ona rzuciła się biegiem w kierunku Whitecross Street, ciągnąc za sobą Florence. Mogła mieć tylko nadzieję, że Ida pójdzie w jej ślady i ruszy za nią.

Kiedy już wybiegała z alei, mężczyzna w kapeluszu dogonił ją i uderzył maczugą w tył głowy. Wprawdzie zdołał ją ledwie musnąć, ale to wystarczyło, by padła na twarz w błoto, a razem z nią Florence, której palto było teraz całe w końskich odchodach. Dziewczynka krzyknęła z przerażeniem.

Zdyszana i oszołomiona ciosem, Beatrice odwróciła się, by spojrzeć w górę. Po uderzeniu w głowę widziała jak przez mgłę, ale zorientowała się, że stoi nad nią ten w kapeluszu, piorunując ją wzrokiem. Wymachiwał maczugą, jakby zamierzał znów ją uderzyć, tym razem mocniej. Był pijany. Poczerwieniał z wysiłku i złości. Jego twarz przypominała krwisty czyrak, który lada chwila pęknie.

– Ty szmato! – ryknął. – Zobaczysz, co za to zrobimy twojej laleczce!  
Beatrice zabrakło tchu. Jej głos zabrzmiał jak chrypliwy skrzek.

– Nie waż się tknąć jej nawet palcem, bo zabiję cię własnymi rękami!

– Ach, tak? – rzucił kpiąco mężczyzna, uderzając lekko maczugą w swoją otwartą brudną dłoń. – Pewnie pomoże ci w tym sam królewski pułk piechoty, co?

Ten w skołtunionej peruce podbiegł do niej i pociągnął ją za rękaw.

– Chodź, wstawaj, skarbie! – wrzasnął, a ona poczuła kropelki jego śliny na czole.

Widziała, jak w głębi alei ogolony na łyso mężczyzna, stojąc za Idą, zaciska rękę wokół jej szyi i trzyma nóż przy jej policzku.

Popłakując ze strachu, Florence podniosła się z ziemi. Mężczyzna w kapeluszu chwycił ją za ramię.

Na Whitecross Street panował duży ruch. Byli tam kupujący, posłańcy i sprzedawcy uliczni. Jeden z nich, uderzając w dzwonek, wołał: „Pudding, pudding, ciepłutki pudding”, a inny: „Rzepa, marchew, hej!”. Przejechało z turkotem co najmniej sześć czy siedem powozów, ale żaden z woźniców nie przystanął, a przechodnie na widok trzech napastników uzbrojonych w nóż i maczugę przechodzili szybko na drugą stronę. Było bardzo prawdopodobne, że któryś z bandytów może mieć też pistolet, a w ostatnich miesiącach wiele osób, które próbowały interweniować podczas ulicznych kradzieży, zostało zastrzelonych na miejscu.

Beatrice walczyła, żeby się uwolnić, ale musiała pozwolić się podnieść mężczyźnie w potarganej peruce, żeby móc bronić Florence.

– No chodź, skarbie! – Mężczyzna dalej pluł na nią, ciągnąc ją w głąb alei.

Jednak ledwie to powiedział, Beatrice usłyszała tuż za sobą stukot kopyt, pobrzękiwanie uprzęży i skrzypienie zatrzymywanego gwałtownie

powozu.

– Prrr! A wy co tu wyprawiacie, szubrawcy?! – krzyknął tubalnym głosem jakiś mężczyzna. – Ida! Dobry Boże!

## Rozdział 9

Napastnik w skołtunionej peruce dalej próbował wlec Beatrice, ale ona wciąż walczyła i raz czy dwa zdołała mu się wyrwać. Przy tej szarpaninie rozdarł jej się rękaw. Mężczyzna już miał chwycić ją znowu, lecz nagle rzucił się do ucieczki. Ten w kapeluszu poszedł w jego ślady. Obaj co sił w nogach pognali przed siebie. W połowie drogi do Bunhill Row temu pierwszemu peruka sfrunęła z głowy i wylądowała w błocie. Przystanął na chwilę, łapiąc się dłonią za pokryty strupami czerep, ale zaraz znów ruszył i obaj znikli za rogiem.

Choć tamci dwaj się ulotnili, łysy nie puszczał Idy. Zaciskał rękę na jej gardle, tak że z trudem łapała powietrze.

Mężczyzna, który zatrzymał powóz, podszedł do Beatrice.

– Jesteś ranna, moja droga? A co z dziewczynką? Nic się jej nie stało?

Był niezbyt wysoki, ale barczysty. Miał surową męską urodę, złamany nos i dołek w brodzie. W jego twarzy było coś grubo ciosanego, jakby przejechano mu po policzkach papierem ściernym, lecz jego żółty surdut i kremowa kamizelka były doskonale skrojone, a przy butach widniały złote guziki i srebrne kłamry. Na głowie miał jasnobrażową perukę, związaną z tyłu żółtą wstążką.

Powóz, pomalowany na żółto, był zaprzężony w czwórkę lśniących czarnych koni fryzyjskich.

Kiedy tylko mężczyzna upewnił się, że z Beatrice i Florence wszystko w porządku, ruszył w alejkę, by rozprawić się z ogolonym na łyso typem. Wyciągnął miecz i go uniósł.

– Ty łachmyto! – ryknął. – Rozkazuję ci rzucić nóż i natychmiast puścić tę damę!

Łysy pokręcił głową i skrzywił się szpetnie, lecz wydał z siebie jedynie jakiś gardłowy pomruk. Było oczywiste, że nie tylko prawie nie ma zębów, ale też jest niemową. Zaczął wycofywać się w głąb alejki, wlokąc za sobą Idę.

Mężczyzna w żółtym surducie rozejrzał się i zmarszczył brwi, jakby myślał o czymś zupełnie innym. Po chwili wsunął z powrotem miecz do pochwy, odpiął jedną z kieszeni i wyjął skórzany portfel. Wyciągnął z niego pół gwinei i podniósł monetę wysoko, trzymając ją w lewej dłoni, pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem.

– Po twoich rozpaczliwych poczynaniach widzę, że straszliwie potrzebowalbyś takiego portretu króla – powiedział, a Beatrice była zdumiona, że mówi to tak spokojnie.

Florence przestała płakać, ale nadal dygotała i od czasu do czasu wyrывał jej się krótki szloch.

– Jeśli puścisz tę damę, te pół gwinei jest twoje i koniec kwestii – ciągnął mężczyzna w żółtym surducie. – Nie wezwę straży, nie wniosę oskarżenia.

Ogolony patrzył na monetę jak zaczarowany. To było dość, by upijać się przez cały miesiąc albo wziąć sobie jakąś ladacnicę.

Mężczyzna w żółtym surducie czekał cierpliwie, nadal trzymając w górze złotą monetę. Za nim parskały i niecierpliwie stukały kopytami o ziemię jego konie, chcące już jechać dalej, ale on nie zwracał na nie uwagi, a także ignorował ciekawskie spojrzenia przechodniów – bo niektórzy przystawali i ostrożnie zaglądali w alejkę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Beatrice miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Ogolony przez długą minutę wahał się, wreszcie puścił Idę i brutalnie odepchnął ją na bok.

Beatrice podbiegła, złapała ją za rękę i odciągnęła od niego, żeby nie mógł doskoczyć i jej zranić.

– Musisz rzucić nóż – powiedział mężczyzna w żółtym surducie. – Wtedy będziesz mógł wziąć sobie te pół gwinei.

Ogolony parsknął przez ciekący nos, a potem cisnął nóż na ziemię. Lekko kulejąc, zbliżył się z ręką wyciągniętą po monetę. Beatrice miała straszliwe przeczucie, co się zaraz stanie. Przycisnęła do siebie Florence i odwróciła jej głowę. Ida spojrzała na nią. Beatrice nigdy jeszcze nie widziała kobiety, na której twarzy malowałaby się tak wielka ulga, a zarazem taki lęk.

Kiedy ogolony na łyso mężczyzna sięgnął po pieniądze, ten w żółtym surducie błyskawicznie wyszarpnął z pochwy miecz, aż świsnęło w powietrzu, obrócił go zręcznym ruchem nadgarstka i wbił go prosto w krocze łotra, w złachane szare portki. Rozległ się ohydny trzask. Czubek ostrza musiał trafić w nasadę penisa i niemal wykastrować nieszczęśnika, bo spodnie natychmiast zalały się krwią.

Łysy wydał dziwny bełkotliwy krzyk, przypominający upiorne odgłosy, jakie Beatrice słyszała czasem nocą z lasów New Hampshire. Mężczyzna w żółtym surducie pokręcił mieczem i wyciągnął go, wciąż całkiem spokojny tak jak dotąd. Ogolony cofnął się chwiejnym krokiem, trafiając plecami na mur, po czym osunął się na kolana. Przyciskał mocno dłonie do miejsca między udami, ale krew szybko wyciekała mu przez palce. Przestał wrzeszczeć i teraz wydawał z siebie tylko cienki jęk, niczym wygłodzony kot.

– Lepiej szybko poszukaj sobie lekarza – powiedział mężczyzna w żółtym surducie. – Obiecałem, że nie wezwę straży, i dotrzymam słowa. Szpital Świętego Bartłomieja jest jakiś kilometr stąd. Może zdołasz tam



dojść. Jeśli nie, Bóg z tobą. Jak się wykrwawisz na śmierć, przynajmniej nie będziesz musiał polerować brwiami krat królewskiego więzienia.

Schował miecz i znów uniósł monetę, niemal przed samym nosem mężczyzny.

– Mówiłem, że będzie twoja, jak ją weźmiesz, prawda? Ale skoro nie udało ci się jej wziąć, to niestety, muszę zatrzymać ją dla siebie. – Wyjął portfel i wrzucił do niego monetę.

– George – odezwała się ze łzami w oczach Ida. – Nie wiem, jak ci dziękować. Byłam pewna, że poderżnie mi gardło.

– A teraz jedźmy stąd jak najszybciej – rzucił George. – Nie mogłem wprost uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyłem tych łotrów atakujących ciebie i twoje towarzyski.

Zaprowadził je do powozu. Jego odziany w liberię woźnica już chciał zsiąść z kozła i pomóc, ale drzwi nadal były otwarte.

– Nie fatyguj się, Michael! – zawołał George. – Jak najprędzej ruszajmy!

Wsiadły, a George złożył schodki i zamknął drzwi. Wnętrze było obite najdelikatniejszą skórą. Beatrice stwierdziła, że jeszcze nigdy nie siedziała w tak wygodnym powozie. Jednak gdy Michael zaciął konie i ruszyli szybko na południe Whitecross Street, powóz zaczął kołysać, trząść i rzucać tak mocno na rozlicznych koleinach i wybojach, że musiała przytrzymać się pasa przy swoim siedzeniu i z całej siły przytuliła Florence, żeby ta nie spadła z kanapki.

– Istny cud boski, że się pojawiłeś – powiedziała Ida. – Jestem pewna, że ci łajdacy obrabowaliby nas i zrobili swoje, a potem jeszcze zamordowaliby nas dla pewności.

– To nie żaden cud – odparł George. – Przecież byliśmy umówieni na drugą, ale pojechałem do siedziby kościoła, bo twoja czarnuszka

powiedziała mi, że jeszcze tam jesteś. Jednak na miejscu pastor Parsons poinformował mnie, że już wyszłaś, więc wracałem do Maidenhead Court.

– I tak uważam, że to opatrność Boża cię sprowadziła – stwierdziła Ida. – Nie będziesz miał jakichś nieprzyjemności przez to, że raniłeś tego człowieka, prawda?

George pokręcił głową.

– Nie, nie, Boże, absolutnie. To najwyraźniej niemowa i wątplię, by umiał pisać, więc jak miałby poskarżyć się konstablom? Poza tym musiałyby przyznać, że zrobiłem to, ponieważ chciał was obrabować i jeszcze co gorszego, a mamy na to świadków.

Powóz szarpał tak mocno, że Ida musiała kurczowo przytrzymać się jednego z pasów. Ale zdołała położyć jedną dłoń na ramieniu George'a i przedstawić go Beatrice.

– Ten dżentelmen, który pojawił się w samą porę, to pan George Hazzard. George, to Beatrice Scarlet, wdowa po pastorze Francisie Scarlecie, który zginął tragicznie w New Hampshire. I jej córeczka Florence.

– Bardzo miło mi panią poznać – powiedział George. – I ciebie też, Florence. Żałuję tylko, że nie poznaliśmy się w mniej emocjonujących okolicznościach.

– George jest właścicielem fabryki tytoniu Hazzard & Son w Hackney – wyjaśniła Ida. – Niestety, syna już nie ma, ale George'owi nadal powodzi się znakomicie i wykorzystuje swój dobrobyt, aby zatrudniać moje dziewczęta, dając im możliwość uczciwego zarabiania na życie. Obecnie pracuje ich u niego jedenaście. Prawda, George? A przez te wszystkie lata przewinęło się ich tam ponad pięćdziesiąt. Wszystkie z czasem znalazły sobie dobrze płatne miejsca w zamożnych domach albo mężów, albo jedno

i drugie, więc zostały uratowane przed ubóstwem, poniżeniem i upadkiem moralnym.

– Wspierałem nasz kościół od samego początku – wtrącił George. – Jest niezrównany, jeśli chodzi o dobroczynność i chrześcijańskie miłosierdzie. W Londynie mamy tyle biedy. Szczególnie cierpią na tym dziewczęta. Wiele kończy przez to na ulicy albo w przybytkach zakonnych.

Najwyraźniej użył tego określenia jako ironicznego eufemizmu, nie chcąc mówić o domach rozpusty przy Florence, za co Beatrice była mu wdzięczna. Pomyślała, że jeżeli wszyscy dobroczyńcy Świętej Marii Magdaleny są tak wrażliwi i odważni i mają tak nienaganne maniery jak George Hazzard, będzie mogła zrobić w swojej pracy bardzo wiele dobrego. Pragnęła w ten sposób uczcić pamięć Francisa – w jakiejś mierze kontynuować jego szlachetną misję, której poświęcał się od najmłodszych lat.

Co prawda jego grób jest w New Hampshire, ale on sam zostanie uhonorowany tutaj, w Londynie.

## Rozdział 10

Dotarli do Maidenhead Court. Był to ładny teren po wschodniej stronie Aldersgate Street, z szeregowymi czteropiętrowymi domami wśród trawników i platanów. Całość była nawet ogrodzona, a bramę zamykało się na noc, by nie mieli tu dostępu rabusie, włóczędzy i różne podejrzany typy.

Powóz zatrzymał się przed numerem czternaście. Michael, woźnica, zeskoczył z kozła, by otworzyć drzwi i rozłożyć schodki. Kiedy Beatrice wysiadała, George Hazzard podał jej dłoń. Dostrzegła blade twarze obserwujących ich młodych kobiet tłoczących się przy oknach w domu.

– Chyba jesteśmy obiektem zainteresowania, Ido – rzucił z uśmiechem George.

– No wiesz, twoje wizyty zawsze wzbudzają duże emocje – odparła Ida, poprawiając spódnicę. – Dziewczyny nie mogą się doczekać, którą z nich wybierzesz do pracy w swoim zakładzie. Przecież to dla nich pierwszy krok w kierunku szczęśliwego, dostatniego życia.

– Jestem głodna, mamó! – zawołała Florence.

– Nie martw się – uspokoiła ją Ida. – Chleba, sera i zimnej baraniny nam nie brakuje. A ty dostaniesz nawet cukierki z bergamotki za to, że byłaś taką dzielną dziewczynką.

Weszli po schodach do pomalowanych na turkusowo drzwi, które otworzyła przed nimi, zanim zdążyli zapukać, uderzająco ładna czarna dziewczyna w czepku i długim pasiatym fartuchu.

– Dziękuję, Grace. To wdowa Scarlet, o której mówiłam ci w zeszłym tygodniu, a to jej córeczka Florence. Zaprowadź je, proszę, do ich pokoi, żeby mogły umyć ręce i trochę odpocząć, dobrze? Wkrótce przyjedzie ich bagaż – powiedziała Ida, po czym zwróciła się do Beatrice: – Kiedy

obejrzyś już wasze lokum, może miałybyś ochotę zejść na dół do salonu, by poznać niektóre z naszych rezydentek i się posilić?

Korytarz był wąski, a strome gołe schody skrzypiały. Beatrice, gdy wraz z Florence zaczęła wspinać się za Grace, dosłyszała chichoty zza uchylonych drzwi. Jakaś dziewczyna o kręconych blond włosach wyjrzała z salonu i popatrzyła na nie, ale zaraz schowała się znowu, po czym nastąpiły kolejne chichoty.

Ida spojrzała na nią z dołu.

– Nie zwracaj na to uwagi, Beatrice – powiedziała. – One strasznie się wszystkim emocjonują, te nasze dziewczęta. Przywykły do dość burzliwego życia i w porównaniu z tym codzienność u Świętej Marii Magdaleny wydaje się im czasem zbyt restrykcyjna. Ale tylko dostosowując się do rutyny, mogą spełnić się na tym świecie i dostąpić zbawienia na tamym. Nie wspominając o czystości ciała i ducha oraz stałych modlitwach.

– Dobrze powiedziane, Ido – wtrącił George i poklepał ją po ramieniu.

Ida i George weszli do salonu, a Grace z Florence i Beatrice ruszyły dalej na górę.

– Skąd pochodzisz, Grace? – spytała Beatrice, kiedy były już na pierwszym piętrze.

– Jak miałam siedem lat, zostałam tu przywieziona z Barbadosu przez swojego pana, żeby uczyć się na służącą – powiedziała Grace.

Miała lekki akcent z Indii Zachodnich, ale mówiła bardzo wyraźnie i uroczo melodyjnie, niemal jakby śpiewała w kościele.

– I co się stało potem? – spytała Beatrice.

– Żona mojego pana umarła na dur plamisty. To była dobra kobieta, zawsze dla mnie miła. Pan ożenił się powtórnie, ale jego nowa żona biła mnie i źle traktowała. W końcu nie mogłam tego dłużej znieść i uciekłam. – Urwała na chwilę, po czym ciągnęła dalej: – Zostałam przyjęta przez tę

kobietę z Chick Lane, panią Starling. Opiekowała się mną troskliwie, ale oczywiście musiałam zadowalać wszystkich mężczyzn, którzy tam przychodzili. Tak było, dopóki nie uratowała mnie pani Smollett, zabierając mnie tutaj, niech Bóg ją błogosławi.

Dotarły teraz na trzecie piętro i Grace poprowadziła je na koniec korytarza. Otworzyła drzwi i Beatrice weszła do środka.

Pokój był o wiele mniejszy niż te, do których przywykła – wyłożony dębiną, liczył nie więcej jak cztery na trzy i pół metra. Stały tam dwuosobowa sofa, jedno krzesło i mała toaletka przy oknie z widokiem na czubki drzew Maidenhead Court, a dalej, za stłoczonymi dachami St Martin's Le Grand i Newgate Street, na wielką szarą kopułę katedry Świętego Pawła, najwyższy budynek w Londynie, jeśli nie na całym świecie.

Z lewej strony były drzwi do jeszcze mniejszego pokoiku, z szafą i umywalnią oraz podwójnym łóżkiem, przy którym pozostawało ledwie z dziesięć centymetrów, żeby się precyzyjnie. Na łóżku leżała ciężka rudawa narzuta, a nad miską z wodą wisiał wizerunek Jezusa z uniesioną dłonią i z błyszczącą aureolą nad głową. Beatrice poczuła się dziwnie, bo Jezus bardzo przypominał Jeremy'ego.

– Do zobaczenia na dole, pani Scarlet – powiedziała Grace. – W dzbanku jest świeża woda, a w szafie znajdzie pani ręczniki. Mam nadzieję, że dobrze będzie się pani tu z nami żyło. Tutejsze dziewczęta... Śmieją się, wydają się wesołe, ale większość jest strasznie smutna. Potrzebują kogoś, z kim mogłyby porozmawiać. Dopiero co, dwa tygodnie temu, powiesiła się tu dziewczyna o imieniu Anna. Nigdy nikomu nie mówiła, że chce się zabić.

– Mam nadzieję, że na coś się przydam – odrzekła Beatrice. – Również tobie, Grace. Jeśli jest coś, co cię trapi, cokolwiek, zawsze możesz do mnie

przyjść i powiedzieć mi o tym.

Grace przewróciła oczami, jakby coś takiego chodziło jej po głowie, ale się nie odezwała.

Kiedy wyszła, Florence pociągnęła Beatrice za rękaw.

– Szybko! Chcę siusiu!

Beatrice nachyliła się i zajrzała pod łóżko. Stał tam duży biały nocnik, ozdobiony znakiem zacnego przedsiębiorstwa produkującego i mieszającego tytoń: dwaj czarnoskórzy mężczyźni, stojący po bokach krzewu tytoniu, i podpis: *Producatur Terra – Z Ziemi*.

Florence uniosła halki i usiadła na nocniku, a Beatrice podeszła do okna i zapatrzyła się na kopułę katedry. Nie otrząsnęła się jeszcze z szoku po napaści. Co gorsza, boleśnie tęskniła za New Hampshire, choć wiedziała, że jej życie w Sutton było nawet niebezpieczniejsze niż tutaj, w inny sposób. Prawie żałowała, że zgodziła się wrócić do Londynu, ale czy mogła postąpić inaczej?

Florence wyszła z sypialni.

– Gotowe – oznajmiła. – Wsunęłam nocnik z powrotem pod łóżko.

– Grzeczna dziewczynka. – Beatrice wzięła ją na ręce i przytuliła. – A teraz szybko umyjmy się trochę i chodźmy na dół poznać naszą nową rodzinę, dobrze?

• • •

Salon był duży, z ogromnymi oknami po obu stronach. Z wysokiego sufitu zwisał dwupoziomowy mosiężny żyrandol, niczym monstrualny pająk. Jednak pomimo wielkości tego pomieszczenia panował ścisk, bo zebrało się tu ponad dwadzieścia dziewcząt. Część siedziała na trzech kanapach o wygiętych oparciach, inne w fotelach, po dwie, a nawet jedne drugim na kolanach.

Ida zajmowała miejsce w fotelu przy białym marmurowym kominku, a George stał tuż za nią, opierając rękę o gzyms. Władczy wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że uważa się za pana tego domu i patrona wszystkich tych dziewcząt. Beatrice pomyślała, że jeśli to głównie on opłaca to lokum, a także płaci za wyżywienie, ubrania i edukację podopiecznych schroniska, ma pełne prawo tak się czuć. Przecież dostarczył nawet nocniki do pokojów.

Spojrzał na wchodzącą Beatrice, uśmiechnął się i lekko się jej skłonił, niemal jakby łączył ich jakiś sekret. Beatrice skinęła mu głową. Nabierała przekonania, że to człowiek, z którym łatwo jej będzie nawiązać serdeczną i trwałą przyjaźń.

Ida klasnęła w dłonie, żeby uciszyć dziewczęta, po czym przedstawiła im Beatrice i Florence. Tymczasem Grace przysunęła bliżej palisandrowy fotel, żeby Beatrice mogła usiąść obok kierującej schroniskiem. Florence przycupnęła po turecku na podłodze przed matką.

– Z wielką przyjemnością mogę powiedzieć – odezwał się George – że produkcja w mojej fabryce przez tych kilka miesięcy ogromnie wzrosła i jestem w stanie zatrudnić siedem nowych dziewcząt. Celem mojej dzisiejszej wizyty jest wybrać spośród was tę siódmką, która może zacząć pracę u mnie od poniedziałku rano.

Dziewczyny szeptały coś między sobą i chichotały, zasłaniając dłońmi usta. Beatrice nie mogła nie zauważyć, że większość z nich jest ładna, może z wyjątkiem jednej czy dwóch, a trzy lub cztery można by określić jako prawdziwe piękności. Szczególnie wyróżniała się jedna, która nie siedziała z innymi, ale stała przy oknie w końcu pokoju. Patrzyła na małe podwórko za domem, gdzie na cokole był naturalnej wielkości posąg jakiejś greckiej bogini.



Dziewczyna wyglądała na osiemnaście, dziewiętnaście lat, choć mogła być młodsza. Wijące się długie jasne włosy przewiązała luźno szkarłatnymi wstążkami. Miała na sobie różową suknię o mocno zaznaczonej talii, marszczoną, z głębokim wycięciem w karo, uwydatniającym jej pełne piersi. Szkarłatna lamówka zdobiła krawędzie dekoltu, podobnie jak sięgających łokci rękawów.

Beatrice pomyślała, że jej twarz jest wyjątkowa. Ogromne zielone oczy, wydatne kości policzkowe, malutki zadarty nosek. Usta były różowe, lekko wydęte, jakby miała zaraz posłać komuś pocałunek.

Beatrice nachyliła się do Idy.

– Kim jest ta dziewczyna w różowym? – spytała.

– A, ta. – Ida machnęła lekceważąco ręką. – Jest u nas od niedawna. Wzięliśmy ją po jednym z najazdów konstabli na domy rozpusty na Hedge Lane. W sumie zgarnęli dwadzieścia pięć dziewczyn. Niektóre miały nie więcej jak trzynaście lat. Tej dano do wyboru: albo pojedzie do schroniska Świętej Marii Magdaleny, albo stanie przed sądem Old Bailey za nierząd. Nazywa się Jane Webb i jak pewnie widzisz po jej minie, nie jest zachwycona pobytem u nas. Czasami myślę, że wolałaby już, żeby posłali ją do domu poprawczego Clerkenwell wraz z innymi dziwkami.

– Jakie to smutne – powiedziała Beatrice. – Ma taką uroczą buzię.

– Tak bywa z wieloma naszymi podopiecznymi – odparła Ida. – Nie mają domu, nie mają żadnego wykształcenia ani umiejętności. Ich jedyną kartą przetargową jest uroda i chęć, żeby kłaść się na wznak.

George krążył teraz po salonie, zagadując miło do niektórych dziewczyn. Znowu chichotały, kiwały głowami, a Beatrice łatwo było zgadnąć, które zaprosi do pracy w swojej fabryce. Jane wciąż stała przy oknie, wyglądając na zewnątrz, jakby nie interesowało jej to, co się tutaj dzieje. Jakaś inna dziewczyna siedziała na stołeczku w rogu – pulchna,

o szerokich biodrach, w sukni z brązowej tafty i satyny. Miała marne czarne włosy i czarną gwiazdkę na policzku, którą pewnie nalepiła, żeby ukryć pieprzyk.

Florence podeszła do okna wychodzącego na front domu, by popatrzeć na powozy mijające posiadłość, a Beatrice w tym czasie ruszyła w kierunku otyłej dziewczyny i uśmiechnęła się do niej.

– Mogę spytać, jak masz na imię? Miło mi cię poznać, choć wątpię, byśmy mogły długo kontynuować znajomość, jeśli zostaniesz wybrana do pracy w fabryce tytoniu pana Hazzarda – powiedziała.

– Judith – przedstawiła się dziewczyna. – Ale on mnie nie wybierze. Nigdy w życiu. Już trzeci raz podczas mojego pobytu przyjeżdża tutaj i nigdy mnie nie wybiera.

– Może pani Smollett mówiła mu, że lubi twoje towarzystwo i woli, abyś została.

Judith poruszyła się na stołku i pociągnęła naszywany paciorkami przodzik przy gorsecie. Poza tym, że był ozdobą, pozwalał w razie przybierania na wadze dopasowywać suknię bez konieczności przeróbek.

– Wcale nie o to chodzi – wybąkała smętnie. Miała mocny akcent z Sussex albo Kentu. – On bierze tylko ładne.

– Jestem pewna, że to nie tak – zaoponowała Beatrice. – Nie trzeba być pięknym, żeby zwijać liście tytoniu. Zresztą jesteś równie ładna jak inne dziewczęta.

– Nie musi mi pani schlebiać. Wiem, że jestem gruba i przeciętna. Są tu i inne takie, które nawet nie zadają sobie trudu, żeby zejść na spotkanie z panem Hazzardem. Wiedzą, że nigdy ich nie zechce, bo brak im urody.

– No to co zamierzasz? Przecież nie możesz zostać w schronisku na zawsze, prawda?

– Wiem, ale dwa razy w tygodniu przychodzi tu krawcowa i uczy mnie szycia i wyszywania, a Martha pokazuje mi, jak się piecze ciasta. Mam nadzieję, że niedługo będę mogła podjąć pracę w jakimś bogatym domu. A jeśli nie uda mi się znaleźć takiego miejsca... no, zawsze można trochę zarobić w wesołych domach. Panowie tam lubią pełne dziewczyny.

– Chyba nie wrócisz do takiego życia, co?

– Tylko jeżeli nie będę miała innego wyjścia, wdowo Scarlet. Łatwo być porządną dziewczyną, jak siedzi się w cieple, ma się co włożyć na siebie i jest co jeść.

Beatrice położyła dłoń na ramieniu Judith, by dodać jej otuchy. Nie wiedziała, co powiedzieć, ale ta dziewczyna uświadomiła jej, ile wsparcia i zachęty będzie musiała zapewnić tym dziewczętom. Po co miałyby harować za tyle co nic jako służące, jeśli co wieczór mogły przechadzać się po Covent Garden i Strandzie i zarabiać po gwinei albo i więcej od każdego pijanego gościa, który im się trafi, a czasem też wyciągnąć mu z kieszeni chustkę, zegarek i parę dodatkowych monet? I zawsze istniała szansa, że jakiś bogaty mężczyzna szczególnie je sobie upodoba. Beatrice słyszała o wielu słynnych prostytutkach, które nieźle się ustawiły. Na przykład taka Lavinia Fenton – której dziewictwo sprzedała jej własna matka za dwieście funtów, a potem zarabiała na niej dwieście funtów rocznie – z czasem wyszła za księcia Bolton i umarła jako bardzo zamożna kobieta. Albo Nancy Parsons, tancerka, która nierządem dorabiała po sto gwinei tygodniowo, a w końcu została żoną wicehrabiego Maynarda.

Kiedy Beatrice skończyła rozmawiać z Judith, podeszła do Jane. Stała przy niej dłuższą chwilę, ale Jane nadal patrzyła w okno, nie zwracając na nią uwagi.

– Jane – zagadnęła ją wreszcie bardzo cicho.

Dziewczyna spojrzała na nią, ale nie odezwała się słowem. Teraz, z bliska, Beatrice zauważyła, że jej oczy mają różne odcienie zieleni z malutkimi pomarańczowymi plamkami, niczym oczy lisicy albo drapieżnego kota. Na szyi nosiła zaśnieżony krzyżyk, pewnie posrebrzany. Beatrice zaintrygowało, że figurka Chrystusa była zwrócona w lewo, zamiast w prawo, jak zwykle.

– Ciekawy krzyżyk. Nigdy nie widziałam, żeby Chrystus był odwrócony w tę stronę.

Jane uniosła wisiołek, żeby Beatrice mogła się lepiej przyjrzeć.

– Babcia mi go dała. Powiedziała, że to krzyż grzeszników. Na wszystkich innych Jezus patrzy na prawo, gdzie jest jego mama i wszyscy dobrzy ludzie. A ten spogląda w lewo na złodziei, morderców i upierdliwych chrześcijan. Wie pani, owieczki na prawo, capy na lewo.

– Czy pan Hazzard już z tobą rozmawiał? – spytała Beatrice. – Zabierze cię do fabryki tytoniu?

– Mam taką pieprzoną nadzieję – odparowała Jane. – Już mam powyżej cycków tego miejsca.

– Nie jest ci tu dobrze?

– A jak pani myśli? Stale te cholerne modlitwy i pranie. Moja matka była praczką w Tower Hill i nigdy nie robiła nic innego, tylko modliła się i prała, modliła się i prała... chociaż te jej modlitwy to było nic w porównaniu z tym, co jest tutaj.

– Jane... pani Smollett tylko próbuje pokazać wam, że można żyć inaczej, bezpiecznie, według pewnych zasad moralnych, i przygotowuje was do tego. Uczy was czytać i pisać, prawda? I szyć, i różnych innych przydatnych rzeczy...

– E tam! – prychnęła Jane. – Jedyne, co muszę umieć, to liczyć gwinee i pilnować, żeby każdy gość zakładał prezerwatywę.

– A gdybym cię zapewniła, że możesz prowadzić o wiele bardziej satysfakcjonujące życie? Znaleźć sobie męża, który by cię uwielbiał i opiekował się tobą? Mieć pewnego dnia dzieci i wychowywać je tak, żeby były równie szczęśliwe jak ty? Co ty na to?

– To androny, takie same, jakie plecie pani Smollett. Musiałam radzić sobie sama, odkąd skończyłam jedenaście lat, i wiem, czego chcą ode mnie mężczyźni i ile są za to gotowi wyrzygać. To jedno się liczy. Może po śmierci pójde do nieba, może do piekła, ale na mój rozum nie mam wyboru w tej kwestii. Mogę prac i modlić się, aż padnę na pysk, a to i tak nie robi żadnej różnicy.

Beatrice zastanowiła się przez chwilę, po czym skinęła głową.

– Tak. Potrafię zrozumieć, dlaczego masz takie wrażenie.

Jane tylko popatrzyła na nią nieufnie, bez słowa, jakby spodziewała się kolejnego surowego kazania.

– Czasami sama podejrzewam, że modlitwa nie na wiele się zdaje – ciągnęła Beatrice. – Mój mąż został okrutnie zamordowany dwa lata temu w New Hampshire. A teraz straciłam też synka. Najprawdopodobniej porwali go Indianie i więcej go nie zobaczę. Modliłam się, żeby do mnie wrócił, a potem modliłam się o jego bezpieczeństwo, ale możliwe, że do końca swoich dni nie dowiem się, czy żyje, czy nie, i czy moje modlitwy zostały wysłuchane.

– Porwali go Indianie? – powtórzyła ze zdumieniem Jane. – Czerwonoskórzy?

– Tak. Zwykle porywali kobiety, ale czasami i dzieci. I niemal zawsze w takich przypadkach te osoby znikają na zawsze, chyba że jakimś cudem udało się im uciec.

– Współczuję pani, naprawdę – wybąkała Jane.

– Dziękuję ci, Jane, ale proszę, postaraj się zrozumieć, co usiłuję ci powiedzieć. Twoje życie było potworne, ponad wszelką miarę, gorsze, niż jesteś to w stanie pojąć, bo nigdy nie zaznałaś innego. Mój świętej pamięci mąż, Francis, byłby oburzony tym, co mówię, jednak doszłam do wniosku, że modlitwa sama w sobie nic nie pomoże. Bóg jest naszym stwórcą, ale dał nam wolną wolę i zdolność dokonywania wyborów i jeśli zdecydujemy się niszczyć samych siebie, on nie zainterweniuje, bo to przeczyłoby wolności, którą nam zagwarantował.

– O co niby pani chodzi? – spytała Jane.

Rzuciła to ze złością, ale Beatrice czuła, że dziewczyna naprawdę jest ciekawa odpowiedzi.

– Gdybym dała ci piękną jedwabną suknię, a ty byś ją wybrudziła i podarła, czyja byłaby to wina? Nie moja, bo podarowałam ci ją w najlepszej wierze. Gdybyś wróciła i poprosiła o nową, czy byłabym okrutna, odmawiając i każąc ci wyczyścić i naprawić tę suknię, którą już ode mnie dostałaś?

Jane nadal patrzyła na nią bez słowa, ale Beatrice widziała, że dziewczyna uchwyciła sens tej przenośni.

– Niektórzy ludzie myślą, że kiedy traci się dziewictwo, to już nie można go odzyskać – ciągnęła Beatrice. – Ale jeśli zaczniesz żyć uczciwie, staniesz się tak czysta jak przedtem. Twoja piękna jedwabna suknia znów będzie nieskalana. Jak się ją ładnie pozszywa, nikt nigdy nie pozna, że nie jest całkiem nowa.

Jane już miała coś odpowiedzieć, ale podszedł do nich George i położył im obu dłonie na ramionach.

– O, ta młoda dama wydaje się idealną kandydatką do naszej fabryki tytoniu! – zawołał. – Moja droga, wyglądasz na pracowitą i sumienną, a w dodatku wniesiesz trochę piękna do naszego zakładu, jeśli wolno mi

mówić coś takiego. Mogę zaproponować ci dwanaście szylingów i sześć pensów tygodniowo, a także wygodne lokum nad fabryką, więc nie będziesz musiała ryzykować chodzenia wczesnym rankiem do Hackney i wieczornych powrotów.

Jane spojrzała na Beatrice, a ta uśmiechnęła się lekko, jakby chciała powiedzieć: no i masz swoją szansę zacząć od nowa i nawet jeśli rwanie liści tytoniu i skręcanie z nich cygar nie jest najbardziej fascynującym zajęciem, to bezpieczniejszy i bardziej moralny sposób zarabiania na życie, a kto wie, jak może nagrodzić cię Bóg za odwrócenie się od hańby prostytutki?

– Dobrze, panie Hazzard – powiedziała Jane. – Umowa stoi.

– Jak się nazywasz, młoda damo? Daję tobie i twoim koleżankom czas do końca tygodnia na spakowanie się, a potem wszystkie możecie zacząć od poniedziałku rano, punktualnie o szóstej.

– Jane Rose Webb to moje imię i nazwisko.

– Pasuje do ciebie, moja droga! Pasuje! A w pracy u mnie naprawdę rozkwitniesz jak róża, zapewniam cię.

## Rozdział 11

George pożegnał się i odjechał. Dziewczęta, które wybrał do pracy w fabryce – uradowane, całe w wypiekach – gadały jak najęte. Cieszyły się, że będą miały więcej swobody i własne pieniądze. W dodatku praca u Hazzarda najwyraźniej często prowadziła do poznania właściwego, dobrze sytuowanego mężczyzny i ślubu.

George stale powtarzał im, że musi tak często odwiedzać schronisko Świętej Marii Magdaleny w poszukiwaniu nowych pracownic, bo wiele jego dziewczyn wpadało w oko dżentelmenom, którzy jako klienci pojawiali się u niego w fabryce, by zamówić próbki albo tytoń, cygara czy tabakę. Zdarzało się, że zapraszali dziewczęta na tańce lub do teatru i zanim George się obejrzał, tracił kolejną robotnicę, bo wychodziła za mąż.

Jedyną dziewczyną, która nie podzielała radosnego podniecenia, była Jane. Nadal tkwiła przy oknie, choć teraz usiadła i patrzyła ze smutkiem na posąg greckiej bogini na podwórku. Beatrice zastanawiała się, czy powinna pomówić z nią dłużej, bo wyglądało na to, że Jane coś trapi. Jednak była potwornie zmęczona, a Florence znów do niej podeszła, pociągnęła ją za sukienkę i powiedziała, że jest głodna. Beatrice zostawiła więc Jane w spokoju i poszła za Idą do jadalni po drugiej stronie korytarza. Kucharka i jej podręczna wyłożyły zimną baraninę i pikle, i salceson oraz zapiekankę z sera i budyń rybny, a także deser – ciasteczka francuskie z wiśniami.

Beatrice nigdy nie miała okazji jeść budyniu rybnego. Był zrobiony z mielonych migdałów, daktyli, ikry szczupaka i jaj, posłodzony wodą różaną. Już po jednej łyżeczce Beatrice pomyślała, że czegoś równie wstrętnego w życiu nie jadła. Florence jednak bardzo zasmakował. Siadła na parapecie i wymachując nóżkami, pochłonęła całą miseczkę budyniu.



Po tym lunchu Beatrice i Florence poszły do swojego pokoju odpocząć. Beatrice rozsznurowała buty i położyła się na narzucie, a Florence wdrapała się na łóżko i ułożyła się obok niej.

– Możemy już wrócić do domu? – spytała.

– Nie, Florrie. Musimy zostać tu, w Londynie. Mama musi opiekować się dziewczętami, które tu mieszkają. I tobą też, oczywiście.

– Nie podoba mi się tutaj. Chcę wrócić do domu i szukać No-no.

– Ja też, kochanie. Ale Bóg wyznaczył nam inną drogę. Musimy być Mu posłuszne i nią podążać.

– Nie lubię Boga.

Beatrice nic na to nie odpowiedziała, tylko delikatnie pogładziła policzek Florence i okręciła sobie na palcu kosmyk jej włosów. Jeśli jej i Florence było tak smutno, nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak trudno jest Noahowi. Jeśli w ogóle jeszcze żyje. Strata Noaha była jeszcze bardziej bolesna przez to, że w twarzy córeczki, w jej czole, oczach, widziała siebie, ale nie dostrzegała ani śladu podobieństwa do Francisa.

Kiedy tak głaskała małą, Florence zasnęła głęboko, a wkrótce usnęła i Beatrice. Śniło się jej, że znów jest w plebanii w Sutton, chodzi wśród rzędów pnącej fasoli i słyszy Noaha, który śmieje się i woła coś do niej. Próbowwała wyjść spomiędzy grządek, ale kiedy tylko docierała do ich końca, ziemia zaczynała gwałtownie falować, a ona traciła równowagę i musiała przytrzymać się tyczek, żeby nie upaść. Oczywiście, to wszystko było nieświadomym wspomnieniem trwającej ponad trzy tygodnie podróży statkiem, podczas której dawało się im we znaki kołysanie oceanu.

W sypialni było już całkiem ciemno, gdy Beatrice otworzyła oczy. Słyszała, że na zewnątrz pada deszcz – leje jak z cebra. Było jej niedobrze, w ustach miała smak żółci i budyniu rybnego, ale nawet w ciemnościach łatwo mogła sięgnąć po nocnik, nie musiałaby więc wymiotować przez

okno. Jednak po jakimś czasie mdłości przeszły. Położyła się na wznak, lekko zdyszana i spocona. Florence nadal spała. Beatrice za trzy dni spodziewała się okresu i już czuła się opuchnięta.

Kiedy jej oczy przywykły do ciemności, wstała z łóżka i precyzyjnie się do małego saloniku. Na toaletce stał mosiężny lichtarz ze świeczką, a obok niego okrągłe krzesiwo. Chwilę trwało, nim udało jej się uzyskać iskrę, ale wreszcie zapaliła świecę i zrobiło się jasno. Podniosła mały srebrny zegarek leżący na brzegu kufierka i zobaczyła, że jest dopiero wpół do ósmej. Powinna zdążyć się przebrać, nim pójdzie na dół, by zapoznać się bliżej z dziewczętami.

Spojrzała na swoje odbicie w owalnym lustrze obok świecy.

– Przystań się nad sobą uzalać – powiedziała na głos. – Dla dobra Florrie będziesz wesoła i radosna jak ten płomyk.

Nie wiedziała, czy naprawdę zdoła być szczęśliwa, ale przecież sama przekonywała Jane, że można zostawić za sobą przeszłość. Powinna tak właśnie zrobić. Była pewna, że spotka Francisa i Noaha w niebie, a na razie musiała po prostu starać się jak najlepiej wykorzystać czas, który jej tu pozostał. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowieka zaatakują suchoty albo dyfteryt, albo szkarlatyna czy którakolwiek z mnóstwa chorób, jakie pleniły się w Londynie przez pchły, wszy i szczury, i przelewające się nieczystości w latrynach, gdzie wyrzucano też flaki patroszonych zwierząt.

Beatrice nadal patrzyła na swoje odbicie, kiedy usłyszała nieśmiałe pukanie. Nie odezwała się, nie chcąc budzić Florence, tylko podeszła do drzwi.

– Tak? Kto tam? – spytała cicho.

– Jane. Coś się stało, wdowo Scarlet. Coś... no nie wiem... to naprawdę cud. Mogę z panią pomówić?

Beatrice otworzyła drzwi.

– Wejdz, proszę – powiedziała.

Jane nadal była w tej samej różowej sukni, choć teraz mokrej od deszczu. Włosy też miała mokre.

– To pewnie przez panią, wdowo Scarlet, przez to, co pani mówiła o modlitwach, które nie działają, o spaskudzeniu sukienki i tak dalej.

– Co masz na myśli?

– To jak znak, rozumie pani? Tak jak z Mojżeszem i gorejącym krzakiem, o którym stale gada pani Smollett... Albo tym patykiem, który zmienił się w węża.

– Chcesz powiedzieć, że dostałaś znak od Boga?

– To musiał być Bóg. Bo kto inny? Ale myślę, że to przez panią i przez to, co pani mówiła, On to zrobił. Skinął do mnie, pokazał, że pani gada do rzeczy.

Jane była tak podekscytowana, że Beatrice ujęła jej ręce, starając się ją uspokoić.

– Ciii, już dobrze. Usiądź tu na kanapie i powiedz mi dokładnie, co widziałaś.

Jane wzięła głęboki wdech i uniosła swoje wielkie zielone oczy. Na rzęsach błyszczały jej łzy.

– Po kolacji poszłam na górę, ale jak zdejmowałam sukienkę, zauważyłam, że nie mam kieszonki. Wróciłam na dół, bo pomyślałam, że upuściłam ją tam, kiedy przyjechał do nas pan Hazzard. Nie wzięłam świeczki. W holu było bardzo jasno. Znalazłam kieszonkę pod kanapą i strasznie się ucieszyłam, bo miałam tam jedną monetę i bransoletkę z wisiorami. Ale jak wstawałam, coś kazało mi zerknąć przez okno. I przysięgam pani, nie kłamię, zobaczyłam, że posąg odwrócił się i patrzył na mnie.

– Chodzi ci o ten posąg greckiej bogini na podwórku?

Jane pokiwała szybko głową.

– Wiem, myśli pani, że trzeba mnie wysłać do wariatkowa. Ale widziałam to na własne oczy. Obrócił głowę, jakby był żywy.

– Jane, ten posąg jest z marmuru czy jakiegoś innego kamienia. Posągi się nie ruszają. Nie są żywe.

– To dlatego do pani przybiegłam. Może zgodziłaby się pani zejść i zobaczyć sama? Chcę wiedzieć, czy nie miesza mi się w głowie.

Beatrice zajrzała do sypialni. Florence nadal spała.

– Dobrze. Ale szybko, zanim obudzi się moja córka.

– Wiem, że to znak – dodała Jane. – Przecież mówiła mi pani, że Bóg daje nam dar, ale to my musimy o niego dbać... Prawda? Czyścić go, naprawiać. I pomyślałam, że może ma pani rację, może mogłabym zacząć od nowa i znów stać się w pewnym sensie dziewczicą. Właśnie nad tym się zastanawiałam, kiedy pobiegłam szukać kieszonki.

– W takim razie chodź, pójdziemy i sprawdzimy – powiedziała Beatrice.

Cicho zamknęła drzwi na zatrzask i poszła za Jane na dół. Kiedy schodziły, migotliwe światło z kandelabra w holu rzucało na ścianę powykrzywiane cienie, które wyglądały, jak wysokie chude zjawy kroczące za nimi.

Weszły do salonu i okrążyły kanapy, żeby podejść do okna wychodzącego na tyły domu. Na zewnątrz padało tak strasznie, że ciemne podwórko tonęło w wodzie. Posąg greckiej bogini miał uniesioną jedną rękę. Krople deszczu skapywały z jej palców.

– Przysięgam na wszystko, ona obejrzała się, by na mnie spojrzeć – powiedziała Jane. – Jeśli poczuje, że pani tu jest, może zrobi to znowu.

– Pewnie to była tylko gra światła – podsunęła Beatrice. – Te świece w holu... patrz, płomyki migają w przeciągu, prawda? Mogły odbić się

w kroplach deszczu i wydało ci się, że ona odwraca głowę.

– Nie – zaproponowała stanowczo Jane. – Patrzyła na mnie, wdowo Scarlet, bez dwóch zdań.

Beatrice nie wiedziała, co powiedzieć. Najwyraźniej Jane rozpaczliwie pragnęła jakiegoś potwierdzenia, że może się zmienić. Może dlatego wyobraziła sobie, że posąg ożył. W oddechu dziewczyny nie wyczuwało się wina, więc Jane nie była pijana, ale nawet w mrocznym pokoju widać było, że jej oczy szklą się jeszcze bardziej niż przedtem. I pociągała nosem, jakby miała lekki katar.

Beatrice chciała już ją spytać, czy nie brała jakiegoś lekarstwa, gdy drzwi salonu otworzyły się szerzej i weszła Ida, niosąc potrójny lichtarz z długimi świecami.

– Och, Beatrice, moja droga – powiedziała. – I Jane. Mój Boże! Co wy tu robicie po ciemku?

– O, tak tylko sobie rozmawiamy – odparła Beatrice. – Jane mówiła mi o swoich nadziejach na przyszłość, teraz, kiedy pan Hazzard wybrał ją do swojej fabryki tytoniu.

– I pokazywałam wdowie Scarlet posąg – dorzuciła Jane. – Nie uwierzy pani, ale...

– Masz może trochę gorącej czekolady, Ido? Albo coś innego ciepłego do wypicia przed snem? – przerwała jej Beatrice, rzucając Jane wymowne spojrzenie, żeby lepiej już nic nie mówiła.

– Oczywiście – odrzekła Ida. – Ale może masz ochotę zjeść coś na kolację? Chyba zostało jeszcze trochę salcesonu i jest mnóstwo budyniu rybnego.

– Wystarczy gorąca czekolada, dziękuję. Dla mnie i dla małej Florrie.

– Nie uwierzy pani... – Jane nie dawała za wygraną. – To znaczy gdybym nie widziała na własne oczy...

– Chodzi o posąg – wyjaśniła Beatrice, znowu jej przerywając. – Jane uważa, że jest całkiem jak żywy.

– O tak – przyznała Ida. – Przywiózł go z Grecji jeden z naszych dobroczyńców, sir Humphrey Nevins. Uznał, że pasuje do schroniska Świętej Marii Magdaleny, bo przedstawia Astreę, boginię czystości i sprawiedliwości. Kiedyś zapewne trzymała w dłoni wagę z brązu, ale już dawno ją zgubiła. Legenda głosi, że Astrea nabrała takiego obrzydzenia do zepsucia tego świata, że odleciała do nieba i zmieniła się w gwiazdozbiór Panny.

– A więc zmieniła się w dziewicę – zauważyła Jane.

– Tak, można tak to ująć.

Jane złapała Beatrice za nadgarstek i zaczęła ją lekko szarpać.

– Widzi pani? – szepnęła. – Mówiłam! Słyszała pani słowa i dała mi znak. Ja to zrobiłam, tobie też może się udać!

Ida zmarszczyła brwi.

– Słucham? O kim ty mówisz, Jane? – spytała.

– Nieważne, pani Smollett – odparła Jane. – Już nic. Dobranoc. – Wyszła z salonu i ruszyła na górę.

Kiedy znikła, Ida obróciła się do Beatrice.

– Przyznam, że nic z tego nie rozumiem.

– Nie przejmuj się. Sądzę, że udało mi się dzisiaj przekonać Jane, że nie musi spędzić reszty życia w domu rozpusty – wyjaśniła Beatrice. – To było dla niej swego rodzaju olśnienie, moment przełomowy. – Już miała opuścić salon, gdy spostrzegła, że Jane zostawiła na jednej z sof swoją kieszonkę. Podniosła ją. – Patrz, zapomniała ją zabrać, a po nią tu zeszła! W którym jest pokoju? Zaniosę jej.

Wstążeczka ściągająca woreczek była poluzowana i Beatrice mogła zobaczyć, co jest w środku. Pół korony, jak mówiła Jane, a także srebrna

bransoletka z przywieszkami. Ale była też mała buteleczka z brązową papierową etykietką z nadrukiem: „Anodyna”.

Beatrice od razu zorientowała się, co zawiera. Był to eter. Niektórzy go pili, inni wdychali opary. Jakkolwiek stosowała ten środek przeciwbólowy Jane, wyjaśniało to, skąd to jej szkliste spojrzenie i dlaczego uznała, że posąg się obejrzał.

Beatrice wiedziała od ojca, że ten specyfik, bez względu na to, czy się go piło, czy wdychało, był mocno uzależniający i w efekcie powodował pęknięcie skóry i niewydolność płuc, a także różne choroby nerwowe i przedwczesną śmierć.

Nie powiedziała nic Idzie, ale mocno zawiązała wstążeczkę, po czym ruszyła na drugie piętro do pokoju Jane. Z ciężkim sercem zapukała do drzwi. Jane była tak uderzająco piękna, ale wyglądało na to, że Beatrice będzie musiała ratować ją nie tylko od pokus jej plugawej przeszłości, ale też od spustoszeń, jakie mogło w przyszłości poczynić jej uzależnienie.

## Rozdział 12

W poniedziałek rano pod dom podjechały dwie dwukółki, aby zabrać siedem wskazanych przez George'a dziewcząt. Wóz zaprzężony w niskiego konika wziął ich skromne bagaże.

Beatrice z Florence i Idą wyszły pomachać im na pożegnanie, a inne dziewczęta zgromadziły się przy oknach. Dzień był rześki, słoneczny. Z drzew spadały już pierwsze liście. Choć minęła dopiero szósta, w powietrzu czuć było zapach smażonych kiełbasek, a z Aldersgate Street dobiegały nawoływania, podśpiewywanie i dzwonki handlarzy.

– Jestem głodna – odezwała się Florence.

– Wiecznie jesteś głodna. Straszny z ciebie żarłoczek! – powiedziała ze śmiechem Beatrice, ale cieszyła się, że Florence ma apetyt i najwyraźniej nie tęskni już tak za Sutton.

Kiedy wróciły do środka, Ida zaprowadziła je do dużego, wychodzącego na północ pokoju za jadalnią, który nazywała „atelier”. Był jasny i przestronny, choć teraz lekko zadymiony po rozpaleniu kominka. Stały tu półkolem stoliki z krzesłami, gdzie dziewczęta siadały do szycia. Były też trzy sztalugi, na których mogły malować.

Dziewczęta weszły za nimi. Po dwie, trzy, większość w prostych codziennych sukienkach z fartuchami. Ida wyjaśniła, że pomodlą się i przeczyta im coś z Biblii, a potem zajmą się szyciem i będą śpiewać hymny, takie jak *O, niech sławi to tysiąc języków* i *Powstańcie, żołnierze Chrystusa!*, aż przyjdzie pora śniadania.

Zanim Ida zaczęła czytać, przedstawiła Beatrice dwadzieścia dziewięć pozostałych w schronisku dziewcząt, każdą po kolei. Niektóre były nieśmiałe, niektóre smutne; niektóre wydały się jej bardzo bystre, inne tępe,



niezdolne wydukać ani be, ani me. Większość była dość ładna, ale kilka zdecydowanie pospolitej urody, jak Judith, a co najmniej trzy miały głębokie blizny po ospie na policzkach i zepsute zęby.

Mówiły z różnymi wiejskimi akcentami – z rejonu West Country, Suffolk, Sussex, a nawet Yorkshire – ale wszystkie podobnie chichotały. Przypominały Beatrice rozświergotane wireonki, które lubiły gromadzić się w krzakach przy jej kuchni w New Hampshire.

– Proszę, dziewczęta, bądźcie dla mnie wyrozumiałe – zwróciła się do nich. – To trochę potrwa, nim przestaną mi się mylić wasze imiona. I pamiętajcie, że zawsze możecie na mnie liczyć. Moje główne zadanie to wspierać panią Smollett, by pomóc wam wszystkim zacząć nowe życie, ale jestem też aptekarką. Jeśli więc coś wam dolega, cierpicie na bóle głowy, kaszel albo gorączkę, przychodźcie do mnie, proszę, a ja zalecę wam coś, żebyście poczuły się lepiej.

Zauważyła, że jedna czy dwie dziewczyny spojrzały na nią z nowym zainteresowaniem. Ale zaraz oddała głos Idzie, by poprowadziła modlitwy i odczytała im fragment Pisma Świętego.

– „Żyjmy przyzwoicie jak w jasny dzień: nie w hulankach i pijatykach, nie w rozpuście i wyuzdaniu, nie w kłótni i zazdrości. Ale przyobleczcie się w Pana Jezusa Chrystusa i nie troszczcie się zbytnio o ciało, dogadzając żądzom”<sup>\*</sup> – recytowała Ida, blada jak chusta, choć jej głos brzmiał ciepło, pokrzepiająco.

Siedząc za Idą i obserwując wyraz twarzy jej podopiecznych, Beatrice zastanawiała się, ile z nich czuje się podniesionych na duchu, dla ilu te słowa mogą być inspiracją do życia w czystości. Niektóre były wyraźnie znudzone, ziewały, niektóre miały szkliste spojrzenia, niektóre dłubały w nosie i gapiły się w okno. Która z nich słyszała kiedyś takie sformułowania jak „wyuzdanie” czy „dogadzanie żądzom”, a ile z nich

tęskni za wolnością, do której nawykły, za pieniędzmi, które zarabiała w burdelach St-Mary-Le-Strand i Covent Garden?

• • •

Beatrice już miała iść na górę się przebrać, kiedy na korytarz wyszła jedna z dziewcząt i zawołała ją szeptem.

– Wdowo Scarlet!

W jadalni inne dziewczęta właśnie sprzątały po śniadaniu, które składało się z owsianki, jajek na miękko i grzanek. Rozmawiały, stukwały talerzami, a jedna śpiewała *Drzewa rosną wysoko* czystym, przenikliwym głosem, przez co Beatrice domyśliła się, że w pobliżu nie ma Idy.

*I z samego rana,  
Gdy tylko świt zawitał,  
Wyruszyli w pole  
Bawić się do syta.  
A co tam robili,  
Ona nie powie, nie, nie, nie!  
Ale już nie narzeka, że słabo mu rośnie.*

Dziewczyna, która podeszła do Beatrice, była niska, o potarganych marchewkowych włosach i bladej piegowanej twarzy. Nie mogła mieć więcej niż jakieś piętnaście lat. Miała na sobie butelkowozieloną sukienkę o postrzępionych koronkowych mankietach, które skubała nerwowo.

– Mówiła pani, że potrafi pomóc w chorobie.

– Tak. Coś ci dolega?

Dziewczyna skrzywiła się.

– Zawsze jak mam te swoje dni, to tak mnie boli, że ledwie mogę się wyprostować, a jak coś zjem, to od razu rzygam jak kot. Ostatnim razem pani Smollett dała mi laudanum. Bolało mniej, ale zrobiłam się taka śpiąca, że trzy dni nie mogłam się podnieść z łóżka. Byłam kołowata i osowiała.

– Jak masz na imię? Katharine, tak? – upewniła się Beatrice.

Dziewczyna skinęła głową.

– Wiesz, Katharine, ja także cierpię na skurcze brzucha. Laudanum ma wiele zalet, jeśli bierze się go odrobinę, ale jak zauważyłaś, tłumi ból, nie łagodząc skurczów, które nam tak dokuczają.

– To co pani robi? – spytała Katharine, oglądając się nerwowo, czy ktoś ich przypadkiem nie podsłuchuje.

– Kiedy mieszkałam w Ameryce, odkryłam krzak, którego kora ma cudownie kojące działanie podczas menstruacji. Indianie przez wiele wieków używali wywaru z tej kory, by zapobiegać poronieniom u swoich kobiet. Nazywa się czarny głóg i rośnie również w Europie.

– I to naprawdę działa?

– Tak. Próbowałam wielu różnych receptur, aż w końcu odkryłam, że jeśli zmieszam korę czarnego głogu z lukrecją, rumiankiem i korzeniem trojeścia i dodam liści malin, to niemal od razu pomaga. Tak dobrze mi to robiło, że zaczęłam produkować buteleczki tego leku i sprzedawać kobietom w New Hampshire. Nazwałam go „Ulga miesięczna Scarlet”. Posłuchaj, i tak miałam, jak tylko się przebiorę, iść do głównej siedziby, żeby spytać aptekarza, czy znalazłby dla mnie trochę czarnego głogu. Zamierzałam przygotować sobie buteleczkę. Oczywiście zrobię też dla ciebie.

Katharine rozplakała się. Beatrice otoczyła ją ramieniem.

– No już, już, nie martw się. Wiem, że miałaś ciężkie życie, ale teraz wszystko się zmieni.

– Nigdy nie poznałam swojej matki – wyszłochała Katharine. – Umarła, kiedy mnie rodziła, a potem ojciec dostał tyfusu, oszalał i też umarł.

Patrząc z góry na marchewkowe włosy Katharine, Beatrice zauważyła w nich mnóstwo gnid i wszy. To było dość powszechne, że kobiety miały we włosach wszy, w perukach też, ale tak mocno zaatakowanej tą plagą głowy Beatrice nie widziała nigdy w życiu. Musiały być ich tysiące, a kark dziewczyny pokrywały szkarłatne plamy po ugryzieniach. Powieki miała zaropiałe i czerwone, co wskazywało na to, że pewnie w rzęsach osiedliły się malutkie wszy łonowe.

– Mój Boże, Katharine, masz tyle nieproszonych gości we włosach! – powiedziała. – Pewnie drapiesz się jak szalona! Przyrządzę ci też inną miksturę i się ich pozbędziemy. Na razie poszukam gęstego grzebienia, żebyś mogła je wyczesać.

– Dziękuję – szepnęła Katharine, obejmując ją mocno. Z emocji zabrakło jej tchu. – Jest pani jak anioł, który przybył nas ratować.

Beatrice na chwilę zamknęła oczy. Słyszała, że dziewczyna w jadalni nadal śpiewa, i zastanawiała się, czy to Bóg wybrał jej to przeznaczenie, już kiedy była mała i siedziała przy swoim ojcu, a on opowiadał jej przeróżne historie, mieszając te swoje mocne specyfiki, od których łzawiły jej oczy.

• • •

Tego popołudnia zostawiła Florence, żeby pobawiła się z Judith, i poszła do głównej siedziby, do Godfrey'a, aptekarza. Tym razem wybrała drogę przy London Wall i przez Finsbury, przy otwartych ogrodach szpitala Bethlem, unikając wąskich, cuchnących uliczek pomiędzy Whitecross Street a Bunhill Row.

Zastała Godfrey'a w jego ponurym laboratorium. Mieszał właśnie w dużej butelce jakiś płyn przypominający ciemną urynę. Pachniało to

upiornie.

– Tonik na podagrę dla pastora Parsonsa – wyjaśnił. – Według mojej własnej receptury. Składa się z mięty, ziaren anyżu, wymiotnicy i opium.

Beatrice wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i zakryła nos.

– Godfrey, co za potworny zapach! Dzięki ci, Panie Boże, że nie cierpię na podagrę! A to, co tworzysz, to tylko słynne proszki Dover!

– Ach, tak... – wybąkał Godfrey.

– Mój ojciec zwykle przygotowywał na podagrę pastylki z zimowitów jesiennych, które nie mają tak ostrego zapachu i łatwo je przełknąć. A naprawdę były bardzo skuteczne.

Godfrey zamieszał miksturę raz jeszcze, ale wydawał się zdeprymowany.

– Szkoda, że nie wiedziałem tego, zanim zacząłem mieszać. Rzeczywiście śmierdzi, prawda?

– Przyszłam spytać, czy masz może korę czarnego głogu. Albo czy mógłbyś ją dla mnie zdobyć.

Godfrey, marszcząc brwi, rzucił okiem na półki z butelkami i pudełkami, ale zanim zdążył odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i wszedł James Treadgold, nauczyciel. Był w tym samym rudawym surducie, z rękawami pobrudzonymi proszkiem z kredy, który miał też na włosach.

– Wdowo Scarlet! – Skłonił się jej. – Widziałem, jak pani przyszła, i wpadłem spytać, jak się pani miewa. Słyszałem, że pani z córeczką i Idą zostałyście bardzo nieprzyjemnie zaatakowane. – Urwał, rozejrzał się i zmarszczył nos. – Godfrey, co ty za diabelstwo tam szykujesz? Cuchnie jak lewa pacha dziwki.

Jednak zaraz się zmiygował.

– To tylko takie powiedzonko, wdowo Scarlet – rzucił szybko do Beatrice. – Nie mówię z własnego doświadczenia.

Beatrice uśmiechnęła się lekko.

– Ależ oczywiście, James, wiadomo, i dziękuję ci za troskę – zwróciła się do niego bardziej familiarnie. – Byłyśmy wszystkie w szoku, przyznam, ale nic się nam nie stało. Zapewne wiesz, że uratował nas pan Hazzard. Naprawdę zachował się bardzo odważnie i przebił jednego z tych łajdaków mieczem.

– Tak słyszałem. Dzięki Bogu, nie zostałyście okradzione, pobite albo jeszcze gorzej... – Znów urwał, spuszczając oczy. Po chwili popatrzył na nią i dodał ciszej: – A to moje zaproszenie na kolację któregoś wieczoru... Zastanawiałem się, czy mógłbym ponowić propozycję. Wspominałem o Trzech Żurawiach w Vintry, bo mają tam zaciszne pomieszczenie, gdzie panie mogą w spokoju napić się i zjeść, ale jeśli wolałabyś – skwapliwie podjął tę bezpośrednią formę – jakieś inne miejsce, z przyjemnością cię tam zabiorę.

– Przykro mi, James, ale jestem teraz okropnie zajęta – powiedziała. – Staram się poznać bliżej dwadzieścia dziewięć dziewcząt w schronisku Świętej Marii Magdaleny i ich problemy. W dodatku muszę obmyślić, czym najlepiej będzie leczyć ich fizyczne dolegliwości. A skoro już o tym mowa, Godfrey, masz trochę ostróżki pchlej albo zmielonych nasion jemioli?

– O! Jedna z twoich dziewczyn jest zawszona – rzucił Godfrey, by popisać się znawstwem.

– Doskonale rozumiem, że masz mnóstwo zajęć, Beatrice. I muszę już wracać do klasy, zanim moi uczniowie skoczą sobie do gardeł i zaczną rzucać w siebie tabliczkami. Ale jeśli tylko znajdziesz kiedyś trochę czasu, byłaby to dla mnie wielka przyjemność i zaszczyt, gdybym mógł spędzić z tobą chwilę i dowiedzieć się o tobie więcej.

Kiedy wyszedł, Godfrey spojrzął zza blatu na Beatrice i uniósł brwi.

– Oto twoja ostróżka pchła i nasiona jemioły – powiedział, podając jej dwa małe drewniane pudełka. – Obecnie nie mam na półce kory czarnego głogu, ale zdobędę go od Collina w Covent Garden. A nie potrzebujesz też może jakiegoś eliksiru, żeby studzić zapędy rozpalonych żądzą młodych nauczycieli? Najwyraźniej się w tobie zadurzył!

• • •

Dni zdawały się mijać coraz szybciej, jakby kartki z kalendarza zrywał jesienny wiatr. Pod koniec tygodnia Beatrice pamiętała już imiona wszystkich dziewcząt i spędziła wiele godzin na rozmowach z każdą z nich z osobna, żeby zorientować się, dlaczego zostały prostytutkami.

Ich historie były przygnębiająco podobne. Rodzice niektórych byli zbyt biedni, żeby się nimi właściwie opiekować, czasami musieli sprzedawać nawet ubrania i pościel, a wreszcie i ich dziewictwo, by przeżyć. Inni poumierali na tyfus, zapalenie pęcherza albo krup i dziewczynki, osierocone, musiały radzić sobie same.

Większość pochodziła ze wsi. Przyjeżdżały do Londynu pełne nadziei, w poszukiwaniu szczęścia. Sądziły, że zarobią śpiewem i tańcem albo jako modystki czy służące bogatych dam.

Wkrótce przekonywały się, jak wygląda w mieście życie ładnych młodych kobiet pozbawionych środków na utrzymanie. Niektóre trafiały do domów rozpusty i tam w miarę o nie dbano, choć czasem musiały oddawać rajfurkom każdą zarobioną u klientów gwineę, co było rodzajem niewolnictwa, mimo że nie nosiło tej nazwy. Inne wynajmowały pokoje w burdelach albo tkwiły na ulicach, gdzie za pięć szylingów oferowały podniesienie kiecki i szybki numer w jakimś podwórku lub ciemnej uliczce na tyłach Strandu.

Ich życie mogło wydawać się beznadziejne, ale Beatrice od pierwszego ranka w schronisku Świętej Marii Magdaleny domyślała się, że wiele tych dziewcząt wolało pracować jako prostytutki, niż znaleźć sobie uczciwsze zajęcie. Oczywiście takie życie bywało niebezpieczne i zawsze istniało ryzyko złapania choroby wenerycznej albo zajścia w ciążę. Ale najczęściej te panny były komplementowane i dobrze traktowane przez swoich sponsorów i zarabiały nieźle, szczególnie te najładniejsze. Niektóre więc mogły nawet trochę zaoszczędzić i nieźle sobie radziły. Oczywiście, wiele z nich przepuszczało pieniądze i całymi dniami odurzało się alkoholem, opium albo eterem. Czym jednak mogło je nęcić życie w cnocie i na trzeźwo? Można by przeżyć swoje przyjaciółki o kilka lat, ale jakże te lata byłyby nudne. Zresztą która z nich chciałaby doczekać sędziwego wieku i zmienić się w starą ropuchę?

– To przerażające, wdowo Scarlet! – powiedziała do niej Annie, gdy siedziały przy kominku w piątek wieczorem. – Jeśli przeżyję dwa razy tyle, co mam teraz, będę miała czterdzieści lat!

Annie, zmysłowa brunetka o mleczej cerze, pochodząca z Devonu, byłaby całkiem atrakcyjna, gdyby nie usiane pieprzykami piersi i okropny zez, przez który Beatrice nigdy nie wiedziała, na kogo ta dziewczyna patrzy.

– Nie wyobrażam sobie tego! – ciągnęła Annie. – Gdybym zrobiła się taka stara, przywiązałabym sobie do szyi worek cegieł z kociakami do potopienia i rzuciła się z Old Swan Stairs do Tamizy.

Beatrice poklepała ją po kolanie.

– Powtórz mi to, jak skończysz czterdziestkę. Jeśli nadal będziesz tak myśleć, to sama kupię ci cegły i kocięta.

---

\* Rz, 13,13.



## Rozdział 13

W sobotę rano Beatrice siedziała przy toalecie i pisała listy do swoich drogich przyjaciółek w Sutton – zacnych niewiast Rust i Greene, które asystowały jej, kiedy rodziła Florence – gdy do drzwi zapukała Katharine. Nim Beatrice zdążyła zawołać, by weszła, dziewczyna otworzyła je i zajrzała do środka.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, wdowo Scarlet.

– Ależ skąd, Katharine. Wejź. Jak się masz? Czy miesięczne lekarstwo pomaga?

– Już nie mam takich skurczów, dzięki pani. Ale dalej strasznie swędzi mnie głowa. Cesałam włosy i cesałam, i wcierałam ten płyn od pani, a te wszy wciąż dają mi do wiwatu. Mam to też na powiekach.

Beatrice skinęła, żeby dziewczyna podeszła bliżej okna.

– Nachyl głowę – powiedziała i ostrożnie rozdzieliła włosy Katharine, żeby zobaczyć, czy nadal są w nich wszy i gnidy. – Przemywasz powieki ciepłą wodą? – spytała.

– Tak, dwa razy dziennie, jak pani kazała, i myślę, że jest trochę lepiej.

– Dobrze, ale wygląda na to, że goście w twoich włosach nie mają zamiaru wynieść się na dobre. Chyba będę musiała zastosować coś mocniejszego niż ostróżkę pchłą. Mój ojciec ręczył, że niezawodne są liście tytoniu i ocet, więc trzeba tego spróbować. Sok z tytoniu zabija wszystkie insekty, jakie można sobie wyobrazić!

– Co tylko pani radzi. Dostaję obłądu od tego swędzenia.

Beatrice wstała.

– No, to mi pozwoli upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Zamierzałam wybrać się w przyszłym tygodniu do fabryki pana Hazzarda,

żeby zobaczyć, jak odnalazły się tam Jane i inne dziewczęta. Mogłabym pojechać dziś po południu i przywieźć trochę liści tytoniu dla ciebie.

– Jest pani dla mnie taka dobra – powiedziała Katharine. – Też chciałabym coś dla pani zrobić. Upiekę babeczki, dobrze? Martha pokazała mi, jak się to robi, z rodzynkami, gałką muszkatołową i wodą z kwiatów pomarańczy.

– Może... jak będziesz już wyleczona – odparła Beatrice.

Nie brzydziła się chorych. Od wczesnej młodości leczyła czyraki, ropiejące wrzody, grube naloty na języku, które wymagały skrobania. Ale wolała nie myśleć, że mogłaby zjeść babeczkę, do której wpadły przypadkiem wszy.

• • •

Okolo jedenastej, gdy ona i Florence zjadły już śniadanie, Grace poszła zawołać dla nich powóz.

Kiedy powóz podjechał, Grace otworzyła im drzwi.

– Proszę przekazać Jane, że życzę jej wszystkiego dobrego. Jest taka piękna, a ma takie kłopoty. Biedna dziewczyna.

– Z tobą też rozmawiała?

– Nie od razu. Z samego początku była dla mnie bardzo niemila, nazywała mnie Hotentotką. Ale jeszcze tego samego dnia kompletnie się zmieniła, zupełnie jakby stała się inną osobą. Mówiła, jaka jest nieszczęśliwa, płakała.

– Powiem jej, że o niej myślisz. Masz dobre serce, Grace.

– Widzę, jak wiele tych dziewczyn cierpi, wdowo Scarlet. Niektórym może się poszczęścić, znajdą sobie męża albo chociaż jakiegoś mężczyznę, który będzie je utrzymywał jako kochanki. Ale większości nie czeka nic

poza starzeniem się. A i to tylko, jeśli Bóg będzie miał je w opiece i nie umrą młodo na tyfus albo jakieś przekleństwo Wenery.

Beatrice i Florence pomachały Grace na pożegnanie i powóz potoczył się szybko na północny wschód Shoreditch, mijając strzelistą wieżę tamtejszego kościoła, i wyjechał na wiejskie tereny Hackney. Po obu stronach Kingsland Road stało trochę podupadłych domostw, ale dalej były głównie farmy i otwarte pola. Na łąkach pasły się krowy, a liście drzew zaczynały już zmieniać kolor na brązowy. Po jakichś trzech kilometrach skręcili i dotarli do Silvester Row. Nad strumieniem, częściowo ukryty za rzędem starych wiązów, stał duży budynek z szarej cegły. Fabryka z wysokim dymiącym kominem.

Kiedy woźnica otworzył drzwi i Beatrice wysiadła, znalazła się naprzeciw szyldu firmy: „Geo. Hazzard & Son, Tobacco Blenders”, z tym samym emblematem co na nocniku pod jej łóżkiem: dwie sylwetki czarnoskórych mężczyzn i duży krzew tytoniu.

Chociaż panował przejmujący chłód, powietrze w Hackney było rześkie i świeże, i kiedy woźnica zawrócił i odjechał, Beatrice stała jeszcze przez chwilę, trzymając Florence za rękę i wdychając je głęboko w płuca. Przypomniał jej się zimny, czysty wiatr, który wiał od Gór Białych w New Hampshire. Florence, zadzierając główkę, popatrzyła na nią poważnie i Beatrice zastanawiała się, czy córeczka myśli o tym samym.

Przeszły przez bramę, która prowadziła na brukowane podwórko, gdzie ładowano pudła tytoniu i cygar na dwa wozy. Wokół nich stało kilku mężczyzn. Palili.

Beatrice podeszła do jednego, który miał długi skórzany fartuch i podłużną, podobnie skórzastą twarz, a za uszami dwie kępy białych włosów niczym białe kłębki dymu.

– Chciałabym się widzieć z panem Hazzardem, jeśli jest – powiedziała.

– Oczywiście, proszę pani. Zaprowadzę panią – odparł mężczyzna o skórzastej twarzy, po czym nachylił się do Florence i wyciągnął w jej kierunku swoją glinianą fajkę. – Miałabyś ochotę spróbować, młoda damo? Tytoń doskonale oczyszcza płuca i chroni przed suchotami!

Florence schowała się za płaszcz matki. Beatrice uśmiechnęła się.

– Dziękujemy za propozycję. Ona ma już fajeczkę do puszczenia baniek mydlanych, a na palenie jest trochę za młoda.

Mężczyzna poprowadził je przez pomalowane na czarno szerokie drzwi na główny poziom fabryki. Kiedy tylko je otworzył, hałas i zapach wprost przytłoczyły Beatrice. Wewnątrz pracowało ponad pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kobiet. Siedziały za stołami ustawionymi w dwóch rzędach, jedna naprzeciw drugiej, i obrywały łądygi z leżących w stosach liści. Na odległym końcu hali liście moczyły się w pojemnikach ze świeżą wodą, żeby stały się bardziej giętkie do obróbki. Na prawo, za szeregiem ceglanych kolumn, robotnicy siekali tytoń, a palacze mieszały go nad parą, by oddzielić włókna, po czym suszyli na blachach, by był zdatny do palenia.

Stukot maszynierii tnącej, syk pary i pokrzykiwanie do siebie kobiet powodowały ogłuszający zgiełk, a zapach tytoniu był tak silny, że Beatrice miała wrażenie, jakby sama paliła fajkę albo wciągała machorkę.

Niektóre dziewczęta unosiły głowy i uśmiechały się, gdy Beatrice i Florence je mijały, ale, o dziwo, nie było wśród nich Jane ani żadnej z dziewcząt ze schroniska Świętej Marii Magdaleny.

Mężczyzna przeprowadził je przez mniejsze pomieszczenie, gdzie siedziało przy stołach dziesięć dziewczyn. Zwijały i przycinały ręcznie cygara. Ale tu też Beatrice nie wypatrzyła podopiecznych Idy.

– Gdzie Jane? – spytała Florence.

– Nie wiem, kochanie. Musimy spytać pana Hazzarda.

Biuro George'a było w głębi budynku. Drzwi gabinetu stały otworem, a z wewnątrz sączył się dym palonych cygar. Mężczyzna o skórzastej twarzy zapukał.

– Ma pan tu gościa, panie Hazzard! – oznajmił.

George siedział przy masywnym mahoniowym biurku, na którym piętrzyły się pisma, listy przewozowe i puste pudełka po cygarach. Jak zwykle miał na sobie żółty surdut i żółty fular. Przy ścianach za nim ciągnęły się szeregi półek pełnych przeróżnych ksiąg, a z boku stał ogromny, brązowy jak tytoń globus.

Przez okno Beatrice zobaczyła duży zaniedbany ogród, w którym stał uwiązany biały koziół. W oddali rysowały się dachy Hackney i czworokątna wieża kościoła Świętego Augustyna.

George wstał, wyjął z ust cygaro i wypuścił długą smugę dymu.

– Beatrice, cóż za miła niespodzianka! Witam również twoją uroczą córeczkę. Wejdźcie! Siadajcie.

Obszedł biurko i zdjął z jednego z dwóch obitych skórą krzeseł stertę ksiąg rachunkowych.

– Mogę zaproponować ci coś do picia? Kawę może? Cydr? Albo kieliszek wina?

– Wpadłam tylko na chwilę, George – powiedziała Beatrice. – Przyjechałam głównie po to, żeby zobaczyć, jak radzą sobie Jane i inne dziewczęta.

George zaciągnął się cygarem, po czym wypuścił dym i spojrzał na nią z powagą.

– Beatrice, z przykrością muszę cię poinformować, że wszystkie siedem dziewcząt ze schroniska Świętej Marii Magdaleny dostało wysokiej gorączki.

– Co takiego? Wszystkie?

– Tak, co do jednej, bez wyjątku. Nie wiem, czy podobne objawy wystąpiły także u dziewcząt, które pozostały u was, ale tych siedem padło jedna po drugiej, jakby to była jakaś plaga egipska. Zostały u siebie na górze, w łóżkach, żeby nie pozarażać innych moich pracowników. Nie mogę sobie pozwolić, by cały mój zespół się rozłożył. W tydzień bym zbankrutował.

– Przed wyjazdem nic im nie dolegało, a wszystkie inne nasze dziewczęta są zdrowe.

George wzruszył ramionami.

– Mają wysypkę oraz napady gorąca i dreszcze na przemian i nie chcą nic jeść. Odwiedził je nasz miejscowy lekarz, który zalecił zimne kąpiele i lewatywy. Na własny koszt zatrudniłem też do nich pielęgniarkę, kobietę doświadczoną w opiece nad chorymi. Ale możemy tylko czekać i mieć nadzieję, że wkrótce wrócą do zdrowia.

– Może ja mogłabym je zbadać? – zaofiarowała się Beatrice. – Mój ojciec wykształcił mnie na aptekarkę. Na pewno potrafię przepisać im coś bardziej skutecznego niż zimne kąpiele i lewatywy. Jeśli nic nie jedzą, po co płukać im kiszki?

George pokręcił głową.

– Przykro mi, Beatrice. Na pewno masz dobre chęci, ale sądzę, że byłoby to niemądre i ryzykowne. Ta gorączka zdaje się ogromnie zaraźliwa, a gdybyś ją złapała, wyobrażasz sobie, jak bardzo czułbym się winny. Nie wybaczyłbym sobie tego. Pozwolić, byś się narażała na taką chorobę, to byłaby zbrodnia. Pomyśl też o swojej uroczej córeczce. A gdybyś ją zaraziła?

– Przez całe życie zajmowałam się chorymi i nigdy poważniej nie chorowałam.

George jednak nie ustępował.

– Nie wezmę na siebie takiej odpowiedzialności, Beatrice. Jeśli chcesz, będę codziennie cię informował, jak one się czują, ale choć dopiero co cię poznałem, jesteś mi ogromnie droga. Prędzej rękę dałbym sobie uciąć, niż dopuściłbym do tego, by stała ci się jakaś krzywda.

– No dobrze. – Beatrice skapitulowała. – Ale tak, bardzo proszę, informuj mnie o ich stanie.

– Codziennie będę wysyłał ci wiadomości, obiecuję.

Beatrice zawahała się chwilę.

– Miałam do ciebie prośbę – odezwała się w końcu. – Choć teraz, kiedy te biedne dziewczyny są tak bardzo chore, wydaje się to mało ważne.

– Proś, o co tylko zechcesz, Beatrice.

– Jedna z naszych dziewcząt ma wielki kłopot z wszami i zastanawiałam się, czy mógłbyś dać mi kilka liści tytoniu, żebyśmy mogła ją wyleczyć. Moczone w occie są zabójcze dla wszy.

– Najdroższa Beatrice, dostaniesz sto liści tytoniu, jeśli tylko są ci potrzebne. Chodź ze mną.

George wstał. Beatrice również się podniosła, a on położył dłoń na jej ramieniu i zaprowadził ją z powrotem do hali. Beatrice bardzo niepokoiła się o Jane i inne dziewczyny, ale zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że George słusznie nakazuje ostrożność. W mieście pełno było wszelkiego typu zarazy. Gorączka, febra, ospa. Kto wie, czym mógł zarazić jedną z nich jakiś klient. Ostatnie, czego by sobie życzyła, to żeby Florence została sierotą.

## Rozdział 14

W następny wtorek rano do atelier, gdzie Beatrice pokazywała pięciu dziewczętom, jak szyć ścięciem krytym, weszła Grace.

– Jakiś pan do pani, wdowo Scarlet.

– Pan? Nikogo się nie spodziewam. Podał nazwisko?

– Pan James Treadgold. Mówi, że przyniósł coś, o co pani prosiła.

Beatrice odwróciła się do dziewcząt.

– Zaraz wracam. Szyjcie dalej, proszę, i pamiętajcie, że te szwy muszą być niemal niewidoczne z zewnątrz.

Zastała Jamesa stojącego w salonie przed kominkiem. Zamiast codziennego rudawego surduta miał na sobie trzyczęściowy garnitur z kamizelką i spodniami za kolana oraz koszulę z marszczonym kołnierzem. Wijące się brązowe włosy związał dużą czarną aksamitną wstążką.

– Beatrice – powiedział i skłonił się jak zwykle.

– James. Co za niespodzianka.

– Tak, wiem i przepraszam za to, ale mam dzień wolny od nauczania, a Godfrey mówił mi, że prosiłaś go o głowienkę i wodę psiankową, więc ci je przyniosłem.

Podał Beatrice beżową bawełnianą torbę zawiązaną sznurkiem.

– To bardzo miło z twojej strony, James. Jesteś dziś szalenie wytworny, jeśli wolno mi zauważyć. Masz jakieś spotkanie?

– Miałem taką nadzieję. Może mogłabyś mi poświęcić godzinkę czy dwie?

– Ja? Przykro mi, James. Właśnie prowadzę lekcję szycia, potem muszę pomóc przy szykowaniu lunchu, a po południu będę leczyć z różnych



dolegliwości nasze dziewczęta. Jestem ci bardzo wdzięczna, że przyniosłeś mi te rzeczy. Wiele dziewcząt ma węgry na twarzy, a jeśli pomiesza się te dwa składniki z czerwonym octem winnym, otrzymuje się najlepsze lekarstwo.

– O... Dzień taki piękny, myślałem, że skuszę cię, byśmy zjedli coś razem nad rzeką, może napili się też odrobinę wina.

Beatrice widziała, jak bardzo jest rozczarowany.

– Możemy porozmawiać kilka minut. Usiądź, proszę.

James przysiadł na jednej z kanap, a Beatrice obok niego. Drzwi do holu były otwarte. Trzy lub cztery dziewczyny, przechodząc tamtędy w drodze do kuchni, zajrzały szybko do środka i zaczęły chichotać.

– Teraz będą plotkować – powiedziała Beatrice.

– Nie szkodzi – odparł James. – Może tylko powinniśmy dać im po temu jakieś powody.

Beatrice żartobliwie zmarszczyła brwi.

– Jesteś bardzo bezpośredni.

– A jakie jest inne wyjście? Mam udawać, że od pierwszej chwili nie wydałaś mi się najbardziej urzekającą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem?

– James! Prawie mnie nie znasz!

– I przyszedłem tu dzisiaj właśnie dlatego, żebyśmy się lepiej poznali. Na pewno już ci się takie rzeczy zdarzały.

– Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

– Mówię o tym, że czasem poznajesz kogoś i od razu wiesz, że możecie zostać najbliższymi przyjaciółmi, jeśli nie więcej.

– James...

– Nie potrafię się powstrzymać, Beatrice. Zwodziłbym cię, gdybym tego nie powiedział, albo, co gorsza, oszukiwałbym samego siebie. Zaprosiłem cię do Trzech Żurawi i może byś się zgodziła, a może nie. Cokolwiek byś zdecydowała, musiałbym czekać w nerwach na twoją decyzję.

– Oczywiście nie zapomniałam o twoim zaproszeniu, James – zapewniła go Beatrice. – Ale byłam tak bardzo zajęta poznawaniem dziewcząt, że nawet nie miałam czasu się rozpakować, a co dopiero myśleć o jakiejś kolacji.

– Rozumiem, Beatrice. Ale odkąd cię zobaczyłem, nie mogę się na niczym skupić. Nie mogę spać. Stale o tobie myślę! Kiedy więc Godfrey powiedział mi dziś rano, że musi ci wysłać te lekarstwa, postanowiłem wziąć byka za rogi.

Beatrice przez dłuższą chwilę patrzyła na niego bez słowa. Bez wątpienia był atrakcyjny, a wyraz jego ametystowobłękitnych oczu wydawał się rozbijająco szczery. Trudno było zgadnąć, ile ma lat, ale domyślała się, że musi być dwa, trzy lata od niej młodszy. Był tak młodzieńczy, przystojny, aż dziw, że jeszcze nie miał żony, a przynajmniej że nie otaczał go wianuszek pięknych młodych kobiet. A może zresztą tak było.

Tak bardzo przywykła dbać o potrzeby innych, że ani razu nie pomyślała o tym, że jej samej ktoś by się przydał – ktoś, kto by ją kochał, pocieszał i pomagał uporać się z rozpaczą. Ale czy takim kimś mógłby być James?

– Musisz dać mi trochę czasu – powiedziała wreszcie. – Przed trzema laty straciłam ukochanego męża, a niespełna dwa miesiące temu mojego najdroższego synka. Poza tym musiałam w jednej chwili wynieść się ze swojego domu w New Hampshire, który był pełen wspomnień, radosnych

i smutnych. Nie odtrącam cię, wierz mi. Bardzo pochlebia mi to, co do mnie czujesz. Ale nie potrafię jeszcze myśleć o odwzajemnieniu twoich uczuć. Moje serce jest jak lustro, które zostało roztrzaskane na kawałki, i na razie nie może odbić się w nim nic poza drobnymi fragmentami.

James wyciągnął rękę i delikatnie położył na jej dłoni.

– Pastor Parsons mówił mi, że twój syn został porwany. Bardzo ci współczuję, wiem, jak to jest. Straciłem dziewczynę, którą miałem poślubić.

– Tak mi przykro... Kiedy to się stało?

– Rok temu, w dzień Świętego Michała. Całkiem niespodziewanie dostała obrzęku mózgu. Wieczorem byliśmy na tańcach, a następnego dnia rano już nie żyła. Miała na imię Sophie. I miała tylko dziewiętnaście lat.

– Obrzęk bywa nagły. – Beatrice westchnęła. – Co za tragedia.

James miał łzy w oczach.

– Nie odbierz tego źle – odezwał się. – Ale kiedy pastor Parsons wszedł z tobą do mojej klasy, przeżyłem wstrząs, bo przez moment wydało mi się, że Sophie ożyła i on mi ją przyprowadził. Jesteś do niej taka podobna.

– James... nie mogę jej zastąpić. Może ją przypominam, ale nie jestem nią.

– Doskonale to rozumiem, Beatrice. I nie chcę obrażać ani ciebie, ani pamięci Sophie takim podejściem. Jednak nie możesz winić mnie za to, że jestem tobą oczarowany. Proszę cię tylko o jedno: spędź ze mną trochę czasu, zobacz, czy możesz odwzajemnić moje uczucie. Jeśli będziesz miała mnie dość, po prostu daj mi znać i zostawię cię w spokoju.

Beatrice już miała odpowiedzieć, kiedy usłyszała krzyk z atelier. Wstała, a do salonu wpadła Ida.

– Jesteś, Beatrice! Twoje uczennice walczą jak kotki! I... o, James! Czemu zawdzięczamy tę wizytę?

James podniósł się także i skłonił.

– Dostarczyłem leki od Godfrey'a Minchina, pani Smollett. Przy okazji wymieniliśmy grzecznościowo kilka zdań z wdową Scarlet.

– No, lepiej dajcie spokój z tymi grzecznościami, nim twoje dziewczęta, Beatrice, powyrywają sobie nawzajem włosy! Ublizają sobie w najdzikszych słowach!

– Podziękuj, proszę, Godfreyowi za leki, James – powiedziała Beatrice. – Jutro albo pojutrze wpadnę do siedziby, więc może się zobaczymy.

Ida wybiegła z salonu, a Beatrice za nią. W korytarzu czekała Grace, by odprowadzić Jamesa do drzwi frontowych. Wyszedł, ale nim założył swój trójgraniasty kapelusz, odwrócił się do Beatrice i posłał jej pocałunek.

## Rozdział 15

Od czasu wizyty Beatrice w fabryce tytoniu George, zgodnie ze swoją obietnicą, co rano wysyłał jej list z wiadomościami o Jane i innych dziewczętach. Jednak z tego, co pisał, wynikało, że ich choroba się rozwija i jest raczej gorzej niż lepiej, pomimo zimnych kąpeli i lewatyw przepisanych przez lekarza z Hackney.

W środę rano posłaniec doręczył list tuż przed śniadaniem. Grace przyniosła go Beatrice do atelier, gdzie ta piła herbatę. Niektóre dziewczęta siedzące wokół niej szyły, a inne przepisywały *Mękę* – święty poemat o ukrzyżowaniu – żeby ćwiczyć kaligrafię.

*Znaszli ty miłość? Spójrz na Boga,  
Człowieka, który za ciebie życie oddał;  
Idź, posmakuj świętych soków  
Płynących z rany w jego boku!  
Najbardziej boski trunek – to miłość,  
Bóg smakuje krewią, a ja jak wino.*

Dwie dziewczyny, które kłóciły się poprzedniego dnia, nadal popatrywały na siebie gniewnie i choć Beatrice zganiła je za to, że są wobec siebie tak wrogie, wciąż wyzywały się przez zęby od „złodziejskich wywłok”. Nim Beatrice złamała pieczęć na kopercie, ofuknęła je ostro.

– Dość już tego, przestańcie! Gdyby to była kawiarnia, właściciel kazałby wam płacić dwanaście pensów za każdym razem, kiedy mówicie takie słowa. Takie jest prawo, więc bądźcie wdzięczne, że ja tego nie zrobię.

George pisał:

„Dziewczętom się nie poprawia. Mają mnóstwo wyprysków i nie są w stanie przełknąć nic więcej niż kilka łyków wody. Obawiam się, że wkrótce spotkają swojego stwórcę”.

Beatrice ostrzegła podopieczne, żeby się nie biły i nie przeklinały, kiedy ona wyjdzie, i poszła pomówić z Idą. Znalazła ją w dużej kuchni w suterenie. Razem z Marthą, ich kucharką, uczyła trzy dziewczęta piec ciasto z korzeniem kucmerki. Jedną z dziewczyn była Katharine. Zabieg z liści tytoniu i octu zadziałał w jeden dzień i wreszcie pozbyła się wszy i gnid – przynajmniej póki nie złapie ich znowu.

Ida tego dnia nie nałożyła różu, więc jej twarz była kredowobiała i jeszcze bardziej niż zwykle przypominała maskę. Beatrice dała jej do przeczytania list George’a.

– Muszę pojechać do Hackney – powiedziała, kiedy Ida skończyła czytać. – Zobaczę, czy mogę coś zrobić, żeby je ocalić.

Ida oddała jej list.

– Myślisz, że to rozsądne?

– Ido, wiem, że ta choroba jest bardzo zaraźliwa, ale musi być jakieś lepsze leczenie niż zimne kąpiele i lewatywy. Mieliśmy taką epidemię w naszym miasteczku w Ameryce. Użyłam proszku jezuickiego i antymonu zmieszanych z winem i uratowałam wszystkich poza jedną staruszką i słabowitym dzieckiem.

– Podziwiam twoje szlachetne intencje, Beatrice, wierz mi. Ale co, jeśli złapiesz to i umrzesz? Jak dam sobie tu radę bez twojej pomocy i co się stanie z twoją Florence? A jeśli przywieziesz tu zarazę i rozprzestrzeni się ona na nasze podopieczne?

– Nie mogę tu siedzieć z założonymi rękami, kiedy te biedne dziewczęta są bliskie śmierci – powiedziała Beatrice. – Zastosuję

najsurowsze środki ostrożności, kiedy tam pójdę, zakryję twarz, żeby nie wdychać kropelek śliny czy skażonego powietrza.

Ida pokręciła głową.

– Wybacz, Beatrice, lecz nadal jestem temu przeciwna.

– Czyż nie jesteśmy chrześcijankami, Ido? Czy Bóg nie wybrał nas, byśmy pomagały innym? Ty ratujesz dziewczęta przed prostytutką, a ja, jako aptekarka, powinnam starać się uchronić je od śmierci.

– Tak, ale...

– Mój mąż poświęcił życie, służąc ludziom, Ido, a jeśli Bóg chce, żebym podzieliła jego los, to niech się dzieje Jego wola. Cokolwiek powiesz, już zdecydowałam, że tam pojadę.

Ida na chwilę odwróciła wzrok, patrząc w stronę kuchennego stołu. Katharine formowała lej w cieście, żeby później, kiedy się upiecze, wlać do niego ciepłą masę z białego wina, cukru i żółtek jaj.

Wreszcie Ida spojrzała na Beatrice.

– Naprawdę nie mogę cię od tego odwieść?

– Nie – odparła Beatrice cicho, ale stanowczo.

– I kiedy zamierzasz pojechać? Dziś po południu chciałam zorganizować śpiewanie hymnów dziękczynnych.

– Zanim cokolwiek zrobię, muszę zaopatrzyć się w trochę proszku jezuickiego. Sądzę, że Godfrey może go mieć, ale nie wiem, czy dostatecznie dużo. Kiedy tylko zbiorę wszystkie potrzebne składniki i je wymieszam, od razu jadę do Hackney. Im szybciej, tym lepiej, ze względu na dobro dziewczyn.

Ida podniosła wzrok na zegar wiszący na ścianie.

– No dobrze – powiedziała. – Nie mogę ci zabronić, szczególnie jeśli wierzysz, że wypełniasz wolę Boga. Ale jeśli coś ci się stanie, trudno mi

będzie ci wybaczyć.

• • •

Beatrice włożyła pelerynę i kapelusz budkę, po czym wyruszyła do głównej siedziby kościoła. Florence boleśnie wyrzynał się kolejny ząbek, ale teraz zasnęła, Beatrice poprosiła więc Grace, żeby nad nią czuwała. Był szary, pochmurny dzień i turkot kół oraz nawoływania ulicznych sprzedawców zdawały się stłumione, jakby wszystko spowiła gruba, dusząca warstwa mgły.

Jak się okazało, trzy dni temu przypłynął statek handlowy z Ameryki Południowej i Godfrey odebrał duże pudło kory peruwiańskich drzew, którą Beatrice mogła utrzeć na proszek jezuicki. Ojciec nauczył ją, że to doskonale lekarstwo na malarię i na inne gorączki również.

Utarła korę w moździerzu, a potem w dużej misie zmieszała proszek z winem. Dodała antymonu, by oczyścić żołądki dziewczyn, i kilka łyżek miodu dla osłody i żeby było to pożywne. Kiedy przejdzie najgorsze, będą potrzebowały sił, by wrócić do zdrowia.

Godfrey pomógł jej przelać specyfik do czterech butelek z zielonego szkła.

– Będę się modlił, by dziewczęta wyzdrowiały – powiedział, wciskając korki. – I będę się też modlił, żeby Bóg uchronił cię przed tą chorobą, cokolwiek to jest.

Beatrice poszła do Maidenhead Court. Towarzyszył jej miejscowy siwowłosy służący, Henry, który niósł butelki. Przy frontowych drzwiach schroniska Świętej Marii Magdaleny Beatrice dała Henry'emu dwupensówkę i podziękowała za pomoc, a on mruknął coś niezrozumiale i poczłapał z powrotem.



Gdy Beatrice weszła do holu, Ida schodziła właśnie z góry. Jej uniesiona wielkimi halkami spódnica ocierała się o balustradę schodów.

– Masz swoją miksturę? – spytała.

– Tak, Ido. Pojadę, kiedy tylko Grace sprowadzi dla mnie powóz.

– Właśnie zaczynamy śpiewać. Nie mogłabyś zostać z nami choć przez chwilę? Pastor Parsons przysłał nam w zeszłym tygodniu nowy hymn, *Panie, przed Twoim tronem się skłaniamy*. Musisz go usłyszeć.

Beatrice zgodziła się. Wiedziała, że Ida martwi się jej wyprawą do fabryki tytoniu, i nie chciała wyjść na niewdzięczną albo zbuntowaną.

Wszystkie dwadzieścia dziewięć dziewcząt zebrało się w atelier, chichocząc, wiercąc się, trącając się łokciami. Chórem miała dyrygować Hephzibah Carmen, ponura, mizerna, chorobliwie chuda młoda kobieta, zawsze ubrana na czarno, która przychodziła do schroniska Świętej Marii Magdaleny dwa razy w tygodniu uczyć muzyki. Choć prezentowała się tak żałośnie, jej zajęcia cieszyły się ogromnym powodzeniem. Wiele dziewcząt miało ambicje śpiewać na scenie, co bardzo zwiększało szanse na znalezienie męża albo przynajmniej zamożnego dżentelmena, który by je utrzymywał.

Hephzibah najpierw sama śpiewała każdy wers hymnu piskliwym, drżącym głosem. Potem miały to powtarzać dziewczęta – nie tylko dlatego, że nie znały melodii nowszych hymnów, ale też dlatego, że tylko pięć czy sześć umiało czytać.

Beatrice została, by wysłuchać nowego hymnu, po czym dyskretnie przeprosiła Idę i wyszła. Ta skinęła do niej głową, chyba już mniej zmartwiona jej wyprawą. Grace wezwała powóz, który teraz czekał na zewnątrz.

– Niech anioły mają panią w swojej opiece, wdowo Scarlet – powiedziała Grace.

## Rozdział 16

Zaczynało kropić, kiedy Beatrice dotarła do fabryki tytoniu. Woźnica pomógł jej zanieść butelki ze specyfikiem na podwórko, a ona za to dołożyła mu pensa do szylinga i sześciu pensów opłaty za kurs.

Kiedy wręczała mu pieniądze, zapytał ponuro:

– Chyba nie zamierza pani kupić sobie jednej z tych Hanwayowskich sztuczek, co?

– O, ma pan na myśli parasol?

– Jakkolwiek to się tam nazywa, wykończy nas, gdyby ktoś mnie pytał o zdanie.

– Wątpię. Nie miałabym ochoty pokonywać tej całej drogi pieszo bez względu na to, czyby padało, czy nie.

– Ale wielu by poszło, gdyby mieli te hanwaye. Wynalazek diabła. Dla kogo Pan Bóg stworzył deszcz? Jak pani myśli? Dla woźniców właśnie.

Zanim zdążyła zapukać, drzwi fabryki się otworzyły i ze środka wyszedł jeden z furmanów George'a. Niósł stertę pudeł z cygarami, zza której widać było tylko jego nogi i ręce.

– Czy zastałam pana Hazzarda? – spytała.

– Niech tylko załaduję to na wóz, proszę pani, i zaraz panią do niego zaprowadzę.

Poszedł z nią przez halę, niosąc jej kosz. W fabryce panował ruch, ale zauważyła, że ani Jane, ani żadna inna dziewczyna ze schroniska Świętej Marii Magdaleny nie odziera liści i nie skręca cygar. Uznała, że nadal są chore.

George siedział za biurkiem. Rozmawiał z jakimś łysym mężczyzną o krzaczastych bokobrodach. Na widok wchodzącej Beatrice zerwał się

z fotela, odłożył cygaro i ze zdumieniem uniósł ręce. Łysy mężczyzna też wstał, wyskakując w górę jak diabeł z pudełka. Choć miał wydatny brzuch, poza tym był chudy i zadziwiająco wysoki.

– Moja droga Beatrice! – powitał ją George. – Cóż za niespodzianka!

– Przepraszam, że wpadam tak bez uprzedzenia – zaczęła. – Powinnam była przysłać ci wiadomość, że przyjadę, ale wolałam nie tracić czasu. W tych butelkach przywiozłam miksturę dla dziewcząt, by zbić gorączkę, a z pomocą boską może i całkiem je wyleczyć.

George, z poważną miną, wyszedł zza biurka.

– Przykro mi, Beatrice, mam dla ciebie bolesną wiadomość. O, przy okazji, to pan Veal, mój księgowy. Edwardzie, pozwól, że przedstawię ci wdowę Scarlet.

– Ogromnie mi miło, bardzo miło! – odezwał się łysy mężczyzna. – George opowiadał mi tyle dobrego o pani pracy w domu dla zbłąkanych młodych kobiet.

– George, co się stało? – spytała. – Proszę, nie mów tylko, że któraś z nich już umarła!

– Na swój sposób jest gorzej – odparł George. – Ale usiądź, proszę. To będzie dla ciebie wielki szok.

Beatrice nadal stała.

– Co może być gorszego niż śmierć? Błagam, mów!

– Z żalem przyznam, że cię oszukałem, Beatrice. Robiłem to dla dobra samych dziewcząt, ale przede wszystkim żeby nie ranić twoich uczuć. Ostatnio musiałaś przejść wystarczająco wiele i nie potrzebujesz kolejnych nieszczęść.

– Mów – rzuciła.

Poza niepokojem czuła, że traci cierpliwość.

– Kiedy przyjechałaś tu w sobotę, powiedziałem ci tylko część prawdy. Dziewczeta naprawdę dostały gorączki. Jednak to nie była zwyczajna choroba. To była ich sztuczka.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Pierwszej nocy tu w Hackney, kiedy tylko wybiła północ, zaczęły wyśpiewywać coś i wyć, i wydawać najbardziej dziwaczne odgłosy. Kiedy nasza gospodyni, Margaret Lidiard, poszła do ich sypialni, by sprawdzić, co się dzieje, zastała je wszystkie nagie, tańczące między łózkami. W dodatku namalowały na ścianie ogromny symbol, pentagram, czymś, co wyglądało jak krew.

– Co takiego?!

Nie mogła wprost uwierzyć w to, co powiedział właśnie George. Ale trudno byłoby wyobrazić sobie, by kłamał. Miał taki poważny wyraz twarzy.

– Margaret oczywiście chciała je przywołać do porządku. Kazała im się ubierać i kłaść do łóżek, ale kiedy tylko weszła do sypialni parę kroków dalej, jakaś niewidzialna siła odepchnęła ją z powrotem. Mówiła, że to było całkiem tak, jakby podczas burzy porwał ją wiatr, ale cuchnący niczym oddech jakiejś obrzydliwej bestii. Uderzyła we framugę drzwi tak mocno, że złamała sobie kilka żeber. Półprzytomna padła na podłogę. Jakimś cudem udało się jej wyczołgać z sypialni, a drzwi zatrzęsły się za nią, choć nie było przy nich żadnej z dziewczyn. Kiedy doniosła mi, co się stało, poszedłem na górę z kilkoma swoimi ludźmi. Staraliśmy się otworzyć drzwi, ale na próżno. Próbowaliśmy więc je wyłamać. Kazałem kilku najsilniejszym mężczyznom natrzeć na nie taranami. Bez powodzenia. Tarany kruszyły się, jakby były z gliny.

Beatrice powoli usiadła.

– Wybacz, George, ale nie mieści mi się to w głowie.

– Nie ma nic do wybaczenia, Beatrice. To naprawdę niepojęte... wręcz nieprawdopodobne. My wszyscy nie mogliśmy uwierzyć w to, co widzimy i słyszymy. Kiedy za pierwszym razem nie udało nam się otworzyć drzwi, moi ludzie przystawili drabiny pod okna sypialni, żebyśmy mogli zobaczyć, co się dzieje w środku, ale zasłony były i nadal są zaciągnięte.

– I dziewczyny siedzą tam, od kiedy tu przyjechały? Bez jedzenia, picia, dostępu do urządzeń sanitarnych?

– Stale do nich pukaliśmy i prosiliśmy, żeby wyszły albo przynajmniej pozwoliły ze sobą porozmawiać, jednak na próżno. W dzień panowała cisza jak makiem zasiał, ale kiedy tylko wybijała północ, znów zaczynały się śpiewy i wrzaski, słychać też było dziwną, pozbawioną harmonii muzykę, jakby jakieś flety. Powtarzało się to każdej nocy i trwało co najmniej przez godzinę. Potem zapadała martwa cisza.

– Sam słyszałem, aż krew mi zmroziło w żyłach – wtrącił Edward Veal. – Gdyby resztki moich włosów nie były już białe, na pewno osiwiiałbym z dnia na dzień.

– Może sama powinnam spróbować z nimi porozmawiać – powiedziała Beatrice. – W Ameryce zetknęłam się z ludźmi, którzy odprawiali jakieś szatańskie rytuały. Wszystko to było udawane, ale nie bez powodu, i w końcu odkryłam, o co chodzi.

– Nie umiem sobie wyobrazić, dlaczego te dziewczęta miałyby udawać, że wezwały szatana – odezwał się George. – Ale... spóźniłaś się. Niestety. Dziś z samego rana, kiedy tylko przyszedłem do biura, zauważyłem, że znikł nasz kozioł.

– Kozioł? – Beatrice wyjrzała przez okno i zobaczyła, że z palika zwisa sznurek, na którym uwiązane było zwierzę, ale jest przecięty, a samego kozła nie ma.

– Natychmiast poszedłem na górę i okazało się, że drzwi do sypialni są otwarte – ciągnął George. – Po dziewczynach nie było ani śladu, nie została żadna, ale kiedy wszedłem do środka i odciągnąłem zasłony... no, nie wiem, czy powinienem mówić ci, co tam ujrzałem.

– Proszę, George, nie jestem nadwrażliwa.

– Nasz kozioł tkwił przybity do ściany, z rozciągniętymi nogami i rozciętym brzuchem, tak że wnętrzności wypadły na podłogę. Dookoła były poustawiane świece. Mogę więc tylko przypuszczać, że dziewczyny złożyły jakąś rytualną ofiarę.

– Jak mogły porwać kozła i zabrać go na górę do sypialni i nikt niczego nie zauważył ani nie usłyszał? – spytała Beatrice. – Przecież na pewno kozioł by beczał, jego kopyta stukałyby na schodach?

George pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Ale było ich siedem, prawda? Może zdołały ogłuszyć biedne zwierzę i zanieść je razem na górę. Albo zrobiły to inaczej. Jakieś nadnaturalne siły uniosły kozła w powietrzu. Przecież dziewczynom udało się wypchnąć Margaret z pokoju, bez dotykania jej, i zatrzaskać drzwi, choć żadna nie stała blisko nich. Jestem gotów uwierzyć, że przetransportowały kozła dzięki czarnej magii.

– I dziewczyn już nie ma? Domyślasz się, dokąd mogły uciec?

– Nie. Pytałem posłańca, który był tu rano, czy mijał je po drodze, ale powiedział, że nie. Kazałem jednemu ze swoich chłopaków stanąć przy Bethnal Hamlet i popytać woźniców i innych podróżnych, czy je widzieli, a drugiego postawiłem przy Jeremy's Ferry za Dalston. Jak na razie wygląda na to, że cała siódemka po prostu rozplynęła się w powietrzu.

– Ulotniły się jak duchy! – wtrącił Edward Veal i klasnął w dłonie. – Paff! Tak jakby nigdy ich nie było!

– Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć – powiedziała Beatrice. – Ale przyznam, że jest mi bardzo przykro. Rozmawiałam z jedną z tych dziewcząt, Jane, i odniosłam wrażenie, że jest bliska nawrócenia. Nie w sensie religijnym. Wydawało mi się, że szczerze pragnie zerwać z prostytutką i zmienić swoje życie na lepsze. Naprawdę trudno mi sobie wyobrazić, by mogła wzywać szatana.

George zaciągnął się cygarem, po czym zdjął z dolnej wargi drobinę tytoniu.

– Beatrice, moja droga, wątpię, czy ona kiedykolwiek miała choćby najmniejszy zamiar przestać zarabiać jako dziwka. Po prostu mówiła ci to, co według niej chciałabyś usłyszeć. Wiesz, jakie one są. Pewnie wierzy, że szatan spełni jej wszelkie marzenia. Zapewni jej szczęście, sławę, a jak się powiedzie, to i jakiegoś bogatego naiwniaka, który się nią zaopiekuje, kiedy ona nie będzie już taka młoda i piękna. Dostanie wszystko, czego Bóg by jej nie dał, ale może jego szatańska moc tak.

– Chyba nie wierzysz w czarną magię? – spytała Beatrice.

– Ujmijmy to raczej tak, że nie, nie wierzę. Mam w Bedford kuzyna, który kłócił się ze starą sąsiadką, bo jej pies przedostał się na jego podwórko i udusił pięć kurczaków. Kiedy zdarzyło się to po raz drugi, zatłukł go laską. Następnej nocy usłyszał brzęk szkła na piętrze. Gdy pobiegł sprawdzić, co się dzieje, zobaczył na zewnątrz tę starą kobietę, która unosiła się w powietrzu, jakieś trzy metry nad ziemią, i pogrzebaczem wybijała mu szyby w oknach sypialni.

– No właśnie! – rzucił Edward Veal, jakby to był niepodważalny dowód na czary. – Gdyby niecałe dwadzieścia pięć lat temu przyłapano ją na czymś takim, mogłaby zawisnąć na stryczku!

Beatrice tylko uniosła brwi, nie odzywając się słowem. Nie zaprzeczała temu, że w świecie mogą działać siły nadnaturalne. Przecież wierzyła

w Boga. Ale spotkała się ze zbyt wieloma oszustami, którzy udawali medium, i szarlatanami, żeby nie podchodzić sceptycznie do satanizmu. Ojciec uczył ją zawsze, by najpierw badać wszystko naukowo, a nawet jeśli nie znajduje się w ten sposób wyjaśnienia, trzeba mieć umysł otwarty. „Nasza wiedza w dziedzinie chemii błyskawicznie rośnie – mawiał. – To, co dziś rano uznajemy za czary, po południu może okazać się zjawiskiem całkiem zwyczajnym”.

– Jeśli tych siedem dziewcząt opętał szatan, bardzo wątpię, byśmy jeszcze kiedyś o nich usłyszeli – powiedział George. – To tragedia, wielka, wielka tragedia. I nie masz pojęcia, jak bardzo boleję, że doszło do tego, kiedy były pod moją opieką. Ale... wszystkie znikły z powierzchni ziemi i trudno, stało się.

– Paff! – powtórzył Edward Veal. I jeszcze raz: – Paff!

– Jak przypuszczam, nie mówiłeś jeszcze o tym pastorowi Parsonsowi? – spytała Beatrice. – Czy pani Smollett? Rano wydawało się, że nie ma o niczym pojęcia.

George pokręcił głową.

– Na razie nikogo nie powiadomiłem, choć teraz oczywiście muszę to zrobić. Nie chciałem nic mówić Idzie, bo to złamałoby jej serce. Poświęca się bez reszty, by nawracać te dziewczyny na cnotliwą ścieżkę życia. Najprawdopodobniej uzna, że w pewien sposób zawiodła.

– Chcesz, żebym ja jej to powiedziała?

– Nie, Beatrice, nie. Znam Idę od wielu lat i lepiej, żeby usłyszała to ode mnie. Pozwól, że powiem to jej swoimi słowami. Jutro będę w mieście i zanim pojedę na spotkanie w cechu, zajrzę do schroniska Świętej Marii Magdaleny i siedziby głównej.

Beatrice wstała.



– Jeśli pozwolisz, George, chciałabym na własne oczy zobaczyć sypialnię dziewczyn.

– Jesteś pewna? Jeszcze tam nie posprzątało i nie zdjęto tego kozła. Zastanawiałem się, czy nie należy wezwać kogoś ze straży miejskiej, żeby to obejrzał. Na wszelki wypadek, gdyby potem te dziewczyny popełniły jakieś przestępstwo i zostały aresztowane. Stan ich pokoju byłby dowodem, że zawarły pakt z szatanem, prawda? Poza tym, że ukradły naszego nieszczęsnego kozła i zarżnęły go w tak przemyślny sposób.

– Tak, proszę, pokaż mi – powiedziała Beatrice. – Może zostawiły jakiś ślad wskazujący, gdzie mogą teraz być.

– No dobrze, chodź ze mną. – George podniósł się. – Choć przyznam, że bardzo niechętnie zabieram cię, żebyś zobaczyła urządzoną przez nie jatkę... ale skoro nalegasz.

– Jak mówiłam, George, nie jestem zbyt wrażliwa na okropności. W Ameryce gotowałam żywe homary, zarżynałam i oprawiałam hodowane przez siebie świnię.

• • •

Na tyłach fabryki znajdowała się piętrowa ceglana przybudówka. Południową ścianę porastał szeleszczący bluszcz. Na parterze były magazyny na tytoń, a także duża kuchnia, gdzie przygotowywano posiłki dla pracowników. Szerokie schody prowadziły do sypialni na piętrze, osobnych dla mężczyzn i dla kobiet.

Beatrice ruszyła po stopniach pierwsza, a za nią George, nadal palący cygaro. Nim dotarli na górę, zatrzymał się na chwilę, jakby zabrakło mu tchu, i zaczął kaszleć, uderzając się pięścią w pierś.

Poszli do pokoju dziewcząt w końcu korytarza. Drzwi były zamknięte. George wyjął klucz, żeby je otworzyć.

– Jesteś całkiem pewna, że tego chcesz? – zapytał jeszcze.

– Tak, George – potwierdziła. – Wzięłam na siebie odpowiedzialność za to, że sprowadzę je na uczciwą drogę, i choć znałam je bardzo krótko, nadal wierzę, że mogłabym je ocalić.

– Jak sobie życzysz.

George popchnął drzwi.

Sypialnia miała pobielone ściany. Stało w niej osiem prostych metalowych łóżek, po cztery z każdej strony. Prześcieradła na siedmiu były w strasznym nieładzie, niektóre z plamami czegoś, co przypominało zaschniętą krew. Całą dębową podłogę pokrywały ciemnobrązowe esyfloresy, też wyglądające na krew. W powietrzu latały setki much.

Na przeciwległej ścianie był namazany ogromny pentagram, niemal od podłogi do sufitu, a dokoła niego widniały tajemnicze symbole ziemi, ognia, powietrza i wody. Biały kozioł był przybity do ściany, z nogami rozciągniętymi wzdłuż przekątnych linii pentagramu. Miał rozchyłone powieki, w szparkach błyszcząły żółte oczy, obnażone zęby tworzyły upiorny uśmiech, a suchy różowy jęzor opadał na bok. Wystrzępiona broda i guzkowate rogi potęgowały wrażenie, że to istny obraz szatana.

– No, jeśli to nie jest dowód na diabelskie praktyki, to nie wiem, czym innym może to być – powiedział George i znów się rozkaszał.

Chciał coś dodać, ale nie był w stanie i tylko machnął ręką.

Beatrice weszła do pokoju i powoli ruszyła między łózkami. Choć nie była przewrażliwiona, ostry, słodkawy smród sprawiał, że zbierało się jej na wymioty. Kozioł był rozcięty od szyi do jąder, tak że wszystkie wnętrzności wyślizgnęły się na podłogę. Leżały tam, błyszczące, w rozkładającej się masie, otoczone kilkunastoma do połowy wypalonymi świecami. Po wszystkim łąziły muchy, zanurzając się do środka czerwonego brzucha i wyłaząc na zewnątrz niczym rabusie plądrujący opuszczony dom.

Beatrice wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i zakryła nos i usta, podchodząc do truchła. George stał na zewnątrz i palił cygaro.

Czegoś tu brakuje, pomyślała Beatrice. Tak naprawdę kilku rzeczy. George wyraźnie powiedział, że w sypialni nic nie ruszano, od kiedy odkrył, że dziewcząt nie ma. Gdzie się podziały ich ubrania? Czy nadal były spakowane w ich bagażach, w workach i skórzanych neseserkach? Żeby je przewieźć do Hackney, potrzebny był wóz. Przecież te dziewczyny nie mogły sprawić czarami, że to wszystko znikło. Pod dwoma łózkami zobaczyła nocniki, oba puste. Jeśli dziewczyny siedziały tu zamknięte od pierwszego dnia po przyjeździe, to gdzie siusiały?

Przez chwilę kusiło ją, by wspomnieć o tych wątpliwościach George'owi, ale właśnie przyszedł do niego jeden z majstrów i George, pokaszliwując, wdał się z nim w rozmowę, więc zdecydowała się nic nie mówić. Już zakwestionowała jego przekonanie, że dziewczęta wezwały szatana, i unosiła z niedowierzaniem brwi, gdy opowiadał, jak to jego kuzyn zobaczył latającą czarownicę. Nie chciała się z nim spierać. W końcu był głównym dobroczyńcą schroniska Świętej Marii Magdaleny i gdyby go uraziła, Ida na pewno nie byłaby zachwycona.

Coś jeszcze przykuło jej uwagę. Mnóstwo much łąziło po wypatroszonym koźle, ale żadnej nie skusiły ślady krwi na pościeli i na podłodze ani krew, którą ponoć namalowany był pentagram.

Beatrice obejrzała się przez ramię. George nadal rozmawiał z majstrem, tonąc w niebieskawym dymie cygara. Kiedy więc nie patrzył, zwinęła chusteczkę i potarła nią jedną linię pentagramu. Krew zdawała się gęsta i lepka. Potarła mocniej, żeby zyskać jej odpowiednią próbkę. Jeśli to naprawdę była krew. Gdyby dziewczyny wymalowały to pierwszej nocy, do tej pory na pewno już by wyschło.

Wepchnęła z powrotem chusteczkę do kieszeni i wyszła na korytarz, dołączając do George'a.

– Widziałaś kiedyś coś bardziej makabrycznego?

– Nie, nigdy w życiu, George. To przerażające – odparła.

Nie lubiła kłamać – widziała przecież o wiele gorsze okropności w Ameryce, a najstraszniejszy był widok okaleczonego ciała męża – ale znów uznała, że lepiej zgodzić się z George'em i go nie drażnić. Skoro on wierzy w szatana i czarną magię, to co jej to szkodzi. Znała mnóstwo ludzi, którzy byli zabobonni tak jak on, a sama też miała swoje przesady. Jeśli kiedykolwiek rozsypała sól, zawsze rzucała trzy szczypty przez ramię, na wypadek gdyby za jej plecami czaił się diabeł.

– Kiedy zawołam kogoś ze straży miejskiej na świadka, każę dokładnie przeszukać sypialnię – powiedział George, gdy wracali na dół. – Mam też zamiar sprowadzić tu pastora z kościoła Świętego Augustyna, żeby poświęcił to miejsce.

– Możesz go również poprosić, by pomodlił się za nasze zaginione dziewczęta – podsunęła Beatrice.

– No tak, pewnie – rzucił George. – Chociaż moim zdaniem nic już ich nie uratuje.

## Rozdział 17

Beatrice wróciła do Maidenhead Court, by jak najszybciej zapewnić Florence, że nie znikła na zawsze.

Wieszała w korytarzu swoją mokrą od deszczu pelerynę, kiedy z salonu wyszła Ida.

– I co? – spytała. – Jak one się mają? Dałaś im lekarstwo?

– Tak naprawdę ich nie widziałam – odparła Beatrice. – Pan Hazzard twierdzi, że już stanęły na nogi. Uznałam, że w tej sytuacji nie ma potrzeby, żebym się narażała.

Ida patrzyła na nią w milczeniu przez jakieś dziesięć sekund, jakby zastanawiając się, czy w jej słowach jest jakieś podwójne dno. Wreszcie z ulgą przymknęła oczy.

– To dobrze. Bardzo rozsądnie z twojej strony.

Beatrice ruszyła poszukać Florence i przyprowadziła ją do kuchni, żeby dziewczynka zjadła miskę zupy serowej z grzankami. Grace też przyszła. Florence najwyraźniej uwielbiała tę dziewczynę, a Grace już traktowała ją jak swoją małą siostrzyczkę. Obie chichotały przez całą kolację, a Florence tak się śmiała, że aż pluła zupą.

Beatrice nie miała apetytu. Nie potrafiła zapomnieć widoku wypatroszonego, przybitego do ściany kozła, jego wylewających się wnętrzności, na których roiło się od much. Florence dla zabawy chciała nakarmić matkę kilkoma grzankami, ale Beatrice zacisnęła usta.

Choć Grace przywieziono do Londynu, kiedy miała zaledwie siedem lat, i pewnie nie pamiętała zbyt dobrze rodziny, Beatrice czuła, że dziewczyna nadal strasznie tęskni za bliskimi, którzy zostali na Barbadosie. Postanowiła jednak, że zapyta ją o nich, dopiero jak się trochę lepiej

poznają. Z własnego bolesnego doświadczenia wiedziała, że niektóre wspomnienia lepiej trzymać pod kluczem, jak truciznę.

Po kolacji, około wpół do szóstej, niebo pociemniało i tuż nad domem rozległ się grzmot. Deszcz lał się strumieniem z pękniętej rynny na tyłach domu i w niecałe dziesięć minut podwórko było zalane, a posąg Astrei znalazł się pośrodku wielkiej sadzawki.

Beatrice przeszła do atelier, gdzie Ida czytała grupce dziewcząt inspirujące historie biblijne.

– Muszę wyjść na jakąś godzinę, dwie – oznajmiła.

– W taki deszcz? Po co?

– Judith okropnie dokuczają te jej duszności, a nie mam już dla niej psianki. Muszę podjechać do głównej siedziby, może Godfrey znajdzie coś w swoich zapasach.

– Nie lepiej wysłać po to którąś z dziewcząt?

– Muszę sama zobaczyć, co jest u niego na składzie. Najlepsze byłyby zioła psiankowate, ale może on ma tylko wilcze jagody. Poza tym trzeba sporządzić z tego syrop, a wątpię, by Godfrey znał dokładną recepturę.

Beatrice uświadomiła sobie, że tego dnia już po raz drugi kłamie, ale właściwie to, co mówiła Idzie, było częściowo prawdą. Judith oddychała z takim trudem, że musiała się położyć, a Beatrice rzeczywiście zabrakło psiankowatych, choć zwykle pacjentom z takimi dusznościami wołała podawać ipekakuanę albo opium.

Uspokoiła sumienie, powtarzając sobie, że tylko stara się oszczędzić Idzie trosk. Gdyby wyjaśniła, dlaczego chce jechać do aptekarza, musiałaby opowiedzieć jej wszystko o pentagramie, i koźle i zniknięciu dziewcząt.

– No dobrze – odrzekła Ida. – Ale proszę, bądź ostrożna. Jest wieczór, pogoda straszna. Weź powóz.

• • •

Godfrey właśnie narzucił płaszcz i już miał zamykać, kiedy Beatrice dotarła na miejsce.

– Beatrice! Przykro mi, na dzisiaj już skończyłem.

– Proszę, Godfrey. Wiem, że nadużywam twojej uprzejmości, ale muszę sprawdzić jedną małą próbkę. Nie mogę wyjaśnić dlaczego, ale to bardzo pilne.

– Któraś z dziewczyn zachorowała?

– Nie, nic z tych rzeczy, dzięki Bogu. Ale na swój sposób to może być coś o wiele gorszego.

– Słuchaj... Za pół godziny jestem umówiony z przyjaciółmi w Zielonym Smoku. Mogę cię prosić, żebyś zamknęła, kiedy skończysz, i oddała klucze pastorowi Parsonsowi albo Henry’emu, jeśli pastor siadłby już do kolacji?

– Oczywiście.

– Tylko błagam, nie zapomnij zdmuchnąć świec. Byłbym niepokieszony, gdybym rano zastał naszą siedzibę spaloną do fundamentów!

Kiedy poszedł, Beatrice zdjęła pelerynę i stanęła za blatem roboczym. Były na nim dwie duże świece, po jednej z każdej strony. Wystarczały, by oświetlić całe pomieszczenie, ale Beatrice napełniła dwie przejrzyste szklane kolby wodą i ustawiła je przed świecami, żeby zrobiło się jaśniej, zwłaszcza na środku blatu.

Wyjęła z kieszeni chustkę i rozłożyła ją, aby przyjrzeć się czerwonym śladom, które uzyskała, pocierając o pentagram. Teraz były suche, ale inne niż ślady krwi, która po wyschnięciu ciemnieje. Te plamy nadal jaskrawiły

się czerwienią. Powąchała, raz i drugi, i już była pewna, że wyczuwa olej lniany.

– Tak jak podejrzewałam – szepnęła do siebie. – To farba.

Wzięła ze stojącej na blacie tacki z narzędziami skalpel i przecięła starannie chusteczkę na dwie części. Potem ustawiła dwa szklane naczynia, jedno obok drugiego, i do każdego włożyła po połowie zabrudzonej chusteczki. Na tę z lewej strony kapnęła spirytusu, na tę z prawej dała łyżeczkę roztworu zasadowego.

Plama po lewej stronie nie zmieniła swojej czerwonej barwy. Ta z prawej natychmiast zrobiła się ciemnofioletowa. Choć Beatrice mogła wykonać jeszcze wiele innych testów, była już raczej pewna, że pentagram został namalowany na ścianie nie krwią, ale karminową farbą olejną.

Ta farba zawdzięczała barwę zawartości utartych żeńskich owadów o nazwie czerwiec kaktusowy. Beatrice widziała, że w tym przypadku pigment był rzeczywiście bardzo drobno utarty, żeby dawać mocne nasilenie koloru. Domyślała się więc, że farbę przygotowano w firmie Emerton & Manby. Zakład szczylił się tym, że używa młyna napędzanego przez konia, by mielić pigmenty, co nie tylko gwarantowało żywe barwy, ale też pozwalało uzyskać o wiele więcej farby przez rozcieńczanie niż w przypadku barwników, które oferowali inni producenci. W efekcie więc było to zdecydowanie bardziej opłacalne.

Beatrice patrzyła na rezultat swoich testów i zastanawiała się, co ma zrobić. Kiedy pobierała próbkę, farba wciąż była lepka, czyli pentagram musiał być namalowany zaledwie kilka godzin przed jej przyjazdem do fabryki.

Żałowała teraz, że nie wzięła próbek z plam na pościeli i na podłodze. Może to była krew, żylna albo menstruacyjna, albo krew kozła, ale Beatrice miała głębokie przeświadczenie, że to też tylko farba.



Mogło to oznaczać tylko jedno – George Hazzard został uprzedzony o jej wizycie i zaaranżował wszystko w sypialni, żeby ją zmylić. Bo inaczej po co zadawałby sobie tyle trudu? Ta poplamiona pościel, pentagram, kozioł ofiarny, świece – to wszystko miało ją przekonać, że dziewczyny urządziły sobie sabat czarownic. Ale po co? I gdzie one się naprawdę podziały? I kto powiadomił George’a o jej przyjeździe?

Nadal stała zamyślona, kiedy nagle drzwi się otworzyły. Przez chwilę płomyki świec migotały niebiesko. Ojciec Beatrice mówił jej, że to znak, iż pojawia się przyjaciel diabła. Ale to był tylko James.

– Beatrice! – powiedział, wchodząc do środka. Miał na sobie powłóczystą czarną pelerynę, w ręce trzymał trójganiasty kapelusz. – Co za niespodzianka, że cię tu widzę. Szukałem Godfrey’a.

– Godfrey poszedł na spotkanie z jakimiś przyjaciółmi w Zielonym Smoku – wyjaśniła. – Był tak dobry i pozwolił mi posłużyć się jego chemikaliami.

– O, mam nadzieję, że ci nie przeszkodziłem.

– Nie, nie – odparła szybko i zaczęła sprzątać blat. – Zrobiłam już to, co zamierzałam.

– Wychodzisz? – zapytał. Wziął jej pelerynę i uniósł, by mogła ją włożyć. – Chciałem zapytać Godfrey’a, czy nie wyskoczyłby ze mną na piwo. A może, zamiast niego, ty się skusisz?

– Przykro mi, ale nie, James. Muszę wracać do Maidenhead Court. Poza tym mam strasznie dużo na głowie. Nie sądzę, żebym była miłym towarzystwem.

– No to przynajmniej pozwól, że cię odprowadzę.

– Dalej pada?

– Nie, burza minęła i nawet jeśli będziesz wolała milczeć jak zaklęta, uznam to za wielką przyjemność, że mogę się z tobą przejść.

Beatrice przypomniała sobie, czym wytłumaczyła Idzie swoją wyprawę, i sięgnęła na półkę po buteleczkę syropu z ipekakuany. Potem wyszła z za blatu i pozwoliła, by James nałożył jej na ramiona pelerynę.

– Dziękuję – rzuciła. – Po drodze możesz opowiedzieć mi coś więcej o sobie.

## Rozdział 18

James wziął ze sobą latarnię, choć większość drogi do Maidenhead Court całkiem dobrze oświetlały szklane lampy przytwierdzone do wielu domów. Jednak w niektórych węższych uliczkach lamp było mniej albo się nie paliły i wtedy ciemność stawała się tak czarna jak długa peleryna Jamesa.

Szli, a on opowiadał jej, jak to jego ojciec stracił niemal cały majątek i rodzina musiała przenieść się z wiejskiej posiadłości w Edgware do wynajmowanego szeregowego domu na Henrietta Street.

– Ojciec był załamany, ale ja nie uważam tego za taki dramat. Lubię mieszkać w centrum. Jest duży ruch, mam interesujących sąsiadów. Trzy domy dalej mieszka Kitty Clive.

– Kitty Clive? Ta aktorka?

– Tak, właśnie ona. Widuję ją dość często, kiedy wraca z teatru późnym wieczorem.

Beatrice poczuła się tak dobrze w towarzystwie Jamesa, że kusilo ją, by opowiedzieć mu trochę o sobie i o swoim życiu w New Hampshire, ale uznała, że poczeka z tym do następnego razu, kiedy już odkryje, co stało się z dziewczętami. W tej chwili nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Doszli do Maidenhead Court. Siwowłosy stary stróż otworzył im bramę. James ujął dłoń Beatrice.

– Musimy znów wybrać się razem na spacer – powiedział. – Ale za dnia i w jakieś przyjemniejsze miejsce. Może zabiorę cię do Ranelagh Gardens, jeśli miałabyś ochotę wybrać się do Chelsea.

– Zobaczymy – odparła z uśmiechem. – Wygląda na to, że od świtu do nocy mam pełno zajęć. Jak nie uczyć dziewcząt czytać i pisać albo szyć lub

piec, to czytam im historie biblijne i prowadzę modlitwy. Chyba nawet jako żona pastora nie modliłam się tak wiele jak teraz, odkąd przybyłam do schroniska Świętej Marii Magdaleny.

– Jesteś wyjątkową kobietą, Beatrice. Jeśli ja się o coś modlę, to żebyś znalazła kogoś, kto sprawi, że znów będziesz szczęśliwa. – Dalej trzymał jej rękę. Czowała, że chciałby przyciągnąć ją bliżej i pocałować, ale dodał tylko: – Jutro mam lekcje w szkole, może jednak zobaczę cię pojutrze, jeśli znajdziesz trochę wolnego czasu. Dobranoc, Beatrice. Cudownych snów.

Stał przed bramą i patrzył, dopóki nie weszła na schody schroniska Świętej Marii Magdaleny. Kiedy zapukała, pomachał jej latarnią, jak żeglarz dający sygnał z przepływającej łodzi.

Drzwi otworzyła jej Ida. Miała na głowie czepek i była w długiej koszuli nocnej i haftowanej lizesce. Trzymała zapaloną świecę, bo żyrandol w holu już się nie palił.

– O, Beatrice. Właśnie szłam się położyć. Czy Godfrey miał to, co chciałaś?

Beatrice uniosła buteleczkę syropu z ipekakuany.

– Nie miał psianki, ale to powinno zadziałać równie dobrze.

– Muszę powiedzieć, że robisz wyjątkowo wiele dobrego tu, u Świętej Marii Magdaleny – stwierdziła Ida. – Naprawdę cenię sobie twoją pomoc i wiem, że dziewczęta ogromnie cię polubiły.

– To bardzo miłe, że tak mówisz – odparła Beatrice. – One też stały mi się niezwykle bliskie.

Powiew z jadalni sprawił, że płomień świecy zamigotał. Ida osłoniła go dłonią.

– Szczerze się z tego cieszę – powiedziała. – Jednak czuję, że powinnam powtórzyć ostrzeżenie, które dałam ci, kiedy tu przyjechałaś.

Beatrice zmarszczyła brwi na znak, że nie bardzo wie, o czym Ida mówi.

– Ostrzegałam cię, że niektóre z tych dziewcząt mogą cię zwodzić. Uwierzysz, że się nawróciły, a to będzie nieprawda. Przez to, co mówią, z jakim zapalem się modlą, wydadzą ci się cnotliwe niemal jak siostry zakonne. Ale pod płaszczykiem pobożności niektóre nadal będą tęsknić za swoim życiem w domach rozpusty i burdelach. Udają wyzwolone z grzechu, ale tylko po to, żeby uniknąć kary, jaką nałożyły na nie sąd.

– No tak. Mam tego świadomość – odrzekła Beatrice. – Ale jeżeli chociaż połowa z nich porzuci prostytutkę, to na pewno lepsze niż nic.

– Oczywiście. Tylko pamiętaj, że jeśli tracimy niektóre z nich, bo od nas odchodzą i znów się staczają, powracając do hańby niemoralnego życia, od którego chcieliśmy je wybawić, nie wolno ci się za to obwiniać. Są wystarczająco dorosłe, by decydować o swoim losie i o tym, w co chcą wierzyć. Mogą odwrócić się od ciebie i od Boga, ale ty zrobiłaś, co w ludzkiej mocy, by je ratować.

– Tak – rzuciła Beatrice, nie wiedząc, co jeszcze mogłaby dodać.

Ida życzyła jej dobrej nocy i ruszyła na górę, unosząc lekko rąbek koszuli nocnej, żeby się nie potknąć. Z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny Beatrice miała wrażenie, że zaraz spod koszuli migną jej kopytka, nie stopy. Błękitne płomyki świec w aptece przypomniały jej książkę o diable napisaną przez Daniela Defoe. Była tam mowa o tym, że szatan ma kopytka jak kozioł, choć autor sam w to wątpił.

*Kiedy diabeł ma możliwość przybrać postać ludzką, czy to pięknej damy, czy staruchy, nadal pozostają mu kopytka. I nie tylko to – on musi też je pokazać. Nie wolno mu zakładać trzewików czy wysokich butów, które często ukrywają szpotawą stopę lub*

*drewnianą nogę. Diabeł ma być rozpoznawalny. Gdziekolwiek idzie, jest zobowiązany pokazać kopytko, a czasem każą mu nosić ogłoszenie na czapce, jak na domu do wynajęcia, i ma mieć tam napisane wielkimi literami: JESTEM DIABŁEM.*

Beatrice poszła za Idą na górę, bo nie miała własnej świecy. Kiedy Ida zniknie w swojej sypialni i zamknie za sobą drzwi, ona zostanie w kompletnej ciemności, a nie chciała, by to się stało, gdy myślała o diable.

Cicho wślizgnęła się do swoich pokoi, tak żeby nie obudzić Florence, i szybko się rozebrała, starannie wieszając swoje rzeczy na oparciu krzesła. Kiedy wsunęła się do łóżka, pocałowała Florence w ciepłe czołko, a potem położyła się, myśląc o ostrzeżeniu Idy.

Gdyby nie wiedziała, że jest inaczej, miałyby wrażenie, że Ida wie już o zniknięciu dziewcząt, pentagramie i zarżniętym koźle. „Mogą odwrócić się od Boga”, powiedziała Ida – a w jaki sposób mogłyby zademonstrować to dobitniej, niż przez złożenie ofiary szatanowi?

Dopiero po godzinie zdołała zasnąć, jednak wcale nie miała „cudownych” snów, jakich życzył jej James. Śniła jej się zmarła matka, która zasmucona siedziała na skraju łóżka i śpiewała o gajach pozbawionych zieleni.

• • •

Następnego ranka znów było pochmurno i siąpił deszcz. Do południa Beatrice uczyła dziewczęta tkania gobelinów i czytała im *Wędrówkę pielgrzyma* Johna Bunyana. Zaraz po pierwszej rozległo się pukanie do drzwi frontowych, a kiedy zostały otwarte, usłyszała głos George’a. Ida powiedziała coś do niego, ale Beatrice nie mogła zrozumieć co. Oboje udali się do salonu i zamknęli za sobą drzwi.

Jakieś dwadzieścia minut później w atelier pojawiła się Grace.

– Pani Smollett pyta, czy mogłaby pani do niej przyjść – oznajmiła.

Beatrice poleciła dziewczętom, by nie przerywały pracy, i ruszyła za Grace do salonu. George opierał się o kominek, jak zwykle sprawiając wrażenie pana tego miejsca. Ida siedziała obok, z zaciśniętymi ustami, wyraźnie spięta. Tego dnia namalowała sobie rumieńce na policzkach, dzięki czemu nie była tak upiornie blada, ale za to przypominała kłowna.

– Witaj, Beatrice – powiedział George. – Opowiedziałem Idzie wszystko o dziewczętach i ich czarnej magii. Wyjaśniłem też, że zobowiązałem cię, abyś zachowała milczenie, póki sam nie będę miał możliwości przedstawić jej, co się stało.

– Jestem głęboko wstrząśnięta – odezwała się Ida. – Nie potrafię wyrazić, jaki to dla mnie cios. Wszystkie siedem! Myślałam, że te dziewczęta naprawdę się zmieniły i odnalazły Boga. A one równie dobrze mogłyby podrzeć kartki Pisma Świętego i na nie napluć.

– Nadal nie masz żadnych wiadomości o tym, gdzie są? – zwróciła się Beatrice do George’a.

– Rozpuściłem wici, ale na próżno – odparł. – Ponieważ najwyraźniej posiadły nadnaturalne moce, mogą być teraz wszędzie. Nie zdziwiłbym się, gdyby poleciały do Szkocji, a nawet przefrunęły nad kanałem i trafiły do Francji. Wątpię, abyśmy jeszcze kiedyś o nich usłyszeli.

– Siedem dziewczyn – wtrąciła Ida. – To dość, by urządzić sabat, przywołać szatana. Nie macie pojęcia, jak bardzo czuję się winna i jak mi wstyd. Co za porażka.

– Jeszcze wczoraj wieczorem, Ido – odezwała się Beatrice – przekonywałaś mnie, że jeśli któraś z dziewcząt wróci na drogę grzechu, nie powinnam się za to winić. Tak samo ty. Niepotrzebnie masz wyrzuty sumienia.

– Tak, ale te dziewczęta nie powróciły do prostytucji, tylko przywołały diabła, by dał im nadnaturalną moc. Jeden Bóg wie, jakich potwornych zbrodni się dopuszczają. Jak mogłabym nie czuć się winna? Powinnam zadać sobie pokutę za to, że tak bardzo zawiodłam.

– Nie, Ido – zaproponował George. – Każda z tych dziewcząt urodziła się w koszmarnej nędzy i dorastały w grzechu. Były nim skalane, już kiedy ssały pierś matki. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś, by je oświecić, ale to było niemal nieuniknione, że znów zwrócą się w stronę ciemności.

Beatrice milczała. Mogłaby przedstawić George’owi wyniki swoich testów, ale czuła, że potrzebuje mocniejszych dowodów. A jeśli dziewczyny najpierw namalowały pentagram krwią, a potem, zanim uciekły, pociągnęły go karminową farbą? Albo też wezwały kogoś, kto podjechał po nie w nocy powozem i zabrał je z fabryki razem z ich bagażami?

Oczywiście i jedno, i drugie było bardzo mało prawdopodobne. Skąd wzięłyby farbę i pędzel? Jak mogłyby skontaktować się z jakimś współnikiem, skoro siedziały zamknięte w sypialni? I jak zdołałyby opuścić teren ze wszystkimi swoimi rzeczami, niezauważone przez nikogo?

Podejrzane było też to, że George nie wiedział nic o zniknięciu dziewczyn, póki nie zorientował się, że zaginął kozioł. Jednak Beatrice czuła, że musi postępować bardzo ostrożnie. Jeśli ten człowiek był gotów zabić kozła i zdemolować sypialnię, by przekonać ją, że dziewczyny czczą diabła i odleciały jak czarownice, to kto wie, do czego jeszcze jest zdolny się posunąć, aby ukryć prawdę?

Nieprzyjemnie było jej snuć te myśli. Gdy poznała George’a, zrobił na niej wrażenie serdecznego, dobrego, hojnego człowieka. Jednak w New Hampshire zetknęła się z takimi ludźmi jak Henry Mendum, zamożny farmer, pozornie zaangażowany w sprawy społeczności, a w gruncie rzeczy człowiek okrutny, chciwy i bezwzględny.



– Czy powiadomisz pastora Parsonsa o zaginięciu dziewcząt? – spytała.

– Już to zrobiłem, moja droga – odrzekł George. – Jadąc tutaj, wstąpiłem do siedziby głównej.

– I co on na to wszystko powiedział?

– Był w szoku, przeraził się, oczywiście, jak nasza biedna Ida. Ale podobnie jak ona, zdaje sobie sprawę, że niektóre z dziewczyn przyjętych do Świętej Marii Magdaleny nigdy się nie nawrócą.

– Czy do fabryki przybył ktoś ze straży?

– Tak, dziś wczesnym rankiem, zaraz po nocnej służbie. Jednak nie robił nadziei, że zdoła odnaleźć dziewczęta. Stwierdził, że skoro diabeł pomógł im zniknąć, to niewątpliwie również pomoże im zawsze, do końca życia, być o krok przed pościgiem.

– A może warto byłoby dać ogłoszenie w „Gazetteer”? Przecież na pewno ktoś w Londynie musi znać choćby jedną z nich albo mieć jakieś pojęcie, gdzie mogłyby się znajdować.

George skrzywił się i wzruszył ramionami.

– Sądzę, że to nic nie da, moja droga. Jak mówiłem, pewnie odleciały daleko stąd, na północ Anglii albo do Szkocji, a nawet za granicę, gdzie nikt ich nie rozpozna i gdzie będą mogły kontynuować swój haniebny proceder bez obaw, że zostaną pojmane.

– No, lepiej pójdę już do swoich uczennic – rzuciła Beatrice. – Dziewczęta na razie są cicho, ale nie lubię zostawiać ich zbyt długo bez nadzoru. Jak zaczną się kłócić, zaraz kłują się nawzajem igłami.

– Jak zawsze bardzo miło było cię zobaczyć, Beatrice – powiedział George. – Przykre, że znów spotykamy się w tak ponurych okolicznościach.

– Wieczorem odmówimy specjalną modlitwę za dziewczęta – zdecydowała Ida. – Diabeł je opętał, ale zawsze jest nadzieja, że Bóg wskaże im ich błąd i sprowadzi je do nas z powrotem.

Beatrice skłoniła się szybko George'owi i pospieszyła do atelier, gdzie dotarła w samą porę, by powstrzymać Hannah Bennett przed dźgnięciem w plecy Mary Cox grubą igłą do haftowania.

## Rozdział 19

Tego popołudnia Beatrice pożyczyła od Idy zielony jedwabny parasol i parę drewniaków, które pasowały na jej buty, i poszła razem z Florence do siedziby głównej. Na ulicach z powodu deszczu było wyjątkowo cicho, jedynie z rzadka dobiegał stukot kopyt i skrzypienie kół powozów. Większość hałaśliwych zwykle handlarzy i sprzedawców pierników kryła się w bramach, tylko klarncista z tańczącym psem trwali kompletnie przemoczeni na posterunku pod gołym niebem na rogu Fore Street. Pies raz po raz przerywał występ i popatrywał żałośnie na swojego pana, jakby pytał, kiedy wreszcie skończą i pójdą do domu.

Florence deszcz nie przeszkadzał. Śpiewała *Róże dokoluśka, róże pali wróżka! Na popiół, popiół, a my wszyscy bęc!* I wskakiwała w kałuże.

– Florrie! Będziesz całkiem mokra, zanim dojdziemy! – skarciła ją matka.

Beatrice zabrakło cukru ołowianego do powstrzymywania krwawienia z macicy i zamierzała też poprosić Godfrey'a o żel z aloesu, żeby przygotować więcej pigułek dla dziewcząt cierpiących na zaparcia i kolkę. Ale przede wszystkim chciała pomówić z pastorem Parsonsem o szatańskich rytuałach w fabryce George'a Hazzarda.

Kiedy dostała od Godfrey'a potrzebne specyfiki, przeszła na front zabudowań i zapukała do drzwi. Uśmiechnięta młoda służąca pastora Parsonsa wpuściła je obie i zaprowadziła do gabinetu duchownego. Pisał kazanie, a Florence zachwyciła się na widok cętkowanego kota, który leżał na zarzuconym papierami biurku, śledząc wzrokiem każdy ruch pióra, jakby szykował się do skoku, żeby je złapać.

– Beatrice, moja droga! – zawołał wielebny, odsuwając krzesło i wstając. – Jakże miło cię widzieć! Jak sobie radzisz u Świętej Marii Magdaleny? Ida ogromnie cię chwali, przedstawiła mi istną laurkę twojej pracy, *ex optimis optimus!*

– Jestem jej bardzo wdzięczna – powiedziała Beatrice. – Ale przyszedłam porozmawiać o czymś innym. O tych siedmiu dziewczętach, które zaginęły z fabryki pana Hazzarda.

– Ach, tak. George wpadł tu wcześniej. Mówił mi o tym, że znikły, i to w tak okropnych okolicznościach. Przyznam, że aż mnie zmroziło, zmroziło do szpiku kości!

– Widziałam na własne oczy pentagram na ścianie, który ponoć namalowały, i oczywiście martwego kozła.

– Potworność, jedna wielka potworność! Robimy, co w naszej mocy, żeby ratować te zbłąkane dusze i sprowadzić je na właściwą drogę, ale, niestety, niektóre nigdy się nie nawrócą. Muszę powiedzieć, że to jeden z najbardziej odrażających przypadków, z jakimi miałem do czynienia. Żeby urządzić sabat, wezwać szatana, by pomógł im w ucieczce, *quod animo fingi non potest*, to wprost nie do wiary!

– Zgadzam się w pełni, że to potworność – przyznała Beatrice. – Ale myślę, że to wcale nie wydarzyło się naprawdę. A w każdym razie nie tak, jak przedstawia to George.

– Przepraszam, nie rozumiem. Czyż na własne oczy nie widziałaś dowodów? Tego pentagramu? Kozła?

– George powiedział mi, że pentagram został namalowany na ścianie wieczorem, w pierwszym dniu po przybyciu dziewcząt do fabryki. Sądził, że namalowany był krwią.

– Zgadza się. Mnie też to mówił.

– Pobrałam próbkę chusteczką do nosa. Gdyby to była krew, szybko by wyschła, zaraz po namalowaniu, a kolor zrobiłby się ciemniejszy, niemal brązowy. Tymczasem był nadal jaskrawy, jasnoczerwony.

– No tak, ale one jeszcze tego ranka, kiedy znikły, zabiły kozła – zauważył pastor Parsons. – Może pociągnęły rysunek świeżą krwią zwierzęcia, by ponownie oddać hołd szatanowi.

Beatrice pokręciła głową.

– Nawet gdyby tak zrobiły, to ja byłam tam dobrze po południu. Do tej pory krew by wyschła. Poza tym poddałam próbkę testowi w aptecce Godfrey'a. Nie ma wątpliwości, co to jest. To farba, mocny karmin. Na bazie oleju lnianego, zawdzięczająca kolor koszenili.

Pastor Parsons zmarszczył brwi.

– Farba? Jesteś tego pewna?

– Owszem, pastorze, nie mam co do tego wątpliwości. Nie tylko pachnie olejem lnianym, ale też utrzymuje kolor pod działaniem spirytusu, a zmienia go na fiolet pod wpływem kilku kropli roztworu zasadowego.

– Usiądź, proszę – powiedział pastor Parsons. – To wszystko jest bardziej niepokojące, niż myślałem.

Beatrice zajęła miejsce obok biurka pastora, on też usiadł. Kot zeskoczył teraz na podłogę i Florence bawiła się z nim, ciągnąc tuż przed jego nosem po dywanie swoją wstążeczkę.

– Ogromnie mi przykro – zaczęła Beatrice – ale wydaje mi się, że to George zorganizował namalowanie pentagramu na ścianie i zarżnięcie kozła. Sądzę, że to wszystko miało przekonać każdego, kto to zobaczy, że dziewczęta naprawdę przywołały szatana. Kiedy mówię „każdego”, mam na myśli siebie i człowieka ze straży, którego George sprowadził. Albo przynajmniej twierdzi, że sprowadził.

– Ależ, moja droga, jaki mógłby mieć cel, aranżując coś takiego? – spytał pastor. – Mówił mi, że pilnie potrzebuje tych dziewczyn w fabryce, bo bardzo brakuje mu rąk do pracy. Na pewno ostatnie, czego by chciał, to stracić je wszystkie siedem za jednym zamachem.

– Możliwe. Ale jest jeszcze kilka innych oznak, że nie znikły tak, jak to przedstawił. Nie ma śladu po ich ubraniach i rzeczach. Nocniki w sypialni były puste. Nawet gdyby dziewczęta zamknęły się tam na kilka dni bez jedzenia i picia, musiały przecież siusiać.

Pastor Parsons położył dłoń na wielkiej, oprawnej w skórę Biblii, z której przepisywał cytaty do swojego kazania.

– George Hazzard jest jednym z najszlachetniejszych ludzi, jakich miałem zaszczyt poznać. Kiedykolwiek. Musisz wiedzieć, że bardzo hojnie wspiera pracę charytatywną naszego duszpasterstwa. Bez jego pomocy finansowej i bez jego wpływów, jakie ma w sądzie Old Bailey, nigdy nie zdołalibyśmy ocalić tak wielu zbłąkanych dziewcząt przed życiem w występku i nierządzie.

– O nic go nie oskarżam – powiedziała Beatrice. – Nie mam na to wystarczających dowodów. Póki nie odkryjemy, gdzie one teraz są, nie wiemy do końca, w jaki sposób uciekły ani kiedy to się zdarzyło. Czy też kto namalował pentagram i zabił kozła. I dlaczego. Jednak niezbitym faktem jest, że pentagram został namalowany farbą, a nie krwią. I że brak bagaży i puste nocniki świadczą o tym, że dziewczęta najpewniej znikły kilka dni wcześniej, niż twierdzi George.

– Myślę, że wszystko jest jasne – zawyrokował pastor Parsons. – Diabeł musiał tam jeszcze być, kiedy weszłaś do sypialni, choć niewidoczny. Aby cię zmylić i wzbudzić w tobie podejrzenia wobec wyjaśnień George'a co do zniknięcia dziewczyn, zamienił krew na ścianie w farbę. Jeśli chodzi

o puste nocniki, to skoro dziewczęta zamknęły się na kilka dni, najpewniej musiały pić własny mocz, żeby przeżyć.

Beatrice wpatrywała się w niego.

– Poważnie myśli pastor, że diabeł zamienił krew w farbę?

– A jakie może być inne wyjaśnienie? Skoro Jezus mógł zmienić wodę w wino, to diabeł może zmieniać każdy płyn w inny, wedle swojej woli: kawę w truciznę, truciznę w krew, krew w farbę. Cokolwiek służy jego niecnym planom.

– Wierzy więc pastor, że dziewczęta naprawdę przywołały szatana i że on dał im moc, by znikły bez śladu?

– Tak, wierzę, bo bezgranicznie ufam George’owi i z własnego doświadczenia wiem, jak paskudnie podstępny potrafi być diabeł.

– No dobrze – skwitowała Beatrice. – Skoro pastor tak uważa, to kimże jestem, by się spierać?

Pastor Parsons wstał.

– Może pewnego dnia odkryjemy, gdzie się podziały te dziewczęta, ale mówiąc szczerze, nie mam wielkich nadziei. Pozostaje nam tylko modlić się za ich zbłąkane dusze. I za to, by kiedyś uświadomiły sobie swój błąd. Nie ma sensu zadręczać się tym, jakiego wyboru dokonały.

– Nie, chyba nie – przyznała Beatrice. – Florrie, pożegnaj się z kotkiem. Musimy wracać na kolację.

Pastor Parsons odprowadził je do drzwi frontowych. Czekał, gdy Beatrice nakładała drewniaki na buty i otwierała parasol.

– Małe ostrzeżenie, Beatrice – rzucił. – Musisz być czujna na najlżejszy ślad obecności szatana. Fałszowanie twoich badań zapewne służyłoby jego celom, a konsekwencje mogą być tragiczne. Pomyśl o tym. Gdyby dowód dotyczący krwi został przedstawiony w sądzie i przez omyłkę by uznano, że

George jest odpowiedzialny za zniknięcie dziewcząt, groziłoby mu zesłanie albo nawet szubienica.

– Proszę się nie obawiać, pastorze – uspokoiła go. – Mam bardzo wyczulony węch na różne zapachy, a już na smród zła w szczególności.

• • •

Beatrice przeszła z Florence nie więcej jak kilka metrów po Windmill Hill, kiedy usłyszała wołanie Jamesa.

– Beatrice, zaczekaj chwilę!

Dogonił ją. Był bez żakietu, jedynie w koszuli z rękawami i kamizelce, musiał więc wybiec prosto z klasy, kiedy ją zauważył.

– James, zmarzniesz na kość! – rzuciła Beatrice.

– Chciałem tylko jeszcze raz zapytać, czy znalazłabyś kilka godzin jutro po południu. Jeśli tak, a pogoda się poprawi, z rozkoszą zabrałbym ciebie i Florence do Ranelagh Gardens albo do ogrodów Marybone, jeśli Chelsea to dla ciebie za daleko.

– Czemu nie, James. To byłaby miła odmiana. Jednak muszę spytać panią Smollett. Wiem, że rano ma odwiedzić nas pewien szkocki kaznodzieja. Opowie dziewczętom o pracy misjonarskiej wśród biedoty, a potem planujemy wspólne modlitwy, ale później pewnie miałabym trochę czasu.

James uśmiechnął się. W jego długich brązowych włosach lśniły krople deszczu i Beatrice pomyślała, że wygląda jeszcze atrakcyjniej niż zwykle. Jako nauczyciel miał zapewne szeroką wiedzę i był obyty w świecie. Widziała też, jak trzymał w ryzach klasę niesfornych małych obdartusów. A jednocześnie była w nim jakaś niewinność, która wydawała się jej ogromnie pociągająca. Bardzo przypominał tym Francisa, który zawsze bezgranicznie wierzył w ludzi, póki ci nie dowiedli mu, że się mylił.



• • •

Po powrocie do schroniska Świętej Marii Magdaleny poszła najpierw na górę, by sprawdzić, czy Judith już trochę łżej oddycha. Ponieważ jej sapanie i świszczący oddech nie dawały spać innym dziewczętom, przeniesiono ją do maciupęńskiego pokoju na tyłach domu. Był nawet mniejszy od sypialni Beatrice. Mieściły się w nim jedynie pojedyncze żelazne łóżko, szafka nocna i proste krzesło z wyplatany z słomy siedziskiem. Nad łóżkiem wisiała odlana z brązu figurka Chrystusa na krzyżu.

Judith, podparta dwiema poduszkami, była zarumieniona i spocona, ale już nie łapała z takim trudem powietrza. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny Beatrice regularnie podawała jej wino z czarnego bzu i lek z psianki, którego przygotowania nauczył ją ojciec, a nazwał go „balsamem napowietrzającym Bannistera”.

Na szafce stał dzbanek i miska, Beatrice nalała więc trochę zimnej wody, zamoczyła flanelową szmatkę i przyłożyła ją do czoła Judith.

– Jak się czujesz? – spytała.

– O wiele lepiej, dziękuję, wdowo Scarlet. Przedtem miałam wrażenie, jakby całe moje płuca były wypchane ostami, ale teraz już mogę oddychać jak trzeba.

– Musisz jeszcze z dzień poleżeć, ale potem powinnaś być już zdrowa. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, przed niedzielą będziesz mogła wstać i się ubrać.

Judith przez dłuższą chwilę milczała.

– Słyszałam o dziewczętach, które pojechały do fabryki pana Hazzarda – odezwała się wreszcie.

– Tak? Kto ci powiedział?

– Pani Smollett powiedziała nam wszystkim. Zaznaczyła, że to powinna być dla nas lekcja.

– A co dokładnie mówiła?

– Że one modliły się do diabła, te siedem dziewczyn, bo chciały, żeby zmienił je w czarownice. Zabiły dla niego kozła i zapaliły świece, i dlatego diabeł dał im moc, by mogły latać. Odfrunęły i nikt nie wie, gdzie są.

Beatrice przysiadła na brzegu łóżka i wzięła Judith za rękę.

– Wierzysz w to?

– W co?

– Naprawdę sądzisz, że przywołały diabła? A on sprawił, że mogły latać?

Judith zamruwała nerwowo.

– Nie wiem. Pani Smollett tak powiedziała. Ale myślę, że to cudowne.

– Cudowne? W jaki sposób?

– Tego wieczoru, zanim wyjechały do fabryki pana Hazzarda, rozmawiałam z Jane, a ona strasznie płakała. Twierdziła, że zobaczyła cud.

– Mówiła ci o posągu na podwórzu, tak? Że widziała, jak się rusza?

Judith pociągnęła nosem i skinęła głową.

– Podobno zaręczyła jej pani, że znów może być jak dziewczyna, najczystsza z czystych, jeśli tylko się poprawi.

– Tak. Nie twierdziłam, że to będzie łatwe, ale przekonywałam ją, że to możliwe, jeśli szczerze się postara i zaufa Bogu.

– Ona z początku pani nie uwierzyła. Myślała, że wciska jej pani kit, jak wszyscy, co to tylko prawią morały. Ale potem zobaczyła, jak posąg się na nią ogląda, a kiedy pani Smollett powiedziała jej, że to bogini, bogini, która porzuciła brudny świat, by stać się znów czysta jak dziewczyna, tak jak pani radziła jej zrobić... dotarło do niej, że to ma sens.

Judith ciekło z nosa. Beatrice wyjęła chusteczkę i podała jej. Dziewczyna wydmuchała nos.

– Mówiła, że kiedy zobaczyła ten cud, nabrała do pani takiego zaufania jak do nikogo w życiu, i że choćby miała skonać, zrobi wszystko, by pani była z niej dumna, i nigdy pani nie zawiedzie.

– Tak mówiła wieczorem przed wyjazdem do fabryki pana Hazzarda?

– Dokładnie wtedy. No więc jak to możliwe, żeby następnego wieczoru przyzywała diabła? Nie była łatwa ta Jane, ale na pewno nie ściemniała.

– Judith, posłuchaj, musimy dowiedzieć się, co się stało, prawda? – powiedziała Beatrice. – Nie, nie, zatrzymaj sobie tę chusteczkę. Możesz mi ją oddać po wypraniu.

## Rozdział 20

Szkocki kaznodzieja, który odwiedził schronisko Świętej Marii Magdaleny następnego ranka, prezentował się jeszcze załośniej i bardziej ponuro niż Hephzibah Carmen, nauczycielka śpiewu. Był cały ubrany na czarno i jedno ramię wyraźnie mu opadało. Miał chudą twarz o wydatnych kościach policzkowych i długiej szczęce, a zatknięta na czubku głowy szara peruka przypominała brudnego przekarmionego kota.

Mówił o pomaganiu biednym, takim jak sieroty, które włóczyły się po ulicach, zimą szukając ciepłego miejsca na noc przy piecach do wypalania cegieł, a nawet przy gnojowiskach. Mówił o rodzinach tak ubogich, że nie miały żadnych mebli i sypiały na sianie, bo wszystko inne już zastawiono albo sprzedano, by kupić jedzenie i opłacić czynsz. Wspominał pewną matkę, której ciało zastał w stanie rozkładu w pokoju na piętrze – nie żyła od ponad miesiąca. Obok jej łóżka siedziała trójka nagich wygłodzonych dzieci, tak słabych, że nie mogły ustać na nogach. Opisywał to wszystko z zimną satysfakcją, ale zaraz z uniesieniem, drżącym głosem, zaczął przedstawiać konsekwencje grzechu i to, co czeka dziewczęta ze Świętej Marii Magdaleny, jeśli wrócą na drogę występku i prostytucji.

– Zarówno Bóg, jak i człowiek mają wiele sposobów na ukaranie kobiety, która zejdzie z uczciwej ścieżki – powiedział, unosząc opadające ramię, jakby spodziewał się, że nadfrunie jakiś ptak drapieżny i na nim przysiądzie. – Sposobem Boga jest choroba. Miejcie na uwadze, że w zeszłym roku pogrzebano trzydzieści tysięcy londyńczyków i że to wielka łaska, jeśli Bóg pozwoli wam przeżyć więcej niż dwadzieścia jeden lat. A sposobem człowieka jest... egzekucja... i jeśli kobieta zostanie uznana za winną najgorszego przestępstwa, może trafić pod drzewo Tyburn i zostać publicznie spalona na stosie. Wyobrażacie sobie tę mękę?

Beatrice to wszystko wydało się bardzo przygnębiające, nie widziała w tym żadnej inspiracji. W New Hampshire żyło im się bardzo ciężko, szczególnie z początku. Zimy okazały się zaskakująco chłodne, raz po raz najeżdżali ich Indianie, a zbiory były mizerne, dopóki nie nauczyli się, jakie uprawy udają się tam najlepiej. Ale zawsze z optymizmem patrzyła w przyszłość. Wierzyła, że z roku na rok życie będzie się poprawiało, a Bóg nagrodzi ich poświęcenie i ciężką pracę dostatkiem strawy, dobrym zdrowiem i prostymi radościami, jakich nie zaznała w Anglii.

Oczywiście Londyn zapewniał wszelkie rozrywki, jakie tylko można sobie wyobrazić – od tańców po teatrzyki uliczne, maskarady i dziwki – a także różnorodność jedzenia i napitków: ostrygi, dzikie kaczki, skowronki, gin, rum i grzaniec. Jednak Beatrice nie mogła pozbyć się wrażenia, że ludzie korzystają z tych przyjemności w jakimś obłędzie, bez umiaru, jakby gorączkowo starali się użyć jak najwięcej, bo czują, że śmierć jest blisko, już sięga kościstymi palcami do ich kłamki i lada chwila pojawi się w progu.

Na ulicach Londynu śmierć zawsze była obecna, jej zapach mieszał się z wonią gorących pasztecików i końskich odchodów.

– A teraz módlmy się – wezwał zebrane dziewczęta szkocki kaznodzieja po godzinie ponurych wywodów. – O Ojczy Niebieski, spojrzij na nas grzesznych w naszym poniżeniu i nieszczęściu i miłosiernie wybaw nas od naszych cierpień, nawet jeśli sami je na siebie sprowadziliśmy. Ale nie ofiarowuj nam zbawienia, jeśli nie żałujemy szczerze naszych złych uczynków i nie mamy w sobie niezachwianej wiary w Ciebie. Amen.

Beatrice ucieszyła się i poczuła wielką ulgę, kiedy wreszcie usłyszała pukanie do drzwi frontowych i głos Jamesa pytającego o nią. Szkocki kaznodzieja pił teraz z Idą herbatę w salonie i opowiadał jej o planie zatrudnienia dziewcząt ze Świętej Marii Magdaleny przy odwiedzaniu

pozbawionych środków do życia rodzin w Houndsditch i Cheapside oraz w alejkach na wschód od Tower Hill. Miały nosić im koce i jedzenie i oferować miejsca w przytułku.

Beatrice widziała w tym sens. Większość tych dziewczyn pochodziła z takich rodzin i „poszły w miasto” tylko z powodu braku pieniędzy. Traktowałyby ubogich ze zrozumieniem, nawet złodziei i najgorszych pijaków.

– Przyszedł po mnie James Treadgold – poinformowała Idę. – Czy nadal nie masz nic przeciwko temu, żebym spędziła z nim popołudnie?

– Oczywiście. – Ida się uśmiechnęła. – Po tak ciężkiej pracy zasługujesz na kilka godzin wolnego. Ale wróć przed szóstą, proszę, na wieczorne modły.

James był elegancko ubrany w ciemnobrązowy płaszcz, długą beżową kamizelę i spodnie za kolana. Miał też przypasany miecz. Skłonił się, gdy Beatrice wyszła go powitać.

– Beatrice, czy możesz wybrać się ze mną na spacer? – zapytał.

– Z przyjemnością, James. Tylko pójdę po Florence.

– Nie ma, niestety, zbyt wiele słońca. Ale kto by potrzebował słońca, kiedy jest z tobą?

– James, zachowuj się!

– Obiecuję, że się postaram. Ale jeśli to oznacza, że nie mogę ci mówić żadnych komplementów, to będzie mi trudno.

Beatrice znalazła Florence w kuchni, gdzie razem z Grace wycinała ciasteczka. Kiedy matka ubrała ją i zawiązała jej kapturek i długą czerwoną pelerynkę, James poprowadził je do granatowej jednokonnej dwukółki. Bosy chłopiec z ciekącym nosem przytrzymał lejce kasztanka i James rzucił mu pensa.

– To twój powóz? – spytała Beatrice, kiedy wsiedli.

Mieściły się tam tylko dwie osoby, i to ciasno jedna przy drugiej, a z przodu nie było żadnych rozkładanych siedzeń, więc Beatrice musiała wziąć Florence na kolana.

– Mój? Chciałbym – odparł James. – Pożyczyłem go od Josepha, mojego kuzyna. Prowadzi dobrze prosperującą drukarnię i sklep w Pall Mall. Zabiorę cię tam kiedyś i pokażę wszystko, jeśli zechcesz. Ma cudownie zabawne karykatury Hogartha i innych artystów. Czasami aż trudno się tam dopchać, taki jest tłum. Ludzie przychodzą i śmieją się do rozpuku z rysunków, które wystawia.

Z Maidenhead Court pojechali do Newgate Street i katedry Świętego Pawła. Bruk był wyboisty, spękany, ale osadzona na skórzanych pasach dwukółka miała resory, więc choć się kołysali, nie rzucało nimi zbyt gwałtownie, jak to bywało w powozach.

– Florrie! Siedź spokojnie! – zganiała córeczkę Beatrice, bo ta wychylała się mocno, żeby patrzeć na ulicznych sprzedawców ryb, marchwi i owoców, na żonglerów i tancerzy, i skrzypków, i mężczyzn noszących na plecach teatrzyki kukielkowe.

Ulice wyjazdowe z centrum i w całym Westminsterze były pełne dylizansów, faetonów, platform piwowskich i wolno poruszających się długich wozów, tak że chwilami ledwie posuwali się naprzód.

Beatrice zauważyła, że James stale ogląda się za siebie, i kiedy zrobił to po raz trzeci, spytała:

– Czy ktoś nas śledzi?

– Nie, nie – odparł. – Sprawdzam tylko, czy można by jakoś wyrwać się z tego ścisku i wyminąć te pojazdy, żebyśmy jechali trochę szybciej, ale nie ma jak.

– Przecież chyba nie spieszy się nam specjalnie?

– Nie, oczywiście. Nie ma dla mnie znaczenia, gdzie jesteśmy, byle razem.

– Mnie się spieszy – odezwała się Florence. – Chcę siusiu.

Jednak po niespełna czterdziestu minutach jechali już kłusem wzdłuż Tamizy, w kierunku Chelsea. Niebo było perłowszare i rzeka też miała szary kolor, ale wiał lekki południowo-wschodni wiaterek i było dość ciepło jak na tę porę roku. Po rzece pływało mnóstwo różnych statków wycieczkowych i łodzi.

Wreszcie dojrzeli Szpital Królewski, z białym frontonem i kolumnami, a obok niego drzewa Ranelagh Gardens. Za ich koronami widniała rokokowa Rotunda. Wybudowana, by urządzić w niej koncerty, maskarady i wielkie przyjęcia, stanowiła ulubione miejsce spacerów. Modne towarzystwo mogło tu dumnie prezentować swoje pyszne stroje, a mniej eleganccy goście przyglądali się im z wyższych poziomów widowni.

– Bajkowy zamek! – zawołała Florence, kiedy skręcili do ogrodów.

– No, może to i prawda – przyznał James. – Mawiają, że rzuca czar na każdego, kto go odwiedzi. Podobno zaręczyło się tu więcej par niż gdziekolwiek indziej w Londynie.

Stajenny przejął lejce ich konia, a James pomógł wysiąść Florence i Beatrice. Uniósł brew, jakby spodziewał się jakiejś reakcji na to, co właśnie powiedział. Beatrice uśmiechnęła się, ale nie odezwała się słowem. Zabranie na tę wycieczkę Florence spowodowało, że poczuła nagły przypływ bólu na myśl o stracie Noaha. Musiała zacisnąć zęby, aby się temu nie poddać.

• • •

Ruszyli spacerem przez ogrody, a Florence pobiegła przodem. Alejki prowadzące do Rotundy były pełne mężczyzn w pięknie skrojonych



płaszczach i kobiet w najlepszych sukniach. Ranelagh Gardens uważano za miejsce bardziej prestiżowe niż Vauxhall Gardens czy Bermondsay Spa lub Cuper's Gardens. Wszyscy tu wyglądali tak elegancko, że trudno było odróżnić arystokrację od klas niższych, szczególnie nim się ktoś odezwał albo zaczął głośno narzekać na wysokość opłaty za wejście – która wynosiła dwa szylingi i sześć pensów.

– Zwykle przyprawiałem tu moją Sophie – powiedział James. – Dziś mam wrażenie, że to jakiś sen.

– James, mówiłam ci już. Może przypominam twoją Sophie, ale nie mogę jej zastąpić. Lubię cię, jednak w tej chwili zbyt wiele mam na głowie.

Szli wzdłuż długiego lśniącego stawu, nad którym zbudowano pawilon chiński. Jakaś kobieta w kapeluszu z piórami rzucała wisienki złotemu karpiovi, który podpłynął do brzegu.

– Pastor Parsons mówił mi o tych siedmiu dziewczynach ze schroniska Świętej Marii Magdaleny – odezwał się po dłuższej chwili James. – Tych, które zniknęły.

– Tak? – Naprawdę nie chciała o tym mówić.

– Tak. Tych, które urządziły sabat, przywołały diabła i odleciały. Mówił, że na własne oczy widziałaś magiczne symbole, jakie wymalowały na ścianie, i kozła ofiarnego. To musiało być dla ciebie okropne.

– Rzeczywiście. Ale głównie dlatego, że w to nie wierzę.

– Pastor Parsons wspominał, że jesteś sceptyczna. Ale miał nadzieję, że zdołał cię przekonać, że to faktycznie była sprawka szatana.

Beatrice przystanęła i marszcząc brwi, podniosła na niego wzrok. Bładoniebieskie wstążeczki przy jej kapturku powiewały na wietrze.

– A ty w to wierzysz?

– Beatrice, jeśli nie wierzymy w diabła, jak moglibyśmy powiedzieć, że naprawdę wierzymy w Boga? Dobroć i uczciwość mają swoją wartość, bo

są zwycięstwem nad złem i kłamstwem.

– A więc ty w to wierzysz?

– Pastor Parsons na pewno wierzy. Uważa, że to tragedia, ale nie chce, byśmy dali się zwieść diabłu, który kusi, aby wątpić w jego istnienie. Jeśli stracimy czujność, połknie nasze dusze niczym wygłodniała bestia i zamknie nam drogę do nieba.

– Mówisz jak kaznodzieja.

James się roześmiał.

– Przepraszam, nie chciałem się wymądrzać ani cię martwić. Pomówmy o czymś innym. Może wejdziemy do Rotundy? Zjemy ciastko cytrynowe i napijemy się kawy? Florence! Masz ochotę na ciasteczko?

W Rotundzie kwartet smyczkowy grał muzykę Giardiniego. Pary spacerowały, trzymając się pod ramię. Pośrodku było wielkie palenisko z misternie zbudowanym kominem wysokości trzech pięter, aż do sufitu. W zimowe miesiące palono tu, żeby goście mogli przysiąść dokoła i rozgrzać się, kiedy coś jedli i pili.

James znalazł dla nich miejsca we wnęce na parterze i zamówił u kelnerki ciasto i kawę oraz sok jabłkowy, a dla siebie cydr. Florence stanęła na krześle, żeby przyglądać się spacerującym dokoła ludziom. Machała do nich i niektóre kobiety uśmiechały się, też do niej machając.

– Florrie świetnie się bawi – zauważyła Beatrice.

– A ty?

– Ja też, James. Jestem już dużo spokojniejsza. Myślę, że mam skłonność za bardzo martwić się wszystkim i o wszystkich, poza sobą samą. Pewnie tak już bywa, jak się jest żoną pastora.

– Którą, niestety, już nie jesteś. – James sięgnął przez stół i położył dłoń na jej ręce. – Co było, minęło, i żebyśmy nie wiadomo co robili, nic już nam tego nie wróci. Możemy myśleć tylko o tym, co zrobimy jutro.

– Obawiam się, że to nie łagodzi mojego żalu po tym, co zostało mi odebrane.

– Przespacerujmy się jeszcze trochę po ogrodach, a potem musimy pomyśleć, żeby odwieźć was do Maidenhead Court. Jeśli zechcesz tu chwilę poczekać, znajdę naszą kelnerkę i zapłacę.

– Jesteś pewien, że nie mogłabym się dołożyć? – spytała Beatrice.

James pokręcił głową.

– Płaca nauczyciela na pewno nie jest królewska, ale dziś ja stawiam.

Poszedł szukać kelnerki, a Beatrice została z Florence, obserwując krążący wokół tłum.

– Patrz na tę panią w śmiesznym szarym kapeluszu! – powiedziała Florence. – Wygląda... wygląda całkiem jak indyk!

– Gdzie, Florrie? – Beatrice roześmiała się.

Kiedy próbowała odnaleźć wzrokiem indyczy kapelusz, dostrzegła kątem oka jakąś ubraną na ciemno postać, która szybko zmierzała w kierunku ich wnęki. Zatrzymała się gwałtownie przy filarze z lewej strony Beatrice, kilkadziesiąt centymetrów od niej. Po kilku sekundach, kiedy Beatrice zdała sobie sprawę, że ten ktoś nadal stoi bez ruchu, obejrzała się w tamtą stronę.

Był tak wysoki, że musiał to być mężczyzna. Miał na sobie długą pelerynę z nasuniętym głęboko kapturem, który niemal całkowicie zakrywał twarz. Robił wrażenie kogoś, kto się przebrał na bal maskowy za kostuchę, tyle że nie trzymał kosa.

Beatrice zdenerwowało, że ten człowiek stoi tak blisko i nic nie mówi.

– Przepraszam, czego pan tu szuka? – spytała ostro. – Może pan się oddalić, proszę?

Zakapturzona postać ani drgnęła. I nadal milczała.

– Powiedziałam wyraźnie, czy byłby pan łaskaw odejść? Wystraszy mi pan córeczkę.

Przez niemal dziesięć sekund postać się nie odzywała, ale nagle wysunęła rękę w czarnej rękawiczce i uniosła kaptur, by odkryć nieco twarz. Na ten widok ciarki przebiegły Beatrice po plecach.

To wcale nie była twarz, a nawet nie maska. To było owalne lustro – tak że Beatrice zobaczyła w nim swoje zniekształcone odbicie, z oczami wielkimi z przerażenia.

– Odejdź! – powtórzyła. – Zaraz wróci mój przyjaciel i już on szybko cię stąd odprawi!

Postać nachyliła się do niej. Odbicie Beatrice niemal całkiem wypełniło kaptur. To było coś upiornego, niczym koszmarny sen, w którym sama siebie prześladuje, tyle że to się działo naprawdę.

– Beatrice – szepnął niskim, ochrypłym głosem. – Wiesz, co się dzieje z tymi, którzy we mnie nie wierzą?

Beatrice odsunęła gwałtownie krzesło i wstała.

– Kim jesteś?! – krzyknęła hardo, choć dużo cienie, niż zamierzała.

Florence obejrzała się, ze zdumieniem patrząc teraz na tę postać.

– Dobrze wiesz, kim jestem, Beatrice – zaskrzeczał. – Jestem tym, który czeka przy Ciasnej Bramie, by nie pozwolić jej przekroczyć takim grzesznikom jak ty. Nie powinnaś wątpić w moje istnienie.

– Zabieraj się stąd zaraz, bo wezwę konstabla! – powiedziała surowo.

Postać znów nachyliła się do niej.

– Wiesz, jaką mam dla ciebie radę? Zostaw to. Ta, która wątpi w istnienie zła, zawsze pierwsza dostaje dowód na to, że jest ono bardzo realne.

Z tymi słowy postać nasunęła kaptur na lustro, odwróciła się i odeszła. W kilka sekund znikła w tłumie. Prawie nikt nie zwrócił na nią uwagi, bo tutaj często odbywały się bale maskowe, których uczestnicy spacerowali przebrani za kominiarzy, duchy albo królów, a nawet za Adama w obcisłym różowym trykocie z listkiem figowym z zielonego jedwabiu.

Beatrice spojrzała na Florence. Dziewczynka nie płakała, ale wydeła żałośnie dolną wargę, a oczy zaszyły jej łzami.

– Kim był ten straszny pan, mamo?

– Nie masz się czym przejmować, kochanie. To tylko jakiś głupi człowiek, który chciał być zabawny.

– Nie był zabawny. Nie podobał mi się.

– Zgadzam się z tobą, Florrie. Wcale nie był zabawny. Dlatego kazałam mu odejść.

Wrócił James. Kiedy tylko wszedł do wnęki, od razu zobaczył, że Beatrice i Florence są zdenerwowane. Smyczki grały coraz bardziej fałszywie.

– Co jest, Beatrice? Co się stało?

– James, proszę, zabierz nas stąd. Opowiem ci po drodze.

– Beatrice...

– Proszę. Przejdźmy się. Naprawdę potrzebuję trochę świeżego powietrza. I trochę ciszy.

• • •

Na zewnątrz chmury się rozproszyły i świeciło zamglone słońce. Ruszyli aleją, wzdłuż długiego szeregu wysokich drzew, ale szum ich liści wydawał się niemal tak złowieszczy jak szept mężczyzny o lustrzanej twarzy.

– Znał moje imię – powiedziała Beatrice. – Skąd mógł wiedzieć, jak mam na imię? I z tego, co mówił, wynikało, że wie o moich podejrzeniach dotyczących zniknięcia tych siedmiu dziewcząt.

– Nie wiem, jak mógłbym cię uspokoić – odparł James. – W tej okolicy jest kilka domów dla obłąkanych. Pewnie to tylko jakiś szaleniec. Albo jakiś zwariowany pijak. Mógł iść blisko nas, kiedy szliśmy do Rotundy, i usłyszał, jak się do ciebie zwracam po imieniu. Nie sądzę, byś miała powody do niepokoju.

– Jak mogę nie czuć niepokoju? Groził mi. Powiedział, że jest tym, który czeka przy Ciasnej Bramie, by nie przepuścić przez nią grzeszników.

– Przy Ciasnej Bramie... przecież to z *Wędrówki pielgrzyma*. Gdy przechodzisz przez tę bramę, przyjmujesz wiarę w Chrystusa.

– Tak, ale kto próbuje powstrzymać grzeszników przed przejściem na drugą stronę? Belzebub. Ten mężczyzna to nie zwykły pijak czy wariat. To diabeł albo przynajmniej ktoś, kto się za diabła uważa.

– Beatrice, proszę, nie zamartwiaj się. Nie chciałbym, żeby to popsuło nam tę wspólną wycieczkę. Ale... no nie wiem. Może kiedy powiedziałaś, że nie wierzysz, by te dziewczyny naprawdę przywołały szatana, włożyłaś kij w mrowisko, mówiąc obrazowo.

– Co masz na myśli?

James przystanął i wziął ją za rękę.

– Doskonale rozumiem, że nie czujesz do mnie tego, co ja do ciebie. Mam jednak w głębi serca nadzieję, że pewnego dnia, z czasem, to się może zmienić. Na razie chciałbym cię chronić.

– Przed czym, James?

– Ten mężczyzna mógł być nie samym diabłem, ale jego emisariuszem, nawet jeśli to szaleniec albo ktoś niespełna rozumu. Pytałaś wcześniej, czy wierzę w szatana, a teraz ja zadam ci to samo pytanie.

– Moja odpowiedź brzmi: tak. Wierzę w szatana. Ale z doświadczenia wiem, że często służy on jako usprawiedliwienie ludziom, którzy chcą uniknąć kary za popełnione zło. Twierdzą, że to diabeł ich opętał.

– Ale mimo to w niego wierzysz, tak? – spytał James. – Chyba muszę się zgodzić z pastorem Parsonsem. Próbowalaś udowodnić, że to nie diabeł dał tym dziewczynom magiczne moce, i dlatego pastor Parsons myśli, że szatan może czuć się urażony i chce ci pokazać czarno na białym, że to był właśnie on.

– Po co szatan zadawałby sobie tyle trudu? Jestem tylko zwyczajną kobietą, wdową. Nie mam żadnego wpływu ani na wymiar prawa, ani na Kościół.

– Nie doceniasz siebie, Beatrice. Jesteś teraz mentorką wielu dziewcząt i będą wierzyły w to, czego je nauczysz. Jeśli powiesz im, że szatan nie istnieje, jego wpływy zostaną osłabione, tak jak wpływ Boga maleje, gdy odwrócimy się do niego plecami. – Zawahał się, po czym dodał: – Mówię to tylko dlatego, żeby uchronić cię przed niebezpieczeństwem i żeby już nikt nigdy tak ci nie groził.

– Ale skoro pentagram został namalowany krwią, po co by szatan zmieniał moją próbkę w farbę? To był dla mnie główny dowód na to, że cała ta historia z czarownicami jest jakimś oszustwem.

– Pastor Parsons sądzi, że szatan zrobił to, by cię zdyskredytować. Chciał, by wyglądało na to, że sfalszowałaś dowód. Bo gdzieżby te dziewczyny znalazły farbę?

Beatrice oswobodziła dłonie z jego rąk.

– Przejdźmy się. Nie chcę już o tym mówić. To wszystko jest zbyt zagmatwane. Naprawdę się przestraszyłam. I Florrie też.

Kiedy ruszyli dalej, zobaczyli, że Florence przykucnęła przy małym białym mopsie i go głaszcze. Pies lizał jej dłoń i machał ogonkiem jak

szalony.

– Florrie! – zawołała Beatrice. – Ile razy mówiłam ci, żebyś nie dotykała obcych psów? Nigdy nie wiadomo, czy nie mają pcheł.

– Myślę, że on chce pić.

– A gdzie jego pan albo pani?

– Nie wiem. Nie ma obroży.

Beatrice rozejrzała się. W tłumie spacerujących dostrzegła kilka pań, które niosły małe pieski na rękach albo prowadziły je na długich wstążkach, ale nie widać było nikogo, kto by wyglądał, jakby szukał psa. Zresztą mops był zaniedbany i brudny. Prawdopodobnie się zabłąkał. Jednak zachowywał się przyjaźnie i chyba raczej nie miał wścieklizny. Poprzedniego roku w Londynie panowała wielka panika w związku z wścieklizną. Wydano nawet rozkaz, by wystrzelać wszystkie biegające po ulicach bezpańskie psy.

– Musisz go zostawić, Florrie. Trzeba już wracać do domu.

– Myślę, że on chce pić.

– Florrie, przykro mi, ale musisz go zostawić.

Ruszyli z powrotem w kierunku bramy, gdzie stały powozy.

– Przepraszam, Beatrice – odezwał się James. – Ten dzień zmienił się w katastrofę.

– James... to nie twoja wina. Wybierzemy się dokądś innym razem, może wieczorem, bez Florrie. Choćby do Trzech Żurawi w Vintry, jak wspominałeś.

Usłyszała, jak Florrie chichocze. Obejrzała się i zobaczyła, że mały mops idzie tuż za nią.

– Odgoń go! – nakazała.

– Sio! Sio! Siooo! – Florence zamachała rączkami, ale kiedy ruszyła dalej, mops znowu podreptał za nią. – Nie chce sobie pójść – powiedziała.



Beatrice zawróciła i stanęła nad psem.

– Zmiataj stąd! – rzuciła surowo. – Idź poszukać swojej pani albo pana, albo kogoś, kto się tobą opiekuje! No już, zmykaj!

Mops ani myślał odejść, ale uniósł łebek, popatrzył na nią i piskliwie zaszczekał.

– Chyba nie rozumie po angielsku – wtrącił James.

– No cóż... – mruknęła tylko Beatrice.

Kiedy doszli do dwukółki, mops nadal trzymał się tuż przy Florence. Obejrzała się na niego.

– Muszę już iść, piesku. Do widzenia.

Mops szczeknął, a potem cieniutko, żałośnie zawył. Florence przykucnęła przy nim, by go pogłaskać. Popatrzyła na matkę.

– Mamo, mogę go zabrać?

– Zabrać? Nie, nie sądzę. Jest okropnie brudny i nie wiem, czy pani Smollett przyjąłaby do domu psa.

– Ale ja go wykąpię i dam mu pić, i będę się nim opiekować. Proszę, mamo!

– Florrie, to nierozsądne. To znaczy: nie.

Florrie objęła psa.

– Możemy go nazwać No-no.

Beatrice przycisnęła dłoń do ust. Miała wrażenie, że spada do studni bez dna.

– Proszę, mamo, mogę go wziąć? – W głosie Florence brzmiało błaganie.

– No dobrze, ale musisz go wykąpać natychmiast, jak tylko przyjedziemy do domu. I zanim zaczniesz się z nim bawić, zaaplikuję mu

rtęć, by upewnić się, że nie roznosi grzybicy, choć nie widzę, żeby miał jakieś łyse placki na skórze. Trzeba go też będzie odrobaczyć.

– Och, mammo! Dziękuję! Dziękuję!

James uśmiechnął się.

– A jednak. Nagła zmiana decyzji.

– No wiesz, ona nie ma rówieśników, z którymi mogłaby się bawić, choć dziewczyny ze Świętej Marii Magdaleny ją uwielbiają.

– Z tyłu powozu jest nieprzemakalne okrycie na nogi. Możemy na drogę zawinąć w nie psa, żeby nie pobrudził ci peleryny.

Beatrice i Florence wsiadły do dwukółki, a James zawinął mopsa w okrycie i podał im jak kiepsko zapakowaną paczkę.

– Dobry piesek, dobry No-no, dobry – uspokajała psa Florence, kiedy ruszyli.

Beatrice odwróciła wzrok. Zagryzła wargę, nie chcąc, by James zobaczył, jak bardzo jest poruszona. Nadal miała w oczach Noaha dosiadającego konika na biegunach i nawołującego swoje wojska.

Wyjechali z ogrodów na nabrzeże. Gdy mijali bramę, Beatrice dostrzegła nagle wysoką postać w kapturze stojącą z boku. Długa peleryna powiewała na wietrze. Kiedy się zbliżyli, mężczyzna uniósł kaptur i zobaczyła, jak słońce odbija się od jego lustrzanej twarzy.

– James! – zawołała. – Patrz! Tam! To on! To ten człowiek, który mi groził!

– Trzymaj się, Beatrice! Prrr!

Od strony World's Endu pędził na nich czterokonny wolant i James próbował powściągnąć swojego kasztanka.

– Prrr, prrr, prrr! Prrr, mówię! Na Boga, stój!

Zdołał wreszcie zatrzymać powóz i wtedy dopiero się obejrzał. Jednak postać już znikła w tłumie kłębiącym się przy wejściu.

– Jesteś pewna, że to był on?

Beatrice skinęła głową.

– Proszę, zawieź nas do domu, James. Myślę, że jak na jeden dzień mam już serdecznie dość diabła.

## Rozdział 21

Ida zgodziła się, aby Florence zatrzymała No-no pod warunkiem, że zostanie wykąpany, odrobaczony i nauczony porządku.

– Jestem ci bardzo wdzięczna, Ido – powiedziała Beatrice. – Naprawdę uszczęśliwiłaś Florence.

– I chyba nie tylko ją. – Ida uśmiechnęła się, jakby czuła, że i dla Beatrice zatrzymanie No-no jest w jakiś sposób bardzo ważne, choć ta nie pamiętała, żeby kiedykolwiek mówiła jej, jak ma na imię jej syn ani jak nazywała go Florence.

Poszła za Idą do salonu.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – oznajmiła. – Coś się dziś stało, kiedy James Treadgold zabrał nas do Ranelagh Gardens.

– Nie mów, że ci się oświadczył. Widzę, że wręcz szaleje za tobą.

– Nie, nic z tych rzeczy. Kiedy James poszedł zapłacić za ciastka, zbliżył się do nas jakiś mężczyzna ubrany na czarno i zaczął mi grozić. Oświadczył, że nie wolno mi wątpić w istnienie szatana, i nawet sugerował, że sam jest diablem.

– Mam nadzieję, że się nim nie przejęłaś. W Londynie jest mnóstwo wariatów.

– Tak samo tłumaczył to James. Ale ten człowiek znał moje imię i jestem pewna, że nawiązywał do tego, co myślę o zniknięciu tych siedmiu dziewczyn.

– Znał twoje imię? To może naprawdę był diablem. Jak wyglądał?

– Nie wiem i chyba to mnie najbardziej zaniepokoiło. W miejscu twarzy miał tylko lustro.

– Lustro?

– Tak, pod kapturem. Kiedy na niego spojrzałam, zobaczyłam tylko swoje odbicie.

– Może to samo w sobie coś mówi. Może chciał ci przekazać, że ludzie, którzy zaprzeczają jego istnieniu, ułatwiają mu zadanie. W efekcie stają się jego poplecznikami.

– Widziałam go znowu, kiedy wyjeżdżaliśmy z ogrodów. Na pewno mnie obserwował i czekał tam na mnie.

– No, Beatrice, jeśli zostałaś ostrzeżona przez samego diabła, to radzę ci potraktować to poważnie.

– Traktuję to poważnie, szczególnie że przestraszył też Florence. I wierzę w diabła. Jednak nadal nie uważam, by to diabeł pomógł dziewczętom wyparować z fabryki tytoniu. I nie sądzę, by ten człowiek z lustrzaną twarzą był diabłem we własnej osobie ani nawet jego posłańcem. Gdybym umiała go rozpoznać, postarałabym się, by go aresztowano, ale oczywiście jedyne, co widziałam pod jego kapturem, to moje własne odbicie.

Pozłacany zegar na kominku zabrzączał i wybił szóstą.

Ida wstała.

– Tak czy owak, Beatrice, czas na nasze wieczorne pacierze. Dodam dziś specjalną modlitwę za ciebie, by chronić cię przed diabłem. Oby to z Bożą pomocą sprawiło, że tobie i Florence nic już nie będzie zagrażać. Sądzę jednak, że w trosce o własne bezpieczeństwo powinnaś przestać myśleć o naszych zaginionych dziewczętach i o tym, jak zniknęły. Nie ma ich, przepadły na zawsze. I przykro mi to mówić, ale nie ma szans, by je odnaleźć. Na próżno przysparzasz sobie trosk, moja droga, i niepotrzebnie narażasz się na ryzyko. Z własnego doświadczenia wiesz, jak złośliwy bywa szatan.

Beatrice już miała powiedzieć, że z jej doświadczenia to człowiek prędzej atakuje niż szatan, zwłaszcza jeśli przyłapie się go na robieniu tego, co nie trzeba. W tej samej chwili jednak do salonu weszła Florence z Grace, która niosła na rękach No-no, wciąż mokrego, ale o wiele czystszeo, z jedwabną zieloną wstążką na szyi.

– Grace i ja wymyłyśmy go mydełkiem – oznajmiła triumfalnie dziewczynka.

– No, przyznam, że wygląda pięknie jak z obrazka – rzuciła Ida. – Jeśli zabierzecie go do kuchni, kucharka może dać mu jakieś resztki.

– A potem, Florrie, musisz kłaść się do łóżka – powiedziała Beatrice.

– A gdzie będzie spał No-no? Może spać z nami?

– Nie, Florrie, nie może. Nie wyleczyłam go jeszcze z pcheł i kleszczy i nie jest odrobaczony.

– Może spać w komórce przy kuchni – odezwała się Grace. – Mamy tam mały koszyk na pranie, którego nigdy nie używamy. Wyłożymy go starym kocem. Zdaje się, że ktoś nauczył go już wychodzić za potrzebą na zewnątrz.

• • •

Tej nocy Beatrice znów nie mogła zasnąć. Florence strasznie się wierciła, mruzczała coś i przewracała się z boku na bok, aż w końcu zaplątała się w prześcieradło. Beatrice miała nadzieję, że córeczka śni o swoim nowym piesku i nie dręczą jej koszmary z tym człowiekiem o lustrzanej twarzy.

Nad kopułą katedry Świętego Pawła wisiał sierp księżyca. Beatrice słyszała śmiechy, krzyki i śpiewy na ulicach, a nawet była pewna, że dobiegł ją odgłos wystrzału z pistoletu. Nie mogła przestać myśleć o ich wyprawie do Ranelagh Gardens, o ostrzeżeniu człowieka z lustrzaną twarzą

i o siedmiu zaginionych dziewczętach. Nie potrafiła uwierzyć, że to naprawdę szatan zamienił je w czarownice i odleciały, ale ich zniknięcie nadal wydawało się bardzo tajemnicze, niczym sztuczka magiczna.

Na miejscu George'a Hazzarda natychmiast poszła na Bow Street numer cztery i doniosła o ich zaginięciu konstablom, bo może któremuś udałoby się wypatrzyć jedną czy drugą gdzieś na ulicy. Pewnie też rozważyłaby, czy nie zamieścić w „Lloyd's Evening Post” ogłoszenia, co ludzie często robili, poszukując skradzionych im rzeczy albo zbiegłych służących.

Już miała zasnąć, kiedy usłyszała drapanie. Najpierw delikatne, niepewne, jakby kot skrobał nogę stołu. Uniosła głowę z poduszki, nasłuchując. Po chwili usłyszała to znowu, ale potem nastąpiło z piętnaście sekund kompletnej ciszy.

Nagle coś stuknęło o drzwi jej saloniku, po czym rozległ się zgrzyt, jak gdyby po całej ich długości przeciągnęły potężne pazury. To coś powtórzyło się znowu i znowu. Za każdym razem głośniejsze. Zupełnie jakby do środka chciała się wedrzeć jakaś straszliwa bestia. Drapanie stało się tak gwałtowne, że aż drzwi chodziły w zawiasach.

Beatrice poderwała się z łóżka i otworzyła drzwi sypialni. Zasłony nie były zaciągnięte i salonik tonął w chłodnej poświacie księżycy, jakby ścięty mrozem. Drapanie było coraz szybsze, coraz natarczywsze, drzwi skrzypiały pod jego naporem. Cokolwiek to było, Beatrice przeraziła się, że lada chwila wtargnie do środka.

Wzięła z toaletki ciężki mosiężny świecznik i trzymając go oburącz, zbliżyła się do drzwi.

– Kto tam?! – zawołała. – Kim jesteś? Odejdź!

Drapanie nie ustawało, wręcz było coraz głośniejsze, a do tego doszedł przenikliwy dźwięk, aż zęby ją zabolowały, jakby ktoś z całej siły przeciągał

pazurami po drzwiach.

– Kim jesteś?! Czego chcesz?! – krzyknęła Beatrice.

Teraz już i Florence obudziła się i zaczęła płakać. Beatrice podeszła do drzwi, uniosła lichterz i uderzyła w środkową belkę najmocniej, jak tylko mogła.

– Odejdź! – wrzasnęła. – Kimkolwiek jesteś, czymkolwiek jesteś, odejdź!

Cofnęła się i w tym momencie drapanie nagle ustało. Florence zanosila się płaczem.

– Mamo! Mamo! – wołała.

Beatrice odczekała chwilę. Wyglądało na to, że drapanie już się nie powtórzy. Wróciła do sypialni, wzięła Florence na ręce i przytuliła.

– Mamo, czemu krzyczałaś?

– Ciii, ciii, kochanie, nie martw się. Chyba ktoś myślał, że to jego pokój, i próbował się tu dostać. Już sobie poszedł.

– Kto to był?

– Nie wiem, Florrie. Jakiś głupiec. Pewnie wypił za dużo piwa.

– Bałam się.

Beatrice pogładziła rozgrzane lepkie loczki i pocałowała córkę w czoło.

– Wiem, ale już nie ma się czego bać. Chcesz się napić wody?

Florence skinęła głową i szepnęła „tak”. Beatrice posadziła ją na łóżku i poszła nalać jej szklanek wody, a kiedy to robiła, rozległo się pukanie do drzwi saloniku i usłyszała głos Idy.

– Beatrice? Beatrice? Co się dzieje? Wszystko w porządku?

– Chwileczkę, Ido! – zawołała.

Podala córce szklanek, wróciła do saloniku i otworzyła drzwi. W korytarzu stała Ida w czepku nocnym i długiej koszuli z adamaszku.



W rękę trzymała świecę. Po raz pierwszy Beatrice widziała ją bez białego ołowianego makijażu. Miała podpuchnięte powieki, a jej policzki były usiane bliznami po ospie, jak ser Cheshire.

– Co się dzieje? – spytała znowu. – Nic ci nie jest? Co, na Boga, stało się z tymi drzwiami?

Beatrice spojrzała na nie i zobaczyła, że mają równoległe zadrapania od samej góry aż do belki na wysokości klamki.

– Dobry Boże – jęknęła roztrzęsiona. Nadal brakowało jej tchu. – Wygląda to gorzej, niż myślałam.

– Jesteś strasznie blada, kochanie. Nie stała ci się żadna krzywda?

– Nie. Nie otworzyłam drzwi. Nie wiem, kto mógł coś takiego zrobić... albo co.

– Ale co to właściwie było?

– Usłyszałam jakieś skrobanie, najpierw bardzo ciche, a potem coraz gwałtowniejsze. Już myślałam, że to coś wpadnie do środka i rozedrze nas na strzępy.

Ida zbliżyła świecę do drzwi.

– Tego nie zrobił człowiek – powiedziała. – To ślady pazurów jakiejś dzikiej bestii.

– To coś musiało pobiec na dół, obok twoich pokoi. Nic nie słyszałaś?

– Tylko twoje krzyki. Przestraszyłam się, że może zapaliła się u ciebie pościel albo zasłony.

– Ale ktokolwiek to zrobił... albo cokolwiek to było... w jaki sposób mógł tak niepostrzeżenie zniknąć?

– Nie sądzę, by zrobił to człowiek. To ślady wielkich pazurów, chyba zgodzisz się ze mną?

– Zdecydowanie tak, to wygląda na ślady jakichś szponów. Ale nawet jeśli to zwierzę, to dokąd uciekło? I musi być ogromne. Wielkości niedźwiedzia co najmniej. I skąd by się tu wzięło? W ogrodach Marybone są niedźwiedzie, prawda? I w Hockley-in-the-Hole. Jednak zawsze trzyma się je na łańcuchach, czyż nie? Nie widziałam nigdzie grasującego swobodnie niedźwiedzia, od kiedy przyjechałam z Ameryki.

– Zastanawiasz się, skąd to coś przyszło, Beatrice, i gdzie się podziało, ale najbardziej zagadkowe jest, jak dostało się do domu. Drzwi na dole są w nocy zawsze zamknięte i zabezpieczone łańcuchem. Wszystkie okna są pozamykane i mają kraty.

– Lepiej przeszukajmy dom – powiedziała Beatrice. – Jeśli to coś gdzieś się ukryło, może znów wyskoczyć i zaatakować. Może powinniśmy wezwać strażę.

– Nie, nie, nie zwracaj sobie głowy strażą. Zbiorę kilka dziewczyn, silnych, mocnych, jak Hannah Wilkes i Anne Fettle. Mam też szturmak, który dał mi George na wypadek, gdyby ktoś się tu włamał. Ale przyznam, że bardzo wątpię, abyśmy cokolwiek znalazły.

– Ido, gdzie mogłoby się to coś tak schować, żeby nie dało się go znaleźć? To znaczy zwierzę, które może narobić takich szkód?

Ida ponownie zbliżyła świecę do drzwi. Lewą dłoń starła się naśladować ruchy bestii, która mogła pozostawić tak okropne ślady.

– To nie mógł być człowiek... ale zaczynam też wątpić, by mogło to być zwierzę. Dlaczego zaatakowałyby właśnie twoje drzwi, a nie jakieś inne?

– Przepraszam, Ido. Nie rozumiem, co sugerujesz.

– Beatrice, wiele zwierząt ma pazury. Ale żadne nie dałoby rady przejść przez zamknięte, zabezpieczone łańcuchem, solidne drzwi. A nawet gdyby,

to po co wdrapywałoby się na samą górę, by napastować ciebie, skoro jest tyle innych młodych kobiet śpiących na niższych piętrach?

– Nadal nie pojmuję, do czego zmierzasz.

– Rozdrażniłaś szatana, Beatrice. O tym mówię. To mogło być kolejne ostrzeżenie. Jeśli tych drzwi nie podrapał sam diabeł, mógł wysłać jakiegoś demona. Belfegora albo Baala. – Pociągnęła nosem. – Przecież... prawie czuć tu siarkę!

– Zdumiewasz mnie – wyjąkała Beatrice. – To miałyby być diabeł albo demon? Nie wiem, co ci odpowiedzieć.

– A kto inny mógł coś takiego zrobić? Kto, jak nie diabeł, potrafi zmaterializować się tam, gdzie chce, bez względu na zamki i klucze? I kto inny w tym domu wątpił, że dziewczyny mogły mieć moc, by się ulotnić? Kto jak nie ty?

– Nadal uważam, że trzeba przeszukać wszystkie zakamarki – odparła Beatrice. – Nie zasnę, póki nie będę miała pewności, że to coś się tutaj nie czai. Wiem, że to wymaga obudzenia wszystkich, ale przypuśćmy, że jednak ktoś tu jest. Albo coś?

Ida położyła dłoń na jej ramieniu.

– Masz całkowitą rację, moja droga. Nadal nie wierzę, że cokolwiek znajdziemy, ale rozumiem, że chcesz zyskać pewność. Zejdę i zbiorę kilka dziewczyn.

Beatrice wróciła do sypialni, aby sprawdzić, czy Florence już się uspokoiła. Dziewczynka wypila całą szklankę wody i znów zasnęła. Miała zaróżowione policzki i rozchylone usta. Beatrice pomyślała, że wygląda jak aniołek. A potem pomyślała: skoro cherubiny mogą istnieć w świecie rzeczywistym, to może demony również.

• • •

Ida przeszła od sypialni do sypialni, budząc wszystkie dziewczęta, po czym wybrała spośród nich pięć największych i najsilniejszych, by razem z nimi przeszukać dom. Anne Fettle przed przyjazdem do Londynu mieszkała w gospodarstwie rolnym w Essex i zanim została prostytutką, stoczyła wiele walk bokserskich z innymi kobietami. Była ze dwadzieścia centymetrów wyższa od Beatrice, miała bary szerokie jak jałówka, ogromny biust i biodra tak rozłożyste, że właściwie nie musiała nosić rusztowania pod spódnicą. Hannah Wilkes była mniejsza, bardziej żylasta, miała spiczasty nos i wystające zęby, ale wszystkie dziewczyny schodziły jej z drogi. Według Idy, kiedy się ją zdenerwowało, potrafiła walczyć jak osaczona kotka.

Dziewczyny narzekały na tę pobudkę, ale wzięły świece i ubrane w długie białe koszule nocne, niczym nowicjuszeki w klasztorze, przemierzając schody w górę i w dół, przeszukały dom od piwnicy po strych. Sprawdziły każdy kredens i szafę, zajrzały za każdą kotarę, a także, na klęczkach, pod wszystkie łóżka.

Mniej więcej pół godziny później Ida wróciła do saloniku Beatrice i oświadczyła, że nic ani nikogo nie znalazły. Ani człowieka, ani żadnej bestii czy demona.

Ze świecą w ręce stała przy zniszczonych drzwiach. Płomyk migotał w przeciągu, przez co wyraz jej twarzy zdawał się stale zmieniać – to malowało się w niej współczucie, to kpiący uśmiezek.

– Cokolwiek to było, Beatrice, już sobie poszło. Na wszelki wypadek pokropiłam wodą święconą podłogę przed frontowymi i tylnymi drzwiami i przy każdym odmówiłam modlitwę z Listu do Efezjan, prosząc Boga, aby był naszą tarczą i chronił nas przed zakusami diabła.

– Poważnie sądzisz, że to był diabeł?

– Lub jeden z jego wysłanników, tak. Ale wierzę też, że Bóg cię ochronił i nie pozwolił mu włamać się do twoich pokoi i zrobić którejś z was krzywdę.

– To było przerażające, Ido, nawet jeśli nic się nam nie stało.

– Oczywiście. Chciał was przestraszyć, tak jak próbowała to zrobić tamta postać w Ranelagh Gardens. Ale pomimo interwencji boskiej, myślę, że mądrzej byłoby, gdybyś posłuchała mojej wcześniejszej rady. Zapomnij o wątpliwościach, jakie cię trapią w związku ze zniknięciem naszych siedmiu dziewcząt. Skup się na ratowaniu pozostałych.

Było już dobrze po drugiej w nocy.

– Dziękuję, Ido – powiedziała Beatrice. – Jutro podziękuję też Hannah i Anne, i wszystkim innym.

– Śpij dobrze – odrzekła Ida. – I niech archanioł Gabriel otoczy cię swoim opiekuńczym skrzydłem.

## Rozdział 22

W poniedziałek po śniadaniu Beatrice spytała Idę, czy może ją zwolnić na godzinę, bo musi pójść do apteki Collina w Covent Garden, by nabyć pewne zioła i proszki, których nie ma Godfrey.

Nie znosiła kłamać, ale chciała chronić siebie i Florence, a w tej chwili nie ufała nikomu, nawet Idzie. Była przekonana, że Ida troszczy się jedynie o jej bezpieczeństwo, ale co, jeśli diabeł ma na nią jakiś wpływ, z czego ona sama nawet nie zdaje sobie sprawy, i dlatego ostrzegła Beatrice, by lepiej wyzbyła się swoich wątpliwości w kwestii zniknięcia dziewcząt? Jeśli tak, jeżeli diabeł albo jeden z jego demonów naprawdę wszedł do domu, jak Beatrice mogła mieć pewność, że to nie Ida go wpuściła? W końcu tylko ona miała pełny zestaw kluczy.

Oczywiście żadna z dziewcząt w schronisku Świętej Marii Magdaleny nie była aniołkiem, choć mogły wyglądać jak młode mniszki w swoich koszulach nocnych. Zanim przygarnęła je Ida, obracały się w środowisku kieszonkowców, włamywaczy, rzezimieszków i innych łotrów, więc było całkiem możliwe, że któraś z nich otworzyła okno, żeby wpuścić do środka jednego ze swoich starych kompanów.

Jedyny problem z tą koncepcją polegał na tym, że najwyraźniej nic nie zostało skradzione. Włamywacz tylko poszedł na górę pod drzwi Beatrice i drapał w nie jak wściekła bestia.

Tego dnia było sucho, pogodnie – trochę chłodno, ale Florence mogła pod nieobecność matki bawić się na podwórku z No-no. Beatrice wiedziała, że Grace będzie mieć na dziewczynkę oko. Zeszłego wieczoru zaaplikowała No-no do odbytnicy czopek z siekanej wieprzowiny. Zwabi to

robaki, a ona rano będzie mogła wyciągnąć większość z nich razem z czopkiem.

Ruszyła szybkim krokiem na wschód, wzdłuż London Wall, minęła szpital Bethlem i poszła dalej, przez Shoemaker Row, aż dotarła do Minories, szerokiej ulicy biegnącej na północ od Tower of London do Houndsditch. Kiedyś, gdy miała niespełna osiem lat, zabrał ją tutaj ojciec. Kupował to samo, co ona zamierzała teraz nabyć.

W połowie drogi, pod numerem 154, zobaczyła dom z wykuszem, gdzie miał swój warsztat rusznikarz, Richard Wilson. Choć okna były przeszkłone, wewnątrz panował ponury półmrok, pachniało olejem i pokostem. Pod ścianami, po obu stronach, były wystawione rzędem muszkiety. Za ladą stał chudy mężczyzna o ziemistej cerze, w białej koszuli i czarnej kamizelce, który powitał ją skinieniem głowy.

– Czym mogę służyć, łaskawa pani?

– Potrzebny mi pistolet – powiedziała. – Mały, który mogłabym zawsze przy sobie nosić.

– Ma pani jakąś wprawę w posługiwaniu się bronią?

– O tak. Mieszkałam przez kilka lat w Ameryce i miałam tam pistolet. Zostawiłam go, wracając do Anglii. Zresztą i tak byłby o wiele za duży.

– Myślę, że mam dokładnie to, czego pani szuka. – Rusznikarz z uśmiechem otworzył szufladę pod ladą, wyciągnął mały pistolet skałkowy długości zaledwie piętnastu centymetrów i położył go przed nią. – To pistolet królowej Anny, najmniejszy, jaki produkujemy. Nazywamy go mufkowym, bo łatwo go schować w mufce albo torebce. Ten kosztuje półtorej gwinei i za tę cenę mogę dorzucić jeszcze proch i naboje.

Beatrice wzięła pistolet do ręki. Była zaskoczona, że jest taki lekki.

– Nie wiem, czy zna pani te pistolety – powiedział rusznikarz. – Dla takiej damy jak pani wielką zaletą może być to, że nie ładuje się ich od lufy,

tylko odkręca się tylną część i wsypuje tam proch bezpośrednio, a potem umieszcza się na wierzchu kulkę i dopiero potem łączy się wszystko z lufą. W ten sposób nie trzeba nic ubijać.

Beatrice podała mu broń, a on zademonstrował jej, jak to zrobić.

– Kulka jest odrobinę większa niż otwór tylny, więc trzyma się dobrze na miejscu, póki pistolet nie wypali. Jest wypychana naprzód, co zapewnia wysoką celność, szczególnie z bliskiej odległości.

– Dobrze, wezmę go – zdecydowała Beatrice. – Byłby pan tak dobry i go naładował?

Zapłaciła, a kiedy wypisał jej pokwitowanie, wcisnęła pistolet do swojej haftowanej, ściąganej na troczek torebeczki.

Rusznikarz podskoczył, by otworzyć jej drzwi.

– Jestem pewien – dodał, gdy już wychodziła – że ten zakup będzie panią chronił, ale przede wszystkim mam nadzieję, że nigdy nie będzie pani zmuszona go użyć.

• • •

Poszła z powrotem przez Shoemaker Row. Długo zastanawiała się, czy wydać tyle pieniędzy na pistolet, ale groźby tamtego człowieka o lustrzanej twarzy wstrząsnęły nią do głębi, a brutalny atak na jej drzwi zeszłej nocy przesądził sprawę. Martwiła się nie tylko o własne bezpieczeństwo. Nie darowałyby sobie nigdy, gdyby coś złego spotkało Florence.

Jeśli diabeł mógł przenikać przez zamknięte drzwi, możliwe, że i kula z pistoletu go nie zatrzyma, ale mimo tego, co mówiła Ida, Beatrice nadal nie mogła uwierzyć, że naprawdę ostrzegał ją sam diabeł.

Już dochodziła do Camomille Street i mijiała skrzyżowanie z podejrzaną przecznicą łączącą Shoemaker Row z Houndsditch, gdy dostrzegła tam



jakiegoś tęgiego jegomościa. Stał około dwudziestu metrów od niej i kołysał się w przód i w tył, jakby był pijany.

Przystanęła, po czym cofnęła się o krok, by mu się przyjrzeć, choć właściwie nie wiedziała po co. Policzki miał mocno czerwone, ale w swoim oliwkowym fraku i trójgraniastym kapeluszu, trzymając w ręce laskę ze srebrną gałką, prezentował się jak szacowny obywatel. Nie był to ktoś, kogo spodziewałaby się zobaczyć pijanego w jakimś zaułku za piętnaście dwunasta w biały dzień.

Kiedy Beatrice się cofała, zobaczyła, że mężczyzna rozmawia z młodą dziewczyną, która stoi w bramie przed nim. Nie mogła mieć więcej jak czternaście, piętnaście lat. Jej potargane blond włosy przykrywał pognieciony biały kapturek, a jasnoniebieska suknia była brudna, lecz Beatrice zauważyła, że dziewczyna ma mały zadarty nosek i jest dość ładna. Stali zbyt daleko, by mogła usłyszeć, co mówi do niej mężczyzna, ale ona kręciła głową, jakby się z nim nie zgadzała.

Beatrice już chciała ruszyć dalej, kiedy dostrzegła, że dziewczyna kiwa głową, a mężczyzna sięga do kamizelki, wyjmując monetę i jej wręcza. Nagryzła ją, po czym szybko wrzuciła do kieszeni, a następnie uniosła suknię i wyświechtaną białą halkę i obnażyła się przed nim. Jej uda były chude, blade i posiniaczone, ale to bynajmniej nie zniechęciło mężczyzny. Upuścił laskę, która z łoskotem upadła na bruk, i rozpiął spodnie. Opierając się o futrynę drzwi, złapał dłonią swojego penisa o sinawej główce i trzy, cztery razy mocno nim poruszył, żeby stwardniał.

Beatrice nie wiedziała, co robić. Była wdową po pastorze i zatrudniono ją w schronisku Świętej Marii Magdaleny, aby ratowała młode kobiety przed prostytutką, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę z realiów. Ta dziewczyna, zapewne biedna i wygłodzona, nie miała innego sposobu, by

zarobić na życie. W Londynie były tysiące młodych prostytutek i nie dałoby się ich wszystkich ocalić, nawet gdyby one tego chciały.

Nadal stała u wlotu uliczki, tuż przy murze, aby nie przyciągnąć uwagi dziewczyny, i patrzyła, jak mężczyzna w oliwkowozielonym fraku lekko ugina kolana, żeby wepchnąć w nią penisa. Jej ręce leżały zarzucone bezwładnie na jego ramionach, gdy on wbijał się w nią i cofał, raz za razem, a na jej twarzy malowała się absolutna obojętność, jakby zastanawiała się, czy jutro będzie padać, co uniemożliwiłoby jej wyjście na miasto.

Mężczyzna wciąż napierał na nią, gdy z jakiegoś bocznego przesmyku w oddali wyłoniło się dwóch mężczyzn o podejrzanym wyglądzie. Jeden był łysy, ze złamanym nosem, drugi miał długie tłuste włosy i chustkę na głowie, jak pirat. Obaj byli ubrani w brudne płaszcze i workowate portki. Podeszli do tego w oliwkowym fraku i stanęli po obu jego stronach. Najwyraźniej z początku ich nie zauważył. Coraz szybciej wchodził w dziewczynę, jakby zaraz miał szczytować, i pewnie zacisnął powieki. Ale nagle jeden ze zbirów sięgnął mu do kieszeni i wyjął portfel i chustkę. Drugi złapał za łańcuszek kieszonkowego zegarka.

– Hej! – wrzasnął mężczyzna i próbował się obrócić, ale teraz dziewczyna przylgnęła do niego mocno. – Oddawajcie mi to zaraz, szubrawcy!

Łysy strącił mu kapelusz z głowy, a ten drugi rąbnął go w prawe ucho. Nieszczęśnik stracił równowagę i się zachwiał. Dziewczyna opuściła sukienkę i Beatrice dosłyszała, jak mówi coś w rodzaju: „Zostaw go, Harry, szybciej! Zmywajmy się w diabły!”.

Ale łysy kopnął tego w oliwkowym fraku mocno w kolano, aż ten upadł ciężko do tyłu, przeturlał się i uderzył głową w próg. Łysy złapał go za lewy nadgarstek i zaczął zdejmować mu z palca złotą obrączkę.

– Dawaj, niedojdo, ściągniemy z ciebie to świecidełko!

Beatrice zdawała sobie sprawę, że powinna jak najprędzej odejść i zapomnieć o tym rabunku, którego była świadkiem. Ale miała pistolet, a najwyraźniej żaden z tych łotrów nie był uzbrojony. Francis tak by tego nie zostawił. Nie poszedłby dalej, bez względu na to, czy miałby przy sobie broń, czy nie.

Wyjęła z torebki pistolet, chwyciła go obręcz i podeszła do dwóch obwiesi, mierząc prosto w głowę łysego.

– Oddajcie mu jego własność! – huknęła na nich.

Dwaj rabusie i dziewczyna popatrzyli na nią zdumieni.

– Oddajcie mu portfel i zegarek! – rozkazała. – I to już! Albo zastrzelę was obu!

Łysy przestał ściągać obręczkę i wyprostował się. Ten z długimi włosami zaczął się cofać.

– Słyszeliście?! – krzyknęła Beatrice. – Liczę do trzech i pociągam za spust, nie zawaham się ani sekundy!

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Nikt się nie odzywał. Słysząc było tylko stukot kół powozów na Shoemaker Row i kakofoniczne dźwięki trąbek, w które dęli uliczni sprzedawcy.

– Wiejemy! – warknął nagle ten z długimi włosami i obaj rzucili się do ucieczki.

Dziewczyna zgarnęła spódnicę i próbowała pójść w ich ślady, lecz na popękany bruksie zgubiła but i się potknęła.

Beatrice mogłaby strzelić do jednego ze zbirów, ale biegli zygzakiem i pewnie by chybiła. Podskoczyła więc tylko do dziewczyny i złapała ją mocno za chudy nadgarstek.

– Puść mnie, parszywa suko! – wrzasnęła dziewczyna, starając się wyrwać. – Kto ci kazał wtykać nos w nie swoje sprawy? Puszczaj!

Tymczasem mężczyzna w oliwkowym fraku podniósł się już z ziemi i zapinał spodnie. Peruka mu się przekrzywiła, na czole wyrastał czerwony guz.

– Ty mała dziwko! – wybełkotał, plując. – To o to ci chodziło, wywłoko! Żeby mnie obrabować! Będę wdzięczny, jak oddasz mi moją gwineę!

– A pieprz się! – syknęła dziewczyna. – Dostałeś to, czego chciałeś, stary tchórzliwy capie, nie?

– Straciłem portfel i zegarek, ty mała ladacznico! Gdyby nie ta uprzejma dama, straciłbym też obrączkę. Pani, muszę podziękować z całego serca. Proszę pozwolić, że pójdę po konstabla, by aresztował tę szachrajkę.

Dziewczyna jeszcze energiczniej próbowała się uwolnić, ale Beatrice trzymała ją mocno. Mała była wygłodzona i słaba, a jej nadgarstek chudszy niż trzonek miotły, natomiast Beatrice nadal miała siły dobrze odżywionej kobiety, która kopała w ogródku, oporządzała konia i rąbała drewno do pieca.

– Niech pan da spokój z szukaniem konstabla – powiedziała do mężczyzny w oliwkowym fraku.

– Dlaczego? Czemu nie?

– Jeśli ta dziewczyna zostanie aresztowana, będzie pan zmuszony pojawić się w sądzie jako świadek i wyjaśnić, jak doszło do tego, że wciągnęła pana w pułapkę. Chyba nie chce pan narażać się na tak krępującą sytuację, prawda? Niech pan zostawi ją mnie.

– A co z moim zegarkiem? Moim portfelem? Miałem tam trzy funty. Trzy funty, trzy szylingi i sześć pensów!

– Spróbuję ją przekonać, by powiedziała, kim są jej dwaj przyjaciele.

– Bierzesz mnie za jakąś pieprzoną donosicielkę? – rzuciła dziewczyna. – Przysięgnę na Biblię, że nigdy nie widziałam tych dwóch gości na oczy!

Mężczyzna w oliwkowym fraku podniósł kapelusz i laskę i podszedł chwiejnym krokiem do Beatrice.

– Jeśli zdoła pani wydobyć jakieś informacje od tej niecnoty, nazywam się William Newbolt, mieszkam przy Green Arbour Court pod numerem piątym, obok sądu Old Bailey. Byłbym dozgonnie wdzięczny, gdyby się to pani udało.

– Dobrze – odparła Beatrice.

Poczekala, aż mężczyzna odejdzie i zniknie za rogiem Shoemaker Row, po czym obróciła się do dziewczyny.

– Powiedz, jak się nazywasz.

– Odpieprz się.

– Podaj mi imię i nazwisko, bo inaczej zabiorę cię prosto do straży i zaświadczę, co przeskrobałaś.

– Nie zrobisz tego.

– Tak myślisz? Zastrzeliłabym jednego z twoich przyjaciół, gdybym sądziła, że któryś z nich jest wart prochu.

Dziewczyna milczała, nadąsana. Po chwili Beatrice zabezpieczyła pistolet i wsunęła go do torebki.

– No dobrze – rzuciła. – Jeśli tak sobie życzysz. Zdajesz sobie sprawę, że za takie rzeczy może cię czekać szubienica albo przynajmniej zesłanie?

– Ja nic nie zrobiłam. I jak mówiłam, przysięgnę, że nie znam tych dwóch gości.

– Och, i stąd wiedziałaś, że jeden ma na imię Harry? Mogę to zeznać pod przysięgą i jak myślisz, komu uwierzy sędzia?

Dziewczyna przez chwilę nic nie mówiła, ale potem nagle zaczęła kaszleć, a Beatrice od razu zorientowała się, że w jej płucach zalega flegma. Dziewczyna spuściła oczy.

– Eliza – powiedziała zrezygnowana i zakaszłała znowu. – Eliza White.

– Ile masz lat, Elizo?

– Czternaście. Czternaście i pół.

– A gdzie mieszkasz?

– Przy Black Horse Yard.

– Z kim? Z rodzicami?

Eliza pokręciła głową.

– Ojca nigdy nie znałam, a mama umarła, kiedy rodziła dziecko. Mieszkam z ciotką i jej trzema córkami, i takim szurniętym chłopakiem Dickiem. Nie wydasz mnie, co?

– Wszystko zależy od ciebie, Elizo. Pracuję z dobrymi, hojnymi ludźmi, którzy pomagają takim dziewczętom jak ty porzucić ulicę i rozpocząć o wiele lepsze życie. Może słyszałeś o schronisku Świętej Marii Magdaleny?

Eliza znów pokręciła głową.

– Możesz pójść teraz ze mną i do nas dołączyć – powiedziała Beatrice. – Nauczymy cię czytać i pisać, jeśli jeszcze nie umiesz, i różnych pożytecznych rzeczy, jak szycie, muzykowanie czy gotowanie.

Eliza zakaszłała i uniosła na nią wzrok.

– A jeśli nie zechcę?

– No to tak, wydam cię, bo jesteś złodziejką. Ale zastanów się, Elizo. Jeśli pójdziesz ze mną, dostaniesz ciepły posiłek i czyste ubrania, i własne łóżko. Nie będzie ci grozić, że zarazisz się kiłą albo innymi potwornymi chorobami jak skrofuły. Nie staniesz się przypadkiem brzemienna i nie

będziesz musiała ryzykować aborcji. W dodatku słyszę, że wcale nie jesteś zdrowa, a mogłabym dać ci na to lekarstwo.

– A co pomyśli ciotka, jak nie wrócę i nigdy mnie już nie zobaczy?

– Możemy wysłać jej wiadomość, gdzie jesteś. Będzie mogła odwiedzić cię, jeśli zechce. Ale słuchaj uważnie, Elizo, to szansa, która może ci się już nigdy więcej nie przytrafić, nigdy w życiu. Nawet jeśli sąd nie uzna cię za winną, to co cię czeka? Wrócisz do sprzedawania swojego ciała, aż zrobisz się zbyt stara i brzydka albo umrzesz na syfilis? Widziałaś syfilityczki, całe we wrzodach, z zapadniętymi nosami? Chcesz dalej kraść, żeby cię wreszcie złapali i powiesili?

Oczy Elizy wypełniły się łzami, które popłynęły po jej brudnych policzkach i skapywały z brody. Nie szlochała, ale znów zaniósła się kaszlem i musiała wytrzeć dłonią flegmę z warg.

– To jak, Elizo, co wybierasz? – spytała Beatrice najsurowiej, jak tylko potrafiła, choć wiedziała, że nie odda jej konstablowi i nie będzie zeznawać przeciwko niej w sądzie.

Jeśli dziewczyna absolutnie nie zechce pójść z nią do Świętej Marii Magdaleny, po prostu puści ją wolno. W pojęciu Beatrice życie prostytutki i złodziejki, jakie wiodła, samo w sobie było wystarczającą karą. W ten sposób ta mała przeżyje dwa, najwyżej trzy lata, i umrze na jakąś chorobę weneryczną albo skrofuły, albo gorączkę połogową.

Eliza rozejrzała się dokoła. Zza rogu wyłoniła się jakaś stara kobieta w postrzępionym szarym szalu, zgarbiona, z czarną opaską na jednym oku. Wpatrywała się w nie obie, kiedy je mijala, powłócząc nogami, i bez żadnego wyraźnego powodu krzyknęła: „Ha!”.

Może Eliza uznała to za ostrzeżenie, jak ona sama może wyglądać w przyszłości, bo nagle przestała się opierać.

– No dobrze – rzuciła. – Pójdę. To daleko?

– Chodzi ci o odległość? Niecałe dziesięć minut piechotą. Ale jeśli masz na myśli rodzaj życia, jest to tak daleko stąd, jak tylko można sobie wyobrazić.

Beatrice puściła wychudzony nadgarstek Elizy i ruszyła w kierunku Shoemaker Row. Eliza mogła uciec, ale po chwili wahania poszła za Beatrice.



## Rozdział 23

Ida powitała Elizę serdecznie, tak jak swoje wszystkie „zbląkane owieczki”, jak je nazywała. Sukienka dziewczyny była podarta i poplamiona, policzki brudne, z nosa jej ciekło, ale Ida uściskała ją niczym odnalezioną po latach córkę.

– Czuj się tu jak w swoim nowym domu, moja droga, i traktuj wszystkich jak swoich przyjaciół!

Eliza spojrzała znad ramienia Idy na Beatrice, lekko zszokowana, a Beatrice uśmiechnęła się do niej krzepiąco.

– Jest bardzo głodna i na pewno chce się jej pić – powiedziała do Idy. – Zanim zrobimy cokolwiek innego, dajmy jej coś zjeść.

Poprowadziła Elizę do kuchni, gdzie Katharine i trzy inne dziewczęta szykowały paszteciki z baraniną i ragoût z selerem. Była tam też kucharka Martha, która mieszała w garnku zupę z soczewicy z marchewką, pasternakiem i szynką. Beatrice posadziła Elizę przy stole, a Katharine przyniosła jej miseczkę zupy i chrupiącą piętękę świeżo upieczonego chleba.

– Już znikły wszystkie moje gnidy! – oświadczyła wesoło, zwracając się do Beatrice. Nachyliła się nad Elizą i dodała: – Ale ty je masz, prawda, kochanie? Gnidy! Ale nie martw się, Beatrice pomoże ci się ich szybko pozbyć!

I wtedy Eliza ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Płakała tak żałośnie, że ledwie mogła oddychać, a każdy szloch kończył się napadem kaszlu. Beatrice położyła jej rękę na ramieniu i starała się ją uspokoić.

– Wiem, wiem. Czasem trudno jest zrozumieć, że jacyś obcy chcą się tobą zaopiekować. Ale tego uczy nas Biblia i po to jest nasze schronisko.

Eliza zdołała się wreszcie opanować. Wytarła nos rękawem i spojrzała przez łzy na Beatrice.

W tej samej chwili do kuchni weszła Florence ze swoją lalką Minnie, a tuż za nią przydreptał No-no.

– Dlaczego ta dziewczynka płacze?

– To Eliza – wyjaśniła Beatrice. – Przyszła tu zamieszkać i płacze, bo jest szczęśliwa.

Florence przyciągnęła sobie krzesło bliżej Elizy i wdrapała się na nie, by usiąść obok niej.

– Witaj, Elizo. To Minnie, a to mój piesek. Ma na imię No-no, jak mój brat, który się zgubił.

– Twój brat się zgubił?

Florence skinęła głową z poważnym wyrazem twarzy.

– Indianie go zabrali.

Beatrice znów położyła dłoń na ramieniu Elizy.

– Jedz teraz zupę. Opowiem ci o tym później.

Eliza wzięła łyżkę i popatrzyła na swoje odwrócone odbicie w metalu.

– Myślę, że ja też się zgubiłam – powiedziała. – Ja pierdolę, jak ty mnie znalazłaś?

• • •

Kiedy Eliza wyskrobała z miseczki ostatnią kroplę zupy i pochłonęła ostatni kęs chleba, Grace zabrała ją na górę, by się umyła i przebrała. Na początek ulokowano ją w malutkiej sypialni na tyłach, gdzie wcześniej odbywała kwarantannę Judith. Musiała zostać tam trochę, przynajmniej dopóki Beatrice jej nie odwszawi, nie oczyści jej płuc i nie upewni się, że dziewczyna nie ma jakiejś choroby wenerycznej czy robaków.

Zanim Beatrice też poszła na górę, zajrzała do atelier, gdzie Ida nadzorowała naukę modniarstwa, ucząc dziewczyny ozdabiać kwiatkami z rafii runda i denka wielkich letnich kapeluszy.

– Nie masz mi za złe, że przyprowadziłam Elizę? – spytała Beatrice.

– Ależ skąd, moja droga. To nasza święta misja ratować takie dziewczęta jak ona. Gdzie ją znalazłaś?

– W przecznicy przy Shoemaker Row. Przyłapałam ją, jak oddawała się jakiemuś podpitemu starszemu jegomościowi, który powinien bardziej uważać na to, co robi.

Beatrice postanowiła nie wspominać o dwóch łotrach, którzy obrabowali mężczyznę w oliwkowym fraku. Ida nie musiała wiedzieć, że Eliza to nie tylko prostytutka, ale i złodziejka. Poza tym trzeba byłoby wtedy wyjaśnić, jak Beatrice zdołała przegonić napastników.

– Przy Shoemaker Row? – spytała ze zdziwieniem Ida. – A myślałam, że poszłaś do Covent Garden.

– Och, tak, ale u Collina nie mieli olejków i proszków, których potrzebowałam, więc sprawdziłam u Culpepera w Aldgate.

Beatrice czuła, że się czerwieni. Nigdy w życiu tak nie kłamała, nikomu. Ale jak mogła teraz powiedzieć Idzie, że ją oszukała i że poszła kupić sobie pistolet?

Jednak Ida chyba przyjęła jej wyjaśnienie, bo uśmiechnęła się.

– Eliza miała szczęście, że tam trafiłaś – zauważyła. – Czasami coś każe nam pójść w nieoczekiwanym kierunku, ale wierzę, że kiedy tak się dzieje, sam Pan Bóg nas prowadzi, abyśmy mogli wypełnić zleconą nam w Jego miłosierdziu misję. – Popatrzyła na jedną z dziewcząt w atelier. – Nie, nie, Josephine, moja droga, od spodu, a potem górą i dopiero wtedy zrób supełek.

– Muszę zajrzeć teraz do Elizy – powiedziała Beatrice. – Ma bardzo męczący kaszel i nie chciałabym, żeby się jej pogorszyło.

– A przy okazji – odezwała się Ida – pan Hazzard dał znać, że przyjedzie do nas jutro. Pastor Parsons również. Jestem przekonana, że pogodziłaś się już z tym, że to naprawdę szatan umożliwił naszym dziewczynom ucieczkę i że George nie wiedział nic o tym, póki nie znikły.

– To jedna z możliwości, na pewno – odparła Beatrice. – Jednak nadal podejrzewam, że do ich zaginięcia przyczynił się człowiek, nie szatan.

– Pomimo tej postaci z lustrzaną twarzą i demona, który drapał do twoich drzwi?

– Po prostu wstrzymuję się z wydawaniem ostatecznych sądów, dopóki nie będę miała więcej dowodów.

– Jakie jeszcze dowody spodziewasz się znaleźć?

– Na razie nie mam pojęcia, ale z doświadczenia wiem, że nawet najbardziej przebiegłi oszuści popełniają błędy. Jeśli ten magik okaże się szatanem, to tak, uznam, że to jego sprawka. Ale na razie daleko mi do wyciągania takiego wniosku.

Ida położyła dłoń na ręce Beatrice.

– Proszę, nie mów nic o swoich wątpliwościach George’owi, dobrze? Jest najbardziej szczodrym człowiekiem w świecie, ale nie lubi, jak się mu nie dowierza. Działalność schroniska Świętej Marii Magdaleny niemal w całości zależy od jego hojnych datków.

– Obiecuję, że nie będę poruszać tego tematu, Ido. A teraz naprawdę muszę już iść zobaczyć, co z Elizą. Nie chcę, żeby nam zeszła na suchoty.

• • •

Eliza kaszlała aż do północy. Beatrice dała jej trzy łyżki swojego leku przeciwko zaziębieniu, składającego się z czerwonych róż, balsamu

siarkowego, olejku wiotriolu i syropu z podbiału. To nieco rozrzedziło flegmę w płucach, ale w końcu zaaplikowała jej nalewkę z opium, żeby obie mogły się trochę przespać.

Była niemal ósma, kiedy Beatrice się obudziła. Poranek był ciemny, ponury, tak mroczny, że gdyby Florence jeszcze nie wstała, Beatrice mogłaby pomyśleć, że nadal jest noc. Florrie zapewne poszła na dół dać No-no śniadanie. Tak uwielbiała tego pieska, że niemal zapomniiała o Minnie.

Beatrice wygramoliła się z łóżka i szybko ubrała się w swoją ulubioną szafirową sukienkę. Miała tego dnia mnóstwo zajęć. Okres już jej się prawie skończył, ale podkłady moczyły się w zimnej wodzie w pralni i musiała je wygotować.

Ida mówiła jej, że miesięczka u wszystkich dziewcząt w domu już się prawie zsynchronizowała. Beatrice zastanawiała się, czy i ona niedługo do nich dołączy.

– Kiedy przychodzi ten czas, zawsze przez kilka dni są płacze, sprzeczki i bałagan – powiedziała Ida. – Nazywam to „niespokojnym księżycem”.

Beatrice zamknęła za sobą drzwi swojego pokoju, na których widniały głębokie ślady zadrapań. Z zewnątrz dobiegł ją turkot powozu. Podeszła do okna na korytarzu, żeby wyjrzeć na dziedziniec przed domem, i zobaczyła jakiegoś chłopaka, który wysiadał z zaprzężonej w dwa konie kaleszy. Kiedy stał już na ziemi, woźnica podał mu wielkie brązowe okrągłe pudło na kapelusze. Chłopak ruszył po schodach do drzwi frontowych. Beatrice usłyszała, jak puka.

Najpierw pomyślała, że to Idzie przywieziono nowy kapelusz, ale kiedy zaczęło padać i woźnica zdjął czarny kapelusz z rondem, by spojrzeć na niebo, Beatrice od razu go rozpoznała. Był to człowiek o skórzastej twarzy,

z fabryki tytoniu George'a Hazzarda, ten, który poprowadził ją przez halę do biura i proponował Florence, żeby zaciągnęła się fajką.

Podeszła do balustrady i popatrzyła na hol w dole. Słyszała, jak Ida rozmawia z chłopakiem, choć nie potrafiła zrozumieć, o czym mówią. A potem drzwi frontowe się zamknęły i kiedy Beatrice podeszła znów do okna, zobaczyła, że młody człowiek wsiada z powrotem do kaleszy. Mężczyzna o skórzastej twarzy strzelił batem i powóz odjechał.

To dziwne, pomyślała Beatrice. A może wcale nie. Może George Hazzard sprawił Idzie niespodziankę i kupił jej kapelusz albo któraś z dziewcząt ma niedługo urodziny, a on załatwił, że dostanie kapelusz w prezencie. To jednak wydawało się mało prawdopodobne. Bo dziewczyny już od ponad tygodnia uczyły się modniarstwa i wszystkie z zapalem tworzyły dla siebie kapelusze.

Zajrzała do Elizy, by sprawdzić, czy trochę jej lepiej. Dziewczyna nadal spała, ale policzki jej się zaróżowiły i choć oddychała przez usta, wydawało się, że nos ma mniej zatkany niż poprzedniego dnia. Beatrice cicho zamknęła drzwi i zeszła na dół.

Zastała w kuchni Idę, która rozmawiała z Marthą, ale nigdzie nie widać było pudła na kapelusze. Florence, jeszcze w koszulce nocnej, klęczała na krześle przy stole i pałaszowała kleik omaszczony łyżeczką stopionego masła. Mopsik No-no siedział na krześle obok niej i od czasu do czasu oblizywał się, jakby przed chwilą coś zjadł.

– Dzień dobry, Beatrice. – Ida uśmiechnęła się. – Jak się dziś ma nasza zbłąkana owieczka?

– Wczoraj w nocy dałam jej opium i nadal mocno śpi. Ale płuca zdają się o wiele czystsze. Jestem pewna, że dobra kolacja i ciepłe łóżko działały cuda.

– Dla tej dziewczyny prawdziwym cudem jest to, że ją uratowałaś. Muszę dziś po południu opowiedzieć George’owi o tym, co zrobiłaś. Przyjedzie około drugiej. Martha szykuje wspaniały obiad dla niego i pastora Parsonsa. Będziemy mieć zupę ostrygową i grasicę, gołąbki, kuropatwy i pieczeń wieprzową, a także świńską głowę z przypieczonymi na chrupko uszami! Oraz galaretki i beziki na deser.

– Zapowiada się prawdziwa uczta, Martho – skwitowała Beatrice.

– Prawda? – rzuciła Ida. – Jak zjemy, dziewczęta zabawią nas piosenkami. Ale nie tylko religijnymi. Będą *Wiejskie ogrody*, *Weseli Cyganie* i *Dobrej drogi*. Na koniec jednak zaśpiewają nowy hymn Johna Wesleya, *Przyjdź, Królu Wszchemocny*. Nie słyszałaś go jeszcze, prawda? Jest tak wzruszający, że aż trudno powstrzymać łzy.

Beatrice zastanawiała się, czy powinna spytać o pudło na kapelusze, zdecydowała jednak, że tego nie zrobi. Ida bardzo ją wspierała, traktowała niemal po matczynemu, ale po swoich doświadczeniach w New Hampshire Beatrice nauczyła się być ostrożna, jeśli ktoś przypisywał różne nieszczęśliwe przypadki szatanowi – czy to zarazę bydła, czy choroby psychiczne, czy śmierć dziecka w kołysce.

Jeśli Ida wierzy, że mężczyzna z lustrzaną twarzą i bestia dobijająca się do jej drzwi to naprawdę był diabeł albo jakiś jego emisariusz, to niech sobie wierzy. Sama Beatrice nadal miała co do tego poważne wątpliwości i uznała, że póki nie dowie się, kto za tym stoi, będzie bezpieczniej dla niej i dla Florence, jeśli zachowa swoje myśli dla siebie.

Ida klasnęła w ręce.

– No, dziewczynki, mamy dziś rano dużo do zrobienia! – oznajmiła. – Trzeba pozamiatać podłogi i umyć porządnie wszystkie nocniki. Chcemy, żeby dom pachniał pięknie dla pana Hazzarda, prawda?

## Rozdział 24

Pierwszy przybył pastor Parsons. W pogodnym nastroju, zarumieniony. W jego oddechu można było wyczuć zapach małego piwa, które wypił przy śniadaniu, i fajki, którą wypalił zaraz potem. Uściskał Idę i skinął głową Beatrice, po czym wydał cienkie pierdnięcie.

– Jakże ja lubię te wizyty u was, Ido! Serce rośnie, gdy się patrzy, że nasze szlachetne zamierzenia wcielane są w czyn, a te młode dziewczyny zostają ocalone od życia w rozpuście!

– To wielkie dobrodziejstwo, że dołączyła do mnie Beatrice – powiedziała Ida. – Nie dalej jak wczoraj uratowała jedną biedną dziewczynę z ulicy i przyprowadziła ją tutaj, by odnalazła Boga!

– Ufam, że diabeł dał ci już wreszcie spokój, Beatrice – rzekł pastor z uśmiechem, sadowiąc się w fotelu. – Bywa, że wymierzenie sprawiedliwości powinniśmy zostawić Panu Bogu, i jak sądzę, to właśnie jeden z takich przypadków. Modliłem się za tych siedem młodych czarownic, aby dostrzegły, jak bardzo zbłądziły, by pokajały się i próbowały wrócić na łono Chrystusa. Mam nadzieję, że ty również się o to modlisz. Poza tym niewiele możemy zrobić.

Beatrice nie odezwała się, tylko skinęła głową i posłała mu cień uśmiechu.

– Może miałby pastor chęć na odrobinę cydru? Albo szklaneczkę świerkowego piwa? – zaproponowała Ida.

Pastor Parsons milczał, wpatrując się w Beatrice, jakby nadal czekał na jakąś jej odpowiedź – przyznanie, że się z nim zgadza i że dziewczęta rzeczywiście musiał opętać szatan.



– A może nalewki cytrynowej? – nie dawała za wygraną Ida. – Albo possetu na miodzie i winie?

– Posset brzmi kusząco, Ido – rzucił pastor, nadal nie spuszczać wzroku z Beatrice. – Rozjaśni mi trochę w głowie.

– Pozwólcie, że przyniosę. – Beatrice wstała z miejsca.

Miała coraz bardziej dojmujące wrażenie, że nieświadomie odgrywa rolę w jakimś zagadkowym teatryku – w którym wszyscy znają swoje kwestie, poza nią.

• • •

W atelier zestawiono cztery stoły i nakryto je długim lnianym obrusem, żeby mogło przy nich zasiąść szesnaście osób. Pastor zajął miejsce u szczytu, z Beatrice po lewej stronie, a na przeciwległym krańcu usiadła Ida z George'em po prawej ręce. Reszta krzeseł była przeznaczona dla dziewczyn, które mieszkały w schronisku Świętej Marii Magdaleny najdłużej. Żadna z nich nie odznaczała się urodą i pewnie dlatego George nigdy nie wybrał ich do swojej fabryki tytoniu, ale można było liczyć, że przynajmniej postarają się podtrzymywać miłą rozmowę, nie będą przeklinać i wzywać imienia Pana Boga nadaremno. Wszystkie włożyły swoje najlepsze sukienki, spryskały się wodą różaną i uróżowiły policzki. Szczebotały i chichotały, kiedy tylko usiadły. Reszta dziewcząt miała jeść później, w kuchni.

Popołudnie było wyjątkowo ciemne, więc na stole ustawiono dwa trzyramienne kandelabry, a pośrodku kryształową wazę z różowymi i żółtymi alstromeriami. W okna uderzały krople deszczu, a znad rzeki dobiegał od czasu do czasu pomruk odległych grzmotów, jakby w Southwark toczyły się jakieś działania wojenne.

Beatrice nie mogła pozbyć się wrażenia, że George jest dziwnie rozkojarzony. Ida stale musiała poklepywać go po ręce, żeby przyciągnąć jego uwagę. Kiedy coś mówił, to nie tym swoim zwykłym tubalnym, spokojnym głosem, ale nerwowo, wyrzucając z siebie po kilka zdań. Często oglądał się i popatrywał na drzwi, jakby w obawie, że lada chwila może wparadować przez nie sam diabeł.

Pastor Parsons zagłębił się w samochwalczy wywód, ile zdziałała ich placówka od czasu, kiedy Francis i Beatrice wyjechali do Ameryki, a w zamian Beatrice opowiedziała mu o trudach życia w New Hampshire – jak to zakładała ogródek warzywny w dziczy i sama hodowała świnie.

– Ale nigdy nie czuliśmy, że Bóg nas tam opuścił – podkreśliła. – Tak naprawdę wydawał się wręcz bliższy niż kiedykolwiek, czuwał nad nami i robił, co w jego mocy, by dać nam dość sił.

– Mogę tylko raz jeszcze powtórzyć, jak bardzo współczuję ci straty synka – powiedział pastor Parsons. Urwał i beknął cicho w zwiniętą dłoń. – To tylko dowodzi, że nigdy nie wolno ufać poganom. Zamierzaliśmy wysłać misjonarzy do Afryki. Tak, do Afryki! Jeśli jakiś kontynent rozpaczliwie potrzebuje oświecenia, pod każdym względem, to właśnie Afryka. Niektórzy miejscowi wierzą, że ludzie zostali stworzeni przez tak zwanego boga, który ulepił ich figurki z gliny i tchnął w nie życie. Wyobraź to sobie! Inni wierzą, że ich bóstwa wysyłają im wiadomość o życiu lub śmierci w dźwiękach wiatru albo w głosach przechodzących zwierząt. Potrzeba wiele pełnej poświęcenia pracy, by wprowadzić ich na drogę prawdy.

– Amerykańscy Indianie też mają swoich bogów – powiedziała Beatrice. – I wierzą, że wszystko ma duszę. Zwierzęta, skały, rzeki, wszystko.

– Czasami zastanawiam się, dlaczego Bóg stworzył ludzi, którzy wymyślają takie bzdury – odezwał się pastor Parsons. Popatrzył na pustą miskę przed sobą i dodał: – Przyznam, że ta zupa ostrygowa była wyborna. Przynajmniej rozumiem, dlaczego Bóg stworzył ostrygi.

Z kuchni przyszły trzy dziewczyny, by pozbierać ze stołu naczynia po pierwszym daniu. Jedną z nich była Grace, która uśmiechnęła się z daleka do Beatrice. A ona dostrzegła, że kiedy tylko George ją zobaczył, nachylił się do Idy i coś jej szepnął, osłaniając usta dłonią, jakby to była tajemnica i nie chciał, żeby ktokolwiek odczytał coś z ruchu jego warg.

Grace była piękna, o skórze koloru stopionej czekolady, miała pełne piersi, a kiedy szła, jej biodra kołysały się zmysłowo. Beatrice rozumiała, dlaczego George mógł zwrócić na nią uwagę. Jednak wątpiła, że Ida pozwoli mu zabrać ją do pracy w fabryce tytoniu. Grace pomagała prowadzić dom, robiła zakupy, sprzątała, organizowała pranie i otwierała drzwi gościom, a także odgrywała rolę osobistej służącej Idy. Ubierała ją rano, dbała o jej stroje i peruki.

Gdyby odeszła, Florence byłaby zdruzgotana, bo uwielbiała tę dziewczynę. Kiedy tylko Grace miała wolną chwilę w swoim pracowitym dniu, zawsze szła do Florence. Bawiła się z nią i No-no i śpiewała jej piosenki, jakich nauczyła ją matka na Barbadosie. O małym kotku i kakaowej herbatce.

Teraz dziewczęta przyniosły główne dania na czterech półmiskach pod srebrnymi pokrywami. Jeden postawiły przed Idą i George'em i uniosły pokrywkę, odsłaniając dwie pieczone kuropatwy. Pośrodku stołu rozlokowały resztę półmisek – z faszerowaną kapustą, kawałkami pieczonej wieprzowiny i duszonym udźcem baranin z dodatkiem kaparów. Na koniec do atelier weszła Katharine ze srebrnym przykrytym naczyniem, które umieściła przed pastorem Parsonsem i Beatrice.

– Świńska głowa – obwieściła z uśmiechem.

Ale kiedy tylko zdjęła pokrywkę, krzyknęła przeraźliwie i upuściła ją na podłogę. Zamiast świńskiej głowy na półmisku leżała głowa kozła z sypialni dziewcząt w fabryce tytoniu. Jego oczy były przejrzyste, biała sierść zmatowiała, a wyglądał jeszcze bardziej groteskowo, bo w pysku miał zatknięte czerwone jabłko, jak w przypadku pieczonych prosiaków. Kręcone rogi były oplecione pędami rzezuchy.

Pastor Parsons poderwał się z miejsca tak gwałtownie, że jego krzesło przewróciło się na podłogę. Beatrice też się podniosła, odrętwiała z szoku. Na widok głowy kozła kilka dziewcząt pisnęło z obrzydzenia, choć dwie lub trzy zachichotały, jakby to był tylko jakiś głupi żart.

– Cóż to, na Boga, ma znaczyć? – zagrział pastor Parsons, po czym zwrócił się do Katharine: – Nie wiedziałaś, co niesiesz na tym półmisku, dziewczyno? Przecież musiałaś to zobaczyć w kuchni!

Katharine szlochała i załamywała ręce.

– Tu była świńska głowa, przysięgam. Martha przy mnie wyjmowała ją z pieca i przybierała.

Ida wstała z krzesła i podeszła bliżej, a tuż za nią George.

– To mój kozioł! – zawołał wzburzony. – Ten, którego dziewczęta złożyły w ofierze dla szatana! Zakopałem go na podwórzu z tyłu fabryki! Jak mógł znaleźć się na tym półmisku? I patrzcie! Ani trochę się nie zepsuł. Jest w takim samym stanie jak w dniu, kiedy go zarżnęły.

Ida spojrzała na Beatrice i pokręciła głową.

– Czarna magia, czary – rzuciła. – To musi być kolejne ostrzeżenie szatana.

Beatrice milczała, oszołomiona. Rozpacz Katharine wskazywała, że dziewczyna nie miała pojęcia, co kryje się na półmisku. Ale Martha musiała

o tym wiedzieć, nawet jeśli to nie ona udekorowała łeb kozła zamiast świńskiej głowy.

Czy właśnie to przysłał rano George z Hackney w pudle na kapelusze? Gdyby to był kapelusz, na pewno Ida albo któraś z dziewczyn już by się nim pochwaliła. I George miał rację. To była głowa kozła, którego przybito do ściany w sypialni, choć nie śmierdział psującym się ścierwem, jak można by się tego spodziewać. Kiedy w New Hampshire padły śwynie Beatrice, zaczęły cuchnąć już po kilku godzinach. Tyle że to było w lecie i panował upał.

– Obawiam się, że musimy przerwać ten posiłek – odezwała się Ida. – Nie sądzę, by ktokolwiek z nas miał jeszcze apetyt, prawda? Pójdę do kuchni i spytam Marthę, jak mogło dojść do czegoś takiego, choć jestem pewna, że to sprawka szatana i że zmienił on głowę świni, gdy była niesiona tutaj. Przecież jest zdolny do takich sztuczek.

Ida wyszła i większość dziewcząt podążyła za nią. Pastor Parsons i George zaczęli rozmawiać. Pastor opowiadał o różnych wyczynach szatana lub „fałszywych cudach”, zwłaszcza tych wspomnianych w Ewangelii według Świętego Mateusza i w Listach do Tesaloniczan.

– Ta głowa kozła to niewątpliwie jedna ze zwodniczych sztuczek diabła. Dopuścił się tego wyłącznie po to, by zademonstrować swoją obecność, w razie gdyby ktoś z nas miał nadal jakieś wątpliwości.

– Muszę się z tobą zgodzić, pastorze – oświadczył George. – Wielka szkoda, że zepsuł nam tak cudowny posiłek, by dowieść swojej racji.

Pastor Parsons popatrzył smętnie na wieprzowinę, kuropatwy i faszzerowaną kapustę.

– Może moglibyśmy zostać na kolację i podano by nam to na zimno?

– Ja niestety nie mogę – odparł George. – Muszę wrócić do fabryki przed piątą. Spodziewamy się dużej dostawy liści tytoniu z Karoliny.

Kiedy tak rozmawiali, na wpeł odwróceniu od niej, Beatrice wzięła z półki przy ścianie małe nożyczki, podeszła do stołu i szybko odcięła kępkę szorstkiej sierści ze strzępiastej brody kozła. Zawinęła ją w serwetkę, wcisnęła do kieszeni i ruszyła do drzwi.

– Nie obwiniaj się zbytnio za te niefortunne czary, Beatrice – powiedział pastor, gdy go mijała. – Ale chyba nie ma już najmniejszych wątpliwości, iż szatan chce zyskać pewność, że zrozumiesz, jaki jest potężny i jak wielką moc mógł dać tym siedmiu nieszczęsnym dziewczętom.

Beatrice spojrzała nie na niego, ale na George'a.

– Tak, pastorze. Jestem przekonana, że wiem już, z jakim demonem mam do czynienia. Po tym, co się dziś stało, na pewno nie mogę zaprzeczać temu, że istnieje, prawda?

George lekko uniół brwi, jakby wyczuł w jej słowach jakiś podtekst.

– Bardzo mądrze z twojej strony, Beatrice – rzucił. – To smutne, ale ci, którzy prowokują jego szatańską moc, często kończą marnie.

Beatrice zdawała sobie sprawę, że to lekko zawołowana groźba, lecz oparła się pokusie i nie powiedziała mu, by jej nie straszył. Wolała, aby myślał, że choć ona podejrzewa go o ukrywanie prawdy w sprawie zniknięcia dziewcząt, a przynajmniej o wprowadzanie jej w błąd, nie będzie już próbowała dociec, co się naprawdę stało, ani mówiła komukolwiek o swoich wątpliwościach.

Zostawiła George'a i pastora Parsonsa i poszła do kuchni, gdzie Ida przesłuchiwała Marthę. Większość dziewcząt zebrała się wokół nich i nawet Florence tu była, z No-no na rękach, choć mops, o pomarszczonym pyszczku i zwisających tylnych łapach, był niemal tak duży jak ona.

Martha siedziała przy kuchennym stole z miną bardziej buńczuczną niż zmartwioną. Na widok Beatrice natychmiast poderwała się na nogi.

– Wdowo Scarlet, właśnie tłumaczę pani Smollett, że nie mam bladego pojęcia, jak na półmisku mogła się znaleźć głowa kozła. Przysięgam na grób mojego zmarłego męża, że położyłam tam świńską głowę, z jabłuszkiem w pysku i rzeżuchą na uszach. Nie wiem, jakim cudem mogła się z tego zrobić głowa kozła. Według mnie to czarna magia. Czary!

Beatrice rozejrzała się po kuchni.

– Jeśli głowa świni została zdjęta z półmiska, a na jej miejsce położono kozia, to gdzie jest teraz głowa świni?

– Nigdzie – odparła Martha. – To nie tak, że jedna została zamieniona na drugą. To raczej jakieś hokus-pokus.

– Czuć tu przypaloną wieprzowinę – zauważyła Beatrice.

– Oczywiście. Upiekłam pół świni i mocno przygrzałam głowę, żeby uszy były chrupkie.

– Jestem głodna! – zawołała Florence. – I No-no tee!

Beatrice chciała zganić ją za zjedanie głošek, ale uznała, że bardziej dyplomatycznie będzie poczekać z tym, aż zostaną same – podobnie jak rozsądniej byłoby zgodzić się, że to szatan przekształcił świńską głowę w łeb kozła.

Wierzę w szatana, pomyślała, wierzę w szatana tak samo jak w Boga. Jej ukochany Francis czuł się tak bardzo zagrożony przez diabła w swojej pracy proboszcza, że zawsze nosił na szyi medalik ze świętym Benedyktem, z literami VRSNSMV dokoła – *Vade retro Satana; nunquam suade mihi vana*, czyli: „Idź precz, szatanie, nie zaprzataj mi głowy na próżno”.

Ale pomyślała też, że szatan musi mieć ręce pełne roboty, kiedy toczą się wojny, dochodzi do masowych mordów, straszliwych katastrof, gdy płoną miasta, a statki ze wszystkimi pasażerami idą na dno. Po co miałyby

poświęcać swój czas na straszenie młodej wdowy, która niczym mu nie zagraża, nie jest dla niego żadnym przeciwnikiem?

Do kuchni wszedł George.

– Pojadę już, Ido – powiedział. – Przykro mi, że to ogromnie miłe spotkanie skończyło się tak nagle. Ale musimy niedługo zorganizować następny wspólny obiad. Przepadam za chrupiącymi świńskimi uszami.

– A co z głową kozła? – spytała Ida.

– Nie martw się. Giles, mój woźnica, już ją zabrał. Zakopimy ją przy naszym dole kloacznym. Szatan nie zasługuje na żadne inne miejsce pochówku. Zgodzisz się z tym, Beatrice?

Beatrice uśmiechnęła się blado. Kuchnię nadal wypełniał zapach spalonej wieprzowiny. Miała wrażenie, że przenika on jej ubranie i włosy. Usłyszała płacz Florence w atelier, więc tylko skłoniła się George'owi.

– Przepraszam, musicie mi wybaczyć – powiedziała. – Obawiam się, że szatanowi nie udało się zepsuć apetytu Florence, nawet jeśli resztę z nas przyprawił o mdłości.



## Rozdział 25

Dalsza część popołudnia upłynęła im na modlitwach i śpiewaniu hymnów pod kierunkiem pastora Parsonsa. O szóstej wszyscy usiedli do kolacji składającej się z mięs na zimno, a pastor Parsons zdołał zjeść w pojedynkę niemal cały duszony udziec barani, ucinając kawałek po kawałku i raz po raz wołając do Marthy, by przyniosła mu kolejną porcję sosu z kaparów.

Nikt nie wspominał już o głowie kozła, ale Beatrice nie mogła przestać o niej myśleć i kiedy pastor odjechał, przeprosiła, wzięła Florence i poszła na górę do pokoju. Nie wiedziała, co powiedziałyby na to Francis, ale nie potrafiła uwierzyć, że za sprawą magicznych sztuczek szatana głowa świni, leżąca na półmisku pod przykryciem, zmieniła się w jakimś punkcie pomiędzy kuchnią a stołem w łeb kozła.

– Grace była dziwna przy kolacji – powiedziała Florence.

Beatrice siedziała przy toaletce i pisała w swoim dzienniku.

– Dziwna? Co masz na myśli?

– Nie chciała ze mną rozmawiać, tylko stale mnie ścisnęła. Tak mocno, że aż było mi niedobrze.

– Ciekawe, co się stało.

Florence podniosła z podłogi Minnie i wdrapała się na krzesło, przytulając lalkę. Od kiedy pojawił się No-no, nie okazywała jej już takiej czułości.

– Nie wiem. Ale kiedy zabrałam No-no do ogrodu na kupkę, ona tam była. Chyba płakała.

– Och... – wyrwało się Beatrice i przypomniała sobie, jak podczas przyjęcia George patrzył na dziewczynę i jak coś szeptał do Idy, zakrywając

usta ręką.

– Spytałam: „Płaczesz, Grace?”, ale ona wytarła oczy fartuchem i powiedziała, że nie.

– Muszę z nią porozmawiać, może ma jakieś zmartwienie albo źle się czuje – stwierdziła Beatrice.

– Kocham Grace – oświadczyła Florence. – Kocham Grace i No-no, i Minnie.

– A mnie?

Florence zeskoczyła z krzesła, podbiegła do matki i stanęła na palcach, żeby ją pocałować.

– Ciebie kocham najbardziej, mamó. I kocham swojego brata Noaha, i tatę w niebie.

Beatrice spojrzała na to, co właśnie napisała w dzienniku.

„Dobry Boże, modłę się, aby moje podejrzenia okazały się niesłuszne”.

• • •

Nie mogła spać. Przestało padać i musiało się wypogodzić, bo kiedy obróciła się na łóżku w stronę okna, zobaczyła gwiazdy. Tuż nad parapetem ujrzała świecącą jasno na południowym wschodzie gwiazdę Fomalhaut. Ojciec mówił jej, że nazywano ją Samotną Gwiazdą Jesieni.

Florence była pogrążona głęboko w krainie snów, z Minnie leżącą obok, choć lalka miała oczy szeroko otwarte i wpatrywała się prowokacyjnie w Beatrice, jakby chciała powiedzieć: „No dalej, miej odwagę sprawdzić swoje podejrzenia, wdowo Scarlet”.

Co dziwne, wciąż miała wrażenie, że czuje zapach przypalonej wieprzowiny, i to dość mocny. A przecież gdy wieczorem zdjęła sukienkę i halki, spryskała je wodą różaną z dodatkiem bergamotki, by przytłumić

woń, która do nich przyłgnęła. Ten zapach musiał więc docierać tu nadal z kuchni, choć pokój był tak wysoko.

Kiedy usłyszała, jak zegar na dole wybija pierwszą, wstała, podeszła do szafy i wyjęła długą białą podomkę. Serce jej waliło i choć wiedziała, co zamierza, nie czuła, że to naprawdę ona jest osobą, która to robi.

Wcieliła się w jakąś inną Beatrice, śmielszą i o wiele mniej rozsądną niż ta zwykła.

Cichutko otworzyła drzwi saloniku i wyszła na korytarz. W domu panowała cisza, było ciemno, ale ta odrobina księżycowego światła, która tu docierała, pozwalała jej widzieć, gdzie idzie. Odczekała chwilę, by upewnić się, że wszyscy śpią, a potem, bosy, zeszła na dół, trzymając się blisko wyłożonej drewnem ściany, żeby nie zaskrzypiała jakaś deska.

Zapach przypalonej wieprzowiny teraz już prawie zniknął. Może Martha mówiła prawdę i to był efekt podpiekania świńskiej głowy w wysokiej temperaturze, żeby uszy były chrupkie. Ale dlaczego pachniało tak, jakby się to zwęgliło? Beatrice pamiętała pożar domu przy Giltspur Street, gdzie mieszkała w dzieciństwie. W jednej sypialni zostało uwięzionych przez ogień troje dorosłych i piątka dzieci, a ona przechodziła tamtędy wkrótce po tym, jak zawaliło się pierwsze piętro i ich spopielone szczątki wpadły do mieszczącego się poniżej warsztatu rzemieślnika wytwarzającego świece. Nigdy nie zapomniała tamtego swądu, a ten był niemal identyczny.

Przeszła na palcach przez korytarz i ostrożnie uchyliła drzwi kuchni. Zawiasy skrzypnęły. Zatrzymała się, nasłuchując, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie usłyszał.

W kuchni było ciepło po gotowaniu w ciągu dnia, choć ogień w palenisku dawno wygasł i został tylko biały popiół, w którym jarzyło się ledwie kilka czerwonych iskierek. W odróżnieniu od żeliwnego pieca

w kuchni Beatrice w New Hampshire tutaj był otwarty ceglany piec, z wielkimi pękatymi garami wiszącymi na hakach do gotowania i z rusztem do pieczenia kawałków mięsa i drobiu na rożnie.

Obeszła stół kuchenny, by dojść do paleniska. Po tej stronie kuchni było tak ciemno, że mało co widziała, ale na półce obok książek kucharskich znalazła trzy świece i zapaliła jedną, nachylając się nad paleniskiem i przytykając knot do żarzącej się drobinki w popiele.

Kotły były jeszcze gorące, więc wzięła watowaną rękawicę, żeby unieść pokrywę i zajrzeć do środka. W garach nic nie zostało. Podobnie jak na ruszcie, poza kilkoma szerniałymi skrawkami mięsa, a to byłoby zbyt mało, żeby spowodować taki smród w całym domu.

Beatrice już miała zdjąć rękawicę, kiedy w popiele paleniska coś się przechyliło. Wzięła z żelaznego stojaka pogrzebacz i ostrożnie poruszyła popiół. Wyczuła coś pod nim, coś obłego i twardego. Pogrzebała jeszcze chwilę, aż wreszcie popiół się osypał i zobaczyła, co to jest. Świńska czaszka. Większość ryja i policzków się spaliła, a kość przypiekła na ciemny brąz. Wypełnione popiołem szczęki wyszczerzyły się na Beatrice, jakby kryły się tu specjalnie, by ją wystraszyć.

Odwiesiła pogrzebacz, zdjęła rękawicę i wyprostowała się, wpatrzona w czaszkę. A więc Martha kłamała. Ona albo któraś z dziewcząt ułożyła głowę kozła na półmisku tylko po to, żeby ją przerazić. Najwyraźniej zamierzały spalić głowę świni przez noc, a potem rozbić czaszkę na kawałki, by nie dało się jej rozpoznać – i w ten sposób Beatrice nigdy nie dowiedziałyby się, że chciały ją oszukać.

W pewien sposób poczuła ulgę, bo teraz zyskała pewność, że to nie szatan ją ostrzega. Ale jednocześnie ogarnął ją jeszcze większy niepokój, bo nie wiedziała już, komu ufać. Czy Ida była zamieszana w to przedstawienie, czy może ona również dała się zwieść? A co z George'em?

Jak mógł być tak szczodry i troskliwy, a przy tym tak niebezpieczny? Zadawała sobie pytanie, czy rzeczywiście jej groził, czy też ona po prostu wyciąga zbyt daleko idące wnioski z jego upartego twierdzenia, że te siedem dziewcząt przywołało szatana. Nawet pastor Parsons zgadzał się z nim, a był jednym z najsympatyczniejszych i najbardziej tolerancyjnych duchownych, jakich kiedykolwiek poznała, nawet jeśli był też najbardziej łakomy. Uważał, że każda młoda kobieta, która zeszła na złą drogę, zasługuje na drugą szansę, by uniknąć powieszenia czy zesłania, a w końcu i piekła. Bez jego inicjatywy i bez pieniędzy George'a schronisko Świętej Marii Magdaleny nigdy by nie powstało.

Beatrice zdmuchnęła świeczkę, odłożyła ją na półkę i wyslizgnęła się z kuchni, zamykając za sobą drzwi. Wróciła na górę tak, jak zeszła – trzymając się blisko ściany.

Kiedy kładła się do łóżka, Florence poruszyła się przez sen. Zamruczała śpiwnie: „Na popiół, popiół...”.

Beatrice leżała obok córki, nie śpiąc. Obserwowała Samotną Gwiazdę Jesieni, jak wędruje coraz wyżej i wreszcie znika za kopułą katedry Świętego Pawła.

## Rozdział 26

Następnego ranka przed śniadaniem Beatrice ubrała siebie i Florence w peleryny i kapturki i poszła z córeczką do siedziby głównej. No-no podreptał przy nich, w obróżce i na smyczy, którą zrobiła mu Judith ze starego skórzanego wysokiego buta. Znalazła go na ulicy i nie miała pojęcia, co stało się z drugim od pary ani też z ich właścicielem.

Beatrice zaprowadziła Florence do klasy Jamesa, gdzie uczył dzieci alfabetu za pomocą piosenki. *E jak Ewa i F jak fala, G jak góra i H jak hala!*

Przestał śpiewać, uśmiechnął się do niej i zawołał:

– Chwileczkę, klaso! Mamy dziś pięknego gościa!

Dwoje czy troje starszych dzieci zaczęło buczeć i cmokać znacząco, kiedy to powiedział, ale on, nie zwracając na to uwagi, podszedł do Beatrice i się skłonił.

– Witaj, Beatrice. Sprawiałaś mi cudowną niespodziankę.

– Dziękuję, James. Pochlebiasz mi. Muszę przygotować kilka toników w aptece i zastanawiałam się, czy mogłabym na trochę zostawić u ciebie Florrie. To nie powinno zająć mi zbyt wiele czasu.

– Florrie jest tu bardzo mile widziana – zapewnił ją James. – No-no również. Eustace, czy byłbyś tak dobry i przyniósł miseczkę wody dla tego małego przyjaciela?

Jeden z chłopców wstał i poszedł do kuchni. James spojrzał na Beatrice.

– Wydajesz się przygnębiona, wybacz, że to mówię. Coś cię martwi, prawda?

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać – powiedziała.

– O czym?

– Nie mogę mówić o tym teraz. Ale coś mnie gnębi, tak, i nie mam się komu zwierzyć poza tobą.

– No dobrze. Moja propozycja kolacji w Trzech Żurawiach jest nadal aktualna. Masz może czas dziś wieczorem?

– Chyba tak, o ile któraś z dziewcząt nie zachoruje na krztusiec albo nie spadnie ze schodów.

– Bardzo się cieszę. Przyjadę o szóstej wieczorem, jeśli to ci pasuje.

Przyniósł krzesło dla Florence, żeby mogła usiąść na przodzie klasy, z No-no obok siebie, a potem zaczął znów śpiewać piosenkę o alfabecie.

– *I jak igła, J jak Jan, K jak kuchnia i L jak las!*

Beatrice pomachała leciutko do Florence i poszła do apteki. Godfrey rozmawiał z jakąś starszą kobietą o rozwichrzonych białych włosach. Miała na sobie zakurzoną czarną pelerynę i trzęsła się tak, jakby siedziała na dworze podczas zimowej burzy. Była bezzębna i Beatrice, już wchodząc, poczuła jej zepsuty oddech. Spódnica staruszki była unurzana w końskich odchodach, co jeszcze bardziej potęgowało smród.

– Ach, Beatrice! – powitał ją Godfrey. – Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić? Udało ci się dostać tę troję u Collina?

– Chciałam zapytać, czy użyczyłbyś mi swojego sprzętu, żebym mogła przetestować pewną próbkę.

– Ależ oczywiście. Tylko że jeszcze przez chwilę będę zajęty tą nieszczęsną kobietą. Jak widzisz, cierpi na silne drgawki. Zaleciłem nacieranie ciepłym popiołem i brandy, a potem lewatywę z dymu tytoniowego. Nasza pielęgniarka wykona zabiegi i jeśli szczęście dopisze, z pomocą boską, powinno się biedaczce poprawić.

– Dziękuję, Godfrey – powiedziała Beatrice.

Powiesiła płaszcz i podeszła do blatu w pracowni. Zapaliła lampę na olej z wieloryba, której Godfrey używał do podgrzewania chemikaliów, po

czym wzięła z półki dużą kolbę i kilka szklanych rurek w kształcie podkowy, a także naczynie ceramiczne.

Czuła lekkie wyrzuty sumienia, że czeka, aż Godfrey odwróci się plecami, by wyjąć chusteczkę i starannie wytrzeć do naczynia kosmyki odcięte z brody kozła. Była pewna, że Godfrey nie brał udziału w spisku, by ją wystraszyć, ale uznała, że lepiej nie mówić mu, co testuje.

Najpierw uniosła naczynie i powąchała sierść. Miała bardzo wyczulony węch i ojciec często ją prosił, by powąchała jakąś próbkę, którą poddawał analizie, bo sam nic nie czuł. Teraz nie wychwyciła zapachu terpentyny, jak się spodziewała, ale kiedy zamknęła oczy, przez chwilę wstrzymała oddech i powąchała po raz drugi, była już pewna, że wyczuwa leciutką woń migdałów.

Wrzuciła sierść do kolby, dodała łyżkę sproszkowanego cynku i miarę kwasu siarkowego i lekko potrząsnęła. A potem zatkała kolbę i podłączyła ją do rurki w kształcie podkowy. Po zaledwie kilku sekundach poczuła czosnkowaty gaz, zapaliła więc opary z rurki i pottrzymała zimne naczynko ceramiczne nad płomieniem. W niespełną minutę na naczyniu osiadł srebrzystoczarny nalot.

– Wszystko dobrze? – spytał Godfrey. Skończył nabijać tytoniem fajkę z długim cybuchem, którą pielęgniarka miała wetknąć w odbył drżącej pacjentki. – Co dokładnie testujesz?

– Antymon – odparła, modląc się, by Bóg wybaczył jej i to kłamstwo.

– Aha! Pewnie chcesz zrobić proszek antymonowy do malowania oczu dziewczynom, tak? – powiedział Godfrey.

To było trafne spostrzeżenie, bo od czasów Kleopatry kobiety używały tego pierwiastka do przyciemniania powiek, a kiedy się go testowało, zostawiał ciemne plamy, tak jak arsen.



– Raczej nic tak frywolnego. – Beatrice zmusiła się do uśmiechu. – Zamierzam tylko sporządzić środek przeczyszczający.

Często dodawała do toników antymonu, bo powodował poty, torsje i biegunkę. Był środkiem drastycznym, ponieważ antymon jest trucizną, ale mniej brutalnym niż upuszczanie krwi.

Zdmuchnęła płomień w lampie, po czym rozmontowała kolbę i rurkę i umyła je, żeby nie pozostało ani śladu sierści kozła. Naczynie ceramiczne zawinęła w chusteczkę i kiedy Godfrey znów się odwrócił, wrzuciła je do torebki. Sam w sobie srebrzystoczarny nalot niczego nie dowodził, ale razem z innymi próbkami mógł stanowić solidny dowód.

Przede wszystkim jednak potwierdzało to jej podejrzenia co do głowy kozła. Gaz, który powstał z włosów brody, był arsenowodorem, który, palony, utleniał się i zmieniał w wodę i arsen. Ten pierwiastek był powszechnie stosowany przez właścicieli zakładów pogrzebowych do balsamowania ciał zmarłych, żeby można je było pokazać pogrążonym w żałobie bliskim, którzy często musieli podróżować wiele dni, by pożegnać zmarłego. Używali go też chirurdzy, aby utrzymywać ciała w odpowiednim stanie do czasu przeprowadzenia sekcji.

Szatan ze swoimi nadnaturalnymi mocami nie potrzebowałby tego środka.

• • •

Wracały piechotą do Maidenhead Court. Florence podskakiwała, wyśpiewując piosenkę o alfabecie.

– Co będziesz dziś robić, Florrie? – zapytała Beatrice. – Jeśli chcesz, możesz przyjść i dołączyć do mojej klasy rysunku po południu.

– Grace zabierze mnie i No-no na spacer i kupi nam ciastka.

– To bardzo miło z jej strony. Dam jej pieniądze na te ciastka.

– Kocham Grace. Też chciałabym być brązowa. Mogłybyśmy być wtedy siostrami.

– Kolor skóry nie ma znaczenia, Florrie – powiedziała Beatrice. – Możecie być siostrami w głębi duszy, nawet jeśli zewnętrznie nie jesteście podobne.

– Myślisz, że tata w niebie lubi Grace?

– Jestem pewna, że kocha ją tak samo mocno jak ty – odparła Beatrice, choć serce się jej ścisnęło ze smutku, bo nadal podejrzewała, że to nie Francis jest ojcem Florence.

Wiedziała, że nie powinna się tym martwić, bo Florence była darem Boga, ktokolwiek ją spłodził, ale żałowała, że nie ma żadnego testu naukowego, który mógłby rozwiać wątpliwości co do ojcostwa.

Kiedy dotarły do schroniska Świętej Marii Magdaleny, zapukała do drzwi. Otworzyła jej Judith. Zdjęły płaszcze i Florence pobiegła do kuchni szukać Grace, a Beatrice poszła do atelier, by przygotować ramki do robótek i kolorowe jedwabne kordonki potrzebne dziewczętom do lekcji wyszywania krzyżykami, którą miała poprowadzić z nimi po śniadaniu.

Nadal otwierała i zamykała szuflady w szafce z przyborami do szycia, kiedy pojawiła się Florence z żalną miną.

– Nie mogę znaleźć Grace.

– Pewnie wyszła na zakupy – powiedziała Beatrice.

– Pytałam Molly, ale mówi, że Grace nie ma.

– Nie mogła wyjść na długo, Florrie. Wróci na śniadanie. Może spytaj Marthę, czy jej w czymś pomóc w kuchni?

Kiedy przygotowała wszystko do lekcji szycia, poszła do salonu, gdzie przy małym orzechowym sekretarzyku siedziała sztywno Ida i pisała list. Tego dnia była ubrana w szpinakowozieloną jedwabną sukienkę, a jej twarz

zdawała się bielsza niż kiedykolwiek dotąd. Gdyby jej pióro nie ruszało się przy pisaniu, ktoś mógłby pomyśleć, że Ida nie żyje.

– O, Beatrice, moja droga. Jak sprawy? Czy Eliza wraca do zdrowia?

– Zaraz do niej zajrzę – odparła Beatrice. – Florence szukała Grace. Wysłałaś ją na zakupy?

Ida przerwała pisanie, ale nie odwróciła się do niej.

– Grace odeszła – powiedziała.

– O, tak niespodziewanie? Biedna Florence, będzie taka zawiedziona! Grace obiecała zabrać ją dziś na spacer i kupić jej ciastka.

– No cóż, jak dobrze wiesz, życie przybiera czasami zaskakujący obrót.

– A dokąd odeszła?

– Do znacznie lepszego życia, mam nadzieję. George zabrał ją do swojej fabryki tytoniu. Od jakiegoś czasu chciał ją zatrudnić, bo sądzi, że ciemnoskóre kobiety mają wrodzoną zdolność do zwijania cygar. W końcu to z Barbadosu pochodził tytoń, nim całe tamtejsze ziemie zmieniono w plantacje trzciny cukrowej.

– Grace miała siedem lat, kiedy znalazła się w Anglii. Nie wyobrażam sobie, żeby w tak młodym wieku mogła mieć jakieś doświadczenia w zwijaniu cygar.

Ida wydeła pomalowane na jaskrawoczerwono usta.

– Nie kryję, przykro mi, że ją straciłam. To urocza dziewczyna, bardzo pracowita, i to nie była jej wina, że wpadła w złe towarzystwo. Ale... to George Hazzard rozdaje karty. Jeśli czegoś chce, musi to dostać.

– Nie mów jeszcze Florence, Ido, bardzo cię proszę. Powiem jej sama po śniadaniu. Jeśli się dowie, na pewno będzie zbyt zmartwiona, żeby cokolwiek zjeść, a potrzebuje siły.

– Oczywiście – rzuciła Ida.

Patrzyła na swoją dłoń trzymającą pióro, jakby zapomniała, jak się pisze. Beatrice czuła, że Ida jest bardziej poruszona tym, że George Hazzard zabrał Grace, niż chciałaby to przyznać. Beatrice mogła wypytywać ją dalej, ale stwierdziła, że mądrzej będzie nic już nie mówić, przynajmniej na razie.

– Pójdę na górę podać Elizie jeszcze trochę toniku – powiedziała. – Do zobaczenia przy śniadaniu.

– Tak – wybąkała Ida.

Beatrice nigdy nie słyszała, by „tak” brzmiało smętniej.

## Rozdział 27

Zanim poszła na górę, zajrzała, co robi Florence w kuchni. Dziewczynka klęczała na krześle. Miała zawiązany duży fartuch i z policzkami ubrudzonymi mąką wałkowała ciasto. Kucharka Martha stała przy palenisku, mieszając owsiankę. Kiedy Beatrice weszła, Martha spojrzała na nią świdrującym wzrokiem, ale zaraz znów odwróciła się plecami.

Podaaś nam głowę kozła, Martho, pomyślała Beatrice. I to ty spaliłaś świńską głowę w palenisku, żeby zatrzeć ślady tego, co zrobiłaś.

– Dowiedziałaś się już, gdzie jest Grace? – spytała Florence.

– Jeszcze nie. Muszę najpierw podać lekarstwo Elizie.

– Pewnie poszła kupić bekon. Martha mówi, że skończył jej się bekon, bo dziewczyny są strasznie łakome. Powiedziała, że to żarłoczne świnię!

– No tak... może Grace poszła po zakupy – rzuciła Beatrice i znów uświadomiła sobie, że dopuszcza się białego kłamstwa.

Co to jest, że w schronisku Świętej Marii Magdaleny zrobiła się taka nieszczera?

Pocałowała Florence w czubek głowy, po czym ruszyła schodami do małego pokoju Elizy na tyłach domu. Zapukała, ale nie było odpowiedzi. Pewnie dziewczyna zasnęła. Jednak kiedy weszła, zobaczyła, że łóżko jest puste. Prześcieradła były zmięte, skręcone niczym lina, pokój przesycony zapachem skwaśniałego potu, ale Eliza znikła.

Beatrice wyszła na korytarz. Właśnie jakieś trzy rozchichotane dziewczyny zmierzały na dół.

– Dzień dobry, wdowo Scarlet! – zawołały chórem.

– Dzień dobry. Nie widziałyście Elizy?

– Jakiej Elizy? – spytała Hettie, niska piersiasta dziewczyna o bujnych jasnych włosach, która już zaprzyjaźniła się z Florence, ucząc ją skocznej wersji tańca giga.

– Tej dziewczyny, którą wczoraj przyprowadziłam. Kaszlała strasznie, więc ulokowałyśmy ją w tym pokoju, żeby któraś z was się nie zaraziła.

Dziewczyny pokręciły pełnymi loków głowami.

– Nie – odparła Hettie. – Nie widziałam jej. Ale na górze na pewno jej nie ma, słowo.

Ruszyły na dół, a Beatrice wciąż stała na piętrze, zastanawiając się, gdzie, na Boga, mogła się podziać Eliza. Może uznała, że woli wrócić do prostytucji, i ukradkiem wymknęła się ze schroniska? Beatrice wcale nie byłaby zaskoczona. Nawet jeśli dziewczyna od tej pory prowadziła się bogobojnie i moralnie, prawdopodobnie umrze, zanim skończy trzydzieści pięć lat, jak większość kobiet. Czemu miałyby nie nacieszyć się tą resztką życia, jaka jej pozostała?

Już miała zejść na dół, gdy z pokoju Elizy dobiegł ją kaszel. Wróciła tam i stanęła nieruchomo, nasłuchując. Po chwili znów usłyszała kaszel i świszczący oddech. Uniosła spódnicę i uklękła przy łóżku. Eliza leżała pod nim. Patrzyła na Beatrice wielkimi oczami, jak osaczony królik.

– Elizo, co ty, na Boga, robisz pod łóżkiem? – spytała Beatrice.

– Nie chcę, żeby mnie zabrał.

– O kim mówisz?

– O nim. O tym George’u Hazzardzie. Jest tu jeszcze czy już sobie poszedł?

– Poszedł, Elizo. Możesz wyjść. Z takim zapaleniem dróg oddechowych nie powinnaś leżeć pod łóżkiem. Za dużo tam kurzu.

Eliza wyczołgała się spod łóżka i wstała. Cała się trzęsła. Beatrice poprawiła jej pościel, spulchniła poduszki.

– Gotowe – powiedziała. – Wracaj do łóżka. Dam ci jeszcze toniku i poproszę, żeby Martha zagrzała ci trochę mleka z miodem.

Eliza wdrapała się na łóżko, nadal kaszląc.

Beatrice przysiadła obok niej.

– Znasz George’a Hazzarda?

Eliza skinęła głową.

– Skąd? I dlaczego chowałaś się przed nim?

– To on zabrał mnie do domu Lady Sheridan.

– Wybacz, Elizo. Od dłuższego czasu nie było mnie w Londynie. Kim jest Lady Sheridan?

– Prowadzi lupanar na Drury Lane, przy Theatre Royal. No... nie taki zwyczajny lupanar. Sami książęta, jaśniepanowie, różne eleganciki.

– I to George Hazzard cię tam zaprowadził? Jak to było?

– Stałam na rogu Houndsditch i sprzedawałam poduszeczki do szpilek, które robi moja ciotka, a tu zatrzymuje się taki żółty powóz i wysiada z niego George Hazzard, i mówi, że prawdziwa ze mnie ślicznotka i że może mam ochotę przejechać się i trochę zabawić.

– I zgodziłaś się?

– No jasne. Było mi zimno, przemokłam do suchej nitki, bo padało, i nie miałam pieniędzy. Zabrał mnie do powozu i zawiózł na Drury Lane, do pani Sheridan. Nigdy nie widziałam takiego domu, w życiu. Dywany, napalone w kominkach, dziewczyny w pięknych sukniach, a każda pachniała jak kosz kwiatów.

Znów chwycił ją atak kaszlu. Beatrice czekała cierpliwie, aż dziewczyna zdoła złapać oddech. Pomyślała, że sporządzi pigułkę z róży i sproszkowanego kadzidla, żeby Eliza ją połknęła, a wieczorem pomasuje jej brzuch olejem ze słodkich migdałów i syropem z fiołków zmieszonym

z woskiem świecy, szafranem i gałką muszkatołową. To powinno ułatwić jej oddychanie.

– I co się stało, kiedy tam trafiłaś? – spytała Beatrice.

Eliza nabrała powietrza.

– Dwie dziewczyny mnie wykąpały, natarły mnie pomarańczowymi perfumami i dały ładną koronkową suknię. Zakręciły mi włosy, przewiązały je wstążkami i nałożyły róż na policzki. Kiedy zobaczyłam się w lustrze, nie mogłam uwierzyć, że to ja.

– Musiałaś pomyśleć, że znalazłaś się w niebie – powiedziała Beatrice.

– Tak. Właśnie tak pomyślałam. Zabrały mnie na dół do kuchni, te dwie dziewczyny, dały mi zupę i chleb, i jabłko, a potem zostawiły mnie przed kominkiem, żebym się zdrzemnęła.

– Mówiły, dlaczego są dla ciebie takie miłe?

Eliza pokręciła głową.

– Sądziłam, że robią to z dobroci serca. Tak jak to czasem ktoś da ci miedziaka na ulicy za nic, tak tylko, bo mu ciebie żal.

– Ale, rzecz jasna, oczekiwały czegoś w zamian?

Eliza popatrzyła Beatrice w oczy, a ona widziała, że choć dziewczyna jest taka młoda, jej spojrzenie wcale nie jest niewinne.

– No i zasnęłam przed tym ogniem, no nie? A jak się obudziłam, mówię, że muszę wracać do ciotki. Ale pani Sheridan na to, że nie. O nie, kochaniutka, zostaniesz tu na noc, jest tu jeden dżentelmen, który ma upodobanie do takich młodych dziewcząt jak ty.

– Ile miałaś wtedy lat? – spytała Beatrice.

– Dwanaście. To było sześć dni po moich urodzinach.

Beatrice wzięła ją za rękę.



– Nie musisz opowiadać mi dalej. Wyobrażam sobie, jakie musiało to być dla ciebie straszne.

– Bolało, tak – przyznała Eliza. – Zrobił mi to od przodu i od tyłu. Trzy razy tej nocy. Ale widziałam, jak robiła to ciotka ze swoim gachem, więc chwyciłam, o co chodzi. I on był dla mnie bardzo dobry. Powtarzał, jaka jestem ładna, jak mały aniołek, i dał mi szylinga i kieliszek wina.

– I co się stało później? Wróciłaś do domu czy zostałaś tam?

– Zostałam. Pani Sheridan mówiła, że jestem maszynką do zarabiania pieniędzy. Dbała o mnie, kupowała mi ładne ubrania. Każdej nocy był inny dżentelmen, dla którego musiałam być miła, a czasami nawet dwóch, trzech, a ja miałam pozwalać im robić wszystko, co chcieli, ale szybko przywykłam. Tylko jedno przykazała mi pani Sheridan, pod karą chłosty: żebym każdemu panu mówiła, że moja pipka nie została jeszcze przerwana, że nigdy wcześniej nie byłam z żadnym mężczyzną.

– Jak długo tam zostałaś, u tej pani Sheridan?

– Nie wiem. George Hazzard zabrał mnie tam we wrześniu, a na święta Bożego Narodzenia dalej tam byłam, i w Nowy Rok, i przynajmniej do wiosny. Ale straciłam rachubę. Tak to bywa, nie? Jeden dzień jest podobny do drugiego, każdy dżentelmen taki jak inni. Jak jest ich już ze stu, to przestaje się liczyć, prawda? I nie obchodzi cię, co oni z tobą robią. Niektórzy lubią sikać ci w gębę, ale kto by się przejmował.

– Często widywałaś u pani Sheridan George’a Hazzarda?

– O tak, jasne. Stale tam bywał. Wpadał i wypadał, przyprowadzał nowe dziewczyny.

– Czy kiedyś spędził tam noc?

– Nie. Ja nigdy go w nocy nie widziałam.

– Czy ciotka wiedziała, gdzie jesteś?

– Jasne. Pani Sheridan wysłała chłopaka z wiadomością. I ciotka kazała mi przekazać, że to świetnie.

– Kiedy odeszłaś?

– Jak mówię, nie wiem, jaki to był dzień czy miesiąc, ale pewnie wiosna, bo drzewa kwitły. Do tamtej pory słyszało się po nocy tylko śmiechy i jęki dziewczyn: och, och, oooch! Udawały, że niby im tak dobrze. Ale któregoś razu usłyszałam, jak trzy czy cztery drą się, jakby przyszedł do nich sam diabeł. A potem nagle przestały wrzeszczeć. Spytałam rano panią Sheridan, co to się działo, ale nie chciała powiedzieć. Kazała mi pilnować własnego nosa.

– Czy w końcu odkryłaś, co to były za krzyki?

– Nie. A moja najlepsza przyjaciółka tam, Juliet, ostrzegła mnie, żeby nigdy więcej o to nie pytać i że lepiej zatkać palcami uszy, jak znów coś takiego usłyszę. Ale dwie noce później to się powtórzyło. Straszne krzyki i wrzaski. Dżentelmen, który był ze mną w łóżku, też to słyszał, ale nic nie powiedział. Tak naprawdę tylko zrobił się znów twardy jak pałka konstabla i zaczął mnie ujeżdżać, jakby pędził do Stepney i z powrotem.

– I dalej nie mogłaś dowiedzieć się, kto krzyczał i dlaczego?

Eliza znowu pokręciła głową i zakaszła.

– Wiem tylko, że rano nigdzie nie było Juliet, a kiedy o nią pytałam, nikt nic nie mówił. Jedna dziewczyna podniosła palec do ust, jakby to był jakiś sekret. I wtedy zdecydowałam się uciec. Wszystko jedno, skąd brały się te krzyki, ale wyglądało to, jakby tam był sam szatan, i miałam dość.

– Jak uciekłaś?

– Frontowe drzwi zawsze były zamknięte, więc wdrapałam się do okienka na tyłach domu i wyskoczyłam, a potem biegłam, nie zatrzymując się, póki nie znalazłam się na podwórku przy Black Horse Yard.

– I od tej pory sprzedawałaś swoje wdzięki na ulicy?

– A co innego mogłabym robić? Moja pipka miała się dobrze i naprawdę była otwarta, a na sprzedawaniu tamtych poduszczek do szpilek prawie nie dało się zarobić. W niektóre dni szło ze mną i dwóch palantów, co to lubią hazard, i jak się im powiodło, zawsze dawali mi sporą część wygranej.

Beatrice uśmiechnęła się.

– Przyniosę ci jeszcze toniku – powiedziała. – Jeśli pomoże i przestaniesz kaszleć, będziesz mogła pójść na dół i zjeść śniadanie z resztą dziewczyn.

– Czy George Hazzard często tu przyjeżdża? – spytała z niepokojem Eliza.

– Mniej więcej raz w tygodniu. Nie mieszkam tu na tyle długo, żeby powiedzieć ci dokładnie. Jest głównym dobroczyńcą tej placówki, choć są i inni.

– Jak przyjedzie, proszę nie mówić mu, że tu jestem, dobrze? Nie chcę wrócić do Ledy Sheridan, nigdy w życiu.

– Oczywiście, że nie powiem mu o tobie, Elizo. Zresztą wątpię, by cię pamiętał.

– Może tak, a może nie, wolę nie ryzykować. Nie mam pojęcia, co się tam wyprawia u Ledy Sheridan, i ani myślę sprawdzać.

– Nie denerwuj się. Tamten świat jest już za tobą. Nie musisz do niego wracać. Poślemy dziś kogoś do twojej ciotki z informacją, gdzie się znajdujesz i że jesteś bezpieczna. Jeśli ucieszyło ją, że trafiłaś do Ledy Sheridan, na pewno nie zmartwi jej, że zamieszkałaś tutaj.

## Rozdział 28

Kiedy tylko zegar w holu wybił szóstą, Beatrice usłyszała, jak James puka do drzwi frontowych. Wpuściła go Judith, a on z uśmiechem wszedł do salonu. Miał na sobie ten sam ciemnobrązowy płaszcz co wtedy, gdy zabrał Beatrice i Florence do Ranelagh Gardens, i tę samą beżową kamizelkę i spodnie. Na jego lewym policzku widać było małe skaleczenie – najwyraźniej zaciął się brzytwą przy goleniu – i pachniał mocno piżmowymi perfumami.

Beatrice siedziała z Idą przy kominku przy jakichś robótkach. Ubrała się w błękitną suknię, którą uszyto dla niej w Sutton na wizytę gubernatora New Hampshire, Benninga Wentwortha. Włosy związała jasnoniebieskimi jedwabnymi wstążkami. Jej perfumy to była woda różana. Na szyi zawiesiła sobie srebrny wisiołek z pachnidłem, bo mieli iść ulicami, na których śmierdziały ścieki.

– Dobry wieczór, Beatrice. – James się uklonił. – Nawet w ośrodku Foundling Hospital nie ma obrazu, który mógłby się z tobą równać.

Beatrice popatrzyła na Idę, a Ida uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Jesteś niepoprawnym pochlebcą, James – powiedziała Beatrice. – Zaczekaj, proszę, pójdę po płaszcz i kapelusz.

Wieczór był chłodny, ale pogodny, i kiedy wychodzili ze schroniska Świętej Marii Magdaleny, Beatrice widziała księżyc nad katedrą Świętego Pawła. Choć do Trzech Żurawi w Vintry nie było daleko – wystarczyło przejść Cheapside do New Queen Street, nad rzeką – James wezwał powóz, który czekał na nich na zewnątrz.

Powóz, turkoczając i kolebiąc się, pojechał przez ciemne ulice, a James położył rękę na jej dłoni. Beatrice nie zaprotestowała. Potrzebowała kogoś

takiego jak on nie tylko dlatego, że był wykształcony i męski, ale też dlatego, że nie miała nikogo innego, komu mogłaby się zwierzyć.

Kiedy wysiadła z powozu, usłyszała ochryple śmiechy i krzyki dochodzące z tawerny. James zapłacił woźnicy i wziął ją za rękę.

– Wydaje się, że straszny tam gwar, ale usiadzimy w bocznej salce, gdzie bywają damy. Nie będziemy dusić się w dymie z fajek i słuchać tych grubiańskich wrzasków.

Popchnął drzwi i weszli do środka. Główna sala była zadymiona i pełna ludzi. Ponad siedemdziesięciu, osiemdziesięciu mężczyzn piło, gawędziło wesoło i śmiało się na całe gardło. Barmanka poprowadziła Jamesa i Beatrice do niewielkiego, wyłożonego dębowym drewnem osobnego pomieszczenia. Stało tu pięć stolików. W kominku płonął ogień. Siedziały tu tylko dwie pary: młody mężczyzna z żoną i o wiele starszy człowiek – w okularach, co najmniej pięćdziesięcioletni, z przekrzywioną peruką na głowie i w znoszonym surducie – z piersiastą kobietą o zgrzytliwym głosie, która najwyraźniej była jego siostrą.

James zamówił dwa kieliszki portugalskiego wina. Do jedzenia oboje wybrali piezzonego świstuna z pasternakiem, karczochami, kapustą i piezonymi ziemniakami. Kiedy dziewczyna przyjęła zamówienie, James uniósł kieliszek w toaście.

– I tak oto, Beatrice, nareszcie jesteśmy sami.

– To wino jest wspaniałe – powiedziała. – Ostatnie, jakie piłam, było komunijne. Podawaliśmy je parafianom w New Hampshire. Było tak kwaśne, że żałowałam, że przeistoczenie nie dokonało się naprawdę i nie jest to krew Chrystusa.

– No, w końcu jesteśmy przecież w Vintry Ward, gdzie mieszkają handlarze winem – stwierdził James.

Beatrice przez chwilę milczała, patrząc na niego. W jego oczach tańczyło światło płomieni. Zastanawiała się, czy uznać to za romantyczne, czy też czai się w tym jakieś ostrzeżenie. Wijące się brązowe włosy sprawiały, że wyglądał jak poeta albo malarz, albo kulturalny pirat.

– Mam mętlik w głowie – oznajmiła wreszcie.

James nie odezwał się. Czekał, co powie dalej.

– Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że tych siedmiu dziewcząt nie opętał szatan, nie zmieniły się w czarownice i nie odleciały. Właściwie jestem już tego pewna.

– No dobrze. Ale co takiego cię o tym przekonało? Myślałem, że zgadzasz się, że szatan jest równie realny jak Pan Bóg.

– W to wierzę. Ale nie wierzę, że miał coś wspólnego ze zniknięciem tych dziewczyn.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, co ryzykujesz. Następnym razem to może nie być już mężczyzna z lustrzaną twarzą albo jakaś bestia drapiąca do twoich drzwi, tylko będzie to ktoś albo coś o wiele groźniejszego. Strasznie się martwię, Beatrice, że naprawdę stanie ci się jakaś krzywda.

– Miałam już kolejne ostrzeżenie – odparła i opowiedziała mu o głowie kozła podanej podczas obiadu.

– No widzisz – skwitował James, jakby to ostatecznie przesądzało sprawę. – Jakim cudem głowa kozła mogłaby pojawić się na tym półmisku, gdyby nie podłożył jej sam szatan?

– Bardzo prosto. Kucharka Martha ją tam położyła, a głowę świni wrzuciła do ognia w palenisku. Zeszłam w nocy i znalazłam ją tam, spaloną do kości.

– Ale nie widziałaś, jak Martha to robi, prawda? Mógł to zrobić szatan.

– Och, daj spokój, James! Szatan sprawiłby, że głowa świni by znikła. Cisnąłby ją na środek Atlantyku albo wysłał na księżyc, gdzie nigdy bym

jej nie znalazła. Nie musiałyby spopielać jej w kuchni. Ale, co więcej, wzięłam próbkę z brody kozła i poddałam ją testowi w laboratorium Godfrey'a.

– I co z tego wynikło?

– Głowa kozła prawie na pewno została zakonserwowana arsenem, żeby się nie zepsuła. I znów: szatan nie potrzebowałby takich sposobów.

– Ależ, Beatrice, przecież on mógł zmienić tę twoją próbkę, żeby wykazywała ślady arsenu, nawet jeśli tak naprawdę wcale go tam nie było.

– Po co by to robił?

– Nie wiem. Może po to, żeby cię skompromitować. Albo zmylić. Sama mówisz, że masz mętlik w głowie.

Barmanka przyniosła ich talerze z pieczonym świstunem i na osobnych półmiskach warzywa. Mięso było błyszczące i brązowe, jak polakierowane. Pachniało miodem, sherry i musztardą. Beatrice żałowała tylko, że nie ma specjalnie apetytu.

Biła się z myślami, czy mówić Jamesowi o Elizie i o tym, co ta dziewczyna powiedziała jej o George'u Hazzardzie – jak to zabrał ją z ulicy i zawiózł do burdelu Ledy Sheridan, ale zdecydowała, że nie. Obiecała Elizie, że utrzyma jej przeszłość w tajemnicy i że zrobi wszystko, by George Hazzard nie dowiedział się, gdzie ona jest. Poza tym nie była pewna, jak dobrze James zna George'a i czy nie zdradzi mu, niechcący lub z rozmysłem, że Elizę zaopiekowano się w schronisku Świętej Marii Magdaleny.

– Ależ ty się wymądrzasz! – wybuchnęła nagle piersiasta kobieta siedząca przy stoliku obok. Nachyliła się, tak że jej obfity biust położył się niemal na talerzu z do połowy zjedzonym karpiem i kapustą, i mówiła dalej, plując drobinkami ryby w twarz brata. – Nie masz za grosz rozumu czy co? Ty zakuty łbie, ty ptasi mózdzku! Ty kretynie!

– Przepraszam za to. – James uśmiechnął się. – Zwykle w tej salce jest cicho i kulturalnie.

Po tym wybuchu sąsiadki Beatrice i James nie rozmawiali już o szatanie ani o sabacie. Skupili się na życiu Beatrice w Ameryce, sztuce i najnowszych przedstawieniach w teatrze Henry’ego Gifforda i Theatre Royal.

James opowiedział jej, jak kiedy ostatnim razem był w Little Theatre, do loży weszły cztery damy w tak fantastycznych kapeluszach, że cała widownia zaczęła pękać ze śmiechu, aż w końcu te panie pospiesznie wyszły.

Beatrice zdołała zjeść większość piersi świstuna i trochę karczochów i wypić drugi kieliszek wina. Zakończyli kolację kremem pomarańczowym, którego porcję wzięli na spółkę.

Wyszli z tawerny i trzymając się za ręce, ruszyli New Queen Street do schodów Trzech Żurawi. Rzeka szybko przybierała z przypływem, woda była czarna i w wartkich falach odbijał się tylko księżyc i nieliczne latarnie. Stały tu trzy drewniane żurawie. Zbudowano je, by podnosić beczki wina z barek zacumowanych przy schodach, ale dla Beatrice wyglądały niczym katapulty z jakiejś średniowiecznej wojny.

Dłuższą chwilę stali w milczeniu nad brzegiem.

– Wiesz, że ja tylko chcę cię chronić – odezwał się wreszcie James.

– Przed czym? Przed szatanem?

– Jeśli to szatan cię ostrzegł, to tak.

– A jeśli to nie on?

– To przed kimkolwiek, kto to jest. Chcę cię chronić. Beatrice, proszę... nie, więcej... błagam, zapomnij o tych siedmiu dziewczynach. Gdziekolwiek są, nie ma ich tutaj i nic, co zrobisz albo powiesz, nie sprowadzi ich już z powrotem.



– Wiesz coś, czego mi nie mówisz? – spytała.

Podniosła na niego wzrok i popatrzyła w jego błyszczące w ciemności oczy.

– Wiem, że kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, poczułem się jak rażony piorunem. Tak bardzo przypominałaś mi moją biedną Sophie, którą straciłem. Ale teraz widzę już tylko ciebie, ciebie samą, i przyznam otwarcie, że zakochuję się w tobie, Beatrice. Jesteś taka piękna, urocza, pełna charakteru, dzielna. W pełni rozumiem, że nadal bolejesz nad śmiercią męża, podobnie jak ja opłakuję Sophie. Ale z każdą minutą, każdego dnia moje uczucie do ciebie rośnie i jeśli zdołałbym pomóc ci posklejać twoje złamane serce, to na pewno i moje zostałyby uleczone.

Beatrice położyła mu dłoń na ramieniu, wspięła się lekko na palce i pocałowała go w policzek.

– Zobaczymy – szepnęła.

Ruszyli z powrotem New Queen Street, żeby złapać powóz na rogu Thames Street. Jednak po kilku krokach Beatrice potknęła się o coś, co zagrzechotało. Gdyby James nie trzymał jej za rękę, pewnie by upadła.

Nachylił się i podniósł tę rzecz, by obejrzeć ją w świetle padającym z okien tawerny. Był to żelazny pręt długości trzydziestu kilku centymetrów, z trzema wygiętymi zębami na końcu.

– To hak – oznajmił i cisnął go na bok, a pręt potoczył się z brzękiem po bruku. – Robotnicy portowi używają ich do podnoszenia beczek. Zawsze rzucają je potem byle gdzie. Nie skaleczyłaś się, co?

– Nie – odparła. – Ale lepiej już wracajmy. Rano muszę wcześniej wstać.

James ujął jej obie dłonie.

– Pomyślisz o tym, co powiedziałem, dobrze? Żeby się nie narażać... no i o mnie, o tym, co do ciebie czuję.

– Oczywiście – zapewniła go. – I dziękuję ci za ten wieczór. Dzięki tobie znów poczułam się kobietą, a nie tylko wdową, matką i aptekarką, i kimś, komu wypłakują się na ramieniu zrozpaczone dziewczęta.

## Rozdział 29

Następnego dnia Beatrice miała kilka godzin wolnego, za co była wdzięczna losowi, bo nie nawykła pić tyle alkoholu, a po wczorajszym portugalskim winie dokuczał jej ból głowy. Rano miała przyjść Hephzibah Carmen, by poprowadzić lekcję śpiewu, jak to robiła dwa razy w tygodniu. A po południu dziewczęta wybierały się do Bethlem, szpitala dla obłąkanych.

Pastor Parsons wierzył, że jeśli zobaczą na własne oczy, do jakiego szaleństwa mogą przywieść choroby weneryczne, umocni je to w zamiarze, by podążać prostą i wąską ścieżką ku nawróceniu.

Beatrice nie miała apetytu i zjadła tylko miseczkę owsianki. Nie potrafiła się powstrzymać i uporczywie wpatrywała się w Marthę. Bez uśmiechu. Chciała, żeby kucharka poczuła się skrępowana, by odgadła, że Beatrice nie wierzy w jej historyjkę o świńskiej głowie i że ona tak tego nie zostawi. Wiedziała, że to mściwe tak się na nią gapić, ale zrobiła się mściwa po tym drapaniu do jej drzwi, groźbach mężczyzny o lustrzanej twarzy i tej makabrze z łbem kozła. Szczególnie że strasznie bolała ją głowa.

Za każdym razem, gdy Martha odwracała się od paleniska i widziała, że Beatrice nie spuszcza z niej oczu, szybko odwracała wzrok i skupiała się na mieszaniu bulionu w garnku zawieszonym nad ogniem albo na siekaniu cebuli i marchewki.

– Skończyłam! – zawołała Florence i wrzuciła łyżkę do pustej miseczki.

Zjadła dwa razy tyle co Beatrice, choć trzeba przyznać, że pomagała jej Minnie, lalka, która teraz miała usta, brodę i cały przód szarej sukienki poplamione owsianką.

– Szkoda, że nie ma Grace – jęknęła dziewczynka żałośnie, patrząc, jak matka wyciera buzię Minnie.

– Posłuchaj, Florrie, nie prowadzę dziś żadnych lekcji, jest taki ładny dzień, może przejdziemy się do Hackney, żeby ją odwiedzić?

– No-no też może pójść?

– Oczywiście. Zabierzemy go na spacer wzdłuż moczarów.

Uprzątnęły swoje miseczki i weszły na górę. Florence znów śpiewała piosenkę o alfabecie. Beatrice już miała otworzyć drzwi do ich pokoi, gdy nagle zatrzymała się i dotknęła głębokich zadrapań w drewnie.

– Nie wchodzimy? – spytała Florence.

– Tak, Florrie, zaraz... – powiedziała, ale jeszcze przez kilka sekund wodziła palcami po uszkodzonych drzwiach, jak ślepiec, który stara się poznać twarz kogoś obcego.

Jeśli jako żona pastora czegoś się nauczyła, to tego, że Bóg stale przesyła nam znaki, wskazówki i wiadomości, abyśmy odkrywali, kim jesteśmy i dokąd prowadzi nas nasze życie, choć rzadko dostrzegamy te tropy, a nawet jeśli, to rzadko wyciągamy z nich wnioski.

Otworzyła drzwi i razem z Florrie weszły do saloniku.

– Potrzebujesz użyć nocniczka? – spytała Beatrice. – Jeśli nie, pójdziemy od razu na spacer. I tak, zabierzemy No-no.

Włożyły płaszcze, a Beatrice pobiegła jeszcze na podwórko za domem i zajrzała do małej drewnianej komórki, gdzie człowiek, który przychodził porządkować grządki, trzymał narzędzia. Widziała, jak upychał chwasty i poobcinane gałązki do starego worka po mące, który teraz był zawieszony na rączce łopaty. Wzięła go i wsunęła pod płaszcz.

Florence czekała na nią przy tylnych drzwiach, razem z No-no.

– A to po co? – spytała.

Beatrice uśmiechnęła się.

– Nigdy nie wiadomo, co znajdziesz, kiedy idziesz na spacer, prawda? Może kolejnego psa, jak No-no, albo kota, albo wielką stertę złotych monet. Zawsze mądrze jest mieć przy sobie worek, żeby można było to przynieść do domu.

Opuściły Maidenhead Court i przez Wood Street i Cheapside doszły do New Queen Street. Jakiś jednonogi żebrak kuśtykał za nimi wytrwale.

– Dajcie nam pieniądze, pani! Dajcie!

Beatrice było go żal, ale gdyby dawała trzypensówkę każdemu żebrakowi po drodze, to nim dotarłaby do rzeki, nic by jej nie zostało.

Szły dalej brukowaną ulicą, minęły tawernę Trzy Żurawie, do której zaprosił ją poprzedniego dnia James, i dotarły do schodów Trzech Żurawi. Tego ranka na rzece było pełno łodzi i barek. Ich flagi powiewały na ostrym południowo-wschodnim wietrze. Na schodach też panował ruch. Jeden z żurawi podnosił beczki z barki i ładował je na dwa duże wozy. Żuraw skrzypiał, a dokerzy klęli, bo któraś beczka nie została właściwie zamocowana i niebezpiecznie kołysała się w górze. Beatrice miała nadzieję, że Florence nie wsłuchuje się w to, co ci mężczyźni do siebie krzyczą.

Kilka metrów od tawerny, przy łuszczących się, pomalowanych na czarno drzwiach, zobaczyła trójzębny hak, o który potknęła się poprzedniego wieczoru, a który James odrzucił na bok. Podeszła, wzięła to żelastwo i wrzuciła do worka po mące. Pręt był o wiele cięższy, niż sądziła, a jego zęby wystawały z torby, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, poza Florence.

– Co to takiego? – spytała, marszcząc brwi. – Po co ci to?

– To hak – odparła. – Nigdy nie wiadomo, kiedy może się człowiekowi przydać. Na przykład robi nam się za gorąco w płaszczach i nie będzie ich na czym powiesić.

Florence wyraźnie zastanawiała się nad tym, kiedy ruszyły z powrotem do Thames Street. No-no zauważył jakiegoś brudnego kundla siedzącego obok żebraka i Florence musiała go wlec za sobą, bo zapierał się pazurkami na bruku.

– Ale na czym powiesz taki hak? – zapytała po jakimś czasie. – Przecież nie na niebie.

– Mądra z ciebie dziewczynka – powiedziała Beatrice. – Myślę, że masz to po swojej mamie.

Kiedy wróciły do Maidenhead Court, Beatrice schowała worek za krzakami, które rosły przy schodach. Nie chciała, by ktoś zauważył, że go wnosi.

– Dlaczego go tam włożyłaś? – spytała Florence, ale Beatrice podniosła palec do ust.

– Pssst! To tajemnica. Nikomu o tym nie mów, bo zaraz wszystkie będą chciały taki mieć.

Wpuściła je Judith, a kiedy Florence poszła z No-no na podwórko za domem, Beatrice poczekała w salonie, aż Judith wróci na lekcję śpiewu pani Hephzibah Carmen. Dziewczęta śpiewały *Jezusie, ukochany mojej duszy* o wiele wyżej, niż Beatrice kiedykolwiek słyszała, więc niektóre po prostu piszczały i fałszowały, a innym aż brakowało tchu.

*Jezusie, ukochany mej duszy,  
Przytul do łona mnie biedną,  
Gdy toń wód się burzy,  
A nawałnice szaleją!*

Beatrice rozejrzała się szybko po korytarzu, by sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu, po czym otworzyła drzwi i zbiegła po frontowych

schodach, wyciągnęła z krzaków hak i zaniósła na górę.

Wyjęła go z worka i przyłożyła do swoich zniszczonych drzwi. Trapiło ją, że może popełnia głupi błąd, ale czuła wyraźnie, że teraz, gdy nie może już liczyć na nikogo innego, Bóg ma ją w swojej opiece. Nawet jeśli to nie szatan ją ostrzegał, był to ktoś – może nawet kilka osób – kto miał złe zamiary, i potrzebowała wsparcia i ochrony bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Bardziej nawet niż wtedy, gdy w New Hampshire groziła jej wiedźma.

I nie pomyliła się. Pazury haka niemal idealnie pasowały do śladów na drzwiach. Było jasne, że to coś takiego zostawiło potrójne zadrapania. I pomijając ich rozmiar, nie знаła żadnego ptaka ani innego drapieżnika na ziemi z trzema szponami. Choć bieliki amerykańskie, jakie widywała w New Hampshire, miały trzy długie pazury, miały też jeszcze jeden, przeciwstawny. Nie ulegało wątpliwości, że jej drzwi zaatakował mężczyzna lub jakaś bardzo silna kobieta, ktoś, kto trzymał w ręku taki hak albo jakieś podobne narzędzie.

Hephzibah Carmen musiała już skończyć lekcję śpiewu, bo Beatrice usłyszała głosy w holu i kroki na schodach. Weszła do swojego saloniku i zamknęła za sobą drzwi. Nie mogła pozwolić, by Ida albo któraś z dziewcząt zobaczyła u niej ten hak, więc ukryła go pod łóżkiem, za nocnikiem.

Ledwie zdążyła opuścić brzeg narzuty, gdy rozległo się pukanie do drzwi. To była Ida. Ubrana już w płaszcz i kapturek, gotowa do wyjścia.

– Na pewno nie chcesz wybrać się z nami do Bethlem? – zapytała. – Mówiono mi, że niektórzy nowi pacjenci są bardzo zabawni. Jeden mężczyzna wierzy, że jest armatą, i wydaje niesamowite odgłosy wystrzałów. Inny jest przekonany, że jest psem, i chodzi dookoła na czworakach.

– Nie, nie mogę – odparła Beatrice. – Obiecałam Florence, że zabiorę ją na spacer za miasto.

– Jak tam wieczór z Jamesem? – spytała Ida.

– Bardzo miły, dziękuję. A kolacja była wyśmienita.

– To solidny młody człowiek, ten James. Brak majątku rekompensuje mu uroda i osobowość. Mogłaś trafić gorzej.

– Bawisz się w swatkę, Ido?

– Ten kościół to rodzina, Beatrice. Wszyscy jesteśmy spowinowaceni duchowo, powinniśmy się wspierać i ufać sobie nawzajem. Przede wszystkim liczy się zaufanie. Nigdy nie wątpimy w dobrą wolę naszych sióstr i braci.

– Przyjęliście mnie tak serdecznie – powiedziała Beatrice, choć była pewna, że Ida znów wywiera na nią nacisk, by porzuciła wątpliwości w sprawie zaginięcia tych siedmiu dziewczyn.

Ida przebiegła palcami w zamszowej szarej rękawiczce po rysach na drzwiach saloniku.

– Zamówiłam cieślę, przyjdzie w przyszłym tygodniu i wymieni deski. Musi ci być bardzo nieprzyjemnie patrzeć na te ślady, przypominające, że szatan się na ciebie gniewa. Naprawdę aż strach pomyśleć, co mógłby zrobić, żeby wystraszyć cię jeszcze bardziej.

– Niezły z niego magik, muszę przyznać. Gdyby mógł pokazywać tę sztuczkę z głową kozła w teatrze, na pewno zarobiłby fortunę.

Ida wydeła różowe usteczka i posłała jej jeden z tych swoich zagadkowych uśmiechów.

– Miłego spaceru – powiedziała. – Usprawiedliwię twoją nieobecność i przeproszę w twoim imieniu szaleńców, dobrze? Oczywiście przekażę im od ciebie serdeczne pozdrowienia.



• • •

Przy Aldersgate Street Beatrice złapała powóz. Kiedy wsiadły, a Beatrice posadziła sobie No-no na kolanach, powóz ruszył, podskakując i kołysząc się na wybojach, przez Shoreditch i między polami, do Hackney. Florence tak się cieszyła na spotkanie z Grace, że w kółko śpiewała jedną z piosenek, których ta ją nauczyła: *Sally, leć dookoła słońca*. Zabrała trochę pierniczków zapakowanych w brązowy papier, bo były to ulubione ciasteczka Grace.

– *Sally, leć dookoła słońca, Sally, leć dookoła księżycy, Sally, leć dookoła kominów w niedzielne popołudnie!*

Kiedy dotarły do fabryki tytoniu, Beatrice zsadziła na ziemię Florence i zapłaciła woźnicy należną kwotę, dokładnie gwineę i sześć pensów, choć dopominał się o jakieś dwa pensy ekstra, „by wypić za zdrowie pani”. Na podwórzu zastały człowieka o skórzastej twarzy i w skórzanym fartuchu. Stał na tyle wozu i ładował skrzynki cygar. Powitał Beatrice i Florence wesołym uniesieniem skózanego miękkiego kapelusza.

– Przyjechała pani do pana Hazzarda, tak? – spytał, zeskakując z wozu.

– Właściwie nie. Przyjechałyśmy zobaczyć się z Grace.

– Grace? A to mnie pani zastrzeliła.

– Z tą nową dziewczyną przywiezioną ze schroniska Świętej Marii Magdaleny. Musiał ją pan zauważyć. Jest bardzo piękna i ma ciemną skórę.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Eee, nie. Nie widziałem żadnej dziewczyny, która by pasowała do takiego opisu. Może pani wejdzie i sama o nią spyta pana Hazzarda?

Poprowadził je do gabinetu. George siedział za biurkiem, palił cygaro i rozmawiał z rumianym mężczyzną w nadmiernie upudrowanej peruce,

z okazałym brzuchem, opiętym czarną, pobrudzoną zupą kamizelką. Dym cygar był gęstszy niż jesienna mgła. Florence aż kichnęła.

– Beatrice, jak dobrze cię widzieć! – powitał ją George. – Poznaj Johna Bellflowera, mojego prawnika. John, to wdowa Scarlet, o której ci mówiłem. Jedna z bardzo niewielu kobiet na tym świecie, która jest równie piękna, jak inteligentna!

– To wielki zaszczyt panią poznać – powiedział John Bellflower. – Proszę wybaczyć, że nie wstaję... cierpiałem na diabelny atak podagry w tych dniach.

– Współczuję. Co pan na to stosował? – spytała Beatrice.

– Mój lekarz polecił mi upiec tłustą starą gęś nadziewaną siekanymi kociętami, smalcem, kadzidłem, woskiem i mąką żytnią. Miałem zjeść gęś, a wytopionym tłuszczem natrzeć potem stopy.

– Fuj, ale ohyda! – Florence się skrzywiła.

– Zrobił to pan?

– Nie. Moja kucharka jest przesadnie wrażliwa i odmówiła pocięcia kociaków. Zwolniłbym ją, ale nikt nie potrafi przyrządzić tak wspaniałej zupy ostrygowej jak ona.

– Myślę, że taka terapia i tak nie przyniosłaby panu ulgi – stwierdziła Beatrice. – Mój świętej pamięci ojciec robił miksturę z ziemowitów jesiennych, która była najbardziej skuteczna na podagrę. Przyrządzę panu trochę, jeśli pan sobie życzy, i przyślę, jeżeli poda mi pan swój adres.

– To bardzo miło z pani strony, wdowo Scarlet – powiedział John Bellflower. – Nic dziwnego, że George tak ceni pani intelekt, podobnie jak pani urodę.

George wypuścił dym z cygara.

– Mogę spytać, co cię dziś sprowadza, Beatrice? – odezwał się po chwili. – Jestem zachwycony, że widzę cię znowu z małą Florence, ale nie

spodziewałem się waszej wizyty.

– Przyjechałyśmy zobaczyć się z Grace – odparła Beatrice. – Bardzo zaprzyjaźniły się z Florence i kiedy zabrałeś ją ze Świętej Marii Magdaleny do pracy tutaj, Florence była zrozpaczona. Przywiozła jej pierniczki.

– Ach, Grace! Strasznie mi przykro cię rozczarować, malutka Florence, ale, niestety, Grace tu nie ma. Tak się składa, że w zeszłym tygodniu rozmawiałem z hrabią Coventry w pracowni Joshuy Reynoldsa na St Martin's Lane. Pan Reynolds sam ma czarnego kamerdynera, który pojawił się na wielu jego obrazach. Wspominałem hrabiemu, że Ida ma pod opieką bardzo atrakcyjną ciemnoskórą dziewczynę. Już od jakiegoś czasu zamierzałem sprowadzić ją tu, do Hackney, ale hrabia poprosił mnie, bym pożyczył mu ją, że tak powiem. Pragnął zrobić wrażenie na jakichś ważnych gościach, których się spodziewa. Chyba chce nadać swojemu domowi bardziej egzotyczny charakter.

– To gdzie ona teraz jest? – spytała Beatrice.

Zdenerwowało ją, że George traktuje Grace jak własność, którą może wypożyczać wedle swojej woli. Mimo wszystko nie była niewolnicą. W New Hampshire Beatrice знаła trochę farmerów, którzy mieli niewolników, ale zwykle traktowali ich po ludzku, dobrze karmili i opiekowali się nimi w razie choroby.

– Dostarczyłem ją do domu hrabiego na Grosvenor Square – oznajmił George. – Nie mam pojęcia, jak długo zechce ją zatrzymać. Może tylko kilka tygodni, a może całe lata. Przyznam, że to niezwykle ponętna młoda kobieta, choć kolorowa.

– Grace tutaj nie ma? – spytała Florence zawiedziona, wydymając dolną wargę.

– Nie ma, kochanie. Niestety – powiedziała Beatrice. – Ale została przyjęta do bardzo pięknego domu i jestem pewna, że dobrze się tam o nią

troszczą. Chodź. Weźmiemy No-no na spacer przy moczarach, złapiemy trochę świeżego powietrza.

– Ale przywiozłam dla niej pierniczki.

– Wiem, Florrie. Będziemy musiały zjeść je same.

George wstał i skinął głową.

– Zawsze bardzo miło cię widzieć, Beatrice. Za parę tygodni znów zajrzę do Świętej Marii Magdaleny. Rad jestem, że się spotkamy. Może uda się nam zjeść przyjemnie obiad bez satanistycznych niespodzianek.

– W takim razie do widzenia, George. Do widzenia, panie Bellflower – rzuciła Beatrice, nie dodając już nic więcej.

Wzięła Florence za rękę i opuściła gabinet George'a. Minęły hałaśliwą halę – gdzie z rur z sykiem leciała para, stukotały maszyny do cięcia liści – i wyszły na zewnątrz.

Za otaczającymi fabrykę topolami był rozległy staw, po którym pływały kaczki. Beatrice wzięła Florence nad brzeg i stały tam jakiś czas, by wiatr wywiał z ich płaszczy zapach dymu z cygara.

– Smutno mi – powiedziała Florence. – Chciałam zobaczyć Grace i zaśpiewać z nią piosenkę.

– Na pewno Grace też za tobą tęskni, Florrie. Ale nie martw się. Pewnie jest szczęśliwa tam, gdzie jest.

• • •

Tego wieczoru, kiedy siedziała przed kominkiem w salonie i szyła, weszła tam Ida. Z bladą jak kreda twarzą wyglądała jak duch. Szeleszcząc jedwabną suknią, zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko Beatrice.

– Aż trochę żałuję, że wybrałam się dziś do tego domu dla obłąkanych.

– Dlaczego, Ido?

– Na pewno będę miała w nocy koszmary. Był tam człowiek, który uderzał głową w mur tak mocno, że słychać było trzask czaszki, i kobieta, która musi nosić na twarzy zasnurowaną skórzaną maskę, bo bez przerwy krzyczy i próbuje wydłubać sobie oczy.

– W takim razie cieszę się, że poszłam z Florence na spacer, zamiast jechać z wami.

– A dokąd się wybrałyście?

– Tak naprawdę do Hackney, nie tylko na spacer, ale też by zobaczyć się z Grace w fabryce George’a. Florence strasznie tęskni za Grace.

– Przyznam, że i mnie bardzo jej brak. Tak świetnie troszczyła się o moją garderobę, nakładała mi makijaż. Judith o mało nie pozbawiła mnie dziś kciuka, kiedy obcinała mi paznokcie. No i jak się ma Grace?

– Nie było jej tam.

– Ach, tak. Nie było?

Nie wydajesz się specjalnie zaskoczona, pomyślała Beatrice. Wiedziałaś, że jej tam nie ma?

Odłożyła szycie.

– George mówił mi, że w zeszłym tygodniu spotkał hrabiego Coventry w pracowni jakiegoś malarza.

– Pewnie chodzi o Joshuę Reynoldsa, na St Martin’s Lane – odparła Ida. – George chce, żeby namalował jego portret. Poszłam tam z nim, bo od lat znam pana Reynoldsa i George miał nadzieję, że przekonam go, by nieco obniżył stawkę. Obecnie liczy trzydzieści pięć gwinei za samą głowę, a sto pięćdziesiąt za całą sylwetkę. Wyobrażasz to sobie?!

– No, pewnie George’a na to stać.

– Jestem przekonana, że tak. Ale hrabiego Coventry tam nie było. W każdym razie nie osobiście. Był tylko jego portret, bo pan Reynolds

skończył głowę kilka tygodni temu i pracował nad materią i tłem. Chyba to miał na myśli George.

– Najwyraźniej – rzuciła Beatrice i po chwili znów wzięła swoją robótkę.

Nie mówiła już nic więcej o Grace. Po pierwsze, podejrzewała, że Ida może mieć jakieś pojęcie, co naprawdę stało się z Grace, a po drugie, było już jasne, że George kłamał albo przynajmniej nie powiedział prawdy. Grace mogła zostać przyjęta na służbę u hrabiego Coventry, tyle że George na pewno nie uzgodnił tego w pracowni malarza.

Jest tylko jeden sposób, by się przekonać... muszę pójść na Grosvenor Square i sprawdzić, czy Grace tam jest. Ale nie wolno mi zdradzić, kim jestem. Jeśli George dowie się, że podważam prawdziwość jego słów, to Bóg jeden wie, kto następnym razem zaatakuje moje drzwi hakiem albo jacy dziwni ludzie o lustrzanych twarzach zaczną mnie prześladować i jakie ucięte głowy zostaną mi przy kolacji podane na półmisku.

## Rozdział 30

Poczekwała do następnego popołudnia, gdy Ida i większość dziewcząt udały się do siedziby głównej, by celebrować urodziny Matki Boskiej, śpiewając hymny i czytając fragmenty Biblii.

Jakąś godzinę przed wyjazdem powiedziała Idzie, że cierpi na potworny ból głowy, więc weźmie siarczan chininy i jeśli to przyniesie jej ulgę, dołączy do nich później. Mówiąc to, widziała swoje odbicie w lustrze o złoconej ramie wiszącym w salonie i z poczuciem winy pomyślała, że oto portret kłamstwa, bo po raz kolejny kłamała.

Florence pojechała z Judith i innymi dziewczętami, a Beatrice wypuściła No-no na podwórko na tyłach domu. Poszczekał trochę, zawiedziony, że zostaje, ale po jakimś czasie się uspokoił. Beatrice nie mogła przestać myśleć o Noahu. Zastanawiała się, jak też może wyglądać jego życie wśród plemienia Ossipi, zakładając, że nadal żyje. Czy już o niej zapomniał, czy tęskni za nią tak boleśnie jak ona za nim?

Poszła do atelier i wzięła pudełko ze zwęglonymi patyczkami wierzbin, których dziewczęta używały do rysowania. Potem ruszyła do kuchni. Nie było tam nikogo, bo Martha i dziewczęta, które jej zwykle pomagały, też pojechały do siedziby głównej. Martha mogła wykonać diabelską robotę, podmieniając głowę świni na półmisku, ale była bardzo religijna. Kiedy tylko któraś z dziewcząt przywołała przy niej imię Boga nadaremno, dostawała od niej mocno po palcach drewnianą łychę.

Beatrice otworzyła drzwi spiżarni i weszła tam, by wziąć to, czego potrzebowała do przygotowania kamuflażu – mąkę ararutową i kukurydzianą oraz miód. Położyła wszystko na stole i zaczęła rozbijać

tłuczkiem zwęglone patyczki w moździerz, którego Martha używała do ucierania pieprzu.

W porcelanowej miseczce wymieszała wszystkie składniki z wodą, aż uzyskała gładkie czarne, błyszczące mazidło. Zniosła miseczkę na górę do swojego saloniku, biorąc też dwie kopiaste łyżki mąki ararutowej, którą zawinęła w kawałek papieru do pieczenia.

Zamknęła dobrze drzwi. Nie sądziła, że ktoś jej przeszkodzi, ale wolała nie ryzykować, że wpadnie tu nagle któraś z trzech, czterech dziewczyn, które zostały w domu, i ją zobaczy.

Nasłuchiwała chwilę. Słyszała, jak piętro niżej kaszle Eliza, a w pokoju obok Emma śpiewa frywolną balladę *Co moje, to moje*. Beatrice pomyślała, jaka to smutna piosenka dla dziewczyny, która mając ledwie trzynaście i pół roku, została prostytutką.

Zdjęła żółtą sukienkę, powiesiła ją na oparciu krzesła i usiadła przed lustrem toaletki.

Ostrożnie zamoczyła brzeg chustki w miseczce z czernidłem i pomazała nim nos i policzki. Bardzo starannie nałożyła czarną papkę w okolicach oczu, tak żeby nigdzie nie przeświecała różowa skóra.

Kiedy pomalowała całą twarz, uszy i szyję, skupiła się na dekolcie, aż do gorsetu. Zamierzała włożyć czarne rękawiczki, nie było więc potrzeby malować dłoni, ale na wszelki wypadek uczerniła nadgarstki.

Kiedy w końcu popatrzyła na siebie w lustrze, ledwie mogła uwierzyć, że to ona. Choć skóra jej błyszczała od mąki kukurydzianej, mogła ujść za Afrykankę. Jej ojciec opracował takie mazidło dla Waltera Blake'a, aktora, którego David Garrick obsadził w roli Otella w Theatre Royal, a on chciał zaskoczyć publiczność, wyglądając jak prawdziwy Maur, a nie jak poczerniony biały.



Aby dopełnić swojego kamuflażu, przypudrowała lekko twarz i dekolt mąką ararutową, żeby skóra mniej się świeciła i wyglądała bardziej naturalnie. Jeszcze z New Hampshire przywiozła mały słoiczek wosku pszczelego barwionego karminem. Zmieszała go trochę z czarnym mazidłem i naniosła na usta.

Włożyła czarną satynową suknię i wysoki czarny kapelusz budkę, który miała na pogrzebie Francisa. Wcisnęła pod niego włosy, żeby nie były widoczne, po czym opuściła woalkę na twarz.

Uchyliła drzwi saloniku, by upewnić się, czy nie ma nikogo na korytarzu. Emma nadal śpiewała. Beatrice odniosła wrażenie, że Juliet się śmieje, bo piosenka *Co moje, to moje* była tak sprośna. Beatrice słyszała ją na ulicy u żebraków. Emma nie odważyłaby się jej śpiewać, gdyby w domu była Ida.

*Nauczyciel muzyki przyszedł mnie zabawiać  
I na moim instrumencie chciał uczyć mnie grać,  
Ale mu nie dałam i precz iść kazałam,  
Bo na swoich skrzypkach grać nie pozwalam.*

Beatrice przytrzymała halki, żeby szybko i cicho zbiec na dół, a potem przez hol do drzwi frontowych. Zaczęło padać, więc kiedy dotarła do Newgate Street, zawołała powóz.

– Bardzo pani współczuję – odezwał się woźnica, gdy tylko wsiadła.

Najwyraźniej pomyślał, że jej woalka i czarny strój to znak żałoby i jego kondolencje pomogą mu wycisnąć z niej dwa pensy ekstra. Gdyby dostrzegł, że jej twarz również jest czarna, mógłby nie być tak uprzejmy. W Londynie widywało się czarnych mężczyzn i kobiety. Jednak z małymi wyjątkami byli to służący albo niewolnicy przywiezieni tu przez fabrykantów z Indii Zachodnich. Czarna osoba, która chodziłaby

swobodnie po mieście i oczekiwała równego traktowania, byłaby zapewne narażona na drwiny.

– Zna pan dom hrabiego Coventry na Grosvenor Square? – spytała.

– Oczywiście, proszę pani. To wspaniała rezydencja, ogromna. Prawdziwy pałac.

Na ulicach było pełno i powozów, i pieszych. Niemal dwadzieścia minut zajęło im przedarcie się do Grosvenor Square. Ponieważ padało, w okrągłym parku pośrodku placu nie było nikogo poza jednym przemokniętym skrzypkim w kapeluszu węglarza, rzepolącym jakąś smętną melodię.

Do domu hrabiego Coventry prowadziły wysokie stopnie i paradne drzwi z kolumnami. Beatrice zastanawiała się, czy może powinna zejść do sutereny i zapukać do wejścia dla służby, ale doszła do wniosku, że chce spytać o Grace samego hrabiego albo przynajmniej kogoś z jego rodziny, by zyskać pewność, że dziewczyna jest pod dobrą opieką.

Pociągnęła za sznur dzwonka przy podwójnych drzwiach i usłyszała, jak dźwięczy w holu. Po chwili drzwi się otworzyły i zobaczyła młodego lokaja w upudrowanej na niebiesko peruce i granatowym uniformie z szamerunkami.

– Dzień dobry – powitał ją. – Czy jest pani umówiona?

– Nie, nie byłam zapowiedziana – odparła Beatrice, starając się naśladować akcent Grace. – Ale chciałabym zapytać o młodą kobietę, która została tu ostatnio zatrudniona. Ma na imię Grace i mówiono mi, że przysłał ją tu pan George Hazzard.

– Mogę spytać o pani nazwisko?

Beatrice uniosła woalkę, by pokazać czarną twarz, a lokaj zamrugał w szoku, choć bardzo starał się nie okazać zdumienia.

– Jestem starszą siostrą Grace, z Barbadosu. Chciałam poinformować ją, że przybyłam do Londynu, i upewnić się, że jest w dobrym zdrowiu i wszystko u niej w porządku.

– Grace? – powtórzył lokaj. – Nie mamy tu nikogo o takim imieniu. Musiałaś dostać ten adres przez pomyłkę. Życzę miłego dnia.

Już zamykał drzwi, ale Beatrice go powstrzymała.

– Chwileczkę! Może wasz pan nazywa ją inaczej. Ma osiemnaście lat i tak jak ja jest ciemnoskóra. I bardzo ładna.

Lokaj pokręcił głową.

– Hrabia ma tylko jednego czarnucha na służbie. To jego foryś Limbrick.

– Jest pan pewny? Czy to możliwe, żeby nie widział jej pan albo żeby pan hrabia umieścił ją w innym domu?

– Jestem całkowicie pewny. Dziś rano zebrała się cała służba, bo wydawano instrukcje dotyczące wieczornego bankietu, i nie było tu żadnej czarnej osoby.

Beatrice zobaczyła ruch w jednym z okien obok ganku. Dostrzegła tam bladolicą kobietę w wysokiej szarej peruce i czerwonej sukni. Dama patrzyła na nią, jedną dłonią osłaniając oczy. Kiedy tylko spostrzegła, że Beatrice ją zauważyła, cofnęła się od okna i znikła.

Beatrice znów spojrzała na lokaja.

– Czy w domu jest ktoś, kogo jeszcze mogłabym o to popytać?

– Nie dla ciebie – odparł.

Beatrice zauważyła, że odkąd uniosła woalkę, przestał zwracać się do niej „pani” i traktował ją coraz bardziej lekceważąco.

– Niech pan posłucha, proszę... Muszę wiedzieć, gdzie ona jest – powiedziała, zapominając o swoim „barbadoskim” akcencie.

Lokaj wzruszył lekko ramionami i zamknął jej drzwi przed nosem.

Zadzwoniła znowu i raz jeszcze, ale już nikt jej nie otworzył. Po kilku minutach zeszła schodkami do sutereny i tam zapukała do drzwi. Tu też nikt nie pofatygował się sprawdzić, czego chce.

Mogła obejść dom aż na Adam's Mews i poszukać czarnego forysia, ale padało coraz bardziej i domyślała się, że lokaj zapewne mówi prawdę – Grace w ogóle nie została przyjęta do pracy u hrabiego Coventry. W końcu po co ten człowiek miałby kłamać?

Opuściła woalkę i poszła na róg Charles Street, gdzie udało się jej złapać powóz, z którego właśnie wygramolił się brzuchaty mężczyzna w ogromnej peruce, głośno puszczając wiatry.

– Strasznie grzmotliwa pogoda, co? – zauważył, nim oddalił się chwiejnym krokiem.

• • •

Kiedy wróciła do schroniska Świętej Marii Magdaleny, drzwi otworzyła jej Juliet. W ręku trzymała na wpół zjedzone jabłko, niczym Ewa na obrazie Holbeina.

– Tak? – Zmarszczyła brwi. – W tej chwili w domu nikogo nie ma, przykro mi. Pojechali się kościółkować. A czego chce?

– Na litość boską, Juliet, to ja – powiedziała, nie unosząc woalki.

– Be-a-trice? – wyjąkała Juliet zdumiona, ale Beatrice już szła schodami do siebie.

Zajął jej prawie pół godziny, żeby zetrzeć i zmyć makijaż. A kiedy skończyła, woda w misce była czarna, podobnie jak ręcznik. Przebrała się znów w żółtą sukienkę i sznurując ją, zastanawiała się, czy cała ta maskarada była warta zachodu. Jednak przynajmniej udało się jej potwierdzić, że George Hazzard kłamał. Nie wysłał Grace na Grosvenor

Square, a lokaj hrabiego Coventry będzie mógł tylko powiedzieć mu, że pytała o nią „jakaś czarna kobieta”. Ale jeśli Grace tam nie było, to gdzie się podziała?

Beatrice zeszła piętro niżej, by sprawdzić, jak się czuje Eliza. Zapukała, ale nie było odpowiedzi, więc otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Eliza spała, raczej spokojnie, oddychając bez trudu. Beatrice zdarzyło się widzieć w schronisku wiele innych dziewcząt, gdy spały, i zawsze wtedy myślała, jak młodo i niewinnie wyglądają. Bardziej przypominały osierococone dzieci niż zatwardziałe trzpiotki, jak czasem o sobie mówiły.

Przyciągnęła proste drewniane krzesło do łóżka i usiadła, patrząc na Elizę. Po jakichś dziesięciu minutach dziewczyna musiała wyczuć, że ktoś jest w pokoju, bo otworzyła oczy i uniosła głowę z poduszki.

– Beatrice! Co pani tu robi? Ale mnie pani wystraszyła!

– Przyszłam zobaczyć, jak się czujesz.

– Nieźle, dzięki. Cały dzień nie kaszlałam. I mogę już oddychać przez nos, nawet jak czasem zaświszczy.

– To dobrze. Dam ci zaraz lekarstwo. Ale posłuchaj, właśnie próbowałam szukać Grace.

– Po co? Mówiła pani chyba, że wie, gdzie jest. George Hazzard pożyczył ją jakiemuś gogusiowi, nie?

– Tak mi powiedział. Twierdził, że posłał ją do pracy u hrabiego Coventry w jego domu na Grosvenor Square. Ale miałam powody wątpić w jego słowa, więc poszłam tam, żeby to sprawdzić.

– I? Znalazła ją pani? – spytała Eliza, wtykając do lewej dziurki w nosie palec i kręcąc nim.

– Elizo, nie wolno ci nikomu o tym mówić. Nawet Idzie i żadnej z dziewczyn. A szczególnie Idzie.

– Zaraz... co pani sobie o mnie myśli? Nie jestem kapusiem. Nigdy na nikogo nie doniosłam, nigdy.

– Dobrze. No więc poszłam do tego domu, ale jej tam nie było, a z tego, co powiedział lokaj, wynika, że nawet o kimś takim nie słyszeli. Czyli Grace nie pracuje ani w fabryce tytoniu, ani u hrabiego Coventry.

– Jeśli mnie pani pyta, to sądzę, że wiem, gdzie ona jest. Postawiłabym na to konia. Stary Hazzard wysłał ją do Ledy Sheridan. Na pewno. Miałby ją trzymać w swojej pieprzonej fabryce? Taką ślicznotkę jak ona? I jest czarna, a niektórzy goście płacą za czarne ponad dwa razy więcej.

– O dobry Boże, modlę się, żeby to nie była prawda – jęknęła Beatrice.

– No, niech się pani modli do woli, ale to nie pomoże biednej Grace. Nic a nic. Nie wiem, jakie okropne rzeczy oni robili tym dziewczynom, ale jakbym się wtedy stamtąd nie zmyła, już dawno byłoby po mnie. Jak amen w pacierzu. Dalej śnią mi się te okropne krzyki. Nigdy czegoś takiego pani nie słyszała. Ohyda!

Beatrice prawie pół minuty nic nie mówiła. Zastanawiała się głęboko, a Eliza dłubała w nosie i popatrywała, co się jej udało z niego wydobyć, po czym rolowała to między palcami i pstrykała na podłogę.

– Wiesz dokładnie, gdzie jest dom Ledy Sheridan, i znasz jego rozkład w środku, prawda?

– Jasne. Mogę narysować. Jestem dobra z rysowania.

– Myślę, że może udałoby mi się tam wejść w jakimś przebraniu, poszukać Grace i pomóc jej uciec. To znaczy jeśli tam jest.

– Założę się nie wiem o co, że tak. No, gdybym coś miała. A przebranie to nie problem. Leda każe wszystkim dziewczynom nakładać różne maski, kiedy urządza te swoje orgie.

Wymówiła „orgie” tak, że zabrzmiało to trochę jak „ogry”.

– Ach, tak? Chodzi ci o takie maseczki jak na balu maskowym?

– No. Widywałam też takie w Vauxhall Gardens w niektóre wieczory, kiedy tam się tańczy. Dziewczyny mają je nosić, żeby klienci nie mogli ich odróżnić i nie wiedzieli, którą już łupali, a której nie, bo Leda sprzedaje je jako dziewice nawet po dwadzieścia razy.

Beatrice odchyliła się na oparcie krzesła. Zastanawiała się, jak sprawdzić, czy Grace jest w burdelu Ledy Sheridan, i jak ją bezpiecznie stamtąd wyprowadzić. Musiała także brać pod uwagę możliwość, że Grace wcale tego nie zechce. Życie u Ledy Sheridan było ryzykowne, ale pewnie też podniecające i urozmaicone. Dziewczyna mogła woleć je od bogobojnej egzystencji i modlitw, i służenia Idzie jako darmowa pomoc do wszystkiego.

Jednak Beatrice bardzo niepokoiło to, co opowiadała Eliza o tamtych krzykach. Wiedziała doskonale, że są mężczyźni gotowi wiele zapłacić za patrzenie, jak dziewczyna jest wiązana i bita, i penetrowana za pomocą różnych przedmiotów, a nawet jak ma zbliżenia z psami i osłami. Trochę takich dziewczyn trafiało do apteki jej ojca, kiedy była mała. Prosiły o maści do łagodzenia obrażeń i choć ojciec zawsze rozmawiał z nimi na osobności, Beatrice często ukrywała się za drzwiami i słyszała, co mówiły. Jedna dziewczyna rozpaczała, przerażona, że może urodzić szczenięta, i błagała ojca o olej z mięty poleju, by dokonać aborcji.

– Przyniosę ci jeszcze toniku – powiedziała do Elizy. – Teraz, kiedy lżej ci się oddycha, myślę, że odrobina syropu z podbiału wystarczy.

– Zrobi to pani? – spytała Eliza. – Naprawdę pójdzie i znajdzie Grace? To urocza dziewczyna. Powinna pani.

Beatrice skinęła głową.

– Tak... Postaram się.

– Niech pani przyniesie jakiś papier i ołówki, to narysuję dom Ledy. Na dole są wielkie pokoje, ale na górze klitki jak mysie nory.

– Dziękuję, Elizo. Miejmy nadzieję, że przegrasz zakład i Grace jest gdzie indziej, bezpieczna.

Usłyszała, jak na dole otwierają się drzwi, i dobiegł ją gwar głosów. Ida i reszta dziewczyn wróciły z nabożeństwa w siedzibie głównej.

– Pamiętaj. – Beatrice wstała i uniosła palec do ust.



## Rozdział 31

Tego wieczoru, kiedy tylko ułożyła Florence do łóżka, usiadła przy toaletce i napisała pięć listów do przyjaciół i parafian w Sutton, w tym do generała Holyoke'a, Williama Tandridge'a i wdowy Belknap, a także do dwóch zacnych mężatek, Rust i Greene, które asystowały przy narodzinach Florence.

Prosiła, by napisali jej, co słyszą w miasteczku, i aby położyli od niej kwiaty na grobie Francisa, choć przypuszczała, że i tak to robią, bo jej mąż był ogromnie lubiany. Kiedy odkładała pióro, uświadomiła sobie, jak bardzo tęskni za New Hampshire. Czy kiedykolwiek uda jej się tam wrócić? Miała wrażenie, że słyszy świergot lelków krzykliwych w lesie.

Ni stąd, ni zowąd zaczęła płakać i siedziała tak z mocno splecionymi dłońmi, ze łzami płynącymi po policzkach. Po narodzinach Florence pocziwa pani Greene przycupnęła na brzegu łóżka i powiedziała, że „łzy smutku nawadniają ogród szczęścia”, ale tego wieczoru Beatrice czuła jedynie żal. Tęskniła za Francisem tak bardzo, że był to niemal fizyczny ból.

Po kilku minutach wyjęła chusteczkę i otarła oczy. Francis odszedł, a potrzebowała męskiego towarzysza, jeśli miała wejść do burdelu Ledy Sheridan i szukać Grace. Nie mogła tak po prostu zadzwonić do drzwi, spytać, czy jest tam Grace, i oznajmić, że chce ją zabrać z powrotem do schroniska Świętej Marii Magdaleny. Z tego, co mówiła Eliza, Leda była jędzą – dominującą, porywczą i obsesyjnie zachłanną. Nie pozwoli Grace tak łatwo odejść, zwłaszcza jeśli Eliza ma rację i klienci płacą za dziewczynę podwójnie.

Beatrice pomyślała przez chwilę, by wziąć ze sobą Godfreya, bo był taki poczciwy i układny i pewnie zrobiłby wszystko, o co go poprosi. Ale Godfrey nie wyglądał na ten typ mężczyzny, który miałby pieniądze i chciał spędzić choć jeden wieczór w luksusowym burdelu na Drury Lane. Musiała poprosić Jamesa.

Uklękła przy łóżku śpiącej Florence i zmówiła modlitwę za Francisą i wszystkie nieszczęśliwe dziewczyny i kobiety na świecie, które musiały sprzedawać się, by przeżyć. Sama była posłuszną żoną, ale Francis był troskliwym, rozsądnym mężem, a to należało do rzadkości, zwłaszcza w Londynie.

Weszła do łóżka i leżała niemal godzinę, nie mogąc zasnąć. Chociaż nie padało, noc była pochmurna, więc nie było widać księżyca. Beatrice mogła mieć tylko nadzieję, że Bóg mimo wszystko na nią patrzy.

• • •

– Że co niby miałbym zrobić? – zachnął się James.

Siedzieli w ciemnym kącie knajpy U Whitneya na Threadneedle Street. Mimo wczesnej pory panował ścisk. Mężczyźni zawierali transakcje kupna i sprzedaży bydła, czytali gazety, rozmawiali głośno, śmiali się i palili. Beatrice była tu jedyną kobietą. Ubrała się dyskretnie, w ciemnobrązową pelerynę z kapturem.

– Chciałabym, żebyś udawał kogoś, kto przed swoim ślubem chce urządzić przyjęcie dla kilku przyjaciół, a słyszałeś, że burdel Ledy Sheridan jest najlepszym miejscem, by to zorganizować.

– Wprost brak mi słów, Beatrice.

– Wiem, że to nadużycie prosić cię o coś takiego, ale nie znam żadnego innego mężczyzny, który mógłby to zrobić. Pastor Parsons jest o wiele za stary, a Godfrey w najmniejszym stopniu nie wygląda na lubieżnika.

– A ja tak? O, bardzo dziękuję!

– Oj, wiesz, o co mi chodzi. Przecież nie mogę pójść do Ledy Sheridan sama, a nie mam innego pomysłu, jak skłonić ją, żeby nas wpuściła i pokazała dom. Musisz ubrać się w najelegantsze rzeczy, jakie masz, ja też. Będę odgrywała rolę twojej faworyty i założę maseczkę, żeby pani Sheridan nie była w stanie potem opisać mnie George’owi Hazzardowi.

James sięgnął przez stół i położył rękę na jej dłoni.

– Muszę przyznać, Beatrice, że jesteś najbardziej przebiegłą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. I... nie bierz mi tego za złe... podziwiam to w tobie. Tak naprawdę zazdroszczę ci.

Beatrice piła małymi łydkami kawę.

– Trzeba spytać, czy pani Sheridan ma jakieś niezwykle dziewczęta. Może Chinki, mulatki albo Afrykanki. Modłę się o to, żeby Grace tam nie było, ale jeśli jest, to pani Sheridan ją zawoła i nam pokaże.

– A jeśli tak, co wtedy?

– Zajmiesz panią Sheridan rozmową, a ja wezmę Grace na bok, niby omówić z nią jakieś sztuczki, które mogłaby pokazać twoim towarzyszom. Powiem jej, kim jestem, jeśli mnie nie rozpozna po głosie. Spytam, czy chce odejść od Ledy Sheridan i wrócić do Świętej Marii Magdaleny.

– A jeżeli odmówi?

– To jak najszybciej zakończymy nasze przedstawienie, przeprosimy i wyjdziemy. Jeśli nauczyłam się czegoś jako żona pastora, to tego, że nie da się pomóc ludziom, którzy nie chcą pomocy. Żeby nie wiadomo jak przekonywać ich i namawiać.

– A jeżeli ona się zgodzi, ale pani Sheridan wezwie jakiegoś swojego przybocznego albo dwóch i nie pozwoli nam jej zabrać? Uczyłem się boksowania w szkole, ale wątpię, żebym mógł pokonać jakiegoś osiłka z burdelu.

– W takim wypadku wezwiemy konstabla.

James wyjął zegarek i otworzył wieczko.

– Słuchaj, jest prawie dziewiąta, muszę wracać na lekcje. O której chciałabyś pójść do Lady Sheridan?

– Dopiero późnym wieczorem. Może o dziewiątej, po kolacji, kiedy pani Smollett już się położy.

– No nie wiem, Beatrice. To wygląda na dość dyskusyjne posunięcie, najdelikatniej mówiąc. Oboje możemy skończyć w rzece.

– Wiem, że to niebezpieczne, James. Ale nie mogę zostawić Grace na łasce takiej rajfurki jak Lady Sheridan.

James zapatrzył się w swoją filiżankę. Podniósł ją i wypił łyk kawy, ale ostygła, więc odstawił filiżankę i ją odsunął. Beatrice widziała, że bije się z myślami.

– James, powiedz „nie”, jeśli naprawdę nie chcesz ze mną iść.

Odchrząknął, gorzko rozbawiony.

– Mówisz zupełnie jak moja biedna Sophie. Zawsze dawała mi wybór i w ten sposób robiłem wszystko, czego tylko chciała.

• • •

Beatrice odetchnęła z ulgą, kiedy po skończonej kolacji Ida podniosła się od stołu i oświadczyła, że ma zamiar wcześniej się położyć. Dodała, że jest wyczerpana po długim dniu uczenia dziewcząt, jak zachowywać się w eleganckim towarzystwie. Poza tym wypła przy kolacji – oprócz cydru – trzy duże kieliszki burgunda do siekanej wieprzowiny z pasternakiem i plątał jej się język, kiedy odmawiała modlitwę dziękczynną po posiłku.

– Panie nakpiłeś... nasyciłeś nas... swoimi darami i laską... Napelnij nas pokojem, zmiłuj się, bo żyjesz i żyjesz, i żyjesz wiecznie i zawsze. Amen.

Kiedy tylko Beatrice usłyszała, jak zamykają się drzwi jej sypialni, pospieszyła na górę, by się przebrać. Właśnie wczoraj otworzyła ostatni z pięciu kufrów przywiezionych z Ameryki, a w środku była ciemnoniebieska jedwabna suknia, która została dla niej uszyta na uroczysty bal w Concord. Miała głęboki dekolt, marszczony biały kołnierz i marszczone mankiety z białej koronki.

Przez dłuższą chwilę trzymała ją przy twarzy, wdychając jej zapach. Pachniała perfumami, których Beatrice użyła tego wieczoru, kiedy tańczyła z Francisem.

Zasnurowała suknię, po czym wyjęła pasujący do niej kapturek z przybraniem ze sztucznych niebieskich róż, białych gardenii i niebieskich wstążek. Wprawdzie zgniótł się w kufrze, ale udało się go wyprostować.

Tego popołudnia kupiła u Tompkinsa na Gracechurch Street balową maseczkę z papier *mâché*, pokrytą bladoniebieskim jedwabiem i ozdobioną srebrnymi cekinami. Przymierzyła ją przed lustrem i uznała, że wygląda niezwykle elegancko i tajemniczo, idealnie, jak na kochankę modnego, bogatego mężczyzny przystało. Ale serce biło jej mocno i zaczynała się zastanawiać, czy jej plan ratowania Grace nie jest jednak zbyt ryzykowny.

Potem jednak pomyślała: a co mogą mi zrobić, nawet jak mnie rozpoznają? Warto zaryzykować, jeśli dzięki temu zdołam uchronić Grace przed życiem w grzechu.

Powiedziała Judith, że idzie do Snow Hill odwiedzić jakichś starych przyjaciół, którzy znali jej ojca, gdy otwierał swoją aptekę na Giltspur Street. Judith obiecała zaglądać od czasu do czasu do Florence, na wypadek gdyby dziewczynka się obudziła czy miała złe sny albo chciała pić.

Beatrice czuła wstyd, że coraz łatwiej przychodzi jej kłamstwo, ale przecież musiała chronić siebie i Florence. Choć miała swoje podejrzenia, nie wiedziała jeszcze do końca, komu może zaufać i kto stał za tymi

misternie uknutymi ostrzeżeniami, jakie dostała. Kimkolwiek ten ktoś był, na pewno nie był to szatan.

Poprosiła Jamesa, żeby nie przychodził i nie pukał do drzwi, tylko czekał na nią w powozie na zewnątrz punktualnie o dziewiątej. Kiedy przeszła korytarzem i wyjrzała przez okno, zobaczyła, że już jest. Pięć minut przed czasem. Wzięła płaszcz z haczyka na drzwiach i najciszej, jak mogła, przemknęła na dół. Jej pantofelki leciutko postukiwały, a jedwabna suknia ocierała się z szelestem o balustradę.

Na zewnątrz było zimno, ale sucho. Wiał wschodni wiatr. James pomógł jej wsiąść do powozu.

– Brydges Street, poproszę, obok Theatre Royal – rzucił woźnicy.

– Przyznam, że bardzo się denerwuję – powiedziała Beatrice, kiedy ruszyli w dół Ludgate Hill w kierunku Fleet Street.

James ujął jej dłoń.

– Chcesz zrezygnować? Zawsze możemy pojechać gdzie indziej, napić się czegoś. Albo po prostu zawrócić i odwiozę cię do domu.

– Nie, James. Muszę pomóc Grace.

Pojechali Fleet Street i Butcher Row aż do Wych Street, a potem przez Drury Lane. Brydges Street znajdowała się na tyłach teatru. Właśnie musiało się kończyć przedstawienie, bo wokół było sporo powozów, ulicznych grajków, chłopaków z latarniami, żebraków i prostytutek, starych i młodych. Wieczór rozbrzmiewał kakofonią dźwięków – słyszało się grę na skrzypcach i na flecie, rubaszne śpiewy i śmiechy. Dwie prostytutki wdały się w bójkę i wrzeszcząc, skakały sobie z pazurami do oczu, a gapię dookoła kibicowali im i klaskali.

Dom Ledy Sheridan, wąski, czteropiętrowy, stał na końcu Brydges Street, przy rogu York Street. Drzwi frontowe były pomalowane na jaskrawoczerwony kolor. Po obu ich stronach stały zapalone lampy

naftowe, ale nic nie wskazywało, że jest to jeden z najsłynniejszych londyńskich burdeli. Teraz oboje weszli po schodkach i James zadzwonił.

Drzwi natychmiast otworzył jakiś krzepki wykidajło w szkarłatnym mundurze gwardii i w białych, zapinanych na guziki rajtuzach, które przypominały te noszone przez wojsko, choć na jego głowie zamiast żołnierskiej czapki tkwiła sfatygowana biała peruka. Miał złamany nos, wykrzywiony w literę S. Brakowało mu przednich zębów.

– Czym można łaskawemu panu służyć? – zapytał tonem w równym stopniu służalczym, co szyderczym.

– Chciałbym pomówić z panią Sheridan – oświadczył James, odchrząkując. – Mam nadzieję urządzić tu przyjęcie dla przyjaciół.

– A pana nazwisko?

– Nie zna mnie pan? Wicehrabia Wolstenholme, z Wolstenholme Hall.

– Jego lordowska mość zechce wybaczyć. Proszę wejść. Przekażę pani Sheridan, że państwo przybyli.

Beatrice i James weszli do holu, w którym unosił się mocny zapach piżmowych perfum. Ściany, udekorowane karminowymi aksamitnymi draperiami, pokrywała różowa tapeta z malunkami nagich nimf oraz hojnie obdarzonych przez naturę pasterzy i faunów grających na fujarkach. Beatrice słyszała dochodzące z piętra śmiechy i tupot stóp. Jakaś dziewczyna krzyknęła: „Nie, ty łajdaku! Jak śmiesz!”, choć było jasne, że bardziej żartuje, niż naprawdę jest zła.

Krzepki wykidajło wprowadził ich do salonu również wyklejonego tapetą, tym razem musztardowożółtą, z rysunkami przedstawiającymi Rzymian w togach i tańczące wokół nagie dziewczęta. Nad kominkiem wisiał wielki obraz olejny, na którym satyr uprawiał miłość z kobietą o wielkich pośladkach, a w kominku płonął ogień. Stały tu dwie ogromne kanapy obite fioletowym aksamitem i pasujące do nich cztery fotele.

– To mój pierwszy raz w domu rozpusty – rzucił James, rozglądając się po salonie. – Muszę powiedzieć, że to robi wrażenie. – Skinął głową w kierunku obrazu nad kominkiem. – Nie jesteś zgorazona?

Beatrice uśmiechnęła się.

– Życie w New Hampshire bywa bardzo prozaiczne, James. Nieraz już widywałam pupy kobiet.

Chwilę później do salonu weszła drobna kobieta w czarno-czerwonej sukni. Dekolt był tak głęboki, że jej pełne piersi wylewały się z niego i zdawało się, że gdyby tylko kichnęła, obie by z niego wyskoczyły. Na ramionach miała udrapowany szal z czarnej koronki, a na głowie błyszczący kapelusz z trzema ogromnymi czarnymi strusimi piórami, niemal tak wysokimi jak cała jej postać.

Beatrice przemknęło przez myśl, że ta kobieta musiała być w młodości bardzo atrakcyjna. Miała wydatne kości policzkowe, malutki zadarty nosek i zmysłowe usta w kształcie serduszka. Teraz jednak jej oczy były podpuchnięte i zmieniły się w szparki, a na twarzy widniały przyklepione trzy czarne muszki – dwie w kształcie gwiazdek, jedna półksiężyc. Muszka nad górną wargą kokietowała, ta obok lewego oka miała sugerować zmysłowość, a ta na policzku – dumę. Zapewne wszystkie oznaczały również, że kobieta ukrywa owrzodzenia spowodowane przez syfilis.

– Witam serdecznie waszą lordowską mość – odezwała się. – Leda Sheridan, do usług. Mogę spytać, co pana dziś do nas sprowadza?

– Oczywiście – odrzekł James. – Niech mi będzie wolno przedstawić moją towarzyszkę, pannę Pandorę Stevens.

– Panno Stevens. – Leda Sheridan skinęła głową, powiewając strusimi piórami, choć ledwie raczyła rzucić okiem na Beatrice.

Było jasne, że niespecjalnie szanuje kochanki, bez względu na to, jak znamienici mogą być opiekunowie.



– Mój bliski przyjaciel się żeni. Chciałbym więc urządzać tu wesołą przedmażeńską celebrację dla niego i szesnastu innych dżentelmenów – powiedział James. – Myślałem o dziewiątym dniu przyszłego miesiąca, gdyby to było możliwe.

– Sądzę, że mogłabym to dla pana i pańskich gości zorganizować, wasza lordowska mość – odparła Leda Sheridan. – Chodziłoby panu o jakiś szczególny temat?

– Zależy mi, żeby było egzotycznie – wyjaśnił James. – Różne dziewczyny o różnej narodowości, jeśli to możliwe. Na przykład jakaś Chinka czy dwie, Arabka, Hotentotka, jeśli ma pani takie do dyspozycji.

– Mam dwie Chinki... to znaczy jedna jest Chinką, druga Japonką – sprecyzowała Leda Sheridan. – Mogę również zapewnić panu ciemnoskórą Berberyjkę z Maroka i jedną dziewczynę o bardzo ciemnej karnacji z Hiszpanii.

– A czarnych nie ma?

– Myślę, że zdobyłabym jedną czy dwie. Zechce pan usiąść, wasza lordowska mość, to opowiem panu dokładnie, jaki rodzaj rozrywki jestem w stanie zapewnić, jakie przekąski i napoje i jaki byłby w przybliżeniu koszt takiej imprezy.

– Wspaniale. – James usiadł na jednej z miękkich kanap, a Leda Sheridan zajęła miejsce obok niego, bardzo blisko.

– Czy mogłabym skorzystać z toalety? – spytała Beatrice.

Leda Sheridan spojrzała na nią i cmoknęła z irytacją.

– Jest na końcu holu, po prawej stronie.

Beatrice podziękowała i wyszła z salonu. Wiedziała, że ma bardzo mało czasu, a z tego, co mówiła Leda Sheridan o czarnych dziewczynach, wynikało, że Grace raczej tu nie ma. Mimo to podeszła do schodów, gdzie na słupku stał odlany z brązu posąg zmysłowej nagiej kobiety. Z góry wciąż

dobiegały śmiechy i tupoty. Beatrice zerknęła w stronę salonu, by upewnić się, czy Leda jej nie widzi, po czym szybko ruszyła w górę.

Kiedy dotarła do podestu, drzwi po lewej stronie się otworzyły i ze środka wypadły dwie rozchichotane dziewczyny. Ruda i brunetka. Brunetka miała na sobie jedynie krótką koszulkę, a rudowłosa, z nagimi piersiami, tylko halki.

– Dam wam za to obu po pupie! – zawołał z pokoju ochrypły głos.

Mężczyzna najwyraźniej był albo pijany, albo czymś odurzony.

– Halo, złotko! – odezwała się ruda na widok Beatrice. – Jesteś tu nowa?

– No... tak – potwierdziła Beatrice. – Ale szukam przyjaciółki. Czarnej dziewczyny. Ma na imię Grace.

– Wracajcie tu zaraz, bo po was pójde! – krzyknął mężczyzna. – Żeby tak mnie obsikać!

– Och, zamknij jadaczkę! – wrzasnęła brunetka. – Podobało ci się, gogusiu! Bo wróć i zrobię na ciebie coś jeszcze!

– Jest tu taka jedna czarna. Ale nie ma na imię Grace – powiedziała ruda. – Pani Sheridan nazywa ją YaYa.

– Gdzie ją znajde? – spytała Beatrice.

– Chodź, pokażę ci. Czeka ją niezłe kuku. O północy ma być wielkie przyjęcie, a ona jest główną atrakcją, co, Ellie?

– Na szczęście nie ja. – Brunetka wzdrygnęła się ostentacyjnie.

Ruda poprowadziła Beatrice korytarzem do ostatnich drzwi. Dywan był nierówny i Beatrice musiała uważać, żeby się nie potknąć.

– Przyjechała dopiero wczoraj i prawie cały czas śpi, nie miałam okazji z nią pogadać – oznajmiła rudowłosa.

Bez pukania otworzyła drzwi i weszła.

Pokój był mały i ciemny. Pachniał piżmem i potem, i jakimś jabłkowym aromatem, jak wrotycz. Pośrodku stało duże łóżko z mosiężnym obramowaniem u wezgłowa i w nogach, z masą poduszek, ale bez żadnych koców, choć panował tu chłód. Na materacu z końskiego włosia leżała czarna dziewczyna. Miała na sobie jedynie bawełnianą białą koszulę, która podjechała jej do pasa.

– To twoja przyjaciółka? – spytała rudowłosa.

Beatrice weszła do pokoju i przecisnęła się na drugą stronę łóżka. Dziewczyna trzymała dłoń na twarzy, więc Beatrice przyklękła na dywaniku obok łóżka i odsunęła jej rękę. To była Grace.

– Grace. – Beatrice potrząsnęła jej ramieniem. – Grace.

– Lepiej już pójdę – odezwała się ruda. – Bo ten waźniak zaraz zacznie wołać panią Sheridan i każe sobie oddać pieniądze. Do zobaczenia, złotko, dobrze?

– Tak – powiedziała Beatrice. Obróciła się do Grace i potrząsnęła nią znowu. – Grace, słyszysz mnie? Grace, to ja, Beatrice. Grace!

Szarpnęła ją trzy, cztery razy, aż wreszcie Grace otworzyła oczy. Patrzyła długo na Beatrice, nic nie mówiąc, a potem oblizwała usta.

– Grace, proszę, postaraj się obudzić. Przyszłam cię stąd zabrać.

Oczy Grace były szkliste, nie potrafiła skupić wzroku. Beatrice zastanawiała się, czy dziewczyna w ogóle ją widzi. Znów oblizwała usta.

– Gdzie ja jestem? – spytała.

– Grace, jesteś w burdelu. George Hazzard zabrał cię ze schroniska Świętej Marii Magdaleny i przywiózł tutaj. Proszę, Grace, postaraj się obudzić. Musimy cię stąd szybko wyprowadzić.

– Kim jesteś? – szepnęła Grace.

– To ja, Beatrice... Beatrice, mama małej Florence. Proszę, Grace, mamy mało czasu. Myślisz, że dasz radę wstać?

Grace nie odpowiedziała, a po czterech, pięciu sekundach znów zamknęła oczy i jej oddech stał się głęboki i równy.

Bez wątpienia została czymś odurzona, pomyślała Beatrice. Bóg jeden wie czym, pewnie laudanum. Ale jeśli musieli ją czymś nafaszerować, to niemal na pewno nie przyjechała do Ledy Sheridan z własnej woli.

Beatrice wstała, zastanawiając się, co robić dalej. Mogła wyjść i zawołać strażę, ale musiałyby potem dowieść, że Grace została porwana. Wystarczy, że Leda Sheridan temu zaprzeczy, a strażnik nie podejmie żadnych dalszych działań. Z tego, co dziewczyny w schronisku opowiadały jej o burdelmamach, Leda na pewno opłaca strażę, by przymykały oko na to, co się u niej dzieje, albo pozwala im używać za darmo dziewczyn, albo i jedno, i drugie.

Nawet gdyby Grace się dobudziła, kiedy przyjdzie strażnik, i sama oświadczyła, że przywieziono ją tu wbrew jej woli, to przecież Grace jest czarna, a w dodatku to prostytutka, więc nikt jej nie uwierzy.

Beatrice mogła pójść na dół i powiedzieć Jamesowi, że Grace tu jest, a James pewnie miałby dość siły, by wynieść ją na rękach, ale bardzo wątpiła, by zdołał pokonać wykidajkę Ledy Sheridan.

Rudowłosa mówiła, że Grace ma być główną atrakcją imprezy o północy, więc pewnie miała się do tego czasu obudzić. Beatrice pomyślała, że gdyby zdołała się ukryć w tym domu, aż Grace odzyska przytomność, może znalazłaby sposób, żeby obie uciekły.

Szybko zeszła do salonu. James i Leda skończyli już omawianie przyjęcia, które chciał zorganizować „wicehrabia Wolstenholme”.

– O, Pandora! Myślę, że wszystko już uzgodniliśmy, ku obopólnemu zadowoleniu. Możemy już iść?

Zadźwięczał dzwonek przy drzwiach i wykidajło w szkarłatnym uniformie przeszedł przez salon, zmierzając do holu. Beatrice usłyszała

dźwięk otwieranych drzwi, a potem ochryple śmiechy mężczyzn i głosy kobiet szczebioczących jak stadko zięb. Do domu wsypało się trzydzieści, czterdzieści osób. Niektórzy zaglądali do salonu i witali Ledę uniesieniem dłoni.

– A zatem, wasza lordowska mość, życzę panu miłego wieczoru. Muszę teraz zająć się gośćmi.

– Oczywiście – powiedział James. – I dziękuję za wszystkie pomysłowe sugestie co do mojego przyjęcia! Dalmatyńczyki? Cudownie! Pięć dziewczyc deflorowanych przez dalmatyńczyki! Będzie się o tym mówić latami!

Leda Sheridan wyszła do holu, gdzie powitały ją gromkie okrzyki „pani Sheridan!” i „*bravissima!*”.

Beatrice nachyliła się do Jamesa.

– Ona tu jest, James – oznajmiła ściszym głosem. – Znalazłam ją w sypialni na górze. Jest odurzona i nie mogłam jej dobudzić.

– Mój Boże – szepnął James. – Ale co możemy zrobić? Nie sądzę, żeby mieli patrzeć spokojnie, jak ją stąd zabieramy, prawda?

– Zastanawiałam się nad wezwaniem straży, jednak myślę, że to by nic nie dało. Pani Sheridan na pewno ma całą Drury Lane w kieszeni.

– No... moglibyśmy odbić ją siłą – rzucił James, rozglądając się, czy przypadkiem nie słyszy ich Leda Sheridan. – Ojcowie i bracia niektórych moich uczniów to prawdziwe rzezimieszki, wierz mi. Mógłbym zebrać ich jutro rano. Sforsowalibyśmy drzwi i wynieśli ją, czy jej wysokości to się spodoba, czy nie.

– Mam inny pomysł – odparła Beatrice. – Schowam się tu gdzieś i zaczekam. Jedna z dziewczyn mówiła, że Grace ma być główną atrakcją wieczoru, cokolwiek to znaczy. Może potem, kiedy wszyscy pójdą spać, zdołam pomóc jej się stąd wymknąć.

Dzwonek przy drzwiach zadźwięczał znowu i po chwili do środka wtłoczyli się kolejni goście. Niektórzy z tych poprzednich musieli cofnąć się do salonu, żeby zrobić miejsce dla nowych. Wszyscy mieli na twarzach maseczki, tak jak Beatrice. Mężczyźni czarne, niczym rozbójnicy, piraci albo demony, a kobiety jedwabne, z cekinami i perełkami. Byli elegancko ubrani, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Wiele dam miało na sobie koronkowe lub organdyne staniczki, przez które prześwitywały nagie piersi. Wszyscy śmiali się i krzyczeli, podekscytowani i wyraźnie pijani.

– Chyba nawet nie muszę się nigdzie chować – powiedziała Beatrice. – Bez trudu wmieszam się w tłum, a pani Sheridan nawet mnie nie zauważy.

– Jesteś pewna? – spytał James. – Jak cię rozpozna, zrobi się piekło.

– Nie sądzę, żebym musiała martwić się piekłem czy nawet samym diabłem, James. Bardziej ludźmi, którzy zachowują się jak on. Zresztą co mogą mi zrobić? W najgorszym wypadku wyrzucą mnie na ulicę.

– Zaczekam na ciebie – powiedział. – Tawerna Denmark jest kilka domów stąd i nie zamykają jej, póki ostatni gość nie zwali się na podłogę. – Ujął jej rękę i szybko ucisnął, po czym pocałował ją w policzek. – Proszę tylko o jedno. Bądź bardzo ostrożna, dobrze?

## Rozdział 32

Drzwi frontowe nadal były otwarte na oścież i w holu kłębili się rozwrzeszczani, przepychający się jeden przez drugiego goście. James musiał łokciami torować sobie drogę do wyjścia, a Leda Sheridan nie zauważyła, że opuszcza jej dom sam. Zresztą była już teraz w połowie schodów na górę i uniosła ręce, aby zwrócić uwagę zebranych.

– Proszę o chwilę ciszy! Witajcie, witajcie, życzę wam wszystkim miłego wieczoru! Dziś będziecie świadkami najbardziej szokującego i niezwykłego spektaklu, jaki kiedykolwiek widzieliście! Na mój honor przysięgam, że nikt z was nigdy w życiu tego nie zapomni!

Rozhulane towarzystwo wiwatowało. Rozległy się gromkie oklaski. Beatrice stała w tłumie, ale blisko ściany, ukryta przed wzrokiem Ledy Sheridan za jedną z czerwonych aksamitnych draperii zwisających z sufitu.

– Jako poczęstunek macie wina wszelkiego rodzaju oraz holenderski gin i brandy – ciągnęła Leda Sheridan. – Zostaną również podane ostrygi i wędliny, i przepiórki, i kurczaki, a także kruche ciasteczka i tarty, i różne łakocie. I żeby jeszcze bardziej zaostrić wam apetyt, dodam, że główną atrakcją tego wieczoru będzie smakowita czarna dziewczica z najciemniejszej Afryki, YaYa!

Nastąpiły kolejne wiwaty, jeszcze głośniejsze niż przedtem. Potem Leda Sheridan zeszła ze schodów i ruszyła przez hol w głąb domu, a jej czarne strusie pióra kołysały się niczym te, którymi przystraja się łby koni ciągnących karawan. Goście gromadnie podążyli za nią, rozgadani, śmiejąc się hałaśliwie, a Beatrice razem z nimi. Trzymała się blisko jakiegoś bardzo wysokiego jegomościa, który miał na twarzy wenecką karnawałową maskę z długim nosem. Otaczało go cztery czy pięć młodych kobiet. Beatrice

liczyła, że może być uznana za należącą do jego grona. Był ubrany w drogi pomarańczowy surdut ze złotym szamerunkiem i złożonymi guzikami. Mówił gromkim, tubalnym głosem, tonem nieznoszącym sprzeciwu. Uznała, że musi być kimś ważnym.

Przez podwójne drzwi goście weszli do sali, gdzie w dużym, wyłożonym niebieskimi kafelkami kominku płonął ogień. Ściany były wytapetowane na niebiesko, a malunki na nich przedstawiały ponętne nagie kobiety podczas zbliżeń z Minotaurem i centaurami. Kiedy goście weszli, czterech muzyków siedzących w odległym kącie zaczęło grać *Panią przyjemności* – skrzypek, wiolonczelista, flecista i fagocista, wszyscy w misternie ułożonych perukach, ubrani na biało.

Przy ścianie z lewej strony przygotowano nakryty białym adamaszkowym obrusem długi stół, na którym podano poczęstunek w srebrnych wazach i misach, na półmiskach i na paterach. Były też czerwone, zielone i pomarańczowe galaretki i kilkadziesiąt butelek wina i mocnych alkoholi oraz kryształowe kieliszki i szklanki.

Po prawej stronie mieściła się niska półkolista scena, której brzeg zdobiły jedwabne białe róże i chryzantemy, a także kokardy z jedwabnych wstążek. W centrum sceny stał owalny stół, pewnie dwumetrowej długości. On również był nakryty białym adamaszkowym obrusem.

Wokół sceny ustawiono około trzydziestu złożonych krzeseł, choć do sali ścigało coraz więcej gości i Beatrice sądziła, że musi ich już być blisko setki. Jedynym oświetleniem było sześć srebrnych świeczników na stole. Główny żyrandol pozostawał niezapalony. To powodowało stałą grę ruchomych cieni, jakby wewnątrz wypełniał nie tylko tłum żywych ludzi, ale też wspomnień o tych, którzy odeszli, i duchów.

Beatrice znalazła sobie miejsce przy odległym krańcu sceny, gdzie było najciemniej, choć widziała, że Leda Sheridan jest zbyt zajęta zajmowaniem



się swoimi gośćmi, by ją zauważyć. Zresztą nawet gdyby ją dostrzegła, pewnie by jej nie rozpoznała, bo podczas rozmowy z Jamesem nie zwracała na nią większej uwagi.

Kiedy wreszcie wszyscy balowicze już weszli, Leda Sheridan wspięła się na scenę i klasnęła w dłonie. Drzwi z tyłu sceny natychmiast się otworzyły i do sali tanecznym krokiem wparowało pięć nagich dziewcząt. Podobnie jak goście, nosiły na twarzach maseczki. Na szyjach miały naszyjniki z czerwonych agatów, na rękach bransolety. Włosy łonowe były dokładnie wygolone, a na prawym pośladku każda miała wytatuowanego łabędzia. Prawdopodobnie po to, by zaznaczyć, że należą do Ledy. Jedna z dziewczyn musiała być Chinką albo Japonką, jedna była ciemna, o mocno kręconych czarnych włosach, ale Grace wśród nich nie było.

Dziewczyny szybko podbiegły na palcach do stołów i zaczęły nalewać wino i roznosić talerze z ostrygami i plastrami zapiekanki z dziczyzną. Krzyki i śmiechy w sali były niemal ogłuszające, szczególnie gdy dziewczyny podawały napoje mężczyznom, bo za każdym razem głaskały przy tym ich krocza.

Leda Sheridan skinęła w stronę drzwi z tyłu sceny. Pojawiły się dwie kolejne dziewczyny. Miały na sobie różowe suknieienne i wysokie różowe peruki. Obie były w różowych jedwabnych maseczkach, przystrojonych puszystymi różowymi piórkami. Kiedy weszły na scenę, orkiestra zaczęła grać *Igraszki*, a publiczność klaskała do rytmu.

Suknie były sznurowane z przodu. Dziewczyny zaczęły rozwiązywać wstążeczki. Zwracając się to w lewo, to w prawo, pozwalały publiczności podejrzeć ich nagie ciało pod spodem. A potem stopniowo zsunęły z ramion suknie, odsłaniając piersi. Wirowały chwilę, aż stroje opadły na podłogę. Włosy łonowe tych dwóch nie były ogolone do końca, ale zostały przystrzyżone w kształt serduszka i utlenione na białe.

Objęły się i pocałowały lubieżnie. Potem stanęły obok siebie, naprzeciw widowni, i odsłoniły swoje waginy palcami tak szeroko, jak się dało. Publiczność zaczęła wiwatować i bić brawo, zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Jedna z dziewczyn wspięła się na stół, położyła się i rozchyliła uda. Druga sięgnęła pod blat i wyjęła stamtąd wielkiego, wypolerowanego na błysk hebanowego penisa. Przyłożyła jego główkę do odbytu partnerki i zaczęła go powoli wpychać, kręcąc od czasu do czasu, aż wystawał tylko jakieś dwa centymetry. Muzycy grali *Igraszki* coraz szybciej, a publiczność przytupywała i klaskała.

Dziewczyna stojąca przy stole nachyliła się, wysunęła język i zaczęła lizać łechtaczkę leżącej, poruszając jego koniuszkiem w tempie muzyki. Po dwóch, trzech minutach leżąca wydała cichy okrzyk, wstrząsnęły nią konwulsje i zaczęła wierzgać nogami, na co nawet siedząca część widowni poderwała się z miejsc tak gwałtownie, że aż przewróciło się kilka krzesel.

Dziewczyny opuściły scenę, po czym nastąpiły trzy kolejne przedstawienia. Najpierw dwóch grubych włochatych mężczyzn w żalonych maskach kłownów uprawiało seks z gołą dziewczyną w masce uśmiechniętej wróżki. Beatrice nie potrafiła odgadnąć jej wieku, ale jej piersi dopiero kiełkowały, czyli nie mogła mieć więcej jak trzynaście, czternaście lat.

W drugiej scenie młoda brunetka o nagich piersiach, w białej sukni balowej, stymulowała oralnie dwóch nagich mężczyzn, gorączkowo nachylając się to do jednego, to do drugiego, aż obaj trysnęli jej w twarz nasieniem, które się do niej przylepiło i skapywało z jej ust i czubka zadartego nosa.

– O wielkie nieba! – zakrzyknęła jedna z młodych kobiet z grupy mężczyzny w pomarańczowym surducie, przyciskając dłoń do ust. – Chyba

zaraz zwrócę to, co zjadłam!

Ten w pomarańczowym surducie stał tuż za nią. Poklepał ją po ramieniu.

– Wiesz, co mówią, droga Gemmo?! – ryknął. – Lepsze fellatio niż nic.

Następnie trzech mężczyzn i trzy kobiety z przywiązanymi sztucznymi penisami tańczyli w kole, wykonując znaczące ruchy biodrami, czemu towarzyszyła melodia *Wesołego gówienia* i sugestywne dźwięki fagotu.

Ale gdzie jest Grace? – zastanawiała się Beatrice. Ta ruda mówiła, że ma być główną atrakcją wieczoru, i Leda Sheridan zapowiedziała ją jako YaYe, a tu ani śladu po niej. Może nadal jest zbyt odurzona, żeby występować.

Pięć nagich dziewcząt krzątało się pilnie, dolewając do kieliszków i szklanek, rozdając okrągłe ciasteczka posypane cukrem i galaretki, aż wreszcie Leda Sheridan znów weszła na scenę.

– A teraz główna atrakcja dzisiejszego przedstawienia! Coś, co, jak ręczę, zapewni dżentelmenom, których mam zaszczyt gościć, najtwardszy wzwód, jaki kiedykolwiek mieli, a każda dama poczuje, jak jej szparka Ewy zaleje się sokiem!

Muzycy zaczęli grać powolną wersję *Zlegnij przy mnie, o pani*. Drzwi w głębi sceny znów się otworzyły i pojawiła się Grace, okryta długim białym jedwabnym płaszczem obszytym białymi piórami, podtrzymywana przez dwóch mężczyzn, którzy występowali już w poprzednich scenach. Obaj mieli obnażone torsy, ale teraz byli w obcisłych białych spodniach za kolana.

Beatrice widziała, że oczy Grace są otwarte, lecz jej wzrok nadal jest szklany. Kiedy wchodziła, miało się wrażenie, że kolana uginają się pod nią. Dwaj mężczyźni musieli unieść ją, by stanęła na scenie. Była w tej sali

jedyną osobą bez maski i patrzyła na tłum zebranych, jakby nie rozumiała, gdzie się znajduje i co właściwie tu robi.

Podczas gdy obaj mężczyźni ją podtrzymywali, dwie z nagich dziewcząt podających napoje weszły na scenę i stanęły po bokach Grace. Leda Sheridan klasnęła w dłonie, a muzycy zagrali dramatyczny akord. Na ten sygnał dziewczyny zdarły z Grace płaszcz i cisnęły go ze sceny. Teraz i ona znalazła się na niej całkiem naga. Miała pełne piersi, o zmarszczonych sutkach, ciemnych jak suszone śliwki, ale poza tym była bardzo chuda. Kości miednicy odznaczały się wyraźnie, a między udami była przerwa.

Mężczyźni podnieśli ją i położyli na plecach na stole. Dziewczyny przewiązały jej nadgarstki i kostki nóg jedwabnymi wstążkami. Następnie zadarły serwetę, odsłaniając cztery mosiężne obręcze przyczepione pod blatem, przeplotły przez nie wstążki i mocno zawiązały, tak że Grace nie mogła się ruszyć. Nie walczyła. Uniosła tylko lekko głowę, a potem znów pozwoliła jej opaść, jakby nadal była zamroczona.

Dwaj mężczyźni i dwie dziewczyny opuścili scenę, muzycy zagrali kolejny akord. Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich muskularny młody człowiek o zmierzwionych czarnych włosach, z tatuażami na piersi i przedramionach. Beatrice pomyślała, że na swój brutalny sposób jest przystojny. Miał głęboko osadzone oczy i grube, wydęte wargi. Z jego wyglądu domyślałaby się, że to żeglarz albo raczej przewoźnik. Był całkiem nagi, jego pierś porastały szorstkie czarne włosy, nogi miał włochate jak u małpy. Trzymał swojego penisa o fioletowej główce w zaciśniętej lewej dłoni. I już miał połowiczny wzwód.

Harmider w sali przybrał jeszcze na sile, a kiedy włochaty mężczyzna wszedł na scenę, niektórym paniom wyrwał się okrzyk zachwyty. Obrócił się do rozbawionej widowni i wykrzywił usta w uśmiechu, oblizując pełne

wargi, po czym zaczął mocno poruszać swym penisem – cztery, pięć razy – jakby ubijał masło.

Dobry Boże, pomyślała Beatrice, co on zrobi biednej Grace? Choć w pokoju panował ścisk i było gorąco, krew jej zmroziło i nie mogła opanować drżenia.

Włochaty mężczyzna wdrapał się na stół i na czworakach pochylił się nad Grace. Ta znów uniosła głowę. Popatrzyła na niego i wydała cichy, żalospny jęk, jakby wiedziała, co on zamierza.

A on opuścił się między jej kościste czarne uda i otworzył ją kciukiem i palcem wskazującym, żeby móc wbić w nią penisa jak najgłębiej. Potem zaczął powoli i rytmicznie poruszać pośladkami. Do góry i w dół, stękając przy każdym pchnięciu.

Widownia ucichła, ale kiedy on nacierał mocniej i mocniej – tak mocno, że biodra Grace podskakiwały i uderzały o blat za każdym razem – jeden z mężczyzn zaczął odliczać na głos.

– Jeden pens! Dwa pensy! Trzy pensy! Cztery!

Dwóch z jego kompanów się dołączyło i wkrótce wszyscy balownicy odliczali chórem. Włochaty mężczyzna obejrzał się na nich i wyszczerzył zęby w uśmiechu, oblizując lubieżnie usta, żeby pokazać im, jak mu dobrze. Pocił się teraz obficie. Krople jego potu kapały na piersi Grace, a jego twarz była tak czerwona jak świeżo ugotowany krab, ale poruszał się coraz szybciej i coraz gwałtowniej, pomrukując głośniejsze i głośniejsze. Oczy Grace były zamknięte. Mogła być nieprzytomna. Beatrice miała nadzieję, że tak jest.

Kiedy jednak odliczanie doszło do stu, niektórzy widzowie zaczęli krzyczeć:

– Gdzie on jest? Gdzie *nim gimmer*? Obiecałaś nam go, gospodyni! Gdzie *nim gimmer*?

Beatrice rozejrzała się po tłumie, zdezorientowana i przestraszona. *Nim gimmer* było żargonowym określeniem chirurga, to wiedziała, ale po co ci rozochoceni pijacy wzywiliby lekarza?

– *Nim gimmer! Nim gimmer!* – skandowali mężczyźni, ochrypli od alkoholu i z podniecenia.

Kobiety wtórowały im piskliwymi głosami, a wszyscy klaskali w rytm sapania włochoatego mężczyzny.

Drzwi z tyłu sceny nagle znowu się otworzyły, co zostało powitane wiewatami całej widowni. Ukazała się w nich wysoka męska postać w długiej do ziemi białej szacie, ze spiczastym kapturem na głowie, niczym zjawa albo pokutnik, który zakrywa twarz, pozostawiając tylko dwie małe dziurki, by coś widzieć. Mężczyzna bez wahania wkroczył na scenę i stanął obok owalnego stołu.

– *Nim gimmer! Nim gimmer!* – skandował tłum.

Mężczyzna w białej szacie spojrzał na włochoatego. Beatrice miała wrażenie, że dostrzegła błysk w jego oczach. Zdawał się podniecony lub zdenerwowany, bo materia na jego twarzy poruszała się szybko, kiedy oddychał. Włochoaty skinął głową i powiedział coś do niego, ale dokoła panował taki zgiełk, że Beatrice nie mogła usłyszeć, o co chodzi. Jednak włochoaty zwolnił swoje pchnięcia i za każdym razem całkowicie wyjmował penisa z waginy Grace, po czym dopiero po kilku sekundach wciskał go znowu.

– No już, dość tego, drogi panie! – krzyknął mężczyzna w pomarańczowym surducie. – Daj nam to, za co sowiecie zapłaciliśmy!

Mężczyzna w białej szacie sięgnął między jej fałdy i wyciągnął krótką szablę przypominającą kindżał. Uniósł ją nad głowę i pokręcił nią, a balownicy ryknęli z uciechy.

Beatrice ledwie powstrzymała okrzyk. Nie! Przecież jej nie zrani? O dobry Boże, nie pozwól, by zrobił jej jakąś krzywdę!

Mężczyzna w białej szacie podszedł bliżej stołu i uniósł kindżał nad szyją Grace. Znów popatrzył na włochatego. Skinęli jednocześnie głowami, jak muzycy, którzy mają wspólnie odegrać jakiś utwór.

Beatrice wstała.

– Nie! Nie możecie! Przestańcie! – krzyknęła. – Przestańcie! Nie wolno!

Próbowała przepchnąć się do sceny, ale nie mogła sforsować rzędów ciasno stojących przed nią krzeseł, a teraz coraz więcej widzów wstawało, uniemożliwiając jej przebicie się naprzód.

Nie przestawała krzyczeć.

– Nie! Nie możecie! Na Boga, nie wolno wam!

Ale jej głos tonął we wrzaskach, tupotach i ogólnym zgiełku.

Grace nadal nie otwierała oczu. Jeśli była przytomna, musiała słyszeć wrzawę, lecz nie zdawała sobie sprawy z tego, co miało nastąpić.

Włochaty skinął głową, a ten w białej szacie nachylił się i przeciął szyję Grace od lewej do prawej strony. Na obrus trysnęła ciemnoczerwona krew. Grace, zszokowana, otworzyła oczy, ale wtedy mężczyzna w białej szacie przerznął jej szyję raz jeszcze, rozcinając jej kręgi mocnym szarpnięciem nadgarstka z wprawą rzeźnika ze Smithfield.

Głowa Grace potoczyła się na bok i spadła ze stołu na scenę. W tym samym momencie włochaty mężczyzna wydał krzyk rozkoszy i szczytował, tryskając spermą w pozbawione głowy ciało. Mięśnie jego pośladków i nóg były napięte, stopy podgięte do góry.

W sali zapanował chaos. Mężczyźni krzyczeli i chwyтали kobiety, podwijali im halki i sięgali między nogi, jednocześnie ściągając im gorsety

i obnażając piersi, a kobiety spiesznie odpinały guziki ich spodni i wsuwały dłonie do środka, by wyswobodzić ich nabrzmiałe członki.

Beatrice waliło serce. Nie była w stanie oddychać. Usiadła na krześle i opuściła głowę, ale zrobiło jej się ciemno przed oczami, krzyki i śmiechy jakby ginęły w oddali. Wiedziała, że jest bliska omdlenia.

Jakiś mężczyzna w niebieskim surducie podszedł do niej.

– Hej, kochana, co powiesz na to, żebyśmy trochę pobaraszkowali?

Nie miała nawet siły podnieść na niego wzroku. Widziała tylko jego surdut i spodnie.

– Nie – powiedziała, ale własny głos wydawał się jej obcy.

Zdołała wstać. Nie obejrzała się na scenę, choć dostrzegła, że włochaty zeskoczył już ze stołu i triumfalnie unosi ręce, jak mistrz bokserki. Przytrzymała się oparcia krzesła, żeby nie upaść, po czym zaczęła się przeciskać przez tłum rozemocjonowanych gości.

W holu zobaczyła Ledę Sheridan rozmawiającą z dwoma mężczyznami w czarnych maskach piratów. Śmiała się. Beatrice przeszła tuż obok niej, ale ona nawet na nią nie spojrzała. Beatrice ruszyła do wyjścia, gdzie stał wykidajło w szkarłatnym uniformie. Robił wrażenie znudzonego. Otwierając jej drzwi, powiedział:

– Życzę panience dobrej nocy. Wcześniej panienka wychodzi. Mam nadzieję, że dobrze się panienka bawiła.

Jeszcze nigdy w życiu Beatrice nie chciała nikogo przeklinać, nigdy dotąd nie życzyła nikomu, by na wieki smażył się w ogniu piekielnym. Ale w tamtej chwili niewiele brakowało, żeby wykrzyczała to na głos. Jednak nie odezwała się słowem, tylko wyszła na pograżoną w ciemnościach ulicę. Musiała poszukać Jamesa.



## Rozdział 33

James siedział w zadymionej salce w głębi tawerny Denmark. Przed sobą na stole miał cynowy kufel piwa i rozłożoną gazetę, „London Chronicle”. Banda pijanych mężczyzn stojących przy barze powitała wejście Beatrice gwizdami i okrzykami uznania. Najwyraźniej wzięli ją za ładną prostytutkę, która przyszła do tawerny znaleźć sobie jakiegoś eleganckiego klienta.

Kiedy tylko James ją zauważył, złożył gazetę i wstał.

– Beatrice! Co się stało? Jesteś blada jak upiór! I mój Boże, płakałaś!

Wyszedł zza stolika i ją przytulił. Nadal było jej potwornie zimno, jakby już nigdy nie miała poczuć ciepła. Cała się trzęsła. Nie mogła opanować dreszczy.

– Usiądź – powiedział James. – Chcesz się czegoś napić? Odrobinę brandy? Czemu jesteś taka zdenerwowana?

Dopiero po dłuższej chwili i kilku głębokich wdechach udało się jej wykrztusić, że Grace odcięto głowę dla rozrywki ryczących ze śmiechu gości Ledy Sheridan. James siedział nieruchomo i słuchał z powagą, trzymając ją za rękę.

– Wprost trudno mi w to uwierzyć – odezwał się, kiedy skończyła. – Słyszałem opowieści o bogatych ludziach, którzy gotowi są płacić setki gwinei za to, by móc patrzeć, jak się morduje dziewczyny, ale zawsze myślałem, że to tylko wytwór czyjejś chorej wyobraźni. Musiałaś przeżyć straszny szok! Na pewno nie chcesz, żebym zamówił ci brandy?

– Powinniśmy iść na Bow Street do sądów – powiedziała Beatrice. – Dowód nadal tam jest. Jak Leda Sheridan zdoła zaprzeczyć, że zabiła

Grace, kiedy ciało tej biednej dziewczyny leży tam, żeby wszyscy mogli je sobie oglądać? Och, i ta masa krwi! Krew była wszędzie!

James zastanawiał się chwilę, nadal trzymając jej dłoń.

– Zdaję sobie sprawę, jakie to barbarzyństwo – rzekł wreszcie. – Wszyscy odpowiedzialni powinni zostać aresztowani i osadzeni w więzieniu. Ale musisz być bardzo ostrożna. Tylko ty jedna jesteś gotowa świadczyć przeciwko pani Sheridan i mężczyznom, którzy dokonali tej zbrodni. Nikt z tamtej publiczności nie przyzna, że zapłacił, by zobaczyć, jak odcinają głowę dziewczynie w trakcie spółkowania. Przyznanie się do tego uczyniłoby ich, w oczach prawa, współwinnymi morderstwa i nawet jeśli nie zostaliby powieszani albo nie trafiliby do więzienia za udział w czymś takim, miałyby to fatalny wpływ na ich reputację.

– Na wszystko, co święte, James... nie sądzisz, że na to zasługują?

– Nie rozumiałaś, o co mi chodzi, Beatrice. Będziesz jedynym świadkiem oskarżenia i bez twoich zeznań sprawa nie trafi do sądu.

– Czy ciało Grace nie jest wystarczającym dowodem?

– Dowodem, że ona nie żyje, tak. Ale kto podciął jej gardło? Widziałaś tylko postać w białym kapturze. To mógł być każdy. Leda łatwo może powiedzieć, że ten człowiek wtargnął tam bez jej wiedzy i zgody i odciął dziewczynie głowę, zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać. I jak go zidentyfikować? Z tego, co wiesz, to był sam szatan.

– Oczywiście, że nie żaden szatan, tylko człowiek. *Nim gimmer*, jak go nazywali, chirurg.

– Skąd masz pewność, że to mężczyzna, skoro nie widziałaś jego twarzy? Przecież twoje ostatnie doświadczenia wskazują wyraźnie, że szatan hula teraz w najlepsze po Londynie.

– James, to był mężczyzna, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– To nieważne, kto zabił Grace. Ważne, że Leda Sheridan ma bliskie układy z ludźmi na stanowiskach i prawdopodobnie wśród publiczności byli tacy, którzy nie cofną się przed niczym, by nie wyszło na jaw, że zapłacili jej za zorganizowanie takiego okrucieństwa. Jeśli nie mieli skrupułów, by zamordować Grace dla seksualnej rozrywki, na pewno nie będą ich mieli, by zrobić to samo z tobą, byle oszczędzić sobie kompromitacji.

– To co ja mam robić, James? Nic? Widziałam, jak na moich oczach odcięto głowę niewinnej młodej kobiecie, i mam to zignorować, jakby jej życie było warte tyle co nic?

– Tego nie mówię, Beatrice. Chodzi mi tylko o to, że musisz pomyśleć poważnie o swoim własnym bezpieczeństwie i bezpieczeństwie Florence. Grace była niegdyś prostytutką, była też czarna, więc sąd może uznać, że jej życie było niewiele warte.

– A ty? Też myślisz, że jej życie było niewiele warte?

– Nie tyle co twoje albo Florence. Podobnie jak wszystkie te dziewczyny ze Świętej Marii Magdaleny, ona wybrała drogę, która łączyła się z ryzykiem.

– Próbowwała się poprawić. Bóg wybacza tym, którzy szczerze żałują grzechów, zapomniałeś o tym?

– Mówisz teraz jak żona pastora – odparł James. – Chodź, odwiozę cię do Maidenhead Court. Powinnaś napić się czegoś ciepłego, położyć do łóżka i dobrze wyspać. Do rana ten szok minie.

Beatrice chciała już powiedzieć, że po tym, co dziś zobaczyła, szok nie minie nigdy, pozostanie na zawsze, ale wiedziała, że James ma rację i powinna wrócić do Maidenhead Court, do Florence. Nie zaśnie, lecz potrzebowała ciepła i pociechy, i czasu do namysłu.

Opuścili tawernę i stanęli na rogu Drury Lane, by zawołać powóz. Noc zrobiła się zimna. Pośrodku ulicy parowały świeże końskie odchody. James spojrział na nią i uśmiechnął się smutno.

– Niepotrzebnie się zgodziłem, by zabrać cię do pani Sheridan, prawda? Czasem myślę, że lepiej nie wiedzieć o najgorszym.

• • •

Kiedy wróciła do schroniska Świętej Marii Magdaleny, zapukała lekko do drzwi Judith. Ta siedziała na łóżku, w papilotach na głowie, wyszywając makatkę – warzywa i jabłonie z mottem: „Miłość sprawia, że wszystko rośnie”.

– O, wróciła pani – powiedziała z uśmiechem. I zaraz dodała: – Coś się stało? Proszę wybaczyć, że to mówię, ale jest pani śmiertelnie blada.

– To tylko zmęczenie – odparła Beatrice. – Jak tam Florrie?

– Raz się zbudziła. Podobno śniło jej się, że do pokoju wszedł jej braciszek. Zdenerwowała się, ale dałam jej pić, zaśpiewałam piosenkę i szybko zasnęła.

– Dziękuję, Judith. Jestem ci bardzo wdzięczna.

– Naprawdę wszystko w porządku?

– Tak. Muszę się tylko przespać.

– Ja też. Ta świeczka już się dopala, a nie mam drugiej.

Beatrice życzyła jej dobrej nocy i poszła do siebie. Choć była bardzo zmęczona, wątpiła, że da radę zasnąć. Wciąż stało jej przed oczami zdumienie na twarzy Grace, gdy ostrze przecinało jej krtań. W uszach miała ten głuchy stukot, z jakim spadająca głowa uderzyła o scenę.

Zapaliła świeczkę na toaletce i zajrzała do sypialni. Florence spała mocno, owinięta prześcieradłem, spod którego wystawały jej gołe stópki. Ssała kciuk. Biedna Florrie, prawie nigdy nie wspominała o bracie, ale od

czasu do czasu Beatrice słyszała, że coś do niego mówi, jakby nadal bawili się razem.

Zdjęła jedwabną niebieską suknię, gorset i halki i włożyła długą białą koszulę nocną z szerokim koronkowym kołnierzem. Wiedziała, że nie ma sensu się kłaść. Tylko przeszkadzałyby Florence, a nawet jeśli zdołałaby zasnąć, dręczyłyby ją koszmary. Dlatego wyjęła pióro, otworzyła kałamarz i zaczęła spisywać wszystko, co wydarzyło się tego wieczoru w burdelu Ledy Sheridan, tak szczegółowo, jak tylko potrafiła. Choć goście byli w maseczkach, skupiła się kolejno na każdym, kogo zapamiętała. Opisała ich peruki, ubrania i biżuterię. Była pewna, że niektórych udałoby się zidentyfikować w sądzie, zwłaszcza mężczyznę w pomarańczowym surducie ze złotym szamerunkiem i guzikami, w długonosej masce weneckiej na twarzy.

Pomyślała o ostrzeżeniu Jamesa, jak ryzykowne byłoby doniesienie o morderstwie stróżom prawa na Bow Street. Doceniała jego troskę o jej bezpieczeństwo, ale nie można było pozwolić, by takie barbarzyństwo uszło tamtym ludziom płazem. Zaczynała też podejrzewać, że skoro George Hazzard wysłał Grace na tę rzeź, by zadowolić chore żądze klientów Ledy Sheridan, to możliwe, że podobny los spotkał Jane Webb i pozostałe sześć dziewczyn, które według niego urządziły „sabat”. Kto wie, ile innych dziewcząt zdematerializowało się w przeszłości, żeby ci sadystyczni bogaci zboczeńcy mogli czerpać uciechę, patrząc, jak są gwałcone i okrutnie mordowane?

Kiedy James radził jej w tawernie, by zachowała spokój, pomyślała, że jest przesadnie ostrożny, nawet tchórzliwy. Kilka razy w New Hampshire grozili jej skorumpowani, brutalni ludzie, a ona dzielnie stawiała im czoło. Jednak teraz, po głębszym zastanowieniu, musiała przyznać, że ta sytuacja w Londynie jest inna i niesie w sobie potencjalnie o wiele większe ryzyko.

Co innego mierzyć się z jawnymi wrogami, a co innego, kiedy nie ma się pewności, kim oni właściwie są.

Postanowiła udawać, że nie wie nic o losie Grace. Przynajmniej na razie. I zrobi wszystko, by George Hazzard nie domyślił się, że ona nadal uparcie usiłuje dociec, jaką rolę mógł odegrać w tajemniczym zniknięciu dziewczyn. Nie będzie też nic mówiła o swoich podejrzeniach Idzie, pastorowi Parsonsowi, a nawet Jamesowi.

Skończyła spisywać swoje sprawozdanie z morderstwa dokonanego na Grace i posypała piaskiem papier, by osuszyć atrament. Potem zdmuchnęła świeczkę i siedziała chwilę w ciemności, wsłuchując się w odgłosy nocy – dzwony ponuro wybijające godzinę, nawołujące się na ulicach strażę, jakichś trzech czy czterech pijaków wyśpiewujących na Aldersgate Street o „muszelce”, która się otwiera.

– Biedna, kochana Grace – szepnęła. – Mam nadzieję, że teraz już Jezus tuli cię w ramionach i koi twój ból.

## Rozdział 34

Następnego ranka Beatrice właśnie wychodziła ze swojego saloniku, gdy ujrzała, że na górę wbiega Eliza – boso, tylko w białych pończochach, podtrzymując halki.

– Znów tu jest! – oznajmiła zdyszana. – Pan Hazzard! Na litość boską, proszę nie zdradzić mu, że tu jestem!

– George’owi Hazzardowi? Oczywiście, że nic mu nie powiem. Ciekawe, czego chce tym razem.

– Nic a nic nie obchodzi mnie, po co przyjechał, byle tylko nie po mnie! To diabeł wcielony, ten człowiek!

Eliza pognała do swojego pokoju, a Beatrice ruszyła dalej na dół. Kiedy znalazła się w holu, usłyszała z salonu głos George’a Hazzarda i śmiech Idy. Zapukała lekko w półprzymknięte drzwi, po czym weszła.

George jak zwykle był w żółtym surducie. Właśnie miał zapalić sobie cygaro od cienkiej świecy. Na widok Beatrice opuścił je i zdmuchnął świeczkę, skłaniając się z przesadną uprzejmością.

– Beatrice! Wyglądasz jak zawsze uroczo! W tym odcieniu zieleni jest ci bardzo do twarzy.

– Dzień dobry, George. – Beatrice postarała się, by nie zabrzmiało to zbyt chłodno. – Dzień dobry, Ido.

– George przyjechał zabrać jeszcze parę dziewcząt – oznajmiła Ida. – Odkąd znikła tamta siódemka, bardzo brakuje mu rąk do pracy.

– Rzeczywiście – potwierdził. – Mam tyle zamówień, że moja fabryka nie może nadążyć z produkcją. Szczególnie cygar. Mój Boże, sam Klub White’a zamówił dwadzieścia pięć skrzynek! Jeśli będę musiał odprawiać klientów z kwitkiem, mogę ich stracić na zawsze. W Hackney i Clerkenwell

jest ponad siedemdziesiąt innych fabryk tytoniu, które czają się jak wilki, żeby tylko wygryźć mnie z interesu.

– Rozumiem – powiedziała Beatrice. – Ilu jeszcze dziewcząt potrzebujesz? Obawiam się, że te, które tu zostały, nie są tak zdatne jak tamte siedem, które wybrałeś poprzednio.

Podszedł do Beatrice i spojrzał jej prosto w oczy. Po raz pierwszy dostrzegła, że George ma lewe oko brązowe, a prawe zielononiebieskie.

– Beatrice, jestem w pełni świadom twoich podejrzeń. Sądzisz, że nie zapewniłem tamtym siedmiu właściwej opieki i że w pewien sposób odpowiadam za ich zniknięcie. Uważasz także, że mam coś wspólnego z pojawieniem się głowy kozła na półmisku, z drapaniem do twoich drzwi i z tym demonem o lustrzanej twarzy, który groził ci w Ranelagh Gardens.

Beatrice czekała bez słowa, co powie dalej. Ida stała obok i obserwowała ich, skubiąc nerwowo swój koronkowy mankiet.

– Mogę cię tylko przeprosić, Beatrice – ciągnął George. – Ogromnie mi przykro. Twoje podejrzania mnie uraziły i zareagowałem agresywnie. Nie powinienem był. Przyznam, że nie należę do ludzi, którzy dobrze znoszą krytykę. Nie mógłbym prowadzić udanego biznesu, gdybym był inny. Ale myślałem o tym, jak przyjąłś wiadomość o sabacie i o zniknięciu dziewczyn. Teraz rozumiem już, że twoje wątpliwości były czymś bardzo naturalnym.

– Wierzę w szatana, George – powiedziała Beatrice. – Ale te manifestacje jego obecności, z którymi mieliśmy do czynienia, wydały mi się bardzo mało przekonujące.

– Cóż to jednak mogło być innego, jeśli nie dzieło diabła, moja droga? – zapytał George. – Jak ta głowa mogła magicznie pojawić się na półmisku? Skąd demon o lustrzanej twarzy mógł wiedzieć, że wybierasz się do Ranelagh Gardens? Jeśli to była jakaś bestia, która zaatakowała pazurami



twoje drzwi, jak zdołała wejść do tego domu i skąd wiedziała, że to drzwi do twojego pokoju?

– Pewnie masz rację – odparła. – Kto mógłby wyprawiać takie rzeczy, jak nie szatan?

Patrzyła prosto na twarz George'a z krzywym nosem, o szorstkiej, wysuszonej na policzkach skórze. Mogłaby mu w nią splunąć. Stał tak blisko, że czuła skwaśniały zapach tytoniu w jego oddechu. Bardzo chciała wykrzyknąć mu, że skłamał co do Grace, że nie odesłał jej do domu hrabiego Coventry, że została okrutnie zamordowana na jej oczach, ale wiedziała, że musi zachować to do chwili, kiedy zbierze więcej dowodów przeciw niemu.

– Beatrice, droga moja, chciałbym wierzyć, że nadal jesteśmy przyjaciółmi. Chciałbym też mieć pewność, że jeśli kiedykolwiek znów zagrozi ci jego szatańska moc, zwrócisz się do mnie o pomoc. Możesz liczyć na nią w każdej chwili, w dzień i w nocy.

– Dziękuję – powiedziała. – Mam wielką nadzieję, że to nigdy nie będzie potrzebne.

– George, chyba czas, żebyś wybrał sobie tych kilka dziewczyn, prawda? – wtrąciła Ida, nie kryjąc zniecierpliwienia. – Ile ich w sumie potrzebujesz?

– Cztery, pięć, jeśli to możliwe. Mogę zapewnić im pełne zatrudnienie przy czyszczeniu liści tytoniu i zwijaniu cygar. Przekonałem się, że ładaczki są szczególnie zręczne w palcach. Wszystkie dostaną godziwą zapłatę. Jak mówię, interes się kręci i potrzebuję jak najwięcej pracowników.

– Zaraz zawołam dziewczęta – oświadczyła Ida. – Zresztą i tak muszą zejść na śniadanie.

Kiedy wyszła z salonu, George spojrzał na Beatrice.

– Mam nadzieję – odezwał się – że wierzysz w szczerść moich przeprosin. I zapewniam cię, że zwrócę większą uwagę na to, co dzieje się z tymi dziewczynami, niż to było w przypadku tamtych czarownic. Sądzę, że to jedna z tej siódemki musiała przekonać pozostałe sześć do wezwania diabła. Wątpię więc, by coś takiego mogło się powtórzyć. Jednak uczulę moich pracowników, by mieli oczy i uszy otwarte na jakiegokolwiek satanistyczne symbole, podejrzane śpiewy czy coś, co by sugerowało składanie rytualnej ofiary. To mogą być kruki, kurczaki, króliki. Pastor Parsons mówił mi, że nie ma znaczenia, jakie stworzenie wyznawca diabła zabije, by wezwać szatana, pod warunkiem że zostanie odebrane życie i zostanie przelana krew.

– Oczywiście – odrzekła Beatrice.

Coraz bardziej pragnęła stąd wyjść. Obecność George'a przyprawiała ją o dreszcze. Zwłaszcza że miała dowody, jak kłamliwa jest jego skrucza. Z całą pewnością zorganizował mord na Grace. Równie dobrze mógłby sam odciąć jej głowę.

George podszedł do kominka i znów zapalił długą świeczkę, zbliżając ją do płomieni. Przez dłuższą chwilę zaciągał się cygarem.

– Może jeśli przyjedziesz do Hackney i odwiedzisz te dziewczyny, kiedy zaczną pracę, rozwieje to twoje wątpliwości – rzucił wreszcie. – Będziesz mogła sama zobaczyć, czy są bezpieczne i zadowolone. Wybierz się tam z Idą jutro albo pojutrze i zabierz ze sobą swoją uroczą córeczkę. Przespacerujecie się po okolicy, a potem zjedlibyśmy lunch w tawernie Cat and Shoulder of Mutton. Kto wie? Może nawet uda się nam trafić na kręcenie prosiakiem.

– Zobaczymy – odparła z przymusem.

– Beatrice, moja droga, mam nadzieję, że przyjedziesz. Wiem, że wierzysz w trafność swoich analiz chemicznych, ale przecież wiara w Boga

powinna przeważać. Chemia nigdy nie zwycięży szatana, pokona go tylko Pan Bóg.

Beatrice słyszała zbierające się na dole dziewczęta, które szły do atelier. Po chwili pojawiła się Ida.

– George? Są gotowe, czekają na ciebie. Chodź i dokonaj wyboru.

• • •

George wybrał w sumie pięć dziewczyn, w tym Judith i Katharine. Ida próbowała też odszukać Elizę, ale nigdzie jej nie znalazła i wreszcie dała za wygraną. Beatrice nic nie powiedziała, choć domyślała się, że Eliza chowa się pod łóżkiem.

Dziewczęta wróciły do swoich pokoi, by spakować ubrania i swoje nieliczne drobiazgi. Beatrice cieszyła się, że Florence jest na podwórku za domem i bawi się z No-no i pomarańczowym króliczkiem, którego zrobiła jej na szydełku Judith. Dziewczynka nadal rozpaczała, że nie ma tu Grace, i będzie niepokieszona, że teraz odchodzi stąd także Judith.

Beatrice bardzo się bała, co stanie się z tymi pięcioma dziewczynami, choć może to i była prawda, że George potrzebował pilnie rąk do pracy w fabryce. Bo przecież zapraszał ją, by przyjechała z Idą do Hackney i zobaczyła, jak sobie radzą u niego jej podopieczne. Wiedziała, że to nie po chrześcijańsku z jej strony tak myśleć, ale wszystkie te dziewczęta były bardzo pospolitej urody, a trzy miały na policzkach oszpecające blizny po ospie. Sądziła więc, że to mało prawdopodobne, by przekazał je Ledzie Sheridan.

Wreszcie wybrane dziewczęta zebrały się w holu i zaczęły się żegnać. Beatrice poszła do ogrodu, gdzie Florence siedziała przed posągami Astrei, karmiąc na niby króliczka listkami mleczy.

– Florrie, mogłabyś przyjść? Judith i kilka innych dziewczyn nas opuszczają. Muszą jechać do pracy w fabryce tytoniu pana Hazzarda.

Florence uniosła wzrok. Jej usta wygięły się w podkówkę, a do oczu napłynęły jej łzy. Beatrice nachyliła się i uściskała córeczkę.

– Dlaczego Judith musi jechać, mamó? Chcę, żeby została!

– Musi jechać, kochanie, takie jest życie. Kochamy różnych ludzi, a potem ich tracimy. Jak twojego tatę. Jak Noaha. Jak Grace. Ale powinniśmy być wdzięczni, że Bóg pozwolił nam się z nimi zetknąć i że byliśmy z nimi tacy szczęśliwi. Nie martw się, Bóg ześle nam nowych przyjaciół.

– Ale ja nie chcę nowych przyjaciół. Chcę Judith!

– No przestań, nie daj jej poznać, że jest ci smutno. Chodź do środka i pomachaj jej na pożegnanie. Pan Hazzard mówi, że możemy przyjechać do jego fabryki jutro albo pojutrze i zobaczyć, jak Judith pracuje. A przy okazji zabierzemy No-no na spacer przy moczarach.

Poszły do holu. Dziewczyny już wsiadały do żółtej karocy George’a i dwukonnego powozu, który George musiał wynająć specjalnie, by zabrać nowe pracownice do Hackney. Florence podbiegła do karety.

– Judith! Judith! – zawołała, machając pomarańczowym króliczkiem.

Beatrice patrzyła z ganku i ocierała palcami oczy. Ida stała tuż za nią.

– Czemu tak ci smutno? – spytała. – Jadą do znacznie lepszego życia, niż na to zasługują.

– Jest mi smutno, bo życie potrafi być bardzo okrutne.

– Tylko dla tych, którzy kwestionują wolę Boga.

– Pewnie masz rację. Ale czasami trudno zrozumieć Jego wyroki.

– *Vincit qui patitur*, Beatrice. Zwycięża ten, kto cierpi.

Beatrice odwróciła się. Twarz Idy była pobielona grubszą ołowianą warstwą niż zwykle. Przypominała maskę pośmiertną. Wokół oczu i przy ustach powstały cieniutkie pęknięcia. Nie dałoby się powiedzieć, co ona naprawdę myśli, jednak Beatrice nie widziała tam nic poza bólem. Cokolwiek spotkało Idę Smollett w przeszłości, musiało pozostawić w niej ranę, która nigdy się nie zblizni.

• • •

Beatrice spędziła resztę dnia, dając dziewczętom lekcje szycia i czytając im fragmenty Biblii. Nadal była wstrząśnięta po tym, jak widziała ścięcie Grace. Starła się opanować i zachowywać spokój, na ile tylko mogła. Próbowала jeść, ale ledwie wzięła do ust kęs duszonej jagnięciny, odbiło jej się i musiała wybiec z kuchni, by wypluć go w ogrodzie. Żołądek boleśnie podszedł jej do gardła i myślała, że zwymiotuje.

Kiedy wróciła, zobaczyła Idę stojącą w drzwiach kuchni.

– Coś ci dolega, Beatrice?

– Myślę, że Hettie za mocno zasznurowała mi gorset, nic więcej.

– Mam nadzieję, że nie bierze cię jakaś choroba.

Jeśli to choroba mieć odrazę do perwersyjnych ludzkich przyjemności, to tak, jestem poważnie chora. Ale wyzdrowieję, z Bożą pomocą, i dopilnuję, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Chodzi nie tylko o Grace, ale też o każdą dziewczynę, której życie potraktowali z pogardą tacy ludzie jak ty.

## Rozdział 35

Następnego dnia od rana do popołudnia lał deszcz i od czasu do czasu nawet błyskało się i grzmiało na południe od Tamizy. Rzeka wezbrała i podeszła aż do schodów Trzech Żurawi, a ulice centrum szybko stały się grzęzawiskiem błota, nieczystości i końskich odchodów. Piwnice pod schroniskiem Świętej Marii Magdaleny zalało do kolan śmierdzącą brązową wodą, drewniane skrzynki z winem zaczęły pływać, a miesięczne zapasy mąki w workach przemokły i zmieniły się w breję.

Nie było mowy, by w taką pogodę jechać do Hackney, więc Beatrice spędziła większość dnia w atelier, dając lekcje plastyki. Powiedziała dziewczętom, żeby narysowały swoją wizję nieba. Była zaskoczona, jak wiele z nich namalowało nie tylko Boga i Jezusa, i fruujące anioły, ale też inne postacie, w zwyczajnych strojach. Kiedy spytała, kim są ci zwyczajni ludzie, dziewczęta odpowiadały: „To moja matka, która umarła, jak mnie urodziła” albo: „Mój ojciec, który się zapił”, albo: „Moje trzy siostry, które umarły na suchoty, zanim skończyły sześć lat”.

Florence uklękła przy oknie i patrzyła na ogród, przytulając swojego pomarańczowego królika i obserwując spływające po szybie krople deszczu. Beatrice nie musiała jej pytać, o czym myśli.

• • •

Przez noc chmury się rozplynęły i rano zaświeciło oślepiające słońce.

Ida weszła do kuchni, kiedy Beatrice i Florence właśnie jadły owsiankę. Oznajmiła, że George przysłał po nie dwukólkę, która zabierze je do Hackney. Beatrice już miała powiedzieć, że nie chce jechać, ale wiedziała, że George zaprasza je nie bez powodu. Zależało mu, żeby rozwiązać jej

wątpliwości co do niego. Powinien wierzyć, że ona mu wybaczyła i teraz uważa go za człowieka bez skazy.

Włożyły płaszcze, kapturki i drewniaki na buty i wsiadły do dwukółki. Był to prywatnie wynajęty powozik, o siedzeniach ze lśniącej skóry, całkiem niepodobny do brudnych, zniszczonych powozów. Woźnica wyglądał niemal po pańsku. Miał wysoki kapelusz, ciemnozieloną ciężką pelerynę i ogromne sumiaste wąsy.

Podróż do Hackney trwała długo, bo droga była pełna kolein i błota, miejscami kompletnie zalana po wczorajszym deszczu, ale Beatrice i Florence przez cały czas śpiewały piosenki, a Florence posadziła sobie No-no na kolanach i klaskała do rytmu jego łapkami. Ida z obojętnym wyrazem twarzy patrzyła na mijane pola i farmy. Beatrice miała wrażenie, że wybrała się na tę wycieczkę tylko dlatego, że jej kazano, a nie z własnej woli.

Kiedy tylko wjechały na dziedziniec fabryki, George wyszedł, by je powitać. Towarzyszył mu Edward Veal, jego łysy księgowy. Miał na sobie czarny surdut i czarne spodnie. Przypominał ogromnego chrząszcza stojącego na tylnych nogach.

– Witam, witam, po trzykroć witam! – zawołał George, pomagając Beatrice wysiąść. – Ty też witaj, słodka Florence, i witam także twojego pieska. Jak ten mały ma na imię?

– No-no – odparła z powagą Florence. – To po moim bracie, którego ukradli Indianie.

– Och... – George spojrzał ze współczuciem na Beatrice. – Przepraszam za to pytanie.

Poprowadził je do fabryki. Wewnątrz było tak głośno jak zwykle – syk pary, stukot cięcia i pokrzykiwanie robotników. Pięć nowych dziewcząt wziętych ze schroniska Świętej Marii Magdaleny siedziało blisko siebie

przy stolikach ustawionych w długim rzędzie, pełnych liści tytoniu. Oddziaływały ich blaszki od łodyg tak szybko, że Beatrice byłaby skłonna uwierzyć, że robią to przez całe życie i nigdy nie prostytuowały się ani nie kradły.

Florence zobaczyła Judith i pobiegła, żeby ją uściskać. Judith pomachała do Beatrice, uśmiechnęła się i ruchem warg powiedziała coś, co pewnie miało oznaczać, że wszystko u niej w porządku. Trzy inne dziewczyny też pomachały.

– Widzisz – wysapał jej George do ucha. – Bardzo wygodnie się tu urządziły. Ta praca daje im poczucie, że są przydatne i docenione. A zarobią prawie dwa razy tyle, ile mogłyby dostać jako szwaczki albo podkuchenne. Z pomocą boską może nigdy już nie skuszą się, by sprzedawać swoje ciała jakimś rozochocionym po alkoholu wszarzom z szylingiem w kieszeni.

– To godne najwyższej pochwały, George – odparła Beatrice, cofając się od niego, żeby nie czuć zapachu jego oddechu.

– Przyjdźcie do mnie do biura – powiedział George. – Jest kawa, herbata lub cydr, jeśli wolicie, i ciastka. Może mała Florence zechce się napić słodkiej lemoniady.

Ruszyły do jego biura. Kiedy już usiadły, jedna z robotnic przysłała podać im napoje, zaoferowała kruche ciasteczka i babeczki z rodzynekami, nasączone wodą różaną, a potem George zaczął opowiadać, że chce włożyć więcej pieniędzy w schronisko Świętej Marii Magdaleny, by mogło w nim znaleźć opiekę więcej dziewcząt, może nawet sto naraz. Edward Veal wyjaśnił, że pertraktuje z dzierżawcami sąsiedniej posiadłości w Maidenhead Court i pewnie niedługo będą mogły zająć i tamten dom.

– Chciałbym, żebyśmy zasłynęli w historii Londynu jako najwięksi dobroczyńcy ratujący zbłąkane młode kobiety – oświadczył George, zaciągając się cygarem. Jego głowa stała się niemal niewidoczna w kłębach



dymu. – Pragnę, by uczeni i duchowni, którzy będą wspominać nasze czasy, mówili, że to schronisko Świętej Marii Magdaleny odmieniło na zawsze moralność w tym wielkim mieście.

– No właśnie! – wtrącił Edward Veal i pociągnął nosem.

– Chcę, by potomność doceniła, że schronisko Świętej Marii Magdaleny otworzyło ramiona przed błędzającymi i pozbawionymi środków do życia, przed wykorzystywanymi i skrzywdzonymi, gdy inni tylko odwracali się do nich plecami – kontynuował George. – Chcę, by przyszłe pokolenia wiedziały, że rozpędzaliśmy ciemne chmury grzechu, które spowiły te zagubione młode kobiety, i oświecaliśmy je blaskiem chrześcijaństwa. Nasz ośrodek będzie dowodem, że ciężka praca, czystość i modlitwy przynoszą o wiele większą nagrodę, zarówno na ziemi, jak i w niebie, niż lenistwo, szlajanie się i kradzieże.

Edward Veal uderzył pięścią w biurko, by podkreślić słuszność tych słów.

– Powinieneś być kaznodzieją, George – powiedziała Ida, choć jej twarz nadal była bez wyrazu.

– I co o tym myślicie? – zapytał George.

– No-no chce siusiu – odezwała się Florence z buzią pełną ciastka.

George klepnął się w udo, roześmiał się i zakaszłał.

– Świetnie. Agnes! Agnes pokaże ci, jak wyjść do ogrodu, kochanie. Agnes! Zaprowadzisz tę młodą damę do tylnych drzwi?

– Pójdę z nią, jeśli pozwolicie – odezwała się Beatrice. – Chciałabym zaczerpnąć nieco świeżego powietrza.

Bardzo chuda dziewczyna w długim fartuchu i oklapniętej budce na głowie zaprowadziła Beatrice i Florence do tylnego wyjścia. Znalazły się w wąskim, porośniętym trawą ogrodzie, gdzie niegdyś stał uwięzany koziół. Sznur nadal zwisał z palika, wystrzępiony na końcu.

Po gryzącym w oczy dymie w biurze George'a bryza na zewnątrz wydawała się istnym błogosławieństwem, nawet jeśli było tak chłodno, że Beatrice zaczęła dygotać. Drzewa zdawały się szeptać coś między sobą, gdy wiatr zwiewał z nich ostatnie liście. Gdzieś niedaleko zabeczała owca.

Beatrice wzięła Florence za rękę, a No-no biegał po ogrodzie, węsząc i podnosząc nogę.

– Judith mówiła, że jej tu dobrze – powiedziała ze smutkiem dziewczynka.

– Wiem, jak bardzo ci jej brakuje, Florrie, i jestem pewna, że ona też za tobą tęskni, ale jeśli tylko jest szczęśliwa, to najważniejsze. Jak chcesz, możemy przyjechać tu znowu za jakiś tydzień i może pan Hazzard pozwoli Judith pójść z nami na spacer.

– Nie lubię pana Hazzarda. Jest za bardzo dymny.

– Wiem. Ale chyba już lepiej wracajmy. Chce zabrać nas gdzieś na obiad.

No-no kopał zawzięcie pośrodku ogrodu. W pierwszej chwili Beatrice pomyślała, że zrobił co trzeba i chce to zagrzebać, jak to psy mają w zwyczaju, lecz zobaczyła, że pies kopie dołek.

– No-no! Chodź tu, No-no! – zawołała Florence, ale pies dalej kopał, nie zwracając na nią uwagi. – No-no! Powiedziałam: chodź. Niegrzeczny, niegrzeczny pies! – skarciła go, przybierając ton rozgniewanej mamy.

Podeszła do niego, złapała go za obrozę i powlokła za sobą. Ale nagle schyliła się i podniosła coś z trawy. Wróciła do matki, wyciągnęła rączkę i pokazała, żeby Beatrice też zobaczyła, co to jest.

Szczerbiały srebrny krzyżyk, na zerwanym łańcuszku. Nie był to jednak zwyczajny krucyfiks. Głowa Chrystusa była odwrócona w lewo, nie w prawo. Bez wątplenia był to krzyżyk Jane Webb.

Beatrice spojrzała za siebie, by upewnić się, że ani George, ani Edward Veal nie patrzą na nią przez okno biura. A potem podeszła do miejsca, gdzie kopał No-no. Dołek był nie głębszy niż na jakieś dziesięć centymetrów, ale pod ziemią ukazał się fragment poszarpanej czerwonej bawełny i jakaś ubłocona wachlarzykowata kość. Beatrice od razu poznała, co to jest. W laboratorium jej ojca wisiał szkielet. Wiedziała, że to ludzka łopatka.

Nachyliła się i pociągnęła nosem. Mimo chłodnego wiatru była pewna, że wyczuwa charakterystyczny słodkawy zapach rozkładającego się ciała.

Znów szybko rzuciła za siebie okiem. Edward Veal stał plecami do okna, a George pochylał się nad biurkiem. Idy nie było widać. Beatrice kopnęła grudki ziemi, którą rozgrzebał No-no. Zakryła dołek. Serce jej waliło. Trudno jej było oddychać, ale wiedziała, że musi zachować spokój.

– Wracajmy już, dobrze? – powiedziała do Florence.

– Dobrze – odparła dziewczynka. – Ale czyj to krzyżyk?

Beatrice przykucnęła przy córce, położyła dłonie na jej ramionach i spojrzała jej prosto w oczy.

– Florrie, to bardzo ważne. Nie wolno ci mówić nikomu, że go znalazłaś. Nie mów Idzie. Nie mów panu Hazzardowi. Nie mów panu Vealowi. Nie ma żadnego krzyżyka.

– Ale jest! Włożyłaś go do kieszeni.

– Wiem. To nasz sekret. Wiesz, co to sekret, prawda?

Florence skinęła głową.

– Jak się czegoś nie mówi.

– Właśnie. A więc nie powiesz nikomu o znalezieniu tego krzyżyka, nikomu, ale to nikomu? – Zrobiła gest, jakby zszywała usta igłą z nitką, a Florence posłusznie powtórzyła jej ruch. – Dobra dziewczynka. Jesteś moim aniołkiem.

Wróciły do środka. George wstał zza biurka, kaszląc i machając dłonią, by odgonić dym.

– Piesek się wysusiał, Florence? Wspaniale. To teraz jedziemy na London Fields, do Cat and Shoulder of Mutton, dobrze? Podają tam najpyszniejsze paszteciki i zapiekanki z dziczyzny, jakie w życiu jadłem, i mogę też z całego serca polecić ich pieczoną wieprzowinę.

– Nie chcę pasztecika – powiedziała Florence, unosząc rączkę do brody. – Mam już potąd pasztecików.

George pogładził ją po główce.

– Musisz jeść, ile zdołasz, malutka. Mniam, mniam, mniam! Dziewczynki, które zjadają ładnie obiadek, wyrastają na dorodne, zdrowe i piękne i podobają się wszystkim najbogatszym dżentelmenom!

I potem kończą bez głowy albo martwe i zakopane w twoim ogrodzie za fabryką, pomyślała Beatrice.

George uśmiechnął się szeroko i podał jej ramię, ale nie wzięła go pod rękę, tylko się cofnęła. Czuła tak wielkie obrzydzenie i strach, że ledwie mogła wykrztusić słowo, a co dopiero się uśmiechnąć. Ruszyła za nim mechanicznie, gdy skierował się ku wyjściu z fabryki. Wiedziała, że musi znieść resztę tego spotkania, nie dając po sobie poznać, że odkryła pogrzebane zwłoki, według wszelkiego prawdopodobieństwa należące do Jane Webb. Podejrzewała, że sześć pozostałych dziewcząt też leży pod ziemią w tym ogrodzie.

Pomyślała o krzyżyku, który miała w kieszeni, i przypomniała sobie słowa Jane. O Jezusie, który patrzy w lewo na wszystkich złodziei, morderców i upierdliwych chrześcijan. Owieczki na prawo, capy na lewo...

Wdrapała się do żółtego powozu George'a i usiadła w rogu, odwracając głowę do okna, żeby nie widzieć jego uśmiechów i mrugania do niej okiem.

Miała ściśnięte gardło i mogłaby załkać głośno na myśl o tym, jak piękna była Jane i jak grzesznie zmarnowano jej życie.

– Tak, malutka Florence! – rzucił George. Usiadł naprzeciwko, aż sprężyny powozu skrzypnęły i zakołysały się, a potem wyciągnął rękę i ścisnął kolano dziewczynki. – Niedługo będziesz piękna jak łania, wierz mi, i wszyscy eleganccy panowie będą się o ciebie starali!

– Och, do tego jeszcze dużo, dużo czasu, George – odezwała się Beatrice, nadal nie patrząc na niego.

– Możliwe – powiedział. – Ale jak dobrze wiesz, czas płynie szybko, nie oszczędza nikogo.

Masz całkowitą rację, pomyślała Beatrice. I gdybyś tylko wiedział, jak szybko i ciebie dopadnie, nie mówiłbyś tego nawet w połowie tak wesoło.

• • •

Ponieważ było słoneczne popołudnie, w Cat and Shoulder of Mutton panował ścisk. W tawernie tłoczyli się robotnicy z farm, woźnice i różne tałatajstwo, ale byli też prawnicy i kupcy, którzy przyjechali na London Fields, by odetchnąć od miasta i wmieszać się w bardziej proste i hałaśliwe towarzystwo niż to, z którym stykali się w odwiedzanych zwykle tawernach.

George wprowadził je do środka, do małego osobnego pomieszczenia z okrągłym dębowym stołem na tyłach lokalu. Było tam wysokie witrażowe okno z barwionych szybek, a w kominku płonęły polana. Beatrice usiadła blisko drzwi, jak najdalej od George'a i dymu jego cygara, i poprosiła tylko o kubek cydru i grubą kromkę chleba z serem Cheshire.

– Musisz zjeść kawałek zapiekanki, Beatrice! – krzyknął George z drugiej strony stołu. – Nie pozwolimy ci zmarnieć, dziewczyno! Jesteś na to zbyt ładna!

Zamówił całą zapiekankę z dziczyzny, którą po dwudziestu minutach przyniosła im przysadzista kobieta o czerwonej, lśniącej od potu twarzy i przedramionach niczym połcie szynki. Zapiekanka miała wysokość jakichś piętnastu centymetrów, a średnicę ponad pół metra i była prosto z pieca. Kobieta otarła twarz połą fartucha i oznajmiła, że pod chrupiącą skórką jest drobno mielona wieprzowina z cielęciną oraz fileciki z kurczaka, gołębia, kuropatwy, zająca, bażanta, siewki i pardwy szkockiej, a wszystko zostało doprawione zieleń angielskim, czosnkiem oraz celozją i polane gęstym brązowym sosem z wina, sardeli i ziół.

Wcześniej każdego innego dnia Beatrice z wielką przyjemnością dałaby się skusić na kawałek tej zapiekanki, ale kiedy George ją przekroił, musiała przycisnąć swoją naperfumowaną chusteczkę do ust, żeby nie wymiotować. Zapach za bardzo przypominał jej rozkładające się zwłoki.

George zamówił nie tylko zapiekankę, ale też ostrygi, grasicę cielecą i nerczki na ostro oraz różne dodatki, jak cykoria, salsefia, pory, pasternak i ziemniaki. Obaj z Edwardem Vealem jedli z takim apetytem, że przez godzinę mało co mówili. Przystawali wpychać sobie do ust kolejne kęsy tylko po to, by popić winem albo otrzeć brodę rękawem surduta, a dłonie o spodnie, ale przez większość czasu byli całkowicie pochłonięci jedzeniem i nie spuszczały z niego oczu.

Ida też jadła żarłocznie, rozrywając grasicę długimi kredowobiałymi paznokciami, choć Beatrice wydawało się, że każdy kawałek przeżuwa ze sto razy, nim próbuje go przełknąć, i nawet wtedy grdyka jej się unosiła, jakby Ida zaraz miała to zwrócić.

W głównej sali tawerny panował ogłuszający zgiełk. Słysząc było śpiewy i ochryple śmiechy. A z zewnątrz – z Church Path, gdzie zbierała się większość poganiaczy bydła i woźniców – dobiegały krzyki i poświstywania, a także kwiki prosiąt. Przy tawernie Cat and Shoulder of

Mutton często zatrzymywali się hodowcy świń zmierzający do Smithfield, gdzie je zarzynano. Lubili wypić sobie parę piw i zjeść kawałek zapiekanki, nim ruszali dalej przez ulice miasta na targ mięsny.

George, Edward Veal i Ida ledwie skończyli jeść, gdy Beatrice usłyszała przenikliwy spanikowany pisk i potężny ryk gromady mężczyzn tłoczących się przy drodze.

– Ha, ha! Najwyraźniej szczęście nam dopisało! – powiedział George, uderzając dłonią w blat stołu i podnosząc się z miejsca. – Chodźcie, wyjdziemy i zabawimy się trochę!

– Co się dzieje? – spytała Beatrice.

– Kręcenie prosiakiem! Fantastyczne zawody! Możecie obstawiać, jeśli chcecie.

Wyszli i dołączyli do widzów, którzy stali na trawie przed tawerną.

W centrum kręgu dwóch poganiaczy przytrzymało wyrywającego się prosiaka, podczas gdy trzeci smarował mu ogon masłem. Inny mężczyzna przechadzał się dumnie wokół nich – niski, brzuchaty, o kręconych siwawych włosach związanych z tyłu chustką, ubrany w skórzaną kamizelę. Od czasu do czasu uderzał się pięściami w pierś i unosił wysoko ręce, jak bokser wyzywający przeciwnika. Za każdym razem gawiedź wiwatowała.

– Co oni robią tej śwince? – spytała Florence.

– Nie jestem pewna, Florrie, ale myślę, że śwince to się nie całkiem podoba.

Kiedy ogon zwierzęcia był już odpowiednio natłuszczony, pękaty mężczyzna podszedł i złapał go oburącz. Prosiak kwiknął i zaczął wierzgać nóżkami, ale dwóch poganiaczy trzymało go mocno. Z kręgu wystąpił właściciel tawerny. Miał na sobie poplamioną winem niebieską kamizelę ze złotymi guzikami i zmierzwioną białą perukę związaną wstążką.

– Zasady jak zawsze! – oznajmił tubalnym głosem, by przekrzyczeć wrzawę. – Kto powywija prosiakiem najszybciej i utrzyma go najdłużej, dostanie złotą odznakę i może pić piwo za darmo przez resztę dnia!

Zostało to przyjęte kolejnym rykiem tłumu. Dwaj mężczyźni trzymający prosiaka zwolnili uścisk a beczkowaty jegomość chwycił go mocniej za ogon, odchylił się niczym miotacz i zaczął nim wywijać. Kręcił prosiakiem wysoko w powietrzu, a on kwiczał głosem straszliwie ludzkim. Po sześciu, siedmiu coraz szybszych obrotach ogon zwierzęcia wyslizgnął mu się z ręki i prosię z kwikiem poleciało w tłum. Dźwignęło się na nogi i próbowało uciec w pole, ale dwaj poganiacze rzucili się za nim i je złapali.

– Następny zawodnik! – krzyknął gospodarz tawerny. – Choć sądzę, że trudno będzie pobić ten występ!

Wystąpił naprzód jakiś inny mężczyzna. Kościsty osiłek o sinej brodzie i spiczastym nosie, w trójgraniastym kapeluszu na głowie. Idąc, podwijał rękawy. Jednak w tej samej chwili do kręgu weszła Beatrice.

– Tak, proszę pani, w czym mogę pomóc? – zapytał gospodarz. – Obawiam się, że nie ma nagrody dla płci pięknej za udział w zawodach, ale oczywiście może pani spróbować szczęścia!

– Naprawdę myślę, że jak na jeden dzień wystarczy już tych okrucieństw – powiedziała Beatrice.

Gospodarz nachylił się i przyłożył dłoń do ucha.

– Przepraszam? Czy ja dobrze słyszę?

– Tak. Powinniście natychmiast przerwać te zawody. Sama hodowałam świnię i wiem, jaki ból zadajecie temu biednemu stworzeniu i jak bardzo się boi, tylko dlatego, że chcecie sprawić sobie uciechę. Czy to nie dość, że jutro podetnie mu się gardło i posieka się je na kotlety?

Gospodarz z konsternacją rozejrzył się dokoła.



– Moja droga pani, prosiakami wywija się tu co tydzień od ponad stu lat. I aż do dziś wszyscy, poza panią, byli zachwyceni. Również żaden prosiak nie złożył skargi. Ani w mowie, ani na piśmie.

Kilku widzów, słysząc tę wymianę zdań, zaczęło się śmiać.

Beatrice nie dała za wygraną.

– Zwierzęta nie mają głosu, szanowny panie. To dlatego czasami musimy wystąpić w ich obronie. Na Boga, błagam, by odwołał pan te zawody i nie pozwolił na dalsze kpiny i okrutne traktowanie tego nieszczęsnego stworzenia.

Gospodarz znów popatrzył dokoła, jakby szukał wsparcia widzów, a kiedy się odezwał, w jego głosie słychać było rozdrażnienie.

– Rozumiem pani troskę i podziwiam pewność siebie. Jednak świnie nie mają uczuć i wierzę, że zostały stworzone nie tylko po to, by lądować na naszych talerzach, ale również po to, by nas zabawiać. Jak słusznie pani zauważyła, nie mają głosu. A skoro nie mówią, nie mogą się modlić, a ten, kto nie potrafi się modlić, nie może oczekiwać, że Bóg będzie go chronił.

W tym momencie George podszedł od tyłu do Beatrice i chwycił ją za rękę.

– Chodź, Beatrice. Nie przekonasz tych dobrych ludzi, by zaprzestali swoich tradycyjnych zabaw.

Beatrice wyrwała mu swoją dłoń, jeszcze raz spojrzała surowo na gospodarza i poszła za George'em. Dołączyli do Idy trzymającej Florence za rękę i Edwarda Veala, który zlizywał z palców resztki tłuszczu.

– Może lepiej wracajmy już do Maidenhead Court – powiedziała Beatrice.

– Oczywiście – rzucił George. – Lecz przyznam, że twoje towarzystwo było fascynujące. Gdybyś była mężczyzną, wdowo Scarlet, nie kryję, że byłbym przy tobie bardzo ostrożny.

Beatrice popatrzyła na niego przeciągle, na wpół wyzywająco, na wpół z zaciekawieniem.

– Chyba nie boi się mnie pan, panie Hazzard?

George obejrzał się, by sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy.

– Pociągasz mnie. I boję się. Ale nigdy w życiu nie spotkałem jeszcze kobiety, która by mi się nie podporządkowała. Wcześniej czy później.

Za nimi znów dał się słyszeć kwik obracanego w powietrzu prosiaka.

– Jedźmy, żeby nie patrzeć na to dłużej – powiedziała Beatrice, biorąc Florence za rękę. – Dziękuję, George, za dzisiejszą gościnę. To przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Zdecydowanie.

## Rozdział 36

Wróciły do Maidenhead Court około wpół do czwartej. Kiedy tylko wysiadły z powozu, Beatrice powiedziała Idzie, że musi wybrać się do siedziby głównej. Trzy dziewczyny, które dzieliły pokój na drugim piętrze, zaziębiły się i miały kaszel. Potrzebowała odrobinę nalewki z opium i jeżówki purpurowej, by sporządzić dla nich lekarstwo.

– Oczywiście – odparła Ida. – Tylko wróć na wieczorne modły. Jak wiesz, dziś Święto Aniołów Stróżów, a myślę, że tym wysłannikom Boga, którzy nas chronią, należą się od nas szczególne podziękowania, nie sądzisz? Zwłaszcza odkąd się okazało, że szatan grasuje tak blisko.

– Obiecuję, że się nie spóźnię – zapewniła ją Beatrice. – Poproszę Hettie, żeby zajęła się Florence.

Ruszyła do kuchni szukać Hettie, gdy Ida zawołała:

– A nie zirytowałaś czymś dzisiaj George’a, co?

– Zirytowałam? – Beatrice odwróciła się. – Skąd przyszło ci to do głowy?

– No cóż, zaprosił nas dziś do Hackney, żebyście mogli sobie wszystko wyjaśnić i znów być w przyjacielskich stosunkach. A wydawało mi się, że traktujesz go z lodowatym chłodem.

– Nie miałam takiej intencji, zapewniam cię, Ido.

– Możliwe. Pamiętaj jednak, że George jest naszym najbardziej szczerym darczyńcą. Nie stać nas na to, by się od nas odwrócił. Wystarczy, że wycofa swoje finansowanie, i dalsza działalność schroniska stanie się niemal niemożliwa.

– Nie sądzę, żebym w jakikolwiek sposób go uraziła – powiedziała Beatrice. – Ale nadal jestem w żałobie po mężu, Ido, choć minęło tyle

czasu, a George czasami zachowuje się zbyt poufale.

– Powinnaś z wdziękiem przyjmować dowody jego atencji. Mężczyźni potrafią robić o wiele bardziej okropne rzeczy, niż pozwalać sobie na poufałość.

Beatrice zawahała się. Miała wrażenie, że Ida zaraz zdradzi jej, jak okrutnie potraktował ją kiedyś jeden z nich, ale ona dodała tylko:

– Nie spóźnisz się, prawda? Modlitwy zaczynamy o szóstej.

• • •

Beatrice dotarła do bram siedziby głównej akurat w chwili, kiedy niechlujni i zaniedbani uczniowie Jamesa wybiegali z klasy, śmiejąc się, krzycząc i szamocząc się ze sobą, więc musiała poczekać przy drzwiach, aż wyjdą. Ostatnia minęła ją nieśmiała dziewczynka, potwornie wychudzona, która uśmiechnęła się do niej. Beatrice zajrzała do środka i zobaczyła, że w klasie nikogo nie ma. Zmartwiła się, że pewnie James już poszedł, i ruszyła korytarzem do apteki, żeby spytać o niego Godfrey'a.

Była w połowie drogi, gdy zza drzwi apteki wyłonił się James.

– Beatrice! – Wyciągnął do niej rękę.

Choć przystojny jak zawsze, był kredowo blady, niczym chory poeta. Na jego brodzie czernił się nieogolony zarost.

– Dzięki Bogu – powiedziała. – Myślałam, że poszedłeś do domu.

– Nie. Ale przez cały dzień piekielnie bolał mnie ząb. Godfrey dał mi trochę laudanum.

– Powinieneś mnie się poradzić. Mój ojciec wynalazł najlepszy środek na ból zębów. Wytwarzał go z wyciśniętego czosnku i olejku z goździków.

– To raczej niezbyt sprzyjałoby pocałunkom. Ale nie spodziewałem się zobaczyć cię dzisiaj. Nie chodzi znów o Grace, co? Na pewno dalej myślisz

o niej, jednak musisz przede wszystkim zadbać o bezpieczeństwo swoje i Florence.

– Tak – odparła. – Tylko że dziś odkryłam coś jeszcze bardziej potwornego. Odkryłam, co się stało z tamtymi siedmioma dziewczynami, które podobno wzywały szatana i urządziły sabat. W każdym razie sądzę, że wszystko już wiem.

– Co? Jak? Mój Boże, Beatrice, mówisz poważnie?

– Dziś George Hazzard zaprosił nas do Hackney. Chciał przekonać mnie, że nie jest odpowiedzialny za zniknięcie tamtych dziewcząt. Ale kiedy tam byliśmy...

– Beatrice, nie tutaj – rzucił szybko James, oglądając się za siebie. – Poczekaj, zabiorę książki i możemy gdzieś pójść, żeby porozmawiać spokojnie, i wszystko mi opowiesz. I tak idę w tym samym kierunku co ty. Może znajdziemy jakiś zaciszny kąt w Salutation.

Ujął ją pod ramię i poprowadził z powrotem do klasy. Wziął dwie książki, z których korzystał na lekcji tego popołudnia – *Opisy wielkiej różnorodności zwierząt i jarzyn* i *Pieśni święte przetłumaczone na prosty język* – i wcisnął je do skórzanej torby myśliwskiej. A potem szybko wypuścił Beatrice z klasy i przekręcił klucz w drzwiach.

– Nie ufam tym dzieciakom ani trochę! Gdybym nie zamknął, wróciliby nocą ze starszym rodzeństwem i pokradli wszystko, co tylko da się wynieść!

Poszli razem przez Newgate Street, niewiele do siebie mówiąc. Ulice zdawały się wyjątkowo opustoszałe, a chłodny wiatr przybierał na sile, aż szyldy tawern i knajpek po drodze zaczęły się kołysać i skrzypieć. Beatrice zauważyła, że na wielu z nich była namalowana damska dłoń trzymająca dzbanuszek kawy, co wskazywało znającym się na rzeczy londyńczykom, że w lokalu można oczekiwać czegoś więcej niż kawa.

Weszli do zadymionej tawerny Salutation. James poprowadził ją obok baru, po wąskich schodkach w górę, do salki z oknem wychodzącym na ulicę. Mogły tu siadać kobiety. Jedynym gościem poza nimi była jakaś znużona jejmość w średnim wieku, w kapturku ozdobionym złachanymi kwiatkami z jedwabiu. Gapiła się tępo w pustą szklanekę po porto, jakby mogła ją zaczarować, by napełniła się znowu.

– A teraz powiedz, co odkryłaś – szepnął James.

Beatrice poczekała, aż ruda piegowata dziewczyna z baru przyjdzie zapytać, czego sobie życzą do picia i czy chcą coś zjeść. James zamówił dla nich karafkę słodkiego białego wina Malmsey.

Dziewczyna z tupotem zbiegła po schodkach.

– Nie mam jeszcze na to niezbitych dowodów – zaczęła Beatrice – ale sądzę, że te siedem dziewcząt nie żyje i są pogrzebane na tyłach fabryki George’a Hazzarda.

Wyjęła z kieszeni krzyżyk Jane Webb, ten ze zwróconym w lewo Chrystusem, i położyła go przed Jamesem.

– A... co to jest? – zapytał.

Opowiedziała, jak Florence znalazła krzyżyk i jak No-no dokopał się do czegoś, co wyglądało na strzępy czerwonej lnianej sukienki i ludzką łopatkę.

James nie przerywał jej, a kiedy skończyła, jeszcze z pół minuty siedział bez słowa, odchylony na oparcie krzesła, w zamyśleniu drapiąc się po nieogolonej szyi.

– Ta Jane Webb... Jesteś pewna, że to jej krzyżyk? – zapytał wreszcie.

– Nie mam cienia wątpliwości.

– I co teraz zamierzasz?

– Pójdę na Bow Street, oczywiście, do siedziby sędziego sprawiedliwości sir Johna Fieldinga. Może wysłać ludzi do Hackney, by

ekshumowali ciało lub ciała, jeśli wszystkie siedem dziewcząt spotkał ten sam los.

– Mój Boże, Beatrice, stąpasz po cienkim lodzie. I jaki masz dowód? Tylko ten krzyżyk, który mógł należeć do każdego, i to, że zobaczyłaś ludzką kość albo coś, co wzięłaś za ludzką kość.

– Dobrze orientuję się w anatomii, James. A czy widziałeś kiedykolwiek krzyżyk z Jezusem zwróconym w lewo? Czy na jakimkolwiek znanym ci obrazie lub rzeźbie Chrystus patrzy w lewo?

– No nie, zgoda. Ale wystarczy, że George Hazzard zaprzeczy, by wiedział coś o ciałach pogrzebanych w ogrodzie przy jego fabryce, i jakie wtedy można wnieść wobec niego oskarżenia?

– Trzeba znaleźć kogoś, kto będzie gotów zeznawać przeciwko niemu – powiedziała Beatrice. – Przecież nie wziął sam łopaty i nie wykopał grobu dla Jane, prawda? Musiał nająć do tego robotników z fabryki, a może zapłacił jakimś osiłkom, którzy mu się nawinęli. I ktoś musiał przenieść jej ciało do wykopanego dołu.

James pokręcił głową.

– No nie wiem, Beatrice. Jeśli są jacyś świadkowie, to na pewno dostali sporo za milczenie albo będą się bali powiedzieć cokolwiek, co by go obciążało. Nie lekceważ tego, jaki jest wpływowy, jakie ma koneksje. Należy do tego samego klubu co sam szeryf Londynu, sir Crisp Gascoyne, na Boga.

– Tak czy inaczej, idę na Bow Street i powiem, co widziałam. Proszę tylko, żebyś poszedł ze mną i dał mi wsparcie moralne. Na pewno potraktują mnie o wiele poważniej, jeśli będę w towarzystwie mężczyzny, zwłaszcza nauczyciela, jak ty.

James milczał. Dziewczyna z baru przyniosła im wino. Nalał sobie, ale Beatrice nakryła swoją szklanekę dłonią na znak, że nie chce pić. Musiała

myśleć trzeźwo, aby zrobić to, co zamierzała. Już jako kobiecie trudno jej będzie przekonać stróżów prawa, by sprawdzili historię sabatu, więc lepiej, żeby nie wyczuli w jej oddechu wina.

Widziała, że James bije się z myślami, że coś bardzo go martwi. Przygryzł wargę, jego ametystowobłękitne oczy wpatrywały się w Beatrice, a palce stukały nerwowo o blat. Miała wrażenie, że rozważa coś, co może wyrócić całe jego życie do góry nogami.

Kiedy wciąż milczał, nachyliła się do niego.

– Czy zgodzisz się iść ze mną na Bow Street, czy nie, James, ja tam pójdę – powiedziała bardzo cicho. – Jestem to winna Jane, jestem to winna Grace i reszcie tych dziewczyn. Może były prostytutkami, ale wszystkie są dziećmi Boga i zasługują na sprawiedliwość. Jak każdy, kto stracił życie w tak okrutny sposób.

James wypił parę łyków wina i otarł usta wierzchem dłoni.

– Nie mogę już się dłużej powstrzymać, Beatrice. Zakochałem się w tobie. Nie dlatego, że tak bardzo przypominasz mi biedną Sophie, którą straciłem, choć przyznaję, że to z tego powodu od razu poczułem do ciebie słabość.

– James...

– Nie, Beatrice... wysłuchaj mnie, proszę! Myślę o tobie nieustannie, w dzień i w nocy. Myślę o tobie, kiedy budzę się rano i kiedy kładę się do łóżka wieczorem. Myślę o tobie, nawet kiedy uczę. I każda chwila spędzona z tobą sprawia, że jestem coraz bardziej pod twoim urokiem. – Sięgnął przez stół i położył rękę na jej dłoni. – Chodzi nie tylko o to, jaka jesteś piękna, o twój naturalny wdzięk. Ta twoja odwaga, determinacja, dobroć i chrześcijańskie poczucie sprawiedliwości... W porównaniu z tobą czuję się słaby, brudny i nikczemny.



– James, nie mów tak o sobie! Zawsze byłeś wobec mnie opiekuńczy i troskliwy. Dałeś mi mądrą radę, kiedy kusiło mnie, by działać pochopnie.

James znów pokręcił głową, tym razem bardziej zdecydowanie.

– Nie, Beatrice. Byłem tchórzem. Prawda jest taka, że od początku wiedziałem, co George Hazzard robi z dziewczynami, które zabiera ze schroniska Świętej Marii Magdaleny. Mówi, że potrzebuje ich do pracy w fabryce tytoniu, ale to bezecne kłamstwo.

Beatrice powoli wysunęła rękę spod jego dłoni, jakby zdejmowała rękawiczkę.

– Co? Wiedziałaś, że one zostaną zamordowane?

– Nie, nie, nie to! Na Boga, nie! O tym nie miałem pojęcia! Ale wiedziałem, że wybiera najładniejsze i odsyła je do burdelu Ledy Sheridan i innych takich domów. Płacą mu niezłe znaleźne za każdą przyslaną dziewczynę, a z tego, co wiem, dostaje też procent z ich zarobków, póki nie są za stare albo zbyt wyniszczone, by pracować dalej.

Upił kolejny łyk wina, zakrztusił się i zakaszłał.

– Jak wiesz, Beatrice, większość dziewcząt, które mieszkają w schronisku Świętej Marii Magdaleny, została aresztowana za nierząd czy kradzieże na Chick Lane, w Covent Garden albo gdzieś w tych okolicach. Gdyby pastor Parsons nie chodził regularnie do sądów i nie wstawiał się za nimi, trafiłyby do domu poprawczego Clerkenwell. Albo zesłano by je gdzieś lub nawet powieszono. Pastor Parsons występuje w ich obronie, obiecując, że jeśli schronisko Świętej Marii Magdaleny dostanie pozwolenie, by wziąć je pod swoje skrzydła, dziewczyny się poprawią, nawrócą, staną się wzorem cnót chrześcijańskich. Byłem w sądzie. Słyszałem, jak on to mówi. Jest ogromnie przekonujący.

– Ale czy zdaje sobie sprawę, co naprawdę się z nimi stanie? Że będą kapane, czesane i uczone dobrych manier, a potem sprzedane jako dziwki

wyższej klasy?

– Dobry Boże, Beatrice, nie powinienem mówić ci takich rzeczy. I tak jesteś w ogromnym niebezpieczeństwie. Ale skoro one są mordowane...

– James, dobrze, że mi to mówisz! Jeśli pastor Parsons o tym wie, nie może uniknąć kary, podobnie jak George Hazzard.

James z trudem przełknął ślinę, bliski łez. Zacisnął pięści.

– On wie, tak. Oczywiście! Podobnie jak Ida Smollett. Ale te dziewczęta przynoszą wielki zysk kościołowi, co finansuje działalność misyjną, a pastor uważa ich życie za nic niewarte. Zdaniem wielebnego Parsonsa te dziewczyny są śmieciami, od kiedy po raz pierwszy sprzedały swoje ciała za pieniądze. Wiesz, co on mówi? „Dziewictwo kobiet należy do Boga i tylko mąż uznany przez Boga ma prawo je zdeflorować, bo wchodzi w ich ciało w Jego imieniu”.

– I Ida też o wszystkim wie?

– Och, na pewno. Myślę, że wszyscy w kościele są tego świadomi, ale cała kongregacja wyznaje te same poglądy. Uważają, że te dziewczęta to niereformowalne grzesznice. Kiedy dziewczyna sprzeda swoją czystość, to według nich w żaden już sposób jej nie odkupi. Nie da się złożyć skorupki jajka, gdy się ją stłucze.

Beatrice naląła sobie odrobinę wina i wypła.

– A co z tobą? – spytała. – Od początku o tym wiedziałeś? Ty też uważasz, że Bóg nigdy im nie wybaczy?

– Nigdy tak nie myślałem i teraz też tak nie myślę. Ale jeśli mam być z tobą szczerzy, przymykałem na wszystko oko. Jestem tchórzem. Kiedy mój ojciec stracił cały majątek podczas wojny z Hiszpanią, to właśnie George Hazzard pożyczył mu odpowiednie środki, by uchronić go od bankructwa i całkowitej hańby. Ojciec nadal jest mu winien ogromne pieniądze i wątpię, że przed śmiercią zdoła mu je spłacić. Co więcej, to George

Hazard polecił mnie pastorowi Parsonsowi, by zatrudnił mnie jako nauczyciela w ośrodku.

– James, jeśli to ma ci zagrażać utratą pracy, nie mogę cię prosić, żebyś poszedł ze mną na Bow Street. Mam nadzieję, że ludzie sir Johna Fieldinga i tak mi uwierzą.

– Nie, Beatrice. Pójdę... pójdę z tobą – oświadczył James. – Muszę się jakoś zrehabilitować. Jak mógłbym mieć nadzieję, że kiedykolwiek odwzajemnisz moje uczucie, gdybym pozwolił ci iść samej, byś składała zeznania dotyczące takiej zbrodni? No dobrze, jeśli pastor Parsons dowie się, że cię wspierałem, mogę stracić pracę nauczyciela w ośrodku. A jeśli dowie się o tym George Hazard, może to oznaczać poważne zagrożenie dla mojego życia. Ale jak byłbym w stanie codziennie rano spojrzeć na siebie w lustrze, gdybym okazał się słabszy od młodej bezbronnej wdowy, od ciebie? Jeśli ty się nie boisz, to ja też nie.

– Och, przecież ja się boję – powiedziała Beatrice. – Jednak wczoraj wieczorem, modląc się, pytałam Boga, co powinnam zrobić. I wiesz? Kiedy rano wstało słońce, jego promienie odbiły się w misce wody u mnie w pokoju i rzuciły coś w rodzaju aureoli na sufit nad moją głową. Zrozumiałam, że Bóg pobłogosławił moją determinację, by szukać sprawiedliwości dla Grace. Wierzę też, że kiedy pojechaliśmy do Hackney, posłużył się psem Florrie, No-no, by wskazać mi szczątki Jane Webb. Bóg mnie prowadził. To nie mógł być przypadek. – Umilkła. – Bez względu na to, jak bardzo się boję, James, Bóg powierzył mi misję i zrobię wszystko, by ją wypełnić.

W tym momencie siedząca naprzeciwko nich kobieta czknęła i cmoknęła bezzębnymi dziąsłami, po czym powiedziała do nikogo w szczególności:

– Biada, moje biedne serce! Biada!

## Rozdział 37

Beatrice i James wzięli powóz, by zawiózł ich na Bow Street, ale była już za piętnaście piąta, kiedy dotarli pod numer cztery – wąski pięciopiętrowy budynek o łuszczących się, pomalowanych na czarno drzwiach.

Na zewnątrz kłębił się wzburzony tłum – głównie nieogoleni mężczyźni w postrzępionych okryciach, brudnych spodniach i niechlujnych perukach, choć były też ze dwie kobiety, których uróżowane policzki i jaskrawoczerwone usta sugerowały, że to aktorki albo prostytutki. Śpiewali i skandowali: „Nie wieszajcie Harry’ego! Nie wieszajcie Harry’ego!”. Niektórzy mężczyźni byli tak pijani, że musieli przytrzymywać się sztachet, żeby nie upaść.

Beatrice precyzyjnie się między nimi i weszła na schodki, a James tuż za nią. W środku powitał ich niewysoki smagły odźwierny w starannie zapiętej na wszystkie guziki granatowej bluzie. Miał niskie czoło i owłosione dłonie. Beatrice mimowolnie pomyślała, że wygląda jak tresowany szympan, przebrany w uniform.

– Słucham jaśnie państwa, czym mogę służyć? – zapytał.

– Przyszłam zobaczyć się z konstabłem i zgłosić dwie zbrodnie. Być może nawet więcej – oznajmiła Beatrice.

– Proszę wybaczyć, czy byłaby pani łaskawa powtórzyć raz jeszcze? – rzucił odźwierny. – Przepraszam, to przez ten tłum na zewnątrz! Aresztowaliśmy pewnego człowieka za kradzież. Mogą sobie krzyczeć, ile zechcą, i tak będzie dyndał. Tylko cud boski mógłby go uratować.

– Muszę pilnie porozmawiać z kimś, kto posiada stosowne uprawnienia – powiedziała nieco głośniejszym głosem Beatrice. – Wiem o kilku

zamordowanych młodych kobietach i wiem, gdzie można znaleźć ich szczątki.

Odźwierny spojrzął na Jamesa, jakby chciał spytać, czy to nie wariatka.

– Ta pani jest wykwalifikowaną aptekarką, wdową po pastorze. Zapewniam pana, że to, co chce zgłosić, to prawda, w dodatku wielkiej wagi.

– Rozumiem, proszę pana – odparł odźwierny. – Jeśli zechcieliby mi państwo podać swoje nazwiska, a potem przeszli ze mną łaskawie do poczekalni, zobaczę, kogo uda mi się sprowadzić.

Beatrice i James czekali ponad dwadzieścia minut w dusznej niewielkiej salce. Ogień w kominku wygasł, został tylko popiół i robiło się coraz zimniej. Wiszący na ścianie ponury portret sir Johna Fieldinga bynajmniej nie ocieplał tego posępnego wnętrza. Był to człowiek brzuchaty, niewidomy, z czarną przepaską na czole, pod peruką. Miał surowy wyraz twarzy.

– Wiesz, co o nim mówią? – odezwał się James. – Może jest ślepy, ale potrafi rozpoznać po głosie co najmniej z trzystu przestępców.

– Robi wrażenie kogoś, kto czuje się dokładnie tak jak ja – powiedziała Beatrice. – Nieszczęśliwy, zagubiony, pogrążony w całkowitej ciemności.

– Najdroższa, nie wolno ci popadać w czarnowidztwo – zaoponował James. – Miałaś dość odwagi, by dojść do tego punktu. I sędzę, że masz rację, Bóg chce, żebyś to zrobiła. Jestem przekonany, że wkrótce zobaczysz światełko w tunelu. Mnie się to dziś przydarzyło, Beatrice. Dzięki tobie dostrzegłem, kim jestem. Straszny ze mnie tchórz i chcę to odkupić. Rano byłem Szawłem. Teraz jestem Pawłem.

Czekali kolejne dziesięć minut, aż wreszcie wszedł jakiś urzędnik z piórem zatkniętym za ucho.

– Pan Treadgold? Wdowa Scarlet? Pan konstabl zaraz państwa przyjmie.

Poszli za nim do biura na tyłach budynku. Za biurkiem zarzuconym papierami siedział chudy młody człowiek o haczykowatym nosie, ubrany w oliwkowy surdut. Wstał, gdy Beatrice i James weszli, i skinął głową, choć nie wyciągnął do nich dłoni. W pokoju było duszno, gorąco i mocno pachniało Royal Essence – perfumami robionymi z piżma, cywetu, goździków i cynamonu – choć nie za bardzo maskowało to woń tytoniu i skwaśniałego potu.

– Proszę siadać – powiedział nosaty młody człowiek. – Nazywam się Jonas Rook. Rozumiem, że mają państwo do zgłoszenia jakieś przestępstwo.

– Morderstwo – sprecyzowała Beatrice, ale w tym momencie stanął jej przed oczami wyraz twarzy Grace, kiedy przecięto jej gardło, i musiała na chwilę przerwać, by kilka razy głęboko odetchnąć.

Jonas Rook, który bezmyślnie przerzucał papiery na biurku, teraz spojrzał na nią, unosząc brew. Urzędnik siedział w kącie z naszykowanym piórem, by spisywać, co powie Beatrice. On też patrzył na nią.

– Więcej niż jedno morderstwo – dodała. – Co najmniej dwa, a możliwe, że nawet osiem.

– Proszę mówić – powiedział Jonas Rook.

Nie wydawał się zbyt zaskoczony, ale teraz wpatrywał się w Beatrice, nie opuszczając już wzroku na swoje papiery. Urzędnik znów zanurzył pióro w atramencie i oblizał usta.

Beatrice zaczęła od historii, jak George Hazzard przyjechał do schroniska Świętej Marii Magdaleny i jak wybrał siedem najładniejszych dziewcząt do pracy w swojej fabryce. Potem opowiedziała, jak znikły,

a George twierdził, że wezwały szatana, który dał im moc czarownic, i odleciały.

– A jakie miał na to dowody? – zapytał Jonas Rook.

– Namalowany na ścianie pentagram i zarżniętego kozła, którego dziewczęta, jego zdaniem, złożyły w ofierze. Widziałam to na własne oczy.

– W takim razie co sprawiło, że zwątpiła pani, by dziewczętom naprawdę udało się przywołać szatana?

Beatrice wyjaśniła, jak poddała analizie „krew” użytą do namalowania pentagramu. A potem opowiedziała o głowie kozła, która pojawiła się przed nią na stole podczas obiadu, i jak wzięła próbkę z brody i też przetestowała.

Dalej mówiła o mężczyźnie z lustrzaną twarzą i o tym, że ślady zadrapań na drzwiach pasowały dokładnie do trójzębnego haku, który znalazła na New Queen Street nad rzeką.

James wyciągnął dłoń i położył ją na jej ręce, bo nie wspomniała mu wcześniej o tym haku, ale jej nie przerywał.

W jak najprostszych słowach, nie pomijając żadnego z drastycznych szczegółów, opisała seksualne występy w burdelu Ledy Sheridan i odcięcie głowy Grace. Wreszcie wyciągnęła krzyżyk Jane Webb i położyła go na papierach Jonasa Rooka, wyjaśniając, co odkryła tego dnia po południu w ogrodzie przy fabryce George’a Hazzarda.

– Ludzka łopatka? – powtórzył Jonas Rook. – Jest pani tego całkiem pewna?

– Tak. Były tam też strzępy czerwonej sukienki. I czułam zapach rozkładających się zwłok. Nie mam wątpliwości, że jest tam pogrzebane ciało.

Jonas Rook wciągnął policzki. Obrócił się do urzędnika, który gorączkowo spisywał to, co Beatrice mówiła na temat zakapturzonego kata, który zamordował Grace.

– *Nim gimmer?* – upewnił się urzędnik. – Tak krzyczeli?

Beatrice skinęła głową.

– Wiedzieli, co się z nią stanie. Właśnie za to tak sownie zapłacili. Nie mam pojęcia, ile pani Sheridan liczyła za oglądanie gwałtu na Grace i tego, jak ją zabijają, ale sądzę, że musiała to być znacząca suma.

Jonas Rook podniósł krzyżyk i obrócił go w palcach.

– W zeszłym roku miałem okazję osobiście przekazać pani Sheridan ostrzeżenie z naszej strony. Jeden z jej klientów skarżył się, że skradziono mu z kieszonki złotą monetę, a osiłki pani Sheridan obili go tak dotkliwie, że stracił oko. Jeśli dobrze pamiętam, żądała wtedy pięćdziesięciu gwinei za patrzenie, jak dwóch mężczyzn naraz odbiera dziewictwo młodej dziewczynie ze wsi. Mogę się tylko domyślać, że za oglądanie zhańbienia i dekapitowania pani biednej czarnuszki musiała wziąć co najmniej po sto.

– Wierzy mi pan? – spytała Beatrice.

Jonas Rook odchylił się na krześle i splótł dłonie przed sobą.

– Owszem, wdowo Scarlet, wierzę pani. Tak naprawdę długo czekałem na takiego wiarygodnego świadka jak pani, by przyszedł na Bow Street i złożył zeznania na temat działalności pana George’a Hazzarda. Nie byłoby to właściwe, gdybym powiedział pani o wszystkich oskarżeniach, jakie przeciwko niemu wnoszono, ale poza tym, że jest zamieszany w prostytucję, mieliśmy informacje dotyczące wymuszeń, przekupstwa i niepłacenia podatków za sprowadzany tytoń.

– I co teraz zrobicie? – zapytał James.

Jonas spojrział na zegar wiszący na ścianie nad głową urzędnika.

– Jest już ciemno i zdecydowanie za późno, by jeszcze dziś podjąć jakieś kroki. Ale jutro rano niezwłocznie przedstawię pani zeznania sir Johnowi. Jeśli się zgodzi, przygotuję odpowiedni nakaz i zorganizuję ekipę,



by ekshumować szczątki tych młodych kobiet, zakładając, że zostały one pogrzebane tam, gdzie pani sądzi.

Podniósł się z miejsca i Beatrice również wstała.

– Dziękuję, że odważyła się pani przyjść do nas, wdowo Scarlet – powiedział i się skłonił. – Gdyby tylko inni londyńczycy byli równie dzielni. Ale muszę panią ostrzec, że pan Hazzard zrobi wszystko, by podważyć pani zeznania, a może nawet będzie groził pani fizycznie albo gorzej. Zgadzam się z panią, że to on może stać za tymi tak zwanymi ostrzeżeniami szatana, z którymi się pani zetknęła. A jeśli był gotów zadać sobie tyle trudu, by panią wystraszyć, teraz może próbować uciszyć panią jeszcze skuteczniej.

James nadal siedział.

– To był on – powiedział bardzo cicho. – To był George Hazzard. Przynajmniej w jednym przypadku, o którym wiem.

– Doprawdy? A o który to przypadek chodzi? – zapytał Jonas Rook.

– Ten mężczyzna w Ranelagh Gardens, z lustrzaną twarzą.

– James! – krzyknęła Beatrice. – Wiedziałeś?

James skinął głową.

– Wstyd mi to przyznać, ale tak. Myślałem jednak, że jeśli potraktujesz te ostrzeżenia poważnie i przestaniesz wtrącać się w sprawy pana Hazzarda, to będzie dla ciebie bezpieczniej. Nie miałem wtedy pojęcia, że tych siedem dziewcząt może nie żyć. Natomiast wiedziałem, że z takim człowiekiem jak pan Hazzard nie ma żartów. Trzech jego pracowników, którzy chcieli uciec z beczką tytoniu, znaleziono utopionych w rzece Lea, z wyłupionymi oczami. Mieli połamane nogi. Każdy, kto mu się naraził, kończył marnie.

– Wiedziałeś o tym człowieku w czarnej pelerynie już tego ranka, kiedy zabierałeś nas na wycieczkę?

– Tak, Beatrice. Muszę ci to wyznać. Dzień wcześniej wspomniałem pastorowi Parsonsowi, że zamierzam zabrać was do Ranelagh Gardens. Rzuciłem to niewinnie, wierz mi, bo tak się z tego cieszyłem. Ale pastor Parsons jadł potem obiad z panem Hazzardem i musiał mu o tym powiedzieć. Później, kiedy wrócił, powiadomił mnie, że będziemy tam śledzeni, że podejdzie do ciebie ktoś, kto nie zrobi ci nic złego, ale swoim wyglądem wystraszy cię na tyle, żebyś przestała wtrącać się w sprawy pana Hazzarda. Niemal dokładnie tak to sformułował.

Beatrice nie znalazła na to żadnych słów. Spojrzała na Jonasa Rooka, ale jemu też nic mądrego nie przyszło do głowy i tylko wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że jest bezradny i te sprawy Beatrice i James muszą już załatwić między sobą.

– Przyślę pani rano wiadomość do schroniska Świętej Marii Magdaleny – obiecał. – Dam też pani znać, co wykopaliśmy przy fabryce pana Hazzarda, jeśli w ogóle na coś tam trafimy.

– Nadal modłę się, żebym nie miała racji – powiedziała Beatrice. – Zdecydowanie wolałabym, żeby te dziewczyny żyły i pracowały w burdelu, niż były martwe i leżały pogrzebane w ogrodzie.

– Amen – zakończył Jonas Rook.

James milczał.

• • •

Wezwali powóz i wrócili do Maidenhead Court. Przez dłuższy czas żadne z nich nie odzywało się słowem.

– Pewnie nie możesz mi wybaczyć – wybąkał wreszcie James, gdy mijali katedrę Świętego Pawła.

– Dlaczego nie zdradziłeś mi tego wcześniej, w tawernie Salutation, kiedy miałeś ten moment nawrócenia?

– Masz rację, powinienem był to zrobić. Paskudnie się czuję.

– Dam ci jutro znać, co postanowił konstabl Rook, a potem czy znalazł jakieś ciała – powiedziała Beatrice. – Ale musisz tak samo poważnie jak ja potraktować jego ostrzeżenie. Jeśli George Hazzard odkryje, że pomagałeś mi świadczyć przeciwko niemu, twoje życie również będzie zagrożone. Widziałam, jak przebił człowieka mieczem.

– Jutro nie mam lekcji. Mógłbym przyjść się z tobą zobaczyć.

– Nie, James. Lepiej nie. Potrzebuję czasu, żeby spokojnie pomyśleć o naszej przyjaźni, i ty chyba również. Wiem, jesteś przekonany, że mnie kochasz, ale miłość to nie same romanse i pociąg fizyczny. Wymaga absolutnej uczciwości. Chodzi nie o słowa, ale o czyny. Okropnie wystraszył mnie ten człowiek z lustrzaną twarzą, a co gorsza, ty wiedziałeś, że będę przerażona. Co jeszcze przede mną ukryłeś?

– Już nic więcej, Beatrice. Powiedziałem ci wszystko. Gdybyś tylko wiedziała, jak okropnie mi wstyd.

Dojechali do Maidenhead Court i woźnica pomógł Beatrice wysiąść.

– Beatrice... – zaczął James, ale ona mu przerwała.

– Nie mów tego – rzuciła, a potem dodała ciszej: – Proszę, nic już nie mów.

## Rozdział 38

Beatrice spóźniła się prawie pół godziny na modły z okazji Święta Aniołów Stróżów. Przegapiła wszystko, poza nieco fałszywie odśpiewaną pieśnią *Przybądź i pozwól nam słodko dołączyć* – linijka po linijce, bo niewiele dziewczyn umiało czytać – a potem zacytowanymi przez Idę mądrościami Bazylego Wielkiego.

– Wszystkie anioły są tej samej natury, choć niektóre czuwają nad całymi narodami, a inne są przypisane każdemu z wiernych.

Po nabożeństwie, gdy Beatrice już miała zabrać Florence na górę do łóżka, Ida podeszła do niej.

– Jestem bardzo zawiedziona – powiedziała. – Obiecałaś, że wrócisz na czas.

– Przepraszam – odparła Beatrice. – Godfrey nie miał jeżówki purpurowej i musieliśmy po nią posłać.

Ida patrzyła jej surowo w oczy, jakby nie była pewna, czy może jej wierzyć, ale teraz, kiedy Beatrice wiedziała, że ta kobieta ma swój udział w posyłaniu tutejszych dziewcząt do pracy w burdelach na Drury Lane, a nie w fabryce George'a Hazzarda, kłamstwo przychodziło jej dużo łatwiej.

– Na kolację jest pieczeń wołowa na zimno, nadziewane pomidory i krupnik – oznajmiła Ida, nadal się w nią wpatrując, i choć tylko recytowała wieczorne menu, zabrzmiało to jak wyrzut.

– Szczerze mówiąc, nie jestem specjalnie głodna – odparła Beatrice. – Położę Florrie i pewnie sama wcześniej pójde spać.

– Możliwe, że pojutrze przyjedzie trochę nowych dziewczyn – powiedziała Ida. – Pastor Parsons mówił mi, że przynajmniej pięć stanie

przed sądem Old Bailey: wszystkie z Black Boy Alley, oskarżone o nierząd i drobne kradzieże. Osobiście wystąpi w ich obronie.

Więcej wody na młyn finansowy pastora Parsonsa, pomyślała Beatrice, gdy Florence wskakiwała na stopnie przed nią.

Poczuła pewną ulgę, kiedy dotarła do siebie i zamknęła drzwi. Uświadomiła sobie jednak, że niedługo obie z Florence będą musiały wynieść się z Maidenhead Court. Wszystko zależy od tego, co konstabl Rook odkryje w ogrodzie George'a Hazzarda. Następnym razem może nie tylko drzwi zostałyby rozszarpane metalowym hakiem. Problem w tym, gdzie ona się podzieje.

Przypomniała sobie o jakichś starych przyjaciółach ojca z szacownej gildii aptekarzy. Jeden mieszkał w Clerkenwell, drugi przy Lamb's Conduit Fields, ale nie widziała ich od pogrzebu ojca i nie wiedziała, czy ich adresy są aktualne, a nawet czy ci ludzie jeszcze żyją. Jediną krewną, jaką знаła, była kuzynka Sarah z Birmingham, ale Beatrice wcale nie miała pewności, czy chętnie powitałaby w swoich progach ją i Florence.

Był też inny problem. Kościół jak dotąd nie zapłacił jej za czas, który poświęciła na pracę w schronisku Świętej Marii Magdaleny. Z oszczędności zostało jej już niecałe trzydzieści funtów, choć miała jeszcze srebrny pierścionek z topazem i dwa złote naszyjniki, które mogła zastawić.

Rozebrała się, umyła i włożyła koszulę nocną, ale nie mogła zasnąć. Nie potrafiła przestać myśleć o Jamesie i o tym, jak oszukał ją w sprawie mężczyzny z lustrzaną twarzą. Czy jego skrucha była szczera, czy też – by ratować własną skórę – pójdzie teraz do George'a Hazzarda i ostrzeże go, że doniosła na niego na Bow Street? Poczuła się boleśnie samotna, nie mogąc nikomu zaufać poza Jonasem Rookiem. Było tak, jakby bujała w przestrzeni, w ciemnościach, gdzie wołanie o pomoc nie ma żadnego sensu, bo i tak nikt jej nie usłyszy.

• • •

– Jest list do pani – powiedziała Hettie, wchodząc do kuchni. – Chłopak nadal czeka pod drzwiami na swojego pensa.

Beatrice trzymała kromkę ciemnego chleba przed ogniem, żeby ją przypiec na grzanekę. Odłożyła długi szpikulec i sięgnęła do kieszeni.

– Proszę – powiedziała. – Trzy ćwierćpensówki, tylko tyle mam.

Hettie poszła zapłacić chłopcu, a Beatrice usiadła przy stole i przełamała czerwoną woskową pieczęć. Kucharka Martha stała tuż za nią, więc Beatrice nachyliła kartkę pod takim kątem, by tamta nie zobaczyła, od kogo jest list.

*Droga wdowo Scarlet, w związku z Pani wczorajszą wizytą na Bow Street dziś rano przedstawiłem Pani zeznania sir J. Fieldingowi. Zgodził się wydać nakaz i obecnie zbieram grupę funkcjonariuszy i robotników, by dokonać przekopania ogrodu przy fabryce tytoniu w Hackney. Jeśli trafimy na jakiegokolwiek szczątki ludzkie, przeniesiemy je do kostnicy szpitala Świętego Bartłomieja, aby chirurg ustalił przyczynę zgonu. Zawsze do usług, Jonas Rook, konstabl*

– Złe wieści? – spytała Martha, kiedy Beatrice złożyła list i wsunęła go za dekolt gorsetu.

– Dla niektórych zapewne tak – odparła Beatrice.

• • •

Obiecała Jamesowi, że prześle mu wiadomość, gdy Jonas Rook będzie gotów do ekshumacji, ale teraz odstąpiła od tego zamiaru. Nie mogła mieć pewności, czy nie ostrzeże George'a Hazzarda. Było jej trochę wstyd, że

mu nie ufa. Sądziła jednak, że są większe szanse, by sprawiedliwości stało się zadość, jeśli przybycie Jonasa Rooka do fabryki tytoniu okaże się kompletnym zaskoczeniem i George Hazzard nie będzie miał czasu na wykopanie i ukrycie ciał, ile ich tam było, albo na obmyślenie jakiegoś przekonującego wyjaśnienia, dlaczego znalazły się w ogrodzie przy jego fabryce.

Dzień włókł się w ślimaczym tempie. Raz po raz rzucała okiem na zegar, ale wskazówka zdawała się niemal stać w miejscu. Beatrice poprowadziła lekcję szydełkowania dla dwunastu dziewcząt, a potem czytała im fragmenty z Biblii na temat prostytutki.

– „Niewiasta Głupota ciągle się rzuca, Pustota niczego nie pojmie. Przy bramie swego domu usiadła, na tronie, na wyżynach w mieście, by wołać na przechodzących drogą, na tych, co prosto idą swymi ścieżkami. «Niech zboczy tu niedoświadczony» – odzywa się do tego, komu brak mądrości: «Przyjemna jest woda kradziona, chleb wzięty skrycie jest smaczny». Nie myśli się o tym, że tam bawią zmarli, jej zaproszeni – w głębinach Szeolu”<sup>\*</sup>.

Dziewczyna o imieniu Rebecca podniosła rękę.

– Racja, pani Scarlet – powiedziała. – Nie wolno kraść wody, ale jak człowiek kona z głodu, to jak nie wziąć chleba? I wcale nie musi on być smaczny.

Beatrice mimo woli się uśmiechnęła.

– Nie chodzi dosłownie o chleb. To oznacza zbliżenie seksualne z kimś, z kim nie trzeba, na przykład z prostytutką.

– I o tym piszą w Biblii? Jeśli to mieli na myśli, czemu nie mówią wyraźnie, do cholery?!

Beatrice już miała odpowiedzieć, gdy do atelier weszła Hettie. Z następnym listem.

– Przywiózł to woźnica. Mówi, że ma polecenie dopilnować, żeby pani to przeczytała, i poczekać na panią.

Beatrice otworzyła list. Była to kolejna wiadomość od Jonasa Rooka. Kiedy czytała, ręce zaczęły się jej trząść, a w ustach poczuła żółć.

*Droga wdowo Scarlet, z przykrością informuję, że Pani podejrzenie się sprawdziło. Odkryliśmy szczątki siedmiu kobiet. Przystałem po Panią transport i proszę, by przyjechała Pani do Hackney najszybciej, jak to możliwe, by je zidentyfikować. Proszę nie powiadamiać nikogo w schronisku Świętej Marii Magdaleny, że się Pani tu wybiera, a w szczególności nie mówić o celu Pani wyprawy. Zawsze do usług, J. Rook*

Beatrice wstała.

– Coś się stało, pani Scarlet? – spytała Rebecca. – Strasznie przepraszam. Nie chciałam kłąć. Tak mi się wysnęło.

– Nie, nic się nie martw, Rebecco. Dostałam wstrząsającą wiadomość i muszę natychmiast jechać. Kontynuujcie szydełkowanie, proszę, i starajcie się być grzeczne wobec pani Smollett. Hettie, mogę liczyć, że znów zaopiekujesz się Florrie? Może mnie nie być jakieś trzy, cztery godziny, a nawet dłużej.

– Och, z przyjemnością. Uwielbiam się nią zajmować. Jest taka kochana.

Beatrice narzuciła pelerynę, włożyła kapturek i poszła do salonu, gdzie Ida siedziała przy biurku, robiąc jakieś zapisy w swojej księdze rachunkowej.

– Wychodzisz? – spytała ostro. – A co z popołudniowymi lekcjami czytania?

– Obawiam się, że wzywają mnie o wiele pilniejsze sprawy.



– Ach, tak? A co takiego dokładnie?

– Powiem ci, jak wrócę.

– Nie. – Ida odłożyła pióro i wstała. – Sądzę, że lepiej, jak powiesz mi teraz. W ostatnich dniach stale zaniedbujesz swoje obowiązki, pod mało przekonującymi pretekstami. Mam ci przypomnieć, że dostałaś tę pracę w akcie miłosierdzia, by wesprzeć cię jako wdowę? Kościół mógł wyeksmitować cię z domu w Ameryce i zostawić bez pensa przy duszy, ale my zaopiekowaliśmy się tobą z należną chrześcijańską troską. Powinnaś to docenić.

– Ido, nie myśl, że nie jestem wdzięczna. Ale nie mam prawa powiedzieć ci, dokąd jadę i po co.

– Coś takiego! A niby kto ci zakazał?

– Przykro mi, ale i tego nie mogę wyjawić, jeszcze nie teraz.

– No, no... jestem... zdumiona! To niesłychane. Sądzisz, że możesz przychodzić i wychodzić, kiedy ci się podoba, nie zważając na swoje obowiązki?

– Ido, błagam, nie gniewaj się. W normalnych okolicznościach nigdy bym się nie ośmieliła cię zawieść, ale to sprawa najwyższej wagi.

Ida podeszła bliżej, z zaciśniętymi ustami, rozdymając nozdrza.

– To chyba nie ma nic wspólnego z tamtym sabatem czarownic, co?

– Nie mogę powiedzieć, Ido, i naprawdę muszę już iść. Przed domem czeka na mnie powóz.

– No tak! Trafiłam? Chodzi o ten sabat czarownic! Uważasz się za chrześcijankę, a w głębi duszy zaprzeczasz istnieniu szatana! Jak możemy walczyć z siłami ciemności, jeśli nie chcesz uwierzyć w ich księcia?

– Wierzę w niego, Ido, ale wierzę też, że potrafi objawiać się pod bardzo różnymi postaciami.

- A to co znowu ma znaczyć?
- Że muszę wyjść. Poprosiłam Hettie, aby zajęła się Florrie. Wrócę najszybciej, jak to będzie możliwe.
- Doskonale. Ale kiedy wrócisz, musimy poważnie porozmawiać o twojej przyszłości u nas.
- Tak, Ido. Na pewno.

---

\* Prz 9,13–18.

## Rozdział 39

Gdy powóz zajechał pod fabrykę tytoniu, Beatrice zobaczyła, że pod topolami stoi w szeregu jeszcze siedem czy osiem powozów. Wokół nich kręcili się robotnicy, niektórzy siedzieli na trawie, większość paliła.

Kiedy woźnica pomagał jej wysiąść, z fabryki wyszedł jej na spotkanie Jonas Rook. Miał na sobie długi czarny żakiet i duży trójgraniasty kapelusz. Wyglądał bardziej na właściciela zakładu pogrzebowego niż konstabla. Wyraz jego twarzy był ponury.

– Dziękuję za tak szybkie przybycie, wdowo Scarlet – powiedział. – Ogromnie mi przykro, że musiałem wezwać tu panią w tak koszmarnej sprawie, ale to bardzo istotne, abyśmy jak najprędzej zidentyfikowali szczątki tych biednych dziewcząt.

Podał jej ramię, a ona wzięła go pod rękę, żeby przeprowadził ją przez tłum. Rozejrzała się szybko, szukając wzrokiem Judith, ale nigdzie jej nie dostrzegła, podobnie jak żadnej z pięciu dziewczyn, które George Hazzard zabrał ze schroniska zaledwie dwa dni wcześniej. Miała nadzieję, że są nadal gdzieś w środku fabryki albo kazano im wracać do ich sypialni.

Przeszli przez halę, teraz opustoszałą, pogrążoną w ciszy, poza sykiem wydobywającym się z kotłów parowych. Drzwi do biura George'a Hazzarda były zamknięte, a przed nimi stał na straży, z założonymi na piersi rękami, siwowłosy wąsaty konstabl. Wydymał lekko dolną wargę, jakby chciał jasno pokazać, że z nim nie ma żartów.

– Pan Hazzard jest u siebie? – spytała Beatrice.

– O tak – potwierdził Jonas Rook. – I to w nie najlepszym humorze, proszę mi wierzyć. Kiedy się pojawiliśmy, próbował odmówić nam wstępu, ale oczywiście mamy nakaz generalny. Już poprzysiągł, że oskarży nas

o zniesławienie i utratę zysków. Och, i jeszcze przeklinał nas, żebyśmy szczęśli.

Wyszli do ogrodu. Stało tam z sześciu robotników z łopatami i tyluż funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości, w tym konstable z parafii Hackney. Był też John Bellflower, prawnik George'a Hazzarda. Siedział na niskim ceglany murku, niczym jajowaty Humpty Dumpty z dziecięcej rymowanki.

Środek trawnika rozkopano, odkrywając rów nie głębszy niż na jakieś trzydzieści centymetrów, ale szeroki na trzy metry, o długości pewnie ośmiu. W tym rowie znajdowały się obok siebie ciała siedmiu dziewcząt – trzy z nich miały sukienki i halki, dwie tylko gorsety i pończochy, a pozostałe dwie były nagie. Cztery leżały twarzami do góry, jedna na boku, reszta twarzą do ziemi. Było jasne, że pogrzebano je w pośpiechu. Wrzucono je do rowu, szybko zasypano ziemią, a z wierzchu przykryto byle jak darnią.

– O dobry Boże w niebiesiech... – jęknęła Beatrice.

Zarzynała, patroszyła i oprawiała swoje świnie w Sutton i często widywała w rzeźni, jak wykrwawia się bydło. Widziała powieszonych ludzi i mężczyznę, który został częściowo rozpuszczony w kwasie, ale nigdy nie miała przed oczami czegoś tak makabrycznego jak te siedem martwych dziewczyn.

– Boże święty, mam nadzieję, że nie cierpiały.

Wszystkie ciała były mocno spuchnięte. Ich skóra była tak szara i błyszcząca jak u ślimaków. Oczy zapadły się w czaszki, a zęby odsłaniały się w szkaradnych uśmiechach. Brzuchy dwóch dziewczyn w gorsetach popękały, więc bladozielone wnętrzości kłębiły się im między udami niczym grube rurki makaronu. Nawet w ten zimny, wietrzny dzień Beatrice

z każdym oddechem wyczuwała przypominający woń zepsutego kurzego mięsa smród śmierci.

Przez moment przytrzymała się ramienia Jonasa Rooka, żeby złapać równowagę.

– Jest pani pewna, wdowo Scarlet, że ma pani siłę to zrobić? – zapytał. – Jeśli to dla pani zbyt wiele, proszę mi powiedzieć.

– Nie – odparła ochrypłym głosem. – To mój obowiązek. Jestem im to winna.

Puściła jego łokieć i podeszła, wyjmując chusteczkę, żeby przyłożyć ją do nosa i ust. W kilku miejscach spod skóry ukazywały się kości. Biodra, żebra, kolana. Kiedy Beatrice była już blisko rowu, zobaczyła ciało w czerwonej sukience, które odkryła najpierw. Leżało twarzą do dołu, z nadal wystającą łopatką. Rozpoznała tę suknię, a poza tym pamiętała o znalezionym krzyżyku.

Jeden z konstabli przewrócił ciało na bok, żeby Beatrice mogła zobaczyć twarz, i tak – pomimo zapadniętych oczu i upiornego grymasu – to była Jane.

Beatrice ruszyła powoli wzdłuż rowu. Choć ciała mocno uległy rozkładowi, była w stanie podać imiona czterech dziewcząt, a twarze pozostałych trzech też zdołała rozpoznać. Nie wiedziała tylko, jak one się nazywały.

Konstabile i robotnicy obserwowali ją, zachowując pełne powagi milczenie. Kiedy dotarła do końca rowu i złożyła dłonie, by się pomodlić, oni zdjęli kapelusze i czapki na znak uszanowania.

– Zna je pani? – zapytał Jonas Rook, który szedł tuż za nią.

Beatrice skinęła głową.

– Tak. Wszystkie siedem. Cały sabat czarownic pana Hazzarda. Czarownice! Tym biedaczkom jakoś nie udało się odlecieć zbyt daleko.

Biedne, nieszczęsne dziewczyny.

John Bellflower zgramolił się z murka i kręcił się w pobliżu, a teraz podszedł do niej, zacierając ręce.

– Zapewne pamięta mnie pani. John Bellflower, prawnik pana Hazzarda.

– Wdowa Scarlet nie ma panu nic do powiedzenia – uciął Jonas Rook, zastępując mu drogę.

Jednak John Bellflower nie dawał za wygraną.

– Czy dobrze słyszałem, że ta dama rozpoznała ciała i że to są te same dziewczęta, które wezwały szatana?

– Musi pan poczekać, aż zacznie się rozprawa sądowa – powiedział Jonas Rook.

– Rozprawa? Jaka rozprawa?

– Rozprawa przeciwko panu klientowi, panu George'owi Hazzardowi. O morderstwo.

– Co takiego? Morderstwo? I któż wniesie takie oskarżenie?

– Wdowa Scarlet, oczywiście, z pełnym poparciem ze strony sir Johna Fieldinga.

– To niedorzeczne! Pan Hazzard nie ma nic wspólnego z tym, że te młode kobiety stanęły przed obliczem swojego Stwórcy!

– Ach, nie? To kto to zrobił?

– A gdzie są dowody, panie konstablu? – wybuchnął John Bellflower. – Gdzie konkretny dowód? Przecież pan Hazzard to szanowany obywatel i przedsiębiorca! Wysoce ceniony członek Gildii Producentów Wyrobów Tytoniowych, a także bezinteresowny dobroczyńca niezliczonych akcji charytatywnych. Wzór cnót! Niektórzy wprost uważają go za człowieka świętego!

Urwał, by złapać oddech, i machnął ręką w kierunku siedmiu ciał leżących w rowie.

– Przyznam, że śmierć tych nieszczęsnych młodych kobiet to potworna tragedia, coś niewiarygodnego, ale zapewniam pana, że pan Hazzard jest równie wstrząśnięty tym odkryciem jak ja. I bądźmy realistami, konstablu. Niech pan spojrzy na stan tych ciał. To nie może być sprawka człowieka. To musi być dzieło samego szatana!

– Tak naprawdę sam pan w to nie wierzy, panie Bellflower – odparł Jonas Rook. – Ja też ani przez chwilę nie brałem tego pod uwagę. A jeśli chodzi o dowody, dowie się pan o nich, kiedy przedstawimy je sędziemu i ławie przysięgłych w Old Bailey.

John Bellflower odwrócił się do Beatrice.

– Nie potrafię pojąć, co skłania panią, by prześladować pana Hazzarda w ten sposób – powiedział z wyrzutem, plując przy każdym słowie. – Jednak uprzedzam, że poniesie pani surowe konsekwencje swoich posunięć. O tak!

– Chwileczkę, drogi panie! – zawołał Jonas Rook. – Radziłbym nie grozić wdowie Scarlet. Nakaz generalny pozwala mi nie tylko zatrzymać pana Hazzarda, ale też aresztować pana, jako współnika, i każdego, kto by próbował utrudniać śledztwo.

– Chciałabym pomówić z panem Hazzardem – odezwała się Beatrice. – Czy to możliwe?

– Chce pani pomówić z nim teraz? – spytał Jonas Rook.

Zdawał się zaskoczony, że jest tak opanowana.

– Tak, jeśli to możliwe. Mam co najmniej dwa pytania, które chciałabym mu zadać.

– Bardzo wątpię, czy on zgodzi się z panią widzieć – wtrącił John Bellflower.

– Nie ma prawa się nie zgadzać – powiedział Jonas Rook. – Jeśli naprawdę chce pani z nim mówić, wdowo Scarlet, proszę ze mną.

– Protestuję! – wrzasnął John Bellflower. – Wnoszę zdecydowane weto! Poradzę mu, by nie odpowiadał na żadne pani pytania, bez względu na to, jakie będą!

Jonas Rook położył dłoń na ramieniu Johna Bellflowera i nachylił się do jego ucha.

– Zamknij pan jadaczkę, panie Bellflower – powiedział tak cicho, że poza Beatrice nikt nie mógł tego usłyszeć.

John Bellflower tylko się zachnął, wydymając usta, i machnął ręką niczym gruba dziwka z Covent Garden, ale było jasne, że nie ośmieli się przygadać konstablowi.

Wrócili do fabryki, a konstabl stojący przed drzwiami biura George'a Hazzarda odsunął się na bok, żeby ich przepuścić. Jonas Rook zapukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

George stał za biurkiem, dopalając cygaro. Jego policzki wydawały się jeszcze bardziej szorstkie i czerwone niż zwykle, a oczy aż mu wychodziły z orbit ze złości i Beatrice pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś wściekły wyglądał równie komicznie. Jego księgowy, Edward Veal, siedział naprzeciw niego, wydmuchując głośno nos w chusteczkę.

– Co znowu? – warknął George. – I co, na Boga, robi tu ona?

– Wdowa Scarlet wyświadczyła nam wielką przysługę, identyfikując ciała – wyjaśnił Jonas Rook. – Po jej rozpoznaniu i na podstawie pewnych dowodów, które nam przedstawiła, mogę za dzień czy dwa poprosić pana, by pojechał pan ze mną na Bow Street na dalsze przesłuchanie. Będzie to zależało od tego, co stwierdzi chirurg na temat sposobu, w jaki dokonały żywota te nieszczęsne młode kobiety.

– Ona ma jakiś dowód? Co za bzdury! To osoba niespełna rozumu!



– O tym już zdecydują sędzia i ława przysięgłych, jeśli sprawa trafi do sądu.

George zaciągnął się ostatnim centymetrem cygara, po czym zdusił gniewnie niedopałek. Spiorunował Beatrice wzrokiem, jakby był gotów rzucić się na drugi koniec gabinetu i uderzyć ją z całej siły.

– Wdowa Scarlet chce panu zadać kilka pytań – powiedział Jonas Rook. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... czy też jeśli pan ma.

– Pytania? Pytania? To kobieta, która nie potrafi nawet spokojnie patrzeć i nie wtrącać się, jak mężczyźni wywijają prosiakiem!

Beatrice podeszła do jego biurka.

– George, proszę. Chodzi o te dziewczęta ze schroniska Świętej Marii Magdaleny, które ostatnio zatrudniłeś. Po prostu jestem ciekawa, gdzie teraz są. Miałam nadzieję, że będę mogła z nimi porozmawiać i dodać im otuchy. Wszystkie dobrze znały te zmarłe, a dwie lub trzy były z nimi naprawdę blisko. Widok ciał przyjaciółek w takim stanie musiał być dla nich straszny. Ale nie zauważyłam tu żadnej z nich.

George zmrużył oczy i popatrzył na Edwarda Veala, który dalej energicznie czyszcząc nos, wzruszył tylko ramionami, jakby nic nie mógł w tej sytuacji poradzić.

– Tak naprawdę i ja bardzo chciałbym usłyszeć pańską odpowiedź – odezwał się Jonas Rook.

George przez dłuższą chwilę milczał.

– Jeśli to pański interes, a bynajmniej tak nie jest – warknął wreszcie – byłem zmuszony dać im dzień wolnego. Nawet nie widziały tych ciał i oczywiście nie zobaczą. Kiedy wrócą, zapewne już przetransportujecie je wszystkie do kostnicy, dzięki Bogu.

– Dałeś im dzień wolny? – rzuciła ze zdziwieniem Beatrice. – Dlaczego? Przecież nie przepracowały jeszcze nawet tygodnia. A dziś nie

ma żadnego święta, prawda?

– To dlatego, że... no wiesz... Mieliliśmy przeprowadzić rutynowe prace konserwacyjne w fabryce. Kotły i maszyny do cięcia wymagają przeglądów. W związku z tym nie potrzebowaliśmy aż tylu dziewcząt do obrywania liści. Teraz... właśnie trwa ostatni tydzień jarmarku w Southwark, więc załatwiłem, aby pojechały z samego rana i spędziły tam cały dzień. Nawet dałem każdej po szylingu, prawda, Edwardzie? Żeby wydały go, na co zechcą. Czy mam być podejrzany, bo jestem szczodrym pracodawcą?

– Wysłałeś je na jarmark do Southwark? – spytała Beatrice. – I tylko tę piątkę? Czy reszta twoich podwładnych nie uważa tego za niesprawiedliwe?

– Ależ skąd – prychnął George. – Oni już wiele razy korzystali z mojego gestu. Daję im wolny dzień co roku we wrześniu, by mogli wybrać się na jarmark w Bartlemy, i zawsze nagradzam ich przynajmniej pensją za godzinę, jeśli pracują dłużej.

– Ale one, te dziewczyny, wrócą dzisiaj wieczorem?

– Nie muszę odpowiadać na to pytanie, Beatrice. Bardzo obrażasz mnie swoimi podejrzeniami. Nie możesz zaprzeczyć, że zadałem sobie wiele trudu, by pogodzić się z tobą po wcześniejszych nieporozumieniach. A ty tak mi się odpłacasz?

– George... – zaczęła Beatrice. Gorset zaczynał ją dotkliwie cisnąć, a jej głos brzmiał piskliwie. Z trudem łapała oddech. – Jak to możliwe, że te biedne dziewczyny zostały pogrzebane w twoim ogrodzie, w miejscu dobrze widocznym z twojego gabinetu, a ty nic o tym nie wiedziałeś?

– Na to też nie muszę odpowiadać – odparł George. – Mam już tego serdecznie dość. Nie zrobiłem nic złego i jestem głęboko urażony twoją sugestią, jakobym miał coś wspólnego ze śmiercią tych młodych kobiet.

Przygarnąłem je. Dałem im pracę i mieszkanie, a jak one się odwdzięczyły? Zbecześciły ścianę sypialni satanistycznymi symbolami i złożyły w ofierze mojego kozła, a teraz jeszcze wplątały mnie zdradziecko w swoje samobójstwo.

– Samobójstwo? – powtórzyła Beatrice. – Jak możesz mówić, że one popełniły samobójstwo?

George już miał coś na to odwarknąć, gdy Jonas Rook łagodnie położył dłoń na jej ramieniu.

– To są pytania dla pana Fieldinga i dla mnie. Zadamy je panu Hazzardowi na Bow Street, wdowo Scarlet, i poświęcimy temu odpowiednio wiele czasu. Na razie zostawmy pana Hazzarda. Nie chciałbym, żeby oskarżył nas o nękanie lub o wymuszanie przyznania się do winy. Jak mówiłem, niewiele możemy zrobić, póki chirurg nie przeprowadzi sekcji.

– Nie będzie żadnego przyznania się – ryknął na niego George. – Do diabła z waszymi przesłuchaniami! Po stokroć do diabła!

Jonas Rook wyprowadził Beatrice z biura George'a i poszli razem przez opustoszałą halę fabryczną.

– Wierzy pan, że wysłał te dziewczęta na jarmark w Southwark? – spytała Beatrice.

– Musimy być cierpliwi – odparł Jonas Rook. – Jeśli dziś wrócą tu bezpiecznie, to będzie znaczyło, że powiedział prawdę. Ale poproszę strażnika z Hackney, żeby wieczorem tutaj przyszedł i się upewnił.

– Nie sądzę, by George potrafił mówić prawdę, nawet gdyby ona chwyciła go za szyję i rąbnęła jego głową o mur katedry Świętego Pawła.

Jonas Rook podprowadził ją do powozu, który czekał na fabrycznym dziedzińcu. Tłum robotników nadal tu sterczał. Nie wiedzieli, czy mają zostać, czy uznać, że już fajrant, i iść do tawerny na kilka kufla portera.

Dostrzegła skórzastego mężczyznę w skórzanym fartuchu, a on uniósł dłoń, by ją pozdrowić.

– Przyślę pani za jakiś czas wiadomość – powiedział Jonas Rook, gdy pomagał jej wsiąść do powozu. – Wątpię, byśmy coś uzyskali przez kilka najbliższych dni, ale zapewniam, że będę informował panią o naszych postępach.

Beatrice zaczynała lubić tego człowieka. Przypominał jastrzębia. Miał wyostrome rysy jak ktoś, kto zbyt ciężko pracuje i zapomina o posiłkach, ale w jego szczupłej sylwetce i drapieżnym wyglądzie było coś pociągającego. Szczególne wrażenie robiła na niej jego niebezpieczna łagodność. Wyczuwała, że to człowiek, który potrafi bez wahania podjąć drastyczne kroki prawne wobec opornych, ale zwykle woli zachowywać się uprzejmie i jest niemal upiornie opanowany. Zauroczyły ją też jego oczy: srebrzystoszare, błyszczące jak jednopensowe monety z wizerunkiem królewskiej głowy.

Utwierdził ją w przekonaniu, że zeznając przeciwko George'owi Hazzardowi, wypełnia wolę boską. Mimo to nie potrafiła się pozbyć przyprawiającego o mdłości lęku, od którego aż ścisnęło ją dołku, gdy powóz, podskakując na wybojach, zdążył z powrotem do Maidenhead Court. Kiedy dotarli do Moorfields, zaczęło grzmieć. Miotane wiatrem kasztany przy drodze wydawały się przerażone, jakby chciały oderwać się od ziemi i uciec. Czuła, że to zły omen i że w najbliższych dniach może jej grozić jeszcze większe niebezpieczeństwo.

## Rozdział 40

Wprawdzie Ida zapowiedziała, że muszą odbyć poważną rozmowę o jej przyszłości w schronisku Świętej Marii Magdaleny, ale gdy Beatrice wróciła z Hackney, była w swojej sypialni i tego dnia już się nie pokazała. Nawet na kolacji.

– Mówi, że łeb jej pęka – wyjaśniła Hettie, kiedy Beatrice o nią spytała. – Podobno boli ją gorzej, niż gdyby ktoś walnął ją młotkiem między oczy. Musiałam za nią uczyć szycia, a ja ledwie umiem trzymać igłę.

– Przykro mi słyszeć, że nie czuje się dobrze – powiedziała Beatrice, bardziej z rozczarowaniem niż ze współczuciem.

Przez całą drogę układała sobie w myślach, jak powie Idzie, że zidentyfikowała ciała tych siedmiu dziewcząt i nie ma najmniejszych wątpliwości, że to nie szatan ani jego demony brały udział w zabójstwie. Oczywiście, nie wiedziała jeszcze, jak zginęły, ale miała absolutną pewność, że zostały zamordowane przez ludzi – albo samego George’a Hazzarda, albo innych, z jego polecenia.

Późnym popołudniem, gdy zaczęło się ściemniać, przy blasku świec poprowadziła lekcje czytania dla siedemnastu dziewcząt. Kazała każdej z nich po kolei wyrecytować ustęp z Ewangelii według Świętego Jana: „Wy macie diabła za ojca i chcecie spełniać pożądanja waszego ojca. Od początku był on zabójcą i w prawdzie nie wytrwał, bo prawdy w nim nie ma. Kiedy mówi kłamstwo, od siebie mówi, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa”<sup>\*</sup>.

Dziewczyny nie miały pojęcia, dlaczego wybrała ten cytat, i większość z nich nie rozumiała jego znaczenia. Jednak było w nim potępienie nie

tylko morderstwa, ale też kłamstwa na jego temat, i utwierdzał on Beatrice w przekonaniu, że jej działania przeciwko George'owi Hazzardowi pochwała Pismo Święte.

Razem z Florence zjadła wcześniej kolację w kuchni – wołowinę na zimno i musztardowe pikle, a na deser mus z jabłek. Zmusiła się, aby skończyć swoją porcję, choć wciąż miała przed oczami te szare, spuchnięte ciała w ogrodzie fabryki i trudno jej było cokolwiek przełknąć. Ale jeśli pozwolę sobie osłabnąć, pomyślała, nie będzie ze mnie pociechy ani dla Florence, ani dla Jonasa Rooka, ani dla Boga.

Kiedy utuliła Florence do snu i zaśpiewała jej kołysankę, zajęła się pisaniem w swoim dzienniku. A potem siedziała, obserwując, jak pojawiają się i znikają gwiazdy, gdy za kopułą katedry Świętego Pawła przesuwały się po nocnym niebie gnane wiatrem chmury. Myślała o Francisie i tym, co by zrobił, mając do czynienia z kimś takim jak George Hazzard. Niemal słyszała jego głos: „Bóg mu wybaczy, jeśli okaże skrucę. Ludzie oczywiście nie i czeka go szubienica. Ale i jedno, i drugie jest równie sprawiedliwe. Miłosierdzie duchowe i kara doczesna”.

Wkrótce po jedenastej położyła się do łóżka. Była pewna, że spędzi kolejną noc bezsennie. Bała się zamknąć oczy, żeby nie przyśniły się jej koszmary. Jednak już po dwudziestu minutach zapadła w kamienny czarny sen i spała głęboko, nie śniąc o niczym, aż zegar w holu wybił szóstą.

To wtedy obudziło ją gwałtowne pukanie do drzwi jej saloniku i krzyk:

– Beatrice! Beatrice! Nie śpisz? Beatrice!

Zawiązując pasek szlafroka, pobiegła otworzyć. Ujrzała Jamesa, który stał w korytarzu, wychylając się za poręcz schodów, żeby widzieć, co dzieje się niżej.

– James! Tak myślałam, że to twój głos. Co ty tutaj, na Boga, robisz? Która godzina?

Podszedł do niej.

– Chyba nikt mnie nie śledził – powiedział. – Dopiero minęła szósta, więc powinnaś mieć dość czasu, żeby się ubrać i uciekać stąd. Razem z Florrie możecie zatrzymać się u mnie, w domu moich rodziców na Henrietta Street.

– James, o czym ty mówisz? Wejdz i powiedz, co cię sprowadza.

Cofnęła się do saloniku i usiadła przed toaletką. James wszedł do środka, chociaż nim w końcu zamknął za sobą drzwi, jeszcze raz obejrzał się na schody.

– Przepraszam bardzo, że cię obudziłem – wyjąkał. – Byłem przerażony, że może być już za późno.

– Za późno na co, James?

W tej chwili w drzwiach sypialni pojawiła się Florence, trąc oczy.

– Wszystko w porządku, Florrie – zapewniła ją Beatrice. – James przyszedł coś mi powiedzieć. Zaczniście się ubierać z Minnie, dobrze? Możesz włożyć sukienkę w różyczki, jeśli chcesz.

Florence skinęła głową i wróciła do pokoju. James nachylił się i zniżył głos do szeptu, żeby Florrie go nie słyszała.

– Próbowałem przyjść tu zeszłego wieczoru, żeby cię ostrzec, ale brama była zamknięta, a odźwierny spał i choć rzucałem kamyczkami w jego okno, nie mogłem go dobudzić.

– Ostrzec przed czym?

– Wczoraj odwiedził mnie mój stary przyjaciel z Balliol, Barney Thomas, i poszliśmy do Gęsi i Rusztu, gdzie wypiliśmy kilka kolejek. Była już prawie północ, kiedy wracaliśmy, ale przypomniałem sobie, że w klasie zostawiłem torbę, a miałem w niej zegarek kieszonkowy ojca, który odebrałem od jubilera. Pożegnałem się z Barneyem i poszedłem do siedziby głównej. I jak sądzisz, kogo zastałem tam o tej porze?

– Nie wiem, James. Dopiero co mnie zbudziłeś, jestem trochę nieprzytomna. Mów.

– Podpowiem ci. Na zewnątrz stał powóz. Żółty.

– George’a Hazzarda? Co on tam robił?

– Wszedłem do klasy i ruszyłem w kierunku pokoi pastora Parsonsa, żeby to sprawdzić. Słyszałem, jak rozmawiają, bardzo głośno, jakby pili, i już miałem zapukać, kiedy drzwi nagle się otworzyły. Sam nie wiem czemu, ale cofnąłem się i ukryłem we wnęce. Chyba nie chciałem, żeby pomyśleli, że podsłuchiwałem.

Beatrice traciła już cierpliwość.

– James, z jakiego dokładnie powodu przyszedłeś mnie ostrzec?

– Do tego zmierzam. Z pokoju wyłonił się George Hazzard, ale jeszcze przystanął, obejrzał się za siebie i powiedział: „Nie martw się, wielebny! Jutro, jeszcze przed śniadaniem, nie będzie już mogła nikomu nic zeznawać, już nie. I nigdy więcej nic nie powie, przenigdy... Amen!”.

Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

– Dobry Boże. Sądzisz, że miał na myśli mnie?

– Jestem tego pewien. Kto inny mógłby świadczyć przeciwko niemu?

Beatrice wstała. Teraz było jej wstyd, że zwątpiła w szczerłość Jamesa.

– Florrie! – krzyknęła. – Ubieraj się jak najszybciej, kochanie! Musimy zaraz wyjść! – Po czym zwróciła się do Jamesa: – Na pewno cię tam nie zauważył? George Hazzard? To znaczy nie wie, że usłyszałeś, jak to mówił?

James pokręcił głową.

– Tkwiałem schowany we wnęce, aż odjechał, a pastor Parsons poszedł spać. Potem wymknąłem się stamtąd najciszej, jak tylko mogłem.



– Dziękuję, James. Pewnie uratowałeś mi życie. Przepraszam... jeśli byłbyś tak dobry, zaczekaj tu chwilę, pójdę się ubrać.

– Nie trudź się pakowaniem czegokolwiek – zaznaczył James. – Zawsze mogę później przysłać naszą służącą Bronwen po resztę twoich rzeczy. Kiedy tylko znajdziesz się już bezpiecznie w domu moich rodziców, pojedę na Bow Street i powiem konstablowi Rookowi, że słyszałem, jak George Hazzard groził, że cię uciszy. Jestem gotów zeznać to pod przysięgą w sądzie.

– Nie mogę zawiązać kokardki, mamó! – zawołała Florence.

– Już idę ci pomóc – odpowiedziała.

James usiadł, a Beatrice poszła do sypialni, żeby pomóc Florence i sama się ubrać. Kiedy wkładała halki i zapinała gorset, miała wrażenie, że nadal śpi, że to wszystko jest snem.

– Nie zapleciesz mi warkoczków, mamó? – spytała Florence.

– Nie, Florrie, nie teraz. Później. Naprawdę musimy iść.

– A co z No-no?

– No-no może iść z nami. Przecież nie zostawimy małego No-no, prawda?

Naciągnęła Florence jej brokatowe czółenka i sama włożyła buty.

– Już, Florrie, gotowa?

– Minnie jeszcze nie jest ubrana.

– Nie martw się o Minnie. Ubierzemy ją później.

– Jesteście gotowe?! – zawołał James.

Ledwie wypowiedział te słowa, Beatrice usłyszała głośny huk, jakby ktoś otworzył kopniakiem drzwi. James wydał dziwny krzyk, a potem rozległy się tupoty, szamotanina i kolejny łomot, kiedy przewróciło się krzesło.

– Ty, grrraaa... ach! – wrzasnął James.

– Cofnij się i nie ruszaj się stąd! – nakazała Beatrice córce i z rozmachem otworzyła drzwi do saloniku.

Z przerażeniem zobaczyła, że James siłuje się z jakąś postacią w czarnym kapturze i czarnej pelerynie. Chwycił z boku kaptur, starając się go zedrzeć napastnikowi, a kiedy postać odchyliła głowę, Beatrice dostrzegła srebrzysty błysk lustrzanej maski. To był ten sam przerażający mężczyzna, który zaczął ją w Ranelagh Gardens.

– Wynoś się! – krzyknęła. – Wynoś się, zanim wezwę konstabla!

Florence zaczęła płakać, więc Beatrice odwróciła się do niej.

– Florrie, nie wychodź stąd! – powtórzyła.

Kiedy znów spojrzała na salonik, zobaczyła, że mężczyzna w czarnej pelerynie wyciągnął miecz.

– Nie! Precz stąd! Odejdź! James! James! Uważaj!

James chwycił mężczyznę za rękaw i próbował wyrwać mu miecz, ale napastnik kopnął go mocno w goleń i James zatoczył się do tyłu, zahaczając o leżące krzesło. Stracił równowagę i upadł na toaletkę. Świeczka, krzesiwo i lusterko spadły, a arkusze papieru rozsypały się po podłodze.

Mężczyzna bez wahania zrobił krok naprzód i rozległ się chrzęst, kiedy wbił czubek miecza pod brodę Jamesa. Na chwilę zamarł w bezruchu, po czym chwycił lewą ręką ramię Jamesa i pchnął ostrze wyżej, zagłębiając je na jakieś piętnaście centymetrów. James zacharczał i otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Próbował złapać ostrze i wyciągnąć, ale tylko poprzecinał sobie skórę do kości i jego dłonie natychmiast zalały się krwią.

Mężczyzna nie zwalniał uścisku na ramieniu Jamesa i trzymał mocno miecz, aż James przestał walczyć i jego ręce opadły bezwładnie. Jego pierś falowała coraz wolniej i wolniej, krew lała się strumieniem na przód białej koszuli. Wyglądało to tak, jakby miał na sobie szkarłatny krawat.

Beatrice stała w otwartych drzwiach sypialni, sparaliżowana z przerażenia. Myślała, żeby złapać Florence za rękę i rzucić się obok mężczyzny do drzwi i na dół, ale on tylko wyciągnąłby miecz z szyi Jamesa i z łatwością zabiłby je obie, nim zdążyłyby dobiec do schodów. Jej pistolet był w torebce, ale torebka leżała na fotelu po drugiej stronie saloniku.

Jamesem wstrząsnęły ostatnie przedśmiertne drgawki. Oczy miał nadal otwarte, ale głowa opadła mu do tyłu, a napastnik wyciągnął skrwawiony miecz i obrócił się do Beatrice. Znów widziała swoje zniekształcone odbicie w jego lustrzanej masce.

– A teraz uciszymy i panią, dobrze? – zaskrzeczał.

Przez chwilę myślała, by zacząć wzywać pomocy. Ale nawet gdyby jakieś dziewczęta ją usłyszały i przybiegły, co by poradziły, skoro ten człowiek miał miecz? Któraś z nich mogłaby wybiec i spróbować znaleźć konstabla, ale zanim by go sprowadzono, i ona, i Florence byłyby już dawno martwe.

Gdy mężczyzna ruszył ku niej, zatrzasnęła z impetem drzwi sypialni. Nie miały zamka, więc mogła tylko z całych sił trzymać gałkę, by nie zdołał jej przekręcić, a ciałem blokowała drzwi. Atakował je ramieniem, aż chodziły w zawiasach, a potem zaczął je kopać.

– To na nic! – ryknął. – Dostałaś ostrzeżenie, ale nie słuchałaś, prawda? Jesteś czarownicą... jeśli ktokolwiek nią jest, to właśnie ty, a wiesz, jak się karze czarownicy, prawda?

Beatrice nie odzywała się ani słowem, tylko z ponurą zawziętością ścisnęła gałkę. Mężczyzna kopał w dół drzwi, raz po raz, aż po siedmiu czy ośmiu kopnięciach deska po prawej stronie pękła. Beatrice wiedziała, że to już tylko kwestia minut, nim napastnik wedrze się do środka.

Florence, w swojej sukience w różyczki, stała po drugiej stronie łóżka. Nie płakała już, choć rzęsy nadal błyszczały jej od łez. Patrzyła na Beatrice,

nerwowo gryząc kciuk.

Mężczyzna kopał raz po raz.

– Czarownica! – wydyszał. – Czekaj no tylko, ty wiedźmo!

– Florrie... – powiedziała cicho Beatrice. – Pod łóżkiem... za nocnikiem... tam jest ten duży metalowy hak.

– Co?

– Ten hak, Florrie... który znalazłyśmy przy rzece! Możesz wczłogać się pod łóżko i go wyciągnąć?

Florence nadal stała bez ruchu, oszołomiona.

– Florrie! – syknęła Beatrice. – Wczłogać się pod łóżko i wyciągnij ten hak, natychmiast!

Mężczyzna kopnął znowu i tym razem roztrzaskał deskę od góry do dołu, aż kawałek odpadł i Beatrice zobaczyła czubek skórzanego czarnego buta.

– Ha! Już prawie cię mam... ciebie i to twoje małe wiedźmiątko!

Pochlipując, Florence uklękła przy łóżku i wczłogała się pod nie.

– Dawaj, Florrie, szybko – ponagliła ją Beatrice, gdy mężczyzna zaczął znów kopać w drzwi.

Spod łóżka wystawały już tylko nóżki Florence.

– Zaklinował się – wyjąkała dziewczynka. – Nie idzie.

– Ciągnij mocniej! – nakazała Beatrice.

– Zaczepił się i nie puszcza.

– Spróbuj popchnąć go głębiej, a później pociągnij.

Mijały sekundy. Mężczyzna roztrzaskał już całą lewą deskę drzwi.

– Florrie? Udało się?

Kolejne sekundy.

– Florrie, masz go wreszcie?

– Tak, mamó. – Florence zaczęła wyczołgiwać się spod łóżka, wlokąc za sobą hak.

– Daj go tutaj, kochanie – powiedziała Beatrice, a Florence przydźwigała go i podała jej, krzywiąc się za każdym razem, kiedy mężczyzna kopał w drzwi. – A teraz idź, przycupnij za łóżkiem i zamknij oczy – poleciła córce. – Wyobraź sobie, że jesteśmy znów w domu, w Sutton, i że to noc, a ty śpisz.

Florence zmarszczyła brwi, nie do końca rozumiejąc, co matka ma na myśli, ale poszła za łóżko i usiadła na podłodze, choć nie zamknęła oczu.

Beatrice, mocno trzymając klamkę lewą ręką, prawą sięgnęła w dół i podniosła hak. Był o wiele cięższy, niż to zapamiętała.

Boże, proszę, daj mi tyle sił, ile tylko możesz, modliła się w duchu. Daj mi moją własną siłę, ale i tę duchową, którą odziedziczyłam po Francisie, i tę siłę, jaką poświęcił James, próbując mnie ratować.

Mężczyzna kopnął znowu, tak mocno, że jego stopa całkowicie przebiła drzwi, ukazując się aż do kostki. Próbował cofnąć nogę, ale wielka srebrna klamra zaczepiła o drzazgi i Beatrice zorientowała się, że stracił równowagę.

– Cholera jasna! – przeklął. – Cholera, niech to szlag!

Beatrice szarpnęła drzwi, otwierając je najszerzej, jak mogła, i ciągnąc raz za razem, po kilkanaście centymetrów. Mężczyzna skakał na jednej nodze, przytrzymując się krawędzi drzwi, by nie upaść. Kaptur zsunął mu się do tyłu. Nad lustrzaną maską ukazała się pełna guzków łysina.

Żadne z nich nic nie mówiło. Nastąpił upiorny moment, kiedy Beatrice miała wrażenie, że czas stanął w miejscu i wszelkie prawa rzeczywistości zostały zawieszony, a oni pozostaną w tych swoich absurdalnych pozach na zawsze.

Nagle jednak rozległ się trzask rozłupywanego drewna i mężczyzna wyrwał nogę z drzwi, zdzierając z niej jednocześnie but. Machnął mieczem i rzucił się do Beatrice, ale w tej samej chwili ona uniosła hak wysoko nad głową. Napastnik zdołał zrobić ledwie dwa chwiejne kroki, gdy uderzyła go z taką siłą w sam środek maski, że roztrzaskała odbicie swojej twarzy.

Mężczyzna zatrzymał się i zakołysał, wydając dźwięk, który bardziej przypominał piskliwy kaszel niż krzyk. Jego twarz była bezładną mieszaniną krwi i okruchów lustra. Powoli opadł na kolana i upuścił miecz, obiema rękami próbując wyciągać ostre kawałki szkła z czoła i oczu.

Beatrice, ciężko dysząc, cofnęła się o krok. Boże, daj mi siłę. I proszę, Boże, wybac mi.

Uniosła hak po raz drugi, na chwilę zastygła w bezruchu, po czym uderzyła w łysą głowę tak mocno, że aż zabołały ją dłonie. Metalowy kolec z chrupnięciem przebił czaszkę, jednak mężczyzna jakimś cudem nadal klęczał wyprostowany. Poderwał głowę jakby na dowód, że Beatrice może robić, co zechce, a i tak nie uda się jej go zabić.

Próbowała wyciągnąć hak, żeby zadać kolejny cios, ale wczepił się mocno w jego czerep i w żaden sposób nie dawał się wyrwać. Mężczyzna klęczał w progu jak ranny jeleń o potrójnym porożu. Nic nie mówił, może nie mógł, bo jego usta zostały pocięte na strzępy przez stłuczone szkło. Mógł tylko kołysać się na boki, a hak uderzał miarowo we framugę drzwi.

Florence znów zaczęła płakać – był to głęboki, rozpaczliwy szloch. Beatrice wahała się przez chwilę. Musiała mieć pewność, że mężczyzna nie wstanie i nie rzuci się za nią. Widziała jednak, że traci przytomność i prawdopodobnie umiera, więc obeszła łóżko, wzięła Florence na ręce i przytuliła ją.

– Już dobrze, Florrie. Ten zły człowiek nie może już zrobić nam żadnej krzywdy. Ale musisz zamknąć oczy i udawać, że wcale cię tu nie ma. Nie

chę, żebyś go zobaczyła, i nie chę, żebyś patrzyła na Jamesa, bo ten zły człowiek posłał go do nieba.

Florence miała usta wygięte w podkówkę, łzy płynęły jej po buzi, ale skinęła głową i zacisnęła powieki. Beatrice, niosąc Florence, ruszyła do drzwi i w tym momencie mężczyzna w czarnej pelerynie runął w tył, nadal na zgiętych kolanach, z hakiem sterczącym mu z czaszki.

Kiedy tył jego głowy uderzył o podłogę saloniku, niektóre kawałki lustra odpadły z maski niczym skrwawione szkiełka kalejdoskopu. Choć czubek haka złamał mu nos, a jego policzki były zmasakrowane, Beatrice od razu go poznała. To był Edward Veal, księgowy George'a Hazzarda.

Patrzyła na niego przez chwilę, czując, jak żołądek jej się przewraca, a serce boleśnie wali. Kiedy James powiedział jej, że George Hazzard chce ją uciszyć, uwierzyła mu, ale oto był namacalny tego dowód. Przysłał Edwarda Veala, by policzył się z nią raz na zawsze. Gdyby zjadła śniadanie, zwróciłaby wszystko na dywan. I tak miała usta pełne śliny.

Przyciskając mocno buzię Florence do swojego ramienia, zdołała prześlizgnąć się obok ciała księgowego. Nie chciała patrzeć na Jamesa, ale musiała go ominąć, by wziąć z kanapy torebkę, bo wiedziała, że będzie jej potrzebna. James leżał wyciągnięty na plecach, na przewróconym krześle. Jego koszula była nasiąknięta krwią, niewidzące oczy wpatrywały się w sufit. Beatrice złapała torebkę i szybko odwróciła głowę. Nie chciała zapamiętać go takiego. I za bardzo bolało ją, że został zabity, starając się ją ratować.

• • •

Zaczęła schodzić, gdy z dołu nadbiegła zdyszana Eliza – potargana, bosa, w koszuli nocnej.

– Co się dzieje? – spytała. – Słyszałam te stukoty i trzaski, a kiedy poszłam do pani Smollett, powiedziała, że to tylko cieśle reperują pani drzwi. Kazała mi zostać w pokoju, aż skończą, ale pomyślałam: pieprzyć to.

Beatrice nie zatrzymała się, tylko pospiesznie schodziła dalej z Florence na rękach. Eliza pognała za nią.

– Musimy jak najszybciej uciekać – wyjaśniła jej Beatrice. – Do naszych pokoi włamał się mężczyzna. Chciał nas zamordować. To był Edward Veal, księgowy George’a Hazzarda. Biedny James Treadgold z siedziby głównej próbował nas bronić, ale Veal go zabił.

Eliza z niedowierzaniem spojrzała w górę schodów.

– Żartuje pani, co?

– Wcale nie, Elizo. Idziemy prosto na Bow Street, aby to zgłosić.

– Cholera. A pani Smollett mówiła, że to cieśle.

– O nie. Pani Smollett dobrze wiedziała, kto to jest.

– Ale nie rozumiem. Dlaczego George Hazzard próbował panią załatwić?

– Zgodziłam się iść do sądu i zeznawać przeciwko niemu, dlatego. Pamiętasz te siedem dziewczyn, o których ci mówiłam? Wczoraj odnaleziono ich ciała w fabryce George’a Hazzarda. Wszystkie nie żyją i mam dowody, że to on za tym stoi.

– I Hazzard przysłał tego gościa, żeby panią sprzątnął i żeby było po sprawie? A pani Smollett musiała wiedzieć, prawda? Cieśle... ja cię kręcę!

Doszły do holu. Słyszały głosy i stukot garnków w kuchni, ale drzwi były zamknięte i w pobliżu nie było nikogo.

– Chodźmy po No-no – powiedziała Beatrice. – Potem musimy natychmiast wyjść.

– Idę z wami – zdecydowała Eliza.



– Nie jesteś ubrana – zauważyła Beatrice.

– Mam to w nosie. Idę z wami. Bo niby dokąd uciekniecie?

– Jeszcze o tym nie myślałam, Elizo. Musimy przede wszystkim się stąd wydostać.

– Możecie iść ze mną do Black Horse Yard, jak chcecie, do mojej ciotki. I jeszcze coś mogę pani obiecać. Stanę obok pani w sądzie i powiem, co pan Hazzard wyprawiał, i ta pani Sheridan też. Nigdy nie widziałam, żeby mordowali dziewczyny, ale wiem, że robili im coś złego, coś okropnego, a jacyś napaleni goście, którzy nazywają siebie dżentelmenami, płacili im dobre pieniądze, żeby to oglądać.

– Elizo, nie masz nawet butów!

– A co mi tam, idę z wami.

Beatrice i Florence weszły do pralni, gdzie No-no spał w swoim koszyku. Florence wzięła go na ręce.

– Chodź, No-no – szepnęła do niego. – Musimy uciekać.

Beatrice chwyciła z wieszaków w holu ich peleryny, ale kiedy ubrała Florence, swoją pelerynę narzuciła na ramiona Elizie.

– Nie martw się – powiedziała. – Ja nie zmarznę, do Bow Street nie jest daleko.

Otworzyła drzwi frontowe, ale kiedy tylko wyszły na zewnątrz, z góry dobiegło przeraźliwe zawodzenie, a potem krzyki Idy:

– Morderstwo! Morderstwo! Beatrice, gdzie jesteś? Beatrice! Ratunku! Na pomoc! Niech ktoś wezwie strażę! Morderstwo!

---

\* J 8,44.

## Rozdział 41

Na Aldergate Street zatrzymały powóz, by zawiózł je na Bow Street. Beatrice była tak wstrząśnięta tym, co widziała i co zrobiła, że trudno jej było mówić z sensem, więc to Eliza musiała wytłumaczyć puciołowatemu woźnicy, dokąd chcą jechać. Kiedy Beatrice wsiadła, nie mogła opanować drżenia. Eliza narzuciła na nią połą peleryny, żeby otuliły się razem.

Florence z początku siedziała spokojnie i tylko tuliła do siebie No-no, raz po raz całując go po łebku. Za to Eliza gadała jak najęta.

– A niech mnie! Ciekawe, co powie moja ciotka Vi, jak się znów pokażę. Pewno myślała, że już nigdy mnie nie zobaczy i krzyżyk na drogę, założę się. A moje trzy kuzynki... Te to dopiero zrobią miny!

Jednak w połowie Ludgate Hill Florence wydała z siebie długi żalony jęk. Zawodziła coraz głośniej, coraz bardziej histerycznie, i gdy powóz potoczył się po Fleet Street, czerwona na twarzy, ledwie już mogła oddychać. Beatrice postawiła No-no na podłodze powozu i wzięła córkę na kolana. Wtedy zorientowała się, że dziewczynka się zmoczyła.

– Cicho, Florrie, cicho – powiedziała, kołysząc ją w ramionach. – Już dobrze. Ten zły człowiek nigdy nie wróci. – A potem szepnęła do Elizy: – Nie mogę zabrać Florrie w tym stanie do urzędu. Myślisz, że możemy najpierw pojechać do twojej ciotki, żeby uspokoić Florrie? Wybiorę się na Bow Street sama, jeśli byłabyś tak dobra, by zaopiekować się nią, póki tego nie załatwię. Florrie, zostaniesz na trochę z Elizą, prawda?

– Biedne maleństwo – rzuciła Eliza. – Jasne, chętnie. – Wstała i wychyliła się w stronę woźnicy. – Hej, koleś! – krzyknęła do niego. – Zmieniłyśmy zdanie! Zawieź nas na Black Horse Yard, dobra?

– Black Horse Yard?

– Przy Spittle Market.

– Wiem, gdzie to jest. Ale i tak muszę wam policzyć za ten kawałek, który już ujechaliśmy.

Zajęło im kolejne dziesięć minut, zanim zawrócili i pojechali wzdłuż London Wall na Bishopsgate Street i dalej, przez labirynt uliczek prowadzących do Black Horse Yard. Większość tutejszych warsztatów i domów przetrwała Wielki Pożar. Drewniane budynki trzy-, czteropiętrowe, o zawilgoconych fasadach, miały malutkie okna z szybkami w ołowianych ramkach. Ulice były brukowane, ale w wielu miejscach kostka wypadła. Nigdy tu nie zamiatano, więc w chłodnym porannym powietrzu unosił się przenikliwy zapach końskich odchodów i nieczystości.

Florence przestała zawodzić, ale od czasu do czasu wydawała z siebie cichy szloch. No-no popatrywał na nią z niepokojem.

Black Horse Yard to był niewielki ponury plac, otoczony z trzech stron przez wysokie domy mieszkalne. Zamykała go stajnia z brązowej cegły. Beatrice wręczyła woźnicy szylinga i sześciopensówkę, po czym wysiadły. Eliza poprowadziła je do wąskiej bramy i zapukała.

– Mam nadzieję, że nas przyjmą – powiedziała Beatrice.

– Och, moja ciotka jest w porządku. Tylko miała ciężkie życie. Pierwszy mążulo zapił się na śmierć, drugi ulotnił się jak kamfora, trzeciemu skręcili kark za to, że ukradł dwie błyskotki. Ale zawsze miała jakichś gachów, więc chyba za bardzo się nie przejmuję, już nie. – Zapukała znowu, głośniej, po czym cofnęła się o krok i wrzasnęła w stronę okna na pierwszym piętrze: – Ciociu Vi! Ciociu Vi! To ja, Eliza! Otwórz te cholerne drzwi, dobra? Kiepsko tak stać tu na dole!

Zapukała jeszcze raz i po jakiejś minucie drzwi otworzyła im siwa kobieta w brzoskwiniowym szlafroku. Zamrugła na widok Elizy i Beatrice z Florence.

– To mi się chyba śni – wyjąkała.

– Nie – rzuciła Eliza. – To ja. W tym domu dla dziewczyn nieźle się nawyprawiało i musiałyśmy zwiewać. To ta Beatrice, co mnie tam zabrała, i jej córeczka, Florrie.

– A mnie co do tego, czego ode mnie chcesz? – parsknęła kobieta.

– Och, daj spokój, ciociu Vi! Jakiś gościu włamał się do domu. Chciał zadźgać Beatrice i zadźgał jej przyjaciela. No to w końcu Beatrice zaciukała jego, jasne?

– Wygłupiasz się czy co?

– Jak Boga kocham, ciociu, nie kłamię. To ten George Hazzard. Beatrice odkryła, że zamordował jakieś dziewczyny, i teraz on chce ją dopaść, żeby ona nie powiedziała na niego nic w sądzie.

– Chyba nie ten George Hazzard, co zawiózł cię do Ledy?

– A jak myślisz, ilu jest pieprzonych George'ów Hazzardów?

– I zamordował jakieś dziewczyny?

– Siedem na pewno. Właściwie osiem, bo była i inna, czarna, której ciachnęli głowę.

– O jasna cholera!

Beatrice wzięła głęboki oddech.

– Nazywam się Beatrice Scarlet, proszę pani. To, co mówi Eliza, jest szczerą prawdą, inaczej nie szukałybyśmy u pani tymczasowego schronienia. Moja córeczka Florrie jest okropnie wstrząśnięta tym, co widziała dziś rano, zmarzła i musi się przebrać. Czy mogę błagać panią, by nas pani na chwilę wpuściła?

Kobieta raz jeszcze spojrzała na Beatrice, a potem na Florence, po czym wzruszyła ramionami.

– Dobra. Wejdźcie. To nie pałac Świętego Jakuba, ale jeśli musicie się gdzieś zatrzymać na dzień, dwa, a nie będzie panusia wybrzydzać na wspólny pokój, to proszę.

Cofnęła się, żeby Beatrice i Florence mogły wejść do wąskiego korytarzyka.

– Jestem Violet – przedstawiła się. – Pani Violet Vickery, a potem Thompson, Hudnutt i White. Obecnie wdowa.

– Przykro mi – powiedziała Beatrice. – Też jestem wdową.

– O, mnie wcale nie jest przykro, że jestem wdową – odparła Violet. – Mnie miałyby być przykro? Ani trochę. – Popatrzyła przenikliwie na Beatrice. – A ty, ty dalej nie możesz przeboleć, co? Nie nosisz żałoby, ale cholernie za nim tęsknisz, nie tak, kochana?

Beatrice uśmiechnęła się ze smutkiem, lecz nic nie odpowiedziała. Sądziła, że Violet dobiega pięćdziesiątki; choć miała drobne zmarszczki wokół oczu i już nie tak jędrną skórę na szyi, nadal była wyjątkowo ładną kobietą. Te miętowozielone oczy, krótki, prosty nos, a usta leciutko uniesione w kącikach, jakby życie wydawało się jej niezmiennie zabawne... We wschodnim Londynie musieli nazywać ją cukiereczkiem, kiedy była młoda.

Wspięły się na trzeszczące wąskie, ciemne schody. W domu było nadymione, mocno pachniała przypalona wątróbka, siki kotów i olejek różany, którym, jak Beatrice się domyślała, ktoś pewnie się spryskał, żeby zamaskować inne wonie. Violet poprowadziła je po gołych deskach korytarza i otworzyła drzwi swojego mieszkania. W środku panował ponury mrok, bo grube jutowe zasłony były jeszcze zaciągnięte, ale gospodyni od razu przeszła przez pokój i je rozsunęła.

– Zawsze myślałam, że ten George Hazzard to dziwny gościu – powiedziała. – Trzyma się z lepszym towarzystwem, wszyscy gadają, jaki

to z niego pan. Ale nie wiem. Dla mnie zalatuje siarką. Założę się, że jakby ściągnąć mu perukę, zobaczyłoby się wystające mu ze łba rogi.

Salonik Violet był duszny i zagracony. Były tam cztery zapadające się fotele, podnózek i wytarty dywan. W kominku nie płonął ogień, a na palenisku została tylko kupa popiołu. W pokoju czuło się przejmujący ziąb i wilgoć. Ściany pokrywała tapeta w niegdyś bladobrazowy kratkowany wzór, ale teraz poplamiona, pełna czarnych śladów od pleśni, po bokach odchodząca od muru niczym płaty martwego naskórka.

– Pammy! Maggie! Betsy! – krzyknęła Violet. – Chodźcie no tu, dosyć leniuchowania! Jest tu Eliza i przyprowadziła gości! Szacownych gości. Ty też, Dick! Weź dupę w troki i napal w kominku.

Beatrice usłyszała pomruki protestu dobiegające zza uchylonych drzwi po prawej stronie saloniku.

– To moje córki – wyjaśniła Violet. – Sama nie wiem, po co je sobie zafundowałam. Jedyne pożytek, że zawsze przyniosą do domu trochę miedziaków.

Drzwi sypialni otworzyły się szerzej i pojawił się w nich, mrugając gwałtownie, pociągając nosem i strasznie się drapiąc, brzuchaty młody człowiek z czarnymi skołtunionymi włosami. Miał blisko osadzone oczy i zadarty nos jak staffordshire terrier. Brudna wełniana koszula nocna sięgała mu ledwie do kolan, a pończochy były tak dziurawe, że Beatrice widziała jego czarne od brudu paznokcie.

– To Dick – powiedziała Violet. – Musicie mu wybaczyć, jest trochę durnowaty. Słomiana głowa, co, Dick? Przywitaj się z panią i jej córką, Dick.

– Włożę spodnie – wybełkotał Dick i pociągnął nosem.

– Nie, Dick, najpierw napal w kominku, bo wszystkim nam zimno, a pani i jej córeczka będą chciały się napić czegoś ciepłego. Chodź,

Beatrice, siadaj, czuj się jak w domu. Zaraz obgadamy, co i jak.

Beatrice usiadła na jednym z foteli, Florence wdrapała się jej na kolana i zaczęła ssać kciuk, a No-no schował się pod fotel. Eliza zdjęła pelerynę Beatrice i otuliła nią jej ramiona, żeby nie marzła, a sama poszła do sypialni porozmawiać z trzema kuzynkami. Violet usiadła na drugim fotelu, obok Beatrice. Położyła dłoń na jej ręce i odezwała się ściszym głosem, jakby zwierzała się starej przyjaciółce, którą zna od lat.

– Jak mówiłam, zawsze myślałam, że George Hazzard to oszust. Pyszałek i kłamca. Ale żeby kogoś zaciukał, to jestem zaskoczona.

Beatrice opowiedziała Violet, jak zniknął tak zwany „sabat” i jak odkopano ciała. Powiedziała jej też o Grace, choć nazywała ją „pewną znajomą” i ostrożnie dobierała słowa, żeby Florence nie zorientowała się, o kim i co mówi.

– Nie wiem, jaką rolę odegrał tu George Hazzard ani w jaki sposób te dziewczęta dokonały żywota. Ich szczątki uległy takiemu rozkładowi, że trudno to od razu stwierdzić. Ale domyślam się, co się z nimi stało, a konstabl Rook zdaje się podzielać moje zdanie.

– Sądziysz, że je wykończył?

– Podejrzewam, że niemal natychmiast po przywiezieniu ich do fabryki przekazał je Ledzie Sheridan, tak samo jak tę znaną nam młodą damę, i to tam spotkał je koniec. Przyznam, że niektóre mogły pojechać tam chętnie. Zapewne nie zdołaliśmy nawrócić ich w pełni w schronisku Świętej Marii Magdaleny, a Leda Sheridan ma bardzo ekskluzywną klientelę. Zanim je przyjęliśmy, większość tych dziewcząt działała w uliczkach na tyłach Strandu i w przybytkach na Chick Lane, rozumiesz więc, że perspektywa pracy w takim luksusowym domu mogła się im wydać kusząca.

– Nie uwierzysz, ale znam dobrze Ledę Sheridan. Od czasów, kiedy była młodą dziewczyną.

– Naprawdę?

– Bóg świadkiem, że nie kłamię. Może teraz wydaje się kimś z wyższych sfer, ale wychowała się tu, na Fort Street, i była zwyczajną Lindą Codd. Dawała panom za szylinga na stojaka za straganami. Jak była parę lat starsza, zaczęła wystawać w okolicach Covent Garden i przy Theatre Royal i tam poznała jakiegoś bogatego starego fircyka. Od tej pory mieszkała jak pani i miała wszystko, o co tylko poprosiła. Kapitan jakiś tam... zapomniałam nazwiska. A kiedy wyciągnął kopyta, zostawił jej dość pieniędzy, żeby urządziła się na Brydges Street. Wyszła potem za jakiegoś prawnika, prawdziwy pomyleniec, ze dwadzieścia lat starszy od niej, ale i on kopnął w kalendarz.

– Eliza mówiła mi, że George Hazzard wypatrył ją na ulicy, kiedy sprzedawała poduszeczki do szpilek, i wysłał ją do Ledy Sheridan. – Zawahała się. Nie chciała, by zabrzmiało to tak, jakby zarzucała Violet brak troski o dziewczynkę. – Mówiła, że jak się o tym dowiedziałas, nie byłaś specjalnie zmartwiona. Tak naprawdę dałaś jej swoje błogosławieństwo.

– Tak, ale to było, nim poznałam George'a Hazzarda i skumałam, że to oszust... – Wzięła Beatrice za rękę i ścisnęła ją lekko. – Słuchaj, Beatrice, wiem, że taka wdowa po pastorze jak ty pomyśli o mnie samo najgorsze. Nie mam pretensji. Ale my wtedy prawie nie mieliśmy za co żyć. Ja zarabiałam tyle co nic na tych poduszeczkach, a byłam za bardzo chora na gardło, żeby robić coś więcej. Wszystkie moje trzy córki poszły na ulicę, co mogły innego? A ja zamartwiałam się o nie, żeby ich nie pobili, nie zgarnęli do ciupy i żeby nie złapały jakiegoś cholerstwa. Wiedziałam, że Leda zadba o Elizę, a ona dobrze zarobi, może nawet pozna swojego kapitana jakiegoś tam i będzie żyła długo i szczęśliwie.

– A co pomyślałaś, kiedy Eliza uciekła, bo słyszała krzyki jakichś dziewczyn?



– Nie za wiele o tym myślałam, jak mam być z tobą szczerą. Są mężczyźni, co lubią chłostać kobiety, i kobiety, które lubią być chłostane albo jeszcze gorzej. Przyjęłam Elizę z powrotem, bo nie miałam wyjścia, ale oświadczyłam jej, że musi za siebie płacić. Co robiła... na ogół tak.

Beatrice nie skomentowała tego, nie wspomniała, że Eliza okradała swoich klientów poza tym, że oferowała im seks, choć pewnie Violet i tak była tego świadoma. Te kobiety dzień w dzień walczyły o przeżycie. Beatrice nie czuła się w prawie którąkolwiek z nich osądzać. Powiedziała natomiast o pięciu następnych, które George Hazzard zabrał ze Świętej Marii Magdaleny, a które, jak twierdził, wysłał na jarmark w Southwark.

– Zamierzałam jechać na Bow Street, by dowiedzieć się od konstabla Rooka, czy wróciły wczoraj wieczorem do fabryki. Poza tym oczywiście muszę zgłosić, że zostałyśmy zaatakowane i co się stało z moim biednym przyjacielem Jamesem. Muszę wyjaśnić, że uderzyłam Edwarda Veala w obronie własnej.

Dick klęczał teraz przy kominku. Wygarnął szuflę popiół, włożył do paleniska zgniecioną gazetę i rozpałał patyki i kawałki węgla. Dmuchając w nie, buczał jak krowa, która domaga się dojenia.

– Wiesz co – odezwała się Violet. – Pojadę z tobą, złotko, bo znam George'a i Ledę też. Dziewczyny zaopiekują się twoim skarbem, nie martw się. Maggie miała synka, Steviego, wie, jak zajmować się dziećmi. Stevie umarł na odrę, kiedy miał tylko pół roczku, biedulek, zawsze był taki wesoły...

– To miło z twojej strony, Violet, dziękuję – powiedziała Beatrice. – Florrie, zostaniesz z Elizą i jej kuzynkami, kiedy mama na chwilę wyjdzie? Obiecuję, że nie na długo.

– Każę Betsy ugotować ci trochę owsianki – dodała Violet. – A dla tego twojego pieska znajdzie się mnóstwo kostek.

Florence posłusznie skinęła głową. Beatrice mimo woli pomyślała, że nawet jeśli Francis nie był jej ojcem, to w jakiś sposób dziewczynka odziedziczyła po nim powagę i poczucie obowiązku.

Violet wstała.

– Tylko pójdę się ubrać. Może masz chęć na filiżankę czekolady, zanim ruszymy? Ja zawsze wolę brandy.

– Wiesz co? – rzuciła Beatrice. – W tej chwili wypiję chyba to samo co ty.

## Rozdział 42

Przybyły na Bow Street numer cztery kilka minut przed jedenastą. Na chodniku kłębił się jeszcze większy tłum niż zwykle – zgromadzili się tu nie tylko protestujący, ale też ciekawscy gapie oraz czterech czy pięciu mężczyzn w zakurzonych surdutach, którzy wyglądali na dziennikarzy.

Beatrice już miała wysiąść, gdy dostrzegła przy Russell Street żółty powóz stojący na samym końcu innych.

– Czekaj – rzuciła do Violet. – Myślę, że to powóz George’a Hazzarda. Najwyraźniej on już tu jest.

– Chyba nie boisz się spojrzeć mu w twarz po tym wszystkim?

– Violet, on chciał zabić mnie i Florrie i przez niego zamordowano Jamesa. Nie dam rady.

– Zastanów się, złotko. Z tego, co mi powiedziałaś, ciała tych dziewczyn mówią same za siebie, nie? Jak George Hazzard wyjaśni to, że jego własny księgowy cię napadł, przebrany w czarną pelerynę i w masce z lustra? Jak wytłumaczy, że twój biedny przyjaciel dostał mieczem w gardło?

– I tak nie chcę się z nim spotkać, Violet. Na pewno będzie miał jakieś przekonujące wyjaśnienie tego, co się stało, a nie mogę ryzykować, by aresztowali mnie za pozbawienie życia Edwarda Veala, nawet jeśli stwierdzą, że było to nieumyślne zabójstwo. Jak dowiodę, że tylko się broniłam, skoro jedynymi żywymi świadkami jesteśmy ja i Florrie?

– No, twoja sprawa – odparła Violet. – Jeśli chodzi o mnie, zawsze uwierzyłabym wdowie po pastorze, a nie takiemu szubrawcowi jak George Hazzard.

W tym momencie jednak, całkiem jakby Pan Bóg zaplanował wszystko, by potwierdzić obawy Beatrice, drzwi nagle się otworzyły i wyszedł z nich George Hazzard w towarzystwie tęgiego jegomościa z czarną opaską na oczach, w surducie ze złożonym szamerunkiem. Beatrice rozpoznała go z portretu w poczekalni – to był sir John Fielding, niewidomy sędzia i założyciel urzędu sprawiedliwości na Bow Street.

Mężczyźni rozmawiali ze sobą, kiwając głowami, aż wreszcie George Hazzard poklepał sir Johna Fieldinga po plecach i uściśnął mu dłoń.

– Wracajmy, zanim mnie zobaczy – szepnęła Beatrice. – Tylko popatrz na nich, gadają jak starzy przyjaciele. Muszę zastanowić się, co robić.

– Chciałaś pomówić z tamtym konstabłem, nie? – rzuciła Violet. – On chyba ci uwierzył.

– Czy wy, panie, wysiadacie tutaj, czy jak?! – krzyknął woźnica.

– Nie, nie wysiadamy! – odwrzasnęła Violet. – Zawieź nas z powrotem!

– A niech mnie! – odparował. – Mogłybyście się zdecydować, do cholery!

– A tobie co do tego, gburze, póki ci się płaci?

Woźnica strzelił batem, zawrócił pośrodku ulicy i powóz znów potelepał się w kierunku Black Horse Yard.

– Wiem, co zrobię – powiedziała Beatrice. – Napiszę do konstabla Rooka i wyjaśnię dokładnie, jak zostałyśmy zaatakowane i dlaczego się ukrywamy. Zapytam go też, czy Judith i reszta naszych dziewczyn wróciły do fabryki tytoniu. Możemy wysłać kogoś z listem, prawda? A on by poczekał i przyniósł odpowiedź, nie zdradzając konstablowi Rookowi, gdzie jestem.

– A co, jeśli napisze, że dziewczyny są na miejscu?

– Będę dziękować Bogu, oczywiście. Ale niestety, nie wierzę, że wróciły. Jak sądzisz, po co George Hazzard przyjechał z Hackney

porozmawiać z sir Johnem? Jestem pewna, że już pociąga za sznurki, żeby oczyścić się z zarzutów. Wiesz, Violet, gdybym tylko mogła sprawdzić, jak tych siedem dziewcząt zostało zamordowanych... Nie umarły przecież z przyczyn naturalnych, nie cała siódemka, ale póki nie wiemy, w jaki sposób straciły życie, George Hazzard będzie nietykalny, podobnie zresztą jak twoja znajoma, Leda.

– A co z twoją czarnuszką, tą, której ciachnęli głowę? Nie zaprzeczają przecież, że ją ścięli.

– Gdyby znalazło się jej ciało, byłby to jakiś dowód. Ale wątpię, by udało się trafić na jego ślad. Pewnie pocięli ją na kawałki i wrzucili do rzeki albo spalili, albo pogrzebali w jakimś dole ze zmarłymi na zarazę. Któż to wie?

Wróciły do Black Horse Yard. Kiedy weszły na górę do mieszkania Violet, Beatrice zastała Florence w sypialni dziewczyn. Siostry były bardzo różne. Pammy – drobniutka i płowowłosa, o ładnej buzi w kształcie serduszka. Maggie – pulchna brunetka o świszczącym oddechu. Betsy – ruda i piegowata – wyglądała na Irlandkę. Beatrice nie pytała, ale domyśliła się, że dziewczynki miały różnych ojców, a jeden czy dwóch z nich to nie byli mężowie Violet.

Jednak wszystkie dziewczyny się śmiały – i Florence też. Posadziły ją na parapecie i malowały jej buzię: pudrowały nos, kładły róż na policzki i czerwony wosk pszczeli na usta.

– Gotowe! – oświadczyła Eliza, po raz ostatni dotykając warg Florence gałgankiem. – Prawdziwa zabójcza piękność! Wszyscy dżentelmeni będą się za tobą uganiać, kochanie, zobaczysz!

Beatrice zmusiła się do uśmiechu. Niezręcznie było jej patrzeć, jak jej córeczkę zabawiają cztery młode prostytutki, ale była im wdzięczna, że oderwały myśli dziewczynki od tego koszmarnego poranka, i czuła

ogromną ulgę, że Violet udzieliła im schronienia i mogą się u niej ukryć przed George'em Hazzardem, przynajmniej na razie.

Wróciła do saloniku i usiadła przy kominku, gdzie jarzyły się teraz węgle. Wyjęła z torebki podróżny piórnik i kałamarz, otworzyła na pierwszej czystej stronie swój mały dziennik w brokatowej okładce i zaczęła pisać.

*Drogi Panie konstablu Rook!*

*Mam wielką nadzieję, że mogę liczyć na Pana wsparcie, a także pełną dyskrecję. Zapewne wie Pan już o dzisiejszym tragicznym zdarzeniu w schronisku Świętej Marii Magdaleny, o tym, że pan Treadgold został okrutnie zamordowany, a pan Edward Veal, księgowy pana George'a Hazzarda, również pożegnał się z życiem i musi teraz stanąć przed obliczem Stwórcy. Oto dokładne okoliczności tego, co się stało, bez względu na to, jak mógł przedstawić je sir Johnowi Fieldingowi pan Hazzard.*

Opisała bardzo szczegółowo zabójstwo Jamesa oraz śmierć Edwarda Veala i wyjaśniła, że ona i Florence pozostaną pod „tajnym adresem” do czasu, aż będą miały zagwarantowane bezpieczeństwo. Wreszcie spytała, czy dostał od strażnika z Hackney wiadomość na temat Judith i innych dziewcząt: czy wróciły wieczorem do fabryki tytoniu, czy też nadal ich tam nie ma?

Kiedy skończyła, Violet posłała Betsy na podwórko po chudego dziewięcioletniego syna jednej z sąsiadek, która zarabiała na piątkę swoich dzieci praniem. Beatrice poinstruowała chłopca, dokąd ma zanieść list, i kazała mu zaczekać, aż konstabl Rook napisze odpowiedź. Obiecała, że po powrocie dostanie sześć pensów.

– Tylko upewnij się, czy nikt cię nie śledzi – ostrzegła go. – Jeśli pomyślisz, że tak, schowaj się w jakiejś bramie i odczekaj, aż ci ludzie cię miną.

– Nie jestem w ciemnię bity – rzucił urażony.

– I nie czytaj tego – upomniwała go, wręczając mu list.

Popatrzył na nią, jakby mówiła od rzeczy. Nigdy nie chodził do szkoły i nigdy do niej nie pójdzie.

Teraz mogła już tylko siedzieć i czekać, i słuchać, jak córki Violet bawią się z Florence. Po jakiejś godzinie Pammy i Betsy zaczęły się ubierać i malować, bo był już czas, by wyszły na ulicę, żeby zarobić trochę „miedziaków”, jak to określiła Violet. Gdyby tego nie robiły, nie byłoby z czego opłacić czynszu ani co jeść.

Było pięć po pierwszej, kiedy chłopiec wrócił z listem od Jonasa Rooka. Wydawał się zmęczony. Podeszwa jednego z jego znoszonych brązowych butów zaczęła kłapać, kiedy szedł Butcher Row, więc przez większość drogi powrotnej musiał skakać na jednej nodze. Beatrice dała mu dodatkowe trzy pensy poza sześcioma obiecanyymi, żeby miał za co naprawić but, wyjaśniła. Skrzywił się tylko na to i wyszedł, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi.

Kiedy zaczęła czytać odpowiedź Jonasa Rooka, mocno ją zdziwił jego pesymistyczny ton. Poprzedniego dnia konstabl tak ją zachęcał, wydawał się taki chętny, by wnieść oskarżenie, a teraz jego przekaz był wyraźnie negatywny.

*Droga Pani Scarlet, gdziekolwiek Pani jest, nalegam, by pojawiła się Pani w biurze osobiście, żebym mógł przesłuchać Panią dokładnie co do okoliczności, w jakich stracili życie pan James Treadgold i pan Edward Veal.*

*Szczątki siedmiu młodych kobiet, które zostały ekshumowane w ogrodzie pana Hazzarda, znajdują się już w kostnicy szpitala Świętego Bartłomieja. Są badane przez tak wybitnego chirurga jak pan Percivall Pott. Jednak nie możemy podjąć żadnych decyzji o postępowaniu sądowym, póki nie dostarczy on nam pełnego sprawozdania z sekcji, co może potrwać, jak uprzedza, kilka dni, a nawet tygodni.*

*Jednocześnie sir J. Fielding wyjaśnił mi, że bez jednoznacznych dowodów oskarżenie pana Hazzarda o zamordowanie tych młodych kobiet jest bardzo mało prawdopodobne. Samo w sobie odkrycie ludzkich szczątków na terenie czyjejś posesji nie wskazuje na czyn karalny. Nawet gdyby można wykazać, że te młode kobiety pozbawiono życia w jakiś bezprawny sposób, trzeba by ustalić ponad wszelką wątpliwość, kto je zabił, a jeśli zostały zamordowane na czyjeś polecenie, to kto je wydał.*

*Jeśli chodzi o pięć młodych kobiet ze Świętej Marii Magdaleny, o których miejsce pobytu pytała Pani wczoraj pana Hazzarda, tego ranka strażnik z Hackney doniósł mi, że nie wróciły na noc do budynku fabryki i nie pokazały się dziś w pracy.*

*Poruszyłem tę kwestię z sir J. Fieldingiem, ale jest zdania, że ich zniknięcie to zupełnie inna sprawa, niezwiązana z odkryciem ciał siedmiu martwych dziewcząt, i że nie ma sensu badać tego dalej, chyba że zainteresowane strony przedstawiłyby bezpośredni dowód na to, że dziewczęta znalazły się w niebezpieczeństwie albo że już stała im się jakaś krzywda.*